



EVAN CURRIE

ODYSSEY ONE

TOM 8

ZMIERZCH KRÓLÓW

Evan Currie

ODYSSEY ONE

TOM 8

ZMIERZCH KRÓLÓW

Przekład Janusz Kaiser



Warszawa 2023

W serii ODYSSEY ONE dotychczas ukazały się:

ODYSSEY ONE

ROZGRYWKA W CIEMNO

ODYSSEY ONE

TOM 2

W SAMO SEDNO

ODYSSEY ONE

TOM 3

OSTATNI BASTION

ODYSSEY ONE

TOM 4

W OGNIU WOJNY

ODYSSEY ONE

TOM 5

KRÓL WOJOWNIKÓW

ODYSSEY ONE

TOM 6

PRZEBUDZENIE ODYSEUSZA

ODYSSEY ONE

TOM 7

W CIENIU ZAGŁADY

Tytuł oryginału: *King's Fall*

Copyright © 2022 Evan Currie
All rights reserved.

Projekt okładki: Tomasz Maroński

Redakcja: Karolina Kaiser

Korekta: Agnieszka Pawlikowska

Skład i łamanie: Karolina Kaiser

Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:

Drageus Publishing House Sp. z o.o.

ul. Kopernika 5/L6

00-367 Warszawa

e-mail: drageus@drageus.com

www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-67053-83-9

ISBN MOBI: 978-83-67053-84-6

Rozdział 1

Budynek Organizacji Narodów Sol Nowy Jork Konfederacja Północnoamerykańska Ziemia

– Cisza! Proszę o ciszę! – przewodniczący rady ryknął z całej siły, próbując przekrzyczeć zgiełk panujący w sali.

Zgromadzili się w niej przedstawiciele niemal wszystkich narodów – większość z nich wyraźnie niezadowolona z tego, co właśnie usłyszeli.

– Panie przewodniczący, Konfederacja wykazała całkowite lekceważenie dla bezpieczeństwa tej planety! Wszyscy widzieliśmy to na własne oczy, kiedy te... potwory wylądowały tutaj, żądne mordy! Ile jeszcze istnień zapłaci cenę za tę bezrozumną pychę!?

W odpowiedzi podniósł się chór głosów. Część z oburzeniem odpierała stawiane im zarzuty, jednak większość próbowała zakrzyczeć tych pierwszych. Wszyscy pozostawali natomiast całkowicie obojętni na starania przewodniczącego, który bezskutecznie próbował zaprowadzić porządek wśród rosnącego chaosu.

Komodor Eric Stanton Weston przyglądał się temu w milczeniu, stojąc w wyćwiczonej pozie spoczynkowej i próbując wychwycić cokolwiek, co wymagałyby jego uwagi. Starał się nie zwracać uwagi na panujące wokół emocje, chociaż osobiście rozumiał takie reakcje. Te głosy nie były dla niego niczym nowym – sam na okrągło roztrząsał w myślach te same sprawy.

Możliwe nawet, że krzykacze mieli rację, przynajmniej do pewnego stopnia.

Weston nadal uważał, że podjęte przez niego decyzje były prawidłowe względem tego, co wówczas wiedział. Ale teraz, patrząc z perspektywy późniejszych wydarzeń? Na pewno znalazłoby się kilka sytuacji, które można było rozegrać... lepiej... jeśli chodzi o bezpieczeństwo planety.

Attaché dyplomatyczna przy ONS z ramienia Konfederacji stała w milczeniu u jego boku, okazjonalnie przytrzymując go dłonią, gdy obawiała się, że Eric może stracić cierpliwość i wygarnąć od serca przedstawicielom.

Niepotrzebnie. Nie była to dla niego pierwszozna, a choć sprawy zataczały teraz nieco szersze kręgi, Eric nie zamierzał wydzierać się na dyplomatów, choćby i najgłupszych.

„Jeśli potrafię patrzeć w oczy masowemu mordercom i oprzeć się pokusie, by zmieść ich całe dowództwo oraz sporą część zajętych planet, poradzę sobie i z tą zgrają baranów”.

I za takich ich właśnie uważał, bo choć w różnym stopniu mógł zgadzać się z ich opiniami, był jeden kluczowy aspekt, który wszyscy kompletnie ignorowali.

Decyzje zostały już dawno podjęte, działania także. Nie można było się z nich wycofać, a szukanie winnych i krytyka nie miały obecnie żadnego praktycznego znaczenia.

Imperium było faktem, podobnie jak to, że w powietrzu wisiała wojna.

Trzeba było sobie z tym poradzić.

Coś jeszcze?

„Cóż, jak przeżyję, to mogą mnie wywalić na zbity pysk”.

Jeśli jednak nie uda się rozwiązać obecnych problemów, zwyczajnie nie będzie już o co się kłócić. Weston miał tylko nadzieję, że udało mu się to wpoić swoim przełożonym w armii Konfederacji Północnoamerykańskiej. Przynajmniej admirał Gracen zdawała się rozumieć powagę sytuacji, ale ona już od dawna jawiła się mu jako jedna z rozsądniejszych wśród dowodzących. Dla niej liczyła się służba, a nie zajmowany stołek.

Wielu nie odróżniało już jednego od drugiego.

Napięcie musiało jednak przebijać się przez maskę spokoju, jaką starał się prezentować obecnym na sali, bo stojąca u jego boku przedstawicielka posłała mu kolejne zatroskane spojrzenie.

– Spokojnie, komodorze – powiedziała półgłosem. – To nic takiego, po prostu przepychają się o miejsce przy stole negocjacyjnym.

– Wiem – mruknął przez zaciśnięte zęby. – Ale my zwyczajnie nie mamy na to czasu.

Sandrine Demault niemal niezauważalnie pokręciła głową.

– Mamy czas na to, co niezbędne. To jedyna droga, by pchnąć sprawę naprzód. Próbując działać za ich plecami, stracimy znacznie więcej i czasu, i zasobów, niż moglibyśmy na tym zyskać.

Eric miał tego świadomość, ale stanowiło to niewielką pociechę, gdy musiał ścierpieć tę kolosalną stratę czasu – bezcennych chwil, które Imperium z pewnością wykorzystywało do ostatniej sekundy.

– Wzajemnie przepychanki, kiedy nad naszymi głowami wisi śmiertelne zagrożenie, to po prostu takie... – wymamrotał, nie umiejąc znaleźć odpowiednio dosadnego słowa, by zamknąć zdanie.

– Takie ludzkie – dokończyła Sandrine bez śladu wahania.

Eric skrzywił się, lecz przytaknął z ociąganiem. Trudno było się z nią nie zgodzić. Ludzie często radzili sobie ze stresem w niezwykle... bezproduktywny sposób.

W jego doświadczeniu kłótnie i pyskówki były w zasadzie jednymi z lepszych opcji w arsenale złych wyborów. Zawsze mogło dojść do otwartej agresji – strony mogłyby wypowiedzieć sobie wojnę, by uzyskać albo jakąkolwiek kontrolę nad sytuacją, albo zasoby, które ich zdaniem pozwoliłyby ostatecznie poradzić sobie z obecnym zagrożeniem.

Takie odruchy często wygrywały ze zdrowym rozsądkiem.

– Długo jeszcze? – spytał z niską intonacją, by utrudnić wychwycenie jego słów nawet przez mikrofony kierunkowe, od których zapewne roіło się na sali.

– Dla mnie? Zakładam, że całe tygodnie. – Dyplomatka uśmiechnęła się sardonicznie. – Ale pan od jutra powinien mieć już spokój.

– Dzięki Bogu! – Eric westchnął z ulgą.

Kiedy był trochę młodszy, nie marzył o niczym, jak o powrocie w przestworza. Zapomnieć o wojsku, o ludziach, którzy wydają mu żołd, po prostu... lecieć.

Nadal miał w sobie to uczucie, ale na przestrzeni lat przeobraziło się w tęsknotę za międzygwiazdowym mrokiem.

Tam, poza granicami ludzkiej cywilizacji, gdzie przynajmniej wszechświat uczciwie okazywał swą bezlitosną nienawiść wobec niego i jego gatunku. To prawda – wszystko próbowało ich zabić, ale kosmos nie pozostawiał chociaż fałszywych złudzeń. Nie to, co tutaj, na tej sali, gdzie połowa wydzierających się na niego delegatów powitała go dzień wcześniej uściskiem dłoni i uśmiechem, niczym starego przyjaciela.

Większość swojego życia Eric spędził w Korpusie Marines i w tym czasie napotkał wrogów, których z radością udusiłby gołymi rękoma – i z wzajemnością... a mimo to miał do nich więcej szacunku niż do wielu otaczających go tu ludzi.

Prawdziwie bolesna była jednak świadomość, że cokolwiek by o nich myślał, ci głupcy naprawdę stanowili największą nadzieję ludzkości.

„Niebiosa, miejcie nas w opiece”.

Stacja kosmiczna Liberty Orbita Ziemi

Admirał Gracen stała na platformie widokowej przy jednym z korytarzy prowadzących do jej gabinetu. Ziemia wyglądała stąd tak spokojnie... Gdyby bardzo się postarała, niemal mogłaby sobie wmówić, że tak jest naprawdę.

Niestety. Zbyt wiele wiedziała o tym, co działo się na powierzchni i tam, poza granicami Układu Słonecznego.

„Stojąc naprzeciw żądnych krwi wrogów, musimy patrzeć, jak banda idiotów wyklóca się, czy lepiej walczyć, czy spróbować ich udobruchać. Jakby historia niczego nas nie nauczyła”.

Raporty Westona na temat działań Imperium idealnie zazębiały się z wnioskami z prowadzonych przez nią przesłuchań. Nie umiała do końca zrozumieć, jak multiplanetarne imperium mogło przykładać taką wagę do czegoś, co w zasadzie sprowadzało się do czystego szowinizmu, ale fakty mówiły same za siebie.

Gdyby bardzo się uprzeć, ksenofobia Imperium miała więcej sensu niż kretyńskie napięcia na tle rasowym, które wciąż panoszyły się na Ziemi. Ostatecznie kolor skóry mówił nam o kimś tyle samo,

co kolor jego włosów. Fobia Imperium obejmowała z kolei znacznie szerszy zakres genomu, co stanowiło może jakiś... postęp?

Naturalnie efekt psuł nieco fakt, że te partie genomu stanowiły w większości obumarłe linie genetyczne, które nie miały większego wpływu – jeśli w ogóle jakikolwiek – na to, co czyniło kogoś... człowiekiem.

„Fanatyzm to fanatyzm” – Gracen pomyślała z rezygnacją. „Nie ma sensu szukać w tym logiki, bo nigdy jej tam nie było. Wszelka ideologiczna nadbudowa służy jedynie uzasadnieniu z góry założonych konkluzji. Prawda ich nie obchodzi”.

Koniec końców, nie miało to znaczenia. Nawet jeśli Imperialni mieliby jakieś dowody na poparcie tych idiotyzmów, nie zmieniało to niczego w jej obowiązkach.

Gracen marzyła tylko, by wszyscy zeszli jej z drogi i dali pracować w spokoju.

Na całe szczęście zasoby będące w jej dyspozycji nie były całkowicie zależne od dobrej woli krajów, które nie zawsze pozostawały w zgodzie z Konfederacją.

Pracowała bezustannie od czasu pierwszego wtargnięcia Imperium w przestrzeń Układu Słonecznego, rozwijając sieć Kardaszewa. Badania nad nielicznymi pojmanymi okazami Drasinów były bezcenne z uwagi na ich zdolność replikacji, która była iście fascynująca – o ile aktualnie nie napędzała inwazji monstrów, chcących pożreć twoją planetę.

Wszystko miało jednak swoje granice. Czas, surowce i wola polityczna stanowiły wielką trójcę zasobów, o które walczyła na każdym kroku.

Ale najgorsze było to, że Amanda wcale nie była pewna, czy zdoła cokolwiek zmienić.

Nawet jeśli cały świat nagle zjednoczyłby się w tym wspólnym dziele – jakkolwiek absurdalnie to brzmiało – nie wiedziała, czy to wystarczy.

Imperium było zbyt rozległe, miało pod sobą zbyt wiele światów i zdecydowanie zbyt wiele zasobów.

Na razie Ziemia zdołała odstraszyć Goliata, groźnie wymachując procą... ale Gracen była przekonana, że napastnik szacuje ryzyko od nowa z każdym raportem floty. Wiedziała, że Imperium w końcu

pozytywnie oceni swoje szanse, a wtedy spakuje manatki i ruszy na Ziemię z całym impetem.

A wówczas...

Gracen nie wiedziała, co z nimi będzie. Zwyczajnie nie miała pojęcia.

Budynek Organizacji Narodów Sol, Nowy Jork

Silma Venn, przedstawiciel rasy Priminae, przyglądał się dyskusjom z ledwie akademickim zainteresowaniem. Jako przybysz spoza planety, Silma był pozbawiony większych wpływów oraz prawa głosu, co wydatnie pomagało mu rozładować przynajmniej część napięcia.

Nie całe, rzecz jasna, bowiem nie było już żadnych wątpliwości, że Priminae związali swój los z mieszkańcami tej planety. Przyglądanie się, jak ogarnia ich chaos, budziło w nim głębokie wątpliwości co do decyzji jego własnych przełożonych, które doprowadziły do tego punktu.

Przywództwo Priminae nigdy nie dopuściłoby do tak otwartej konfrontacji w swoich szeregach. Nawet najostrzejsze spory rozstrzygano z zachowaniem znacznie lepszych obyczajów, by uniknąć zaogniania sytuacji na niższych szczeblach. Liderzy mogli się nie zgadzać, ale to ich zwolennicy zwykle powodowali prawdziwe szkody, często wbrew woli przywódców.

Było właściwie pewne, że publiczne kłótnie na oczach wszystkich – jak ta, którą właśnie obserwował – staną się zarzewiem szerszego konfliktu.

„Rael to naprawdę dziwny człowiek, skoro z łatwością przychodzi mu obcowanie z takimi, jak ci tutaj”.

Eric przysłuchiwał się, jak gniewne głosy stopniowo cichły. Miało to niestety więcej wspólnego ze zmęczeniem przedstawicieli niż rzeczywistymi postęпами w rozmowach.

Zdawało mu się, że mimo jego wyjaśnień dyplomaci nie zdają sobie sprawy z powagi zagrożenia – że jest to potencjalne „być albo nie być”. Wielu z nich pewnie nie widziało nawet Drasinów, kryjąc się w schronach i bunkrach podczas ataku. Ale przynajmniej widzieli pozostałe po nich zniszczenia.

Z Imperium natomiast rozprawiono się w całości za orbitą Księżyca.

Dla większości obecnych, którzy zostali na Ziemi, równie dobrze mogło się to w ogóle nie wydarzyć. I to dosłownie! Eric zauważył przybierający na sile nurt teorii spiskowych, w myśl których atak został sfingowany przez Konfederację, by mogła pozyskać większe fundusze i skonsolidować władzę.

„Aha, bo Blok na pewno pozwoliłby wcisnąć światu takie gówno”.

Oczywiście ten tok rozumowania spłodził kolejny wariant paranoidalnej teorii dziejów, w myśl której cała rzecz stanowi wspólny spisek Konfederacji i Bloku.

Mimo naprawdę grubej skóry to szaleństwo dotknęło go już do głębi, szczególnie jako weterana wielu najokrutniejszych bitew wojny z Blokiem. A jednak musiał przyznać, że nie było to niczym nowym. Podobne idiotyzmy słyszał już w latach młodości. Globalny system komunikacji łączył każdego z każdym, niezależnie od intencji.

Eric marzył tylko o tym, by światowi przywódcy przestali wykorzystywać siłę tych idiotów. Wystarczyło zostawić ich w spokoju, by żyli sobie sami ze swoją ciemnotą.

„Przestańcie wyciągać ich na afisz”.

Ale władza to władza – nieważne, czy napędzał ją geniusz, czy głupota – a polityk władzy raz zdobytej nie odda za nic w świecie.

Rozdział 2

Jednostka dowodzenia Archaniołów Głęboka przestrzeń kosmiczna

Steph przeskoczył nad progiem wjazdu i znalazł się na pokładzie dowodzenia szturmowej kanonierki. Krótkim skinieniem powitał Tyke'a, który siedział w przedziale pilota. W przeciwieństwie do większości okrętów, na których Steph dotąd służył, kanonierkę klasy Archanioł cechowała dość nietypowa „relacja” z pilotem.

W większości jednostek pilot miał jedno zadanie – nawigować okrętem. Myśliwiec Archanioł wymagał oczywiście większego zaangażowania. Lot, prowadzenie ognia, pociski raketowe, radar... tutaj roboty nie brakowało.

Na kanonierkach tej serii podział zadań był nieco bardziej zrównoważony, ale wciąż jednak główny ciężar pilotowania i obsługi broni spoczywał na człowieku przy sterach. Reszta załogi była w zasadzie po to, by odciążać pilota, ale nikt nie obejmował w całości jakiejś roli.

Stres może nie był tak silny jak w jednoosobowym myśliwcu, ale z drugiej strony nikt nie oczekiwał, że ktoś będzie operował z małego myśliwca przez całe miesiące z dala od bazy.

– Złap coś do żarcia i leć przymknąć oczy – rozkazał, gdy sylwetka Tyke'a wyłoniła się zza holograficznego panelu pilota.

– Dzięki, szefie.

Tyke był ewidentnie umęczony, ale Steph powstrzymał się od komentarza. Wszyscy byli wykończeni. Nawet marines, którzy przez większość czasu nie mieli zbyt wiele do roboty, nie wyglądali zbyt dobrze po tylu długich godzinach gapienia się w pokład przyciasnego statku.

Od czasu ostatniego kontaktu z Konfederacją, który sprowadzał się właściwie do zdania raportu z nowej misji, jaką eskadra otrzymała od nieświadomych niczego zlecniodawców z samego Imperium,

zajmowali się pozorowaniem lotów zwiadowczych w przestrzeni Priminae. Dostarczali przy tym dokładnych, acz w większości bezużytecznych danych wywiadowczych.

Budowanie własnej renomy było ważnym elementem zadania, ale sprowadzało się do wielu, wielu godzin harówki, w kółko i bez końca. Chociaż ich prawdziwa tożsamość pozostawała tajemnicą dla Priminae oraz większości ziemskich jednostek, unikanie dużych krążowników stanowiących trzon floty obydwu tych grup stanowiło dla Archaniołów dziecinną igraszkę.

Jedynym prawdziwym zagrożeniem płynęło ze strony mniejszych i nieporównywalnie trudniejszych do wykrycia niszczycieli klasy Włóczęga, które były w stanie praktycznie zamienić się w czarną dziurę na skanerach i ujawnić dopiero w chwili, gdy prawie odbijasz się od ich kadłuba.

Musieliby mieć jednak niewiarygodnego pecha, by wpakować się w taką sytuację.

Tyke poczłapał półprzytomnie ku wyjściu. Steph miał nadzieję, że starczy mu sił, by trafić do swojej pryczy – sam natomiast dopiął kombinezon i wszedł na stanowisko, aktywując wspomagane holograficznie stery.

W przeciwieństwie do wcześniejszych wersji systemu sterowania neuronowego ich nowoczesny wariant obsługiwał przełączanie obsługi bez resetu oraz wysokoprzepustowe połączenia bezprzewodowe krótkiego zasięgu. Oczywiście Steph musiał pogodzić się z koniecznością wszczepienia igieł wzdłuż rdzenia kręgowego, co nie napawało go zbytnią radością, ale miało to mnóstwo zalet względem starego systemu pod tytułem „wbijamy igły od nowa przy każdym użyciu”.

Gdy tylko znalazł się na stanowisku, otoczył go komputerowo rozszerzony interfejs HUD. Część interfejsu była wyświetlana wokół niego w technice dotykowej holoprojeksji wzorowanej częściowo na urządzeniach Priminae, natomiast informacje o najwyższym priorytecie były przekazywane bezpośrednio na jego oczy poprzez miniaturowe projektory w kombinezonie bądź wprost do mózgu przez złącze neuronowe NICS.

Dwukierunkowy charakter łączności w nowym systemie wymagał przyzwyczajenia, ale dla wyszkolonych pilotów stawał się jak druga

natura.

Steph jednym gestem dezaktywował wymuszoną grawitację w przedziale, co wprowadziło go w stan nieważkości kontrolowany przez kilka zewnętrznych stabilizatorów, które miały zapobiec wyrzuceniu go ze stanowiska w trakcie manewrów. Tak czystych wrażeń z lotu nie doświadczył nigdzie indziej, szczególnie gdy czuł całym sobą podmuchy kosmicznego wiatru i pyłu, przekazywane z czujników na kadłubie wprost do jego układu nerwowego.

– Tu dowódca Archaniołów – wywołał, kończąc integrację z siecią.

Jeden po drugim meldowali się kolejni członkowie eskadry gotowi na odbiór rozkazów.

– Niebawem dotrzemy na miejsce spotkania z naszymi imperialnymi przyjaciółmi – podjął. – Wszelka komunikacja ma być cenzurowana pod tym kątem. Do odwołania wprowadzam stan gotowości, ale nie będziemy wykraczać ponad ten poziom.

Steph miał całkowitą świadomość, że kilku jego kapitanów z radością ogłosiłoby pełny alarm bojowy na każde wspomnienie kontaktu z imperialną jednostką – i właściwie się z nimi zgadzał, tyle że profil ich obecnej misji zamieniłby to w rutynę, która bardziej zaszkodziłaby dyscyplinie, niż ją wzmocniła.

Jako dowódca, chciał mieć całkowitą pewność, że jeśli będzie zmuszony wprowadzić alarm bojowy, jego ludzie potraktują to poważnie. Był pewien, że przeciąganie ich przez tę procedurę za każdym razem, kiedy Imperium chce sobie pogadać, zemści się na nim w najgorszym możliwym momencie.

Steph ze swojej strony zabezpieczył jednostkę dowodzenia Archaniołów, upewniając się, że ich własny transponder jest wyłączony i zastępuje go wariant opracowany specjalnie na te okazje, nadający identyfikator „Zemsta Gai” w szyfrze Imperium. Zaraz potem przejął bezpośrednią kontrolę nad kanonierką i pochylił się nad sterami.

Zareagowała płynnie na jego ruch, tnąc przestrzeń na czele formacji.

Byli dostatecznie daleko od terytorium Ziemi i Priminae, by nie musieć obawiać się zasadzki niedoinformowanych sojuszników, a według jego wiedzy Imperium także nie interesowało się systemem, który wybrali na swoją kwaterę. Mieli tu bezpieczną

przystań, gdzie mogli zastanowić się nad kolejnymi posunięciami i choć trochę odpocząć. Stephowi brakowało już tylko spacerów na „stalowej plaży”, by w pełni zaspokoić nostalgię za dawnymi czasami.

O dziwo nikt jakoś nie uważał spacerów kosmicznych za dobry sposób na relaks.

– Do wszystkich Archaniołów, tu dowódca. Przygotować się na zakrzywienie przestrzeni.

Steph aktywował konwencjonalny napęd i – jak zwykle w tej sytuacji – jego myśli powędrowały ku wspomnieniom błyskawicznych skoków tranzycyjnych, których brak w tej misji przyjmował z mieszaniną tęsknoty i ulgi. Tysiąckrotna prędkość światła brzmiała imponująco, póki człowiek nie przypomniał sobie, że Galaktyka miała prawie sto tysięcy pieprzonych lat świetlnych średnicy.

„Może jak skończy się ta wojna, będziemy mogli wrócić do prawdziwej eksploracji. Z napędem tranzycyjnym mamy cały wszechświat na wyciągnięcie ręki. A Imperium, kurwa ich mać, będzie się z nami prztykać o ten marny skrawek przestrzeni”.

Imperialny świat Kraike

Jej Cesarska Mość, władczyni najpotężniejszej nacji w znanej Galaktyce, tkwiła na tronie mimo znużenia, przyjmując niezliczoną rzeszę wysoko odznaczonych głupców, którzy prześcigali się w wymyślaniu problemów i niecierpiących zwłoki próśb. Wszystkie były rzecz jasna całkowicie pozbawione sensu. Małostkowe scysje, ulgi podatkowe, przeróżne krótkowzroczne zagrywki i oczywiście niekończący się korowód miałkich ambicji.

Ojciec długo jednak przygotowywał ją do tego zadania, i choć czuła przy tym wielką odrazę, dobrze rozumiała, że rytuał ten stanowił jeden z najcenniejszych sposobów, by utrzymać kontrolę nad różnymi planetami i pomniejszych frakcjami wchodzącymi w skład Imperium.

Kłopoty najpierw objawiały się tutaj, ubrane w grzeczne słowa i subtelności, nim mogły się zemścić na jej poddanych daleko stąd.

Jej rolą jako cesarzowej było wychwycenie prawdziwych problemów w morzu bzdur, które wirowało wokół jej tronu.

Tym razem jednak jej myśli zaprzętało co innego.

Jej przyjaciółka, jedna z nielicznych osób, które mogła obdarzyć tym mianem, została zabita w walce z najnowszym zagrożeniem dla Imperium. Grupa zapewne obcych wrogów – ksenosów podszywających się pod ludzi – zdołała sprzymierzyć się z dawnymi zdrajcami Imperium. Gdy jej siły odkryły kryjówkę zdradzieckich głupców, Emilia zobaczyła w tym uśmiech fortuny.

Odkrycie uspiętego roju Drasinów idealnie zbiegło się w czasie z formującym się w jej głowie planem.

Przysiężni renegaci polegliby z rąk innego pradawnego przeciwnika, a Imperium dopełniłoby zemsty, sprowadzając najgroźniejszego wroga w historii do roli wiernego psa.

Wszystko byłoby jak należy.

Ale zjawiał się gatunek-anomalia. Ksenosi.

Nie przypominali niczego, co można było odnaleźć w imperialnych archiwach – i ta niewiedza okazała się nad wyraz kosztowna.

Stracili już dziesiątki, jeśli nie setki okrętów. Infrastruktura zniszczona w ramach „nauczki” dla komandora floty dowodzącego szturmem na ich macierzystą planetę kosztowała równowartość produktu brutto całych imperialnych światów.

A mimo to było jasne, że ksenosi nie będą w stanie przetrwać bezpośredniego starcia z Imperium, jeśli wydałaby rozkaz pełnej ofensywy.

Sondowanie przestrzeni przeciwnika, choć było kosztowne, dość jasno wskazało, że nie posiada on tak wielu okrętów, jak się początkowo wydawało. Istniało jeszcze wiele wątpliwości co do tego, jak dokładnie wróg był w stanie przemieszczać się po patrolowanych systemach z taką prędkością, ale w raportach ocalonych członków floty imperialnego wywiadu doszukano się wielu dowodów na to, że w potyczkach wciąż przewijało się ledwie kilka specyficznych jednostek.

Zyskali też wystarczający wgląd w protokół ksenosów, by złamać szyfrowanie podstawowych transmisji, a tym samym odkryć nazwę przewodniego okrętu.

„Odyseusz, Król Wojowników”.

Dość zuchwała nazwa, ale Emilia musiała przyznać, że całkiem jej odpowiadała. Zdawała sobie sprawę, że tkwi w niej jakieś nieczytelne dla niej kulturowe nawiązanie, ale nietrudno było odgadnąć inspirację – legendarny wojowniczy król, prawdziwy lub zmyślony. Dokładna geneza tej nazwy nie miała praktycznego znaczenia, ale może poświęci nieco czasu, by ją poznać przed ostatecznym rozstrzygnięciem.

Głupcy mieliby z tego nieco rozrywki, a Imperium zyska ciekawy przypis w tym rozdziale swojej historii.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

Eskadra opuściła pole zakrzywiające daleko poza docelowym systemem, wykonując długie podejście, by pozbyć się wysokoenergetycznych cząstek nagromadzonych podczas podróży w przestrzeni międzygwiazdnej. Bezpieczna utylizacja pyłu oraz źródeł promieniowania wciąganych przez pole nawet podczas krótkich podróży w nadświatłnej była nieodzowną procedurą bezpieczeństwa – w przeciwnym razie mogliby przypadkowo napromieniować jedną czy dwie planety.

Na szczęście napędy Priminae używane przez Konfederację były dość idiotoodporne i posiadały stosowne zabezpieczenia już w warstwie sprzętowej. Steph wiedział, że Włóczęgi, które korzystały głównie z technologii opartej na własnych badaniach Bloku, były pod tym względem dużo bardziej humorzaste i niebezpieczne.

Gdy przekroczyli granicę heliosfery macierzystej gwiazdy układu, jego uwagę przyciągnął brzęczący alarm. Wyłączył go po chwili, rozpoznając źródło sygnału.

– Do wszystkich Archaniołów, tu dowódca – zaintonował. – Imperialna grupa zadaniowa nawiązała z nami kontakt i przekazała namiary punktu zbornego. Dwójka, zostajesz ze mną. Cała reszta trzyma się z tyłu.

Oddział odpowiedział błyskawicznie, rozwiązując formację i pozostawiając „Zemstę” i Dwójkę (która jeszcze nie dorobiła się ksywki) na kursie prowadzącym w głąb systemu, ku oczekującym na nich okrętom Imperium.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan Mich obserwował punktualny przylot grupy najemników, nie po raz pierwszy zastanawiając się nad pochodzeniem ich nietypowych statków. Porównał je już z każdą dostępną mu bazą danych, bez skutku. Zwyczajnie nie wpisywały się w żaden z obecnie wdrażanych projektów, czy to z Imperium, Wolnych Gwiazd, czy nawet Priminae i Anomalii.

Co do tych ostatnich upewniał się kilkakrotnie – na wszelki wypadek. Mimo to nie dało się tu doszukać żadnych istotnych podobieństw. Oczywiście pewne rozwiązania były obecne w projektach obydwu nacji, ale większość cech wspólnych wskazywała na Imperium i Wolne Gwiazdy.

Koniec końców istniały pewne wyznaczniki, a tym samym skończona liczba pomysłów praktycznych w projektowaniu jednostek dla sylwetki humanoidalnej.

– Komandorze floty, „Zemsta” zwraca się o pozwolenie na dokowanie.

– Wpuścić ich – rzucił Jesan niedbale, wstając z fotela. – Przyjmę ich kapitana w sali konferencyjnej.

– Tak jest, komandorze floty, każę ich odeskortować.

Steph po raz kolejny znalazł się na korytarzach imperialnego okrętu, i to akurat tej samej jednostki. Co dziwne, jego wnętrze wydawało się bardziej znajome niż te zaprojektowane przez Priminae. Imperium chętnie korzystało z metali – stal i stopy tytanu

były mu bliższe niż materiały ceramiczne preferowane przez sojuszników Ziemi.

Na statkach Priminae zawsze miał wrażenie, że spaceruje po szkłe, choć ceramiczny pancerz był znacznie mocniejszy od stali, ale i zdecydowanie mniej plastyczny.

Okręty Imperium wydawały się z kolei znacznie chłodniejsze. Nie miał tylko pewności, ile z tego wynikało z rzeczywistych ustawień klimatycznych, a ile tkwiło w jego psychice. Steph przypuszczał, że działało tu jedno i drugie.

Imperialni marines, czy jak ich tam diabeł zwał, zatrzymali się przy dużych pancernych drzwiach, które otworzyły się jak na sygnał.

– Kapitanie Teach, zapraszam.

Słyszając swoje przybrane nazwisko, Steph uniósł wzrok i dostrzegł wewnątrz sylwetkę komandora floty stojącego po drugiej stronie stołu konferencyjnego. Poczul krótki, ale potężny impuls, by sięgnąć po nieobecny u boku pistolet... głównie po to, by przekonać się, czy odziany w czerń mężczyzna umie zatrzymywać kule dłonią.

Na szczęście Steph szybko stłumił w sobie odruch i przekroczył występ oddzielający salę od korytarza, by skinąć komandorowi na powitanie i zasiąść we wskazanym miejscu.

– Miło znów być na pokładzie – powiedział uprzejmie, nie spuszczać wzroku z twarzy człowieka, który najechał przestrzeń Sol i podjął naprawdę solidną próbę dokończenia dzieła zniszczenia zapoczątkowanego przez Drasinów.

– Miałem oko na wasze poczynania i raporty – podjął Jesan konwersacyjnym tonem. – Byliście dziwnie ostrożni, zważywszy na niektóre z waszych wyczynów w przestrzeni Wolnych Gwiazd.

Steph pozwolił sobie na ciche prychnięcie.

– Nie bez powodu w naszych kontraktach z nacjami Gwiazd zastrzeżliśmy sobie pewne klauzule dotyczące Imperium. To samo dotyczy rozgrywki na takim poziomie, do którego nas najmujecie. Wasi wrogowie znajdują się na rzeczy, to muszą przyznać.

– Istotnie – zgodził się Jesan. – Ale z tego już sami zdaliśmy sobie sprawę.

– Nie wątpię – odparł Steph. – Ruszają się szybko, dobrze maskują swoją liczebność i z każdą chwilą coraz trudniej ich odróżnić od

tych... Jak ich nazywacie? Przysiężnych?

Jesan pokiwał głową, ale z zainteresowaniem pochylił się ku rozmówcy.

– Co rozumie pan przez „maskowanie liczebności”?

Steph zawahał się. Wiedział, że Imperium musiało zdawać sobie już z tego sprawę, ale wzdragał się przed podsunięciem im złej wskazówki. Z jednej strony musiał dać im dość, by nadal cenili usługi eskadry, ale z drugiej nie tak wiele, by cokolwiek mogli z tą informacją faktycznie działać.

– Widujemy w kółko te same jednostki... a przynajmniej tak to wygląda – powiedział z rozważą. – Często całe lata świetlne od miejsc, gdzie należałoby się ich spodziewać...

Jesan przytaknął.

– Otóż to. I co pan o tym sądzi?

– Cóż, albo potrafią być dużo szybsi niż dowolny znany mi napęd – Steph zadbał, by w jego słowach zabrzmiała nuta drwiny – albo celowo maskują okręty tak, by wyglądały jak pojedyncze zgrupowanie.

Jesan oparł się w krzesło, złożył ręce i zmierzył pirackiego kapitana badawczym spojrzeniem.

Wśród wywiadu Imperium rosło przekonanie, że to pierwsze w istocie jest prawdą – że gatunek-anomalia dysponował jakąś znacznie szybszą metodą transportu nadświatelnego. Mimo tej wiedzy Mich rozumiał także, że ktoś dysponujący tymi samymi dowodami mógłby z łatwością dojść do tych samych wniosków co kapitan Teach.

Z całą pewnością wydawały się one bardziej prawdopodobne.

– I jakie są pańskie konkluzje? – spytał Jesan obojętnym tonem.

– Realnie rzecz biorąc? Imperium dałoby im radę. – Steph niemal wzdrygnął się na tę wizję, ale zdołał się skupić, dobierając słowa przestrogi. – Ale zwycięstwo będzie kosztowne. Nawet bardzo.

Jesan znów pokiwał głową, przyjmując jego ocenę bez zaskoczenia. Pokrywała się wyraźnie z jego własnymi przemyśleniami, choć teraz dochodził do wniosku, że cesarzowa szybko zbliża się do kresu swej cierpliwości. A gdy to nastąpi... Cóż, kwestie ceny zejdą na dalszy plan.

– No dobrze – podjął, zachowując te wnioski dla siebie, jako że kapitan zdecydowanie nie musiał o tym wiedzieć. – Porozmawiajmy o waszym następnym zadaniu w służbie Imperium.

Rozdział 3

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Odyseusz”

Miriam Heath dyskretnie nadzorowała nocną zmianę. Na pokładzie pozostała szkieletowa załoga. Większość ekipy wykorzystywała przepustki lub odbierała nowe przydziały z dowództwa. Po incydencie z Imperium w systemie górniczym Priminae grupę zadaniową wezwano z powrotem na Ziemię. Uszkodzenia statków okazały się na tyle poważne, że dłuższy pobyt w dokach był koniecznością.

Kuźnia Priminae oraz jej terrański odpowiednik nie miały akurat wolnych miejsc. Obie instalacje wypluwały nowe jednostki tak szybko, jak to tylko możliwe, ograniczone jedynie tempem szkolenia kolejnych załóg.

Heath również czekała, aż jedna trzecia jej załogi osiągnie choćby minimalny poziom gotowości po tym, jak świeżo opuściła mury akademii. „Odyseusz” nie był jedynym okrętem w grupie – a nawet całej flocie – który musiał mierzyć się z podobnymi problemami.

Pomimo tak dużego napływu świeżych i niedoświadczonych żeglarzy, marynarzy, pilotów, czy jak ich zwał, korytarze okrętów wciąż świeciły pustkami, czekając na obsadę.

Po części było to wynikiem potężnej presji ze strony zarówno Bloku, jak i Konfederacji wraz z ich sojusznikami, a także wzrostu zainteresowania ze strony prywatnych grup.

Prywatne korporacje, spółki i temu podobne wynajmowały doki, kiedy tylko były w stanie, a nawet budowały własne instalacje na Ziemi... dzięki czemu szybko przepychały wielkie jednostki eksploracyjne i kolonizacyjne przez fazę projektową prosto do produkcji.

Efekt ubocznym okazał się potężny popyt na kogokolwiek szkolonego do lotów kosmicznych. Od chwili powrotu do układu Sol również Heath otrzymała już osiem wiadomości od łowców głów, w których oferowano jej nawet dziesięciokrotność jej rocznych

zarobków. Wielu ludzi, w tym komodor Weston, doradzało jej, że jeśli tylko zdecyduje się na transfer do cywila, powinna żądać większej stawki.

Znacznie większej stawki.

Wiedziała o wielu osobach, które zdecydowały się przyjąć takie oferty. Kilkanaście statków zdołało wystartować w ciągu ostatniego roku.

Sama zaś nie widziała siebie w takiej roli.

Zagrożenie było zbyt wielkie, zbyt namacalne. Gdyby nie Imperium, pewnie zdecydowałyby się na zmianę. Kilka lat takich wypłat i mogłaby sobie pozwolić na własny statek. To byłoby spełnienie marzeń.

Niestety, nie sądziła, by było jej to pisane.

Imperium stanowiło egzystencjalne zagrożenie dla ludzkości, a to oznaczało, że linia obrony musi się utrzymać, jeśli ktokolwiek ma to przetrwać.

Już teraz ta linia robiła się zbyt cienka.

Stacja kosmiczna Liberty

Admirał Gracen przemierzała korytarze stacji, kierując się w stronę pokładu widokowego, wychodzącego na nowe średniej wielkości doki, które niedawno oddano do użytku. Choć nie były to instalacje wojskowe, połowa ich mocy przerobowych skupiała się na niszczycielach klasy Włóczęga, a druga połowa na jednostkach cywilnych opartych na tych samych kadłubach.

Aktualnie w stoczni znajdowały się dwa statki cywilne i jeden Włóczęga – wszystkie na ukończeniu. Dryfowały tuż poza dokami, każdy otoczony przez ubranych w skafandry kosmiczne specjalistów, mrowiących się wokół poszycia kadłuba.

Obie cywilne jednostki zostały już sprzedane wspólnikom z Ameryki Północnej i Australii, którzy przelicytowali konkurencję i mieli w planach statki kolonizatorskie.

Każdy z nich był zdolny pomieścić dwadzieścia tysięcy ludzi w systemach hibernacyjnych, których projekt pozyskano z archiwów Priminae. Pojedynczy kadłub niszczyciela był całkowicie

wystarczający, by pomieścić stabilną populację pozaziemską. Każdy z dwóch planowanych statków kolonizatorskich weźmie na pokład dwadzieścia tysięcy pionierów, kilkuset członków załogi oraz podstawowe materiały potrzebne rolniczej społeczności.

Cokolwiek bardziej zaawansowanego trzeba będzie albo wysłać oddzielnym statkiem, albo stworzyć na miejscu. Tak to wyglądało.

Jakaś część admirała odczuwała frustrację, że konstrukcje cywilne zabierają czas i miejsce na tak potrzebne projekty wojskowe, ale mimo daleko idących wysiłków, jakie i ona, i inni podjęli w tej sprawie, rządy na Ziemi były zbyt podzielone – nawet wewnątrz – by wprowadzić adekwatny stan wojenny.

Mimo to wojsko wciąż dysponowało największym budżetem oraz monopolem na większość kadłubów wewnątrz i na zewnątrz Układu Słonecznego, więc tak naprawdę problem wcale nie był krytyczny. Nie warto było o to kruszyć kopii.

– Ma’am.

Gracen spojrzała w stronę rozmówcy i skinęła głową na powitanie nadchodzącemu właśnie głównemu nadzorcy stoczni, Patrickowi Shannonowi.

– Dzień dobry, Patrick.

– Faktycznie całkiem dobry – odparł lekko. – Te doki będą dostępne pod kolejne projekty przed końcem tygodnia. Dwa Włóczęgi i prywatny stateczek zwiadowczy są następne w kolejce.

Gracen skinęła uprzejmie, nie pozwalając sobie na grymas niezadowolenia na wspomnienie trzeciej jednostki. Shannon bardzo dobrze znał opinię admirała w tym temacie, więc wzruszył ramionami w nieco przepraszającym geście.

– Przykro mi, Grand International Mining wygrało licytację – wyjaśnił.

– W porządku, rozumiem. I tak potrzebowalibyśmy więcej pieniędzy. Jednak o ile nie przejdziemy natychmiast na pełną, ogólnoswiatową ekonomię wojenną, mogę sobie co najwyżej pomarzyć – oparła Gracen ze znużeniem. – Robimy to, co się da, w bieżących warunkach.

Shannon przytaknął.

– Szkoda, że wasze bajeranckie systemy replikacyjne nic tu nie działają.

Gracen skinęła ponownie, dbając o neutralny wyraz twarzy.

– Niestety, sprzęt ma znaczące ograniczenia.

Nie kłamała. Oczywiście technologia replikacji miała swoje granice, ale były one pilnie strzeżoną tajemnicą. Sieć Kardaszewa – główna linia obrony Ziemi – była już powszechnie znana. Nawet amatorscy astronomowie dysponowali szczegółowymi zdjęciami wbudowanego w sieć uzbrojenia i efektów jego działania, gdy zgrupowanie Imperium zapędziło się zbyt głęboko w studnię grawitacyjną Sol.

Niewiele osób znało natomiast prawdziwe źródło tej technologii. Były ku temu istotne powody.

W sekretnym laboratorium, którego lokalizacji nie znała nawet Gracen – wiedziała jedynie, że nie znajduje się ono na Ziemi – w tym laboratorium trwało stopniowe rozmontowanie i dogłębne badanie szczątków przechwyconego aktywnego Drasina. Z oczywistych względów sieć Kardaszewa nie była nawet w części tak efektywna jak Drasinowie, ale i tak znacznie bardziej efektywna, niż większość sądziła.

– W każdym razie – podjęła Gracen – przyszedłam tu zobaczyć Kuźnię w Dolinie.

– Tak ją nazwano? – zdziwił się Shannon. – Nie poinformowano mnie.

– Lista jest krótka. – Admirał wzruszyła ramionami. – Prawie na pewno tak zostanie ochrzczona, ale nie ma jeszcze oficjalnego potwierdzenia. Przypuszczam, że polityka może tu jeszcze namieszać.

– Oby nie, podoba mi się ta nazwa.

Gracen pokiwała głową.

– Mnie również.

Budynek Organizacji Narodów Sol, Nowy Jork

Eric westchnął ciężko, wychodząc z budynku. Czuł się bardziej znużony niż zmęczony całodziennym wysłuchiowaniem sprzeczek.

Jak dotąd nie udzielono mu głosu. Rozumiał powody. Pozostawał wyjątkowo kontrowersyjną postacią na światowej scenie

politycznej. Nawet w Konfederacji nie brakowało ludzi, którzy kwestionowali jego działania.

Po wojnie z Blokiem stał się ulubieńcem opinii publicznej Konfederacji. Archanioły jaśniały w blasku chwały jako najwięksi bohaterowie. Wojna wyniosła wielu żołnierzy do rangi legend. Blok ich nienawidził, ale Konfederacja wraz z sojusznikami kochali wszystkich, co do jednego... w opinii Westona aż za bardzo.

Od czasu misji „Odyseusza” blask gwiazdy Erica zbladł zarówno na scenie lokalnej, jak i międzynarodowej.

Weston nikogo nie winił. Postrzegano go jako zwiastuna burzy, tego, który sprowadził Drasinów. W oczach sporej części opinii publicznej jego działania bezpośrednio doprowadziły do inwazji Drasinów i następującego po niej ataku Imperium.

W jego ocenie Drasinowie zmierzali w stronę Ziemi i tak, ale większość ludzi tak tego nie widziała. Twierdzili, że powinien był zostawić Priminae swojemu losowi i umyć ręce od ich problemów.

„Może i mieli trochę racji”.

Owinął się szczelniej wojskowym płaszczem, by osłonić się od deszczu i przenikliwego wiatru. Ruszył chodnikiem, skręcając w lewo, w stronę hotelu.

Oczywiście jego krytycy nie mówili niczego, czym sam by się nie zadręczał od lat, od czasów swojej pierwszej misji. Wielokrotnie analizował dane, upewniając się, że podjął dobre decyzje. W tamtych chwilach, na podstawie informacji, jakimi wtedy dysponował, nie żałował niczego. Teraz gdy wpatrywał się w nowe, wciąż napływające dane, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego decyzje były zarówno niezbędne, jak i właściwe.

Nie tylko dla ocalenia Priminae, choć to również było właściwe działanie, ale dla przyszłości Ziemi... i ludzkości.

Drasinowie posuwali się nieubłaganie w kierunku Ziemi. Istniała możliwość, że zatrzymają się po zniszczeniu Priminae, ale jego szczątkowa wiedza o nich wskazywała na to, że to wysoce wątpliwe wnioski. Jeszcze bardziej wątpliwe były nadzieje, że Imperium nie ruszy dalej w kierunku Ziemi po eliminacji celów Priminae.

W najlepszym razie do starć doszłoby nieco później... ale ludzkość nie miałaby dostępu do bazy danych Priminae, której zawdzięczali

choćby „Odyseusza”.

Choć kochał swój pierwszy okręt, „Odyseja” nie była jednostką, która mogłaby mierzyć się z tym, co Imperium rzuciło do walki... Niestety, gry w chowanego z tak potężnym przeciwnikiem również nie dało się ciągnąć w nieskończoność. W końcu wróg tracił cierpliwość i po prostu ruszał z pełną siłą jak buldożer, nie oglądając się na straty.

I właśnie to nie dawało spokoju Westonowi i było powodem, dla którego tak bardzo chciał przemówić do zgromadzenia.

Eric zatrzymał się przy kontuarze, uśmiechając się odruchowo do recepcjonistki.

– Mam dla pana wiadomość – powiedziała, nim zdążył się odezwać, i wręczyła mu odręcznie napisaną notkę.

Weston sięgnął po karteczkę zaintrygowany, podziękował i ruszając korytarzem, zaczął czytać. Treść liściku kazała mu się zatrzymać. Spojrzał w kierunku hotelowego baru. Zawahał się na chwilę, po czym z ociąganiem skierował kroki w tamtą stronę.

Przy stoliku wskazanym w notatce siedział mężczyzna, który podniósł spojrzenie na wchodzącego. Na szczęście nie pomachał mu na powitanie. Weston nieraz na własnej skórze przekonał się, że wciąż jest dostatecznie rozpoznawalny, by przyciągać niechcianą uwagę. Mężczyzna wskazał Ericowi miejsce przy stoliku.

– Komodorze.

– Obawiam się, że nie wiem, z kim mam przyjemność, panie...?

– Connors, Burt Connors. Być może pan o mnie słyszał...?

– Niestety nie, panie Connors – odparł Eric przeproszającym tonem. – Nie mam zbyt wiele czasu na rozeznanie się w ziemskim towarzystwie.

– To zrozumiałe, patrząc na charakter pańskich misji. – Burt wzruszył ramionami, najwyraźniej nie przejmując się zbyt niewiedzą rozmówcy. – Prowadzę kilka dość sporych przedsięwzięć biznesowych, a dodatkowo fundusz inwestycyjny.

Eric pokiwał głową, nieco zdezorientowany, ale niezbyt przejęty.

– Tak?

– Niedawno przejeżdżaliśmy trzy rodzimej produkcji kadłuby statków kolonizatorskich, które właśnie wykańczamy – kontynuował Burt. – Rozglądamy się za dowódcą misji.

– Chciałby pan rekomendacji? – zapytał Eric, nie kryjąc zdziwienia.

– Byłaby to jakaś nagroda pocieszenia, jeśli nie może być inaczej, ale liczyłem raczej, że zatrudnię pana.

Eric nie powstrzymał śmiechu.

– Mam już pracę, panie Connors.

– Owszem, i radzi pan sobie w niej doskonale – odparł Burt. – Ale cała masa wpływowych ludzi nie jest zbyt zadowolona z wieści, jakie pan przynosi, a jest to typ ludzi skłonnych strzelać do posłańca.

Eric zmarszczył brwi.

– Sądzi pan, że narobiłem sobie dostatecznie dużo wrogów, by stracić stanowisko?

– Sądzę, że to bardzo ciekawe, że awansowano pana do rangi komodora, a nie kontradmirała – powiedział Burt bez ogródek – co byłoby bardziej zgodne z tradycją...

– Amerykańską tradycją – poprawił go Weston. – Konfederacja przyswoiła wiele różnych tradycji wojskowych, ale tak czy siak, rzeczony zwyczaj dotyczył raczej czasów pokoju. Podczas wojny tradycyjnie przywraca się rangę komodora.

Burt uśmiechnął się niewyraźnie.

– Chyba nie powinienem był wdawać się w dyskusje o historii wojskowości z kimś takim jak pan. Mimo to całkiem sporo ludzi z pewnych kręgów uważa, że pana ranga była w najlepszym razie grzecznościowym komplementem, a w najgorszym: wymierzonym w twarz policzkiem.

– Ci ludzie nie zapytali o moją opinię na ten temat – odparł Eric. – Choć różnice zdań nie ułatwiają mi ostatnich czasów służby, nie szukam alternatywnego zatrudnienia.

Westchnął i przez krótką chwilę milczał.

– Wciąż mam zadanie do wykonania, panie Connors – oznajmił wreszcie twardo. – Obrona musi wytrzymać.

Connors pokiwał głową i wstał tuż przed Westonem.

– Nie sposób się z panem nie zgodzić, komodorze – przyznał, wyciągając dłoń. – Zamierzam upewnić się, że jeśli obrona nie

wytrzyma, ludzkość nie będzie uwiązana do jednego świata.

Eric uścisnął wyciągniętą dłoń.

– Tymczasem ja zrobię wszystko, by nie było to potrzebne.

– Cieszę się, że pana poznałem, sir. Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję do rozmowy. Proszę pamiętać – powiedział Burt z naciskiem – oferta pozostaje na stole. Zapewniam, że uposażenie jest bardzo hojne.

– Będę miał to na uwadze. Dziękuję, panie Connors.

Gdy tylko Eric dotarł do swojego pokoju, rzucił płaszcz na ławę i pogрузił się w rozmyślności o rozmowie z Burtem Connorem.

Choć nie od razu rozpoznał nazwisko, nie był aż tak oderwany od ziemskich spraw, by nie kojarzyć faktów na podstawie przekazanych w rozmowie informacji. Connors piastował stanowisko CEO w wielu firmach technologicznych i był jednym z najbogatszych ludzi na planecie – ale i jednym z tych, którzy nie afiszują się ze swoim bogactwem.

Nie był to człowiek, jakiego spodziewał się spotkać, a już na pewno nie w hotelowym barze, przedstawiającego ofertę pracy, ale dziwniejsze rzeczy przytrafiały się Westonowi w ciągu ostatnich paru lat.

Opadł na łóżko i włączył głosowo telewizję, przeskakując od razu na kanał informacyjny w poszukiwaniu czegokolwiek o zgromadzeniu narodów Sol. Rozmowa z Connorem dała mu jeszcze bardziej do myślenia w kwestii ogólnych nastrojów społecznych.

Eric był w pełni świadomy, że na poziomie decyzyjnym wojsko bez walki ulegnie politycznej konieczności. Wszystko, o co tak bardzo walczyli, może zostać unieważnione w mgnieniu oka na podstawie czegoś tak banalnego jak niepoehlebna narracja, która w niewłaściwym momencie rozpałi wyobraźnię społeczeństwa.

Nieważne, jak silną miało się armię – wojnę wygrywało się i przegrywało u siebie... zazwyczaj jeszcze przed pierwszym strzałem.

Przegranym siła armii przedłużała jedynie cierpienia.

Wygrana zaś nie była przypieczętowana, póki jedna ze stron się nie poddała... lub nie została wybita do nogi.

W głębi duszy Weston modlił się, by ludzie na Ziemi nie przekroczyli granicy, za którą nie popieraliby już przedłużającej się wojny... bo w jego opinii Imperium nie uznawało białych flag czy ograniczeń prawa wojennego albo unikania zbrodni wojennych.

Złożenie broni w obliczu egzystencjalnego zagrożenia było...

„Głupie”.

Rozdział 4

Imperialny świat Kraike

Emilia Starsbane widziała w swoim życiu wiele, choć nie trwało ono jeszcze zbyt długo. Widziała wojny, które zaczynały się i kończyły, lordów i damy, którzy wynosili się na piedestały i upadali, dobrych ludzi, którzy umierali, i złych, którym się powodziło. Większość tych spraw stała się dla niej normą.

Dzięki swojej pozycji mogła obserwować to wszystko i jeszcze więcej z tak bliska, jak to tylko było możliwe bez bezpośredniego zaangażowania... a czasami najbliżej, jak to w ogóle możliwe.

To jednak było dla niej nowe doświadczenie.

Gatunek-anomalia został zweryfikowany jako człekokształtni ksenosi, największe zagrożenie, na jakie kiedykolwiek natknęło się Imperium. Wiedziała o takich sprawach tylko dzięki swojemu ojcu, który opowiadał jej w dzieciństwie historie o wielkich dziełach jej przodków, stających oko w oko z tak poważnymi niebezpieczeństwami.

Ostatnie takie wydarzenia rozegrały się w tak zamierzchłej przeszłości, że wszelkie zapisy miały raczej ograniczoną wartość. Skupiały się głównie na działaniach wojennych podjętych w celu eliminacji ksenosów, praktycznie pomijając informacje o samym gatunku.

Brak kluczowych danych, które pomogłyby Emilii podjąć właściwe decyzje, był wyjątkowo drażniący, ale często tak się sprawy miały.

– W rzeczy samej.

Nie wzdrygnęła się nawet, od dawna przyzwyczajona do nawyków swojego ojca. Ograniczyła się do spojrzenia rzuconego przez ramię w stronę nadchodzącego rodzica.

– Ale dlaczego? – zapytała, obejmując gestem wszystko wokół. – Co stało się z raportami? Musiano je spisać. Imperium było już wtedy w pełni rozwinięte, czyż nie?

– Owszem, i nie mam wątpliwości, że takie raporty opracowano – odparł Imperator ze wzruszeniem ramion. – Niemniej nie jestem w stanie ci powiedzieć, co się z nimi potem stało.

Emilia westchnęła, choć spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Coś planujesz.

– Zgadza się – potwierdziła, zmęczona, ale i zadowolona z pracy.

– Będzie to... kosztowne.

To również wiedziała, ale nie dostrzegła żadnego innego rozsądnego rozwiązania. Ksenosi zaczęli integrować się z Przysiężnymi, a na to nie można było pozwolić.

– Niech tak będzie – skwitował jej ojciec, gdy Emilia przesłała rozkaz.

– Śmierć ksenosom.

Okręt flagowy floty kwartowej Imperium

Dama Misrem przeszła daleką drogę od czasów swojego przydziału do Trzeciej Floty, unikając niełaski, która stała się udziałem lorda Micha po fiasku w starciu z gatunkiem-anomalią. Teraz miała własne dowództwo i choć nie była to jedna z wielkich flot, nowe obowiązki w adekwatny sposób testowały jej umiejętności.

Gdy nadeszły rozkazy, Misrem aż przystanęła i przypatrywała się im w zdumieniu. Właściwie nie rozkazom, ale ich autoryzacji.

„Osobisty sygnet Jej Wysokości?”

To się nie zdarzało. Hierarchia imperialna działała w ten sposób, że rozkazy NIGDY nie przychodziły bezpośrednio z samej góry. Misrem nie wiedziała, że w ogóle istnieje taka możliwość.

Zaniepokojona, poświęciła chwilę, by uwierzytelnić rozkazy, zanim je otworzy. Faktycznie autoryzacja okazała się poprawna.

Przeczytała rozkazy w całości, po czym wróciła na początek i przeczytała je ponownie, powoli, zastanawiając się przy tym nad zmianą nastawienia Imperium.

„To oznacza wojnę, o ile się nie mylę, a nie sądzę, bym była jedynym komandorem floty, który otrzymał takie rozkazy”.

Było to jednocześnie szokujące... i nie.

Misrem lepiej niż większość zdawała sobie sprawę, czego tak naprawdę wymaga Jej Wysokość i jaki koszt poniesie Imperium.

„W najlepszym razie nasza flota będzie zdziesiątkowana” – pomyślała ponuro, rozsyłając rozkazy przez swój prywatny system.

„W najgorszym...”

Widziała już superbroń wroga w działaniu i nie chciała nawet myśleć o najgorszym scenariuszu.

Nie zmieniało to faktu, że rozkaz wyruszenia był jasny.

Sięgnęła do konsoli i otworzyła kanał na mostek.

– Tak, komandorze floty?

– Nowe zadania – powiedziała bez wstępów. – Przywołać personel, anulować wszystkie dotychczasowe zadania. Wkrótce pojawię się z rozkazami. Bądźcie gotowi.

– Tak jest, komandorze floty.

Komunikacja nadświatlna szybko niosła wieści przez całe Imperium, szczególnie poparta autorytetem cesarzowej. W ciągu kilku godzin wiele flot było już w ruchu, a inne uzupełniały zasoby i wzywały załogi, kończąc przygotowania do wylotu.

Rozkaz Jej Wysokości rozbrzmiewał już w całej flocie, podczas gdy Dom Lordów i inne poziomy cywilnego rządu dopiero zaczynały zauważać, że coś się w ogóle dzieje.

Ci, którzy sprawdzili, o co chodzi, myśleli, że to kiepski żart... dopóki nie sprawdzili autoryzacji lub nie zauważyli, że floty przydzielone do ochrony ich światów nagle zniknęły. Wzbierający gniew został jednak szybko ugaszony, gdy armie Jej Wysokości wystąpiły, by „utrzymać pokój”.

Coraz bardziej desperackie prośby o „wyjaśnienie” nowych rozkazów były całkowicie ignorowane.

Okręt flagowy

Trzeciej Floty Imperialnej

– Komandorze floty, priorytetowa wiadomość z osobistą pieczęcią Jej Wysokości!

Jesan podniósł ostre spojrzenie, zaskoczony tą ostatnią informacją. Spodziewał się rozkazów w najbliższej przyszłości, to oczywiste, ale nie bezpośrednio od Jej Wysokości.

„Wielce nietypowe”.

Jak dotąd coś takiego przytrafiło się tylko raz, gdy dowodził jedną z pomniejszych flot kwartowych w wyjątkowo problematycznym sektorze Imperium. Ówczesne rozkazy oraz ich wdrożenie przyniosły mu tytuł lorda.

Podszedł do konsoli i wpatrywał się w ciekawskich tak długo, aż wycofali się skwapliwie, zostawiając go przy pulpicie samego. Pewnie i tak będzie musiał poinformować załogę o rozkazach, ale bardzo możliwe, a nawet prawdopodobne, że przynajmniej niektóre ich aspekty będą tajne.

Jesan przeczytał je szybko, zmarszczył brwi i przeczytał ponownie, z uwagą.

„Mam nadzieję, że Jej Wysokość zdaje sobie sprawę, co wprawia w ruch” – pomyślał z ponurym przekonaniem.

Ci przeciwnicy nie dadzą się łatwo pokonać, szczególnie gdy zrozumieją, że poddanie nic im nie da. Byli wyszkoleni, utalentowani i wyposażeni w sprzęt, którego Imperium jeszcze nie rozpracowało.

Spojrzał w górę.

– Czy eskadra kapitana Teacha jest wciąż w zasięgu?

– Nie, komandorze floty.

Jesan pokiwał głową.

– Trudno. No cóż, przypuszczam, że sami szybko się zorientują, co się dzieje. Mamy rozkazy od Jej Wysokości, poinformować flotę.

– Tak, komandorze floty.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

– Milla!

Komandor porucznik Milla Chans przecisnęła się przez klaustrofobiczne korytarze, dotarła na pokład dowodzenia i rozejrzała się ciekawie.

– Tak?

Steph już na nią czekał, wpatrując się w coś, co chyba tylko on mógł widzieć dzięki rozszerzonemu interfejsowi dostępnemu pilotom.

– Wysyłam ci to na konsolę diagnostyczną, możesz mi powiedzieć, na co ja, do cholery, patrzę?

Milla zmarszczyła brwi, ale skinęła głową i podeszła do konsoli, która rozjaśniła się właśnie powielonym z rozszerzonego interfejsu obrazem.

– Kiedy to się pojawiło? – zapytała.

– Przed kilkoma minutami. Prawie to przegapiłem – przyznał Steph. – Co to jest?

– Łączność nadświatlna – odparła, potrząsając głową – ale na częstotliwościach, jakich dotąd nie notowaliśmy.

– Czyli z nieznanego źródła?

– Nie, to bez wątpienia komunikacja Imperium – wyjaśniła, wstukując serię komend. – To zabezpieczony, szyfrowany system przesyłu. Nie powinniśmy go byli nawet wykryć, to wąska wiązka.

Steph rozłączył rozszerzony interfejs, opadł łagodnie na pokład i szybko podszedł do Milli.

– Wąska wiązka? Tak daleko?

Kobieta przytaknęła.

– To jedyny powód, dla którego w ogóle ją wykryliśmy. Na taką odległość od Imperium musieli nieco rozszerzyć pasmo. Najpewniej celowali w cały system, w którym się teraz znajdujemy, więc znaleźliśmy się w zasięgu wiązki.

– Umiesz to rozgryźć? – zapytał Steph niespokojnie.

– Nie wiem.

– Spróbuj.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Jesse James”

– Kapitanie! Mamy coś dziwnego.

Kapitan Waters odbił się od ściany i przedryfował przez pokład dowodzenia niszczyciela klasy Włóczęga, łapiąc się uchwyty przy konsoli łączności.

– O co chodzi, Adrianie? – zapytał lekkim tonem, spoglądając na ekran.

– Nie jestem pewien, sir, ale coś się dzieje. Mamy odczyty wielu impulsów na imperialnych częstotliwościach, które normalnie nie są w użyciu. Obserwujemy natychmiastową reakcję floty na nadchodzące sygnały.

To wystarczyło, by przykuć uwagę Watersa.

– Jaką reakcję?

– Mobilizację, sir.

To jedno słowo sprawiło, że zimny pot spłynął mu po plecach. Waters odepchnął się od konsoli.

– Złamać szyfr – rozkazał. – Tymczasem wycofujemy się!

– Aye, skipper!

– Zabrać nas stąd dostatecznie daleko, żebyśmy nawiązali połączenie z Ziemią bez podsłuchiwaczy – kontynuował. – I niech Prometeusz jak najszybciej będzie na linii.

– Sir?

– Wykonać.

– Tak jest.

Waters przyglądał się, jak jego załoga zabrała się do pracy, po cichu żywiąc nadzieję, że intuicja go zawodzi. Podejrzewał, że niestety tym razem ma rację.

„Czy tak właśnie czuł się kapitan Weston, gdy po raz pierwszy pojeśliśmy, z czym mamy do czynienia?”

Obiekt Prometeusz

Wiceadmirał Benoit wciąż dopasowywał marynarkę, gdy wchodził do centrum kontroli starożytnego obiektu.

– Kto uruchomił alarm? – burknął, może i jeszcze nie zły, ale gotowy się zezłościć na cokolwiek innego niż faktyczna sytuacja alarmowa.

– Ja, sir.

– Komandor Daniels. – Benoit skinął głową. – Proszę wyjaśnić.

– Wielokrotne połączenia od naszych Włóczęgów, sir. Imperium jest w ruchu – odparł Daniels z naciskiem. – Nie mamy jeszcze potwierdzenia, ale tak naprawdę może być tylko jeden cel, który ruszyły z miejsca całą wrogą flotę.

Benoita zmroziło.

– Ziemia. Kurwa.

– Tak, sir.

– No cóż, cholernie dobrze się składa, że Włóczęgi czekają na właśnie taką sytuację – powiedział, krzywiąc się paskudnie. – Poinformowałeś dowództwo?

– Tak, sir. Zbierają wszystkie możliwe dane, ale żądają więcej.

– Nic dziwnego. Dobra, pokaż, co masz – mruknął Benoit. – Osobiście przepchnę to wyżej i upewnię się, że ktoś słucha.

– Tak jest.

– I, Daniels?

– Sir?

– Dobra robota.

Imperialny świat Kraike

– Wasza Wysokość, napływają kolejne połączenia od szlachty...

– Poinformuj ich, że jeśli nie zaprzestaną trwonić czasu ludu na błahe zadania, zorganizuję im ich własne zajęcie – odparła Emilia zimno.

Sekretarz skłonił głowę w strachu i wycofał się z komnaty.

Emilia wiedziała, że szlachta dobrze odczyta groźbę. Powierzono im utrzymanie pokoju w ich domenie. Jeśli nie będą w stanie wypełnić tego zadania, ich tytuły mogą zostać odebrane, a wtedy będą podlegać poborowi do wojska.

Z wielu względów wolałaby uniknąć takich rozwiązań – choćby dlatego, że ci idioci obniżyliby efektywność chyba każdej załogi. Poza tym na ich terenach pojawiłyby się niepokoje, a ich praca na rzecz utrzymania porządku może okazać się kluczowa... przez jakiś czas.

„A wszystko to, by przypomnieć tym głupcom, Przysiężnym, o ich miejscu w Galaktyce... Niewiarygodne”.

W najczarniejszych koszmarach Emilia nie spodziewała się, że przyjdzie jej radzić sobie z ksenorasą... a już na pewno nie w ludzkiej skórze.

Takie historyjki mogłyby co najwyżej straszyć dzieci, a nie być brane na serio przez jakiegokolwiek dorosłego przy zdrowych zmysłach. A jednak oto stoi twarzą w twarz z tym samym zagrożeniem, jakie gnębiło jej przodków w zamierzchłej przeszłości.

„Ile tych... stworzeń bytuje jeszcze w Galaktyce? Imperium musi wiedzieć”.

Emilia usiadła przy swojej prywatnej konsoli i zaczęła spisywać plan, kierując środki z monarszych kont w stronę najdalszych gwiazd. Czekają ich wojna. Trzeba zbudować nowe stocznie i wysłać lśniące okręty w pustkę.

Odnajdą każdy ksenogatunek, co do jednego, choćby nie wiem jak daleko i jak głęboko się krył.

I spalą każdy z nich na popiół.

Rozdział 5

Hotel, Nowy Jork

Dzwonek zbudził go niespodziewanie i Eric leżał zdezorientowany przez dłuższą chwilę, nim rozpoznał dźwięk cywilnego telefonu. Chwycił szybko za słuchawkę, wytaczając się z łóżka i spoglądając za okno na nocne światła miasta.

– Weston – mruknął do słuchawki, starając się strząsnąć z siebie resztki snu.

– Komodorze, wzywają pana.

– Będę na dole za pięć minut.

– Samochód czeka.

Eric potwierdził i zakończył połączenie, nie pytając o szczegóły. Wątpił, by dzwoniący do niego oficer wiedział cokolwiek więcej, a on sam z pewnością wkrótce się dowie.

Nie żeby potrzebował jakichkolwiek dodatkowych informacji.

„Jest tylko jeden powód, by w bieżącej sytuacji dzwonić do mnie w środku nocy”.

No dobrze, jeden prawdopodobny powód. Nieprawdopodobne byłyby jeszcze gorsze, choć i tak nie spodziewał się niczego dobrego... Mimo wszystko miał nadzieję, że jego przeczucia go nie mylą. Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to jakiś mniej oczekiwany scenariusz w stylu nowej inwazji Drasinów, jakby kłopotów z Imperium było im mało...

Narzucił mundur, nie dbając o szczegóły. Będzie miał czas doprowadzić się do porządku i wygładzić kanty podczas jazdy. Jego torba podróżna była wciąż w większości spakowana, więc dorzucił na górę kilka zmiętych koszul i nieco kosmetyków, zapiął zamek i opuścił pokój.

Gdy dotarł do hotelowego lobby, czekał już na niego umundurowany oficer. Eric podał klucz recepcjoniście.

– Wymeldowuję się.

– Proszę pana? Proszę pana! Musimy jeszcze...

– Proszę przesłać rachunek marynarce – rzucił na odchodne.

Na zewnątrz wsiadł od razu na tylne siedzenie podstawionego samochodu.

Kierowca pospiesznie zamknął za Erikiem drzwi, obiegł samochód, wsiadł i natychmiast włączył się do ruchu, wymuszając pierwszeństwo na taksówce. Weston uśmiechnął się pod nosem, słysząc wściekłe trąbienie, i zajął się swoim mundurem.

– Jakież pomysły, o co chodzi? – zapytał kierowcę.

– Nie, sir. Polecono mi jedynie przywieźć pana jak najszybciej.

– Rozumiem. No dobrze, proszę mnie dowieźć na miejsce szybko i w jednym kawałku. Coś mi mówi, że to moje ostatnie wolne chwile.

– Tak jest, komodorze.

Kierowca zawiózł go prosto do stoczni wojennej, ale tam czekała Westona tylko przesiadka do małego prywatnego wahadłowca odrzutowego z oznaczeniami Konfederacji na burcie.

– Pewnie nie mogę sobie polatać? – zapytał, gdy wszedł do środka i pospiesznie wskazano mu miejsce dla VIP-ów.

– Nie tym razem, komodorze – odpowiedział pułkownik w mundurze Korpusu Marines, odchylając się od kokpitu. – To zaszczyt mieć pana na pokładzie, sir.

– Cała przyjemność po mojej stronie, żołnierzu. Dokąd zmierzamy?

– Dostałem rozkaz dostarczenia pana na „Odyseusza”, ale po drodze odwiedzi pan Pentagon, sir.

– Niezły objazd, pułkowniku. Ruszajmy.

– Tak jest, sir – odparł pilot, zwracając się do sterów, po czym od razu obrócił się ponownie do Erica. – Drzwi otwarte czy zamknięte, sir?

– Niech będą otwarte – zdecydował Weston. – Skoro nie mogę sam, będę pilotował cudzymi rękami.

– Jasna sprawa, sir. – Pułkownik roześmiał się, po czym skupił na kontrolkach, drzwi do kokpitu blokując w pozycji otwartej.

Zewnętrzne wrota się zamknęły, a Eric poczuł, jak budzi się reaktor, kierując pełną moc do generatorów masy przeciwnej.

Chwilę później silniki skierowały odrzut w dół i jednostka wzniosła się w powietrze.

Był to prywatny wahadłowiec odrzutowy, model, o którym Weston słyszał, ale którego nigdy nie widział. W porównaniu do wahadłowców zaparkowanych na pokładzie „Odyseusza” ten był jakieś pięć razy mniejszy, ale wyposażony jak prywatny odrzutowiec prezesa. Eric przypuszczał, że maszyna służyła do przewożenia VIP-ów po terytorium Konfederacji i na stację orbitalną.

Ledwo wyczuł przyspieszenie, gdy skręcili na południowy zachód.

– Lot dziewięć-pięć-sześć zgodnie z planem opuszcza Arlington – zameldował pilot cicho. – Przyjąłem. Proszę o potwierdzenie bezpiecznego korytarza w obronie powietrznej na czas przelotu. Przyjąłem. Wysyłam kody autoryzacyjne lotu... teraz.

Eric prychnął cicho pod nosem, słuchając, jak pilot upewnia się, że nikt ich nie zestrzeli podczas podejścia na Pentagon. Sam też by tak zrobił, a potem jeszcze po trzy razy sprawdzał wszystko, aż każdy operator systemów obronnych między nim a celem miałby go już kompletnie dość.

Były miejsca, gdzie nie przejmowano się korytarzami w obronie powietrznej, ale Pentagon z pewnością do nich nie należał.

Prywatny stateczek wyrobił jednak niezły czas, docierając na miejsce w dziesięć minut.

– Lądujemy, sir.

– Dziękuję, pułkowniku... czy my lądujemy na Pentagonie? – Eric zdziwił się niepomiernie, widząc, jak wahadłowiec stabilizuje pozycję nad ikonicznym budynkiem.

– Tak, sir, w tym roku ukończono przeróbkę – odparł pułkownik, podchodząc do lądowania. – Można tu posadzić nawet helikopter szturmowy, jeśli zajdzie potrzeba.

– No cóż, to mi zaoszczędzi nieco czasu – stwierdził Eric, podczas gdy pilot wylądował tak lekko, że nie dało się wyczuć nawet sugestii wstrząsu. Weston odpiął pasy i wstał. – Świetne lądowanie.

– W takim ptaszku to łatwe, sir, ale od pana przyjmę każdy komplement.

Eric się uśmiechnął.

– Jak się nazywasz?

– Gillum, sir. Mack Gillum.

Eric skinął głową.

– No cóż, Macku Gillum, wygląda na to, że widzimy się za kilka chwil.

– Będę czekał, sir.

Eric machnął mu na pożegnanie i zszedł po opadającej rampie, zeskakując z jej krawędzi, nim schody rozłożyły się do końca. Ruszył przez lądowisko w stronę oczekującej go trójki oficerów.

– Komodorze – przywitała go uprzejmie najwyższa rangą oficer. – Mamy mało czasu, czy możemy porozmawiać, idąc?

– Proszę mnie zabrać, gdzie trzeba, pani komandor porucznik – odparł Weston. – Wszystko, co zdoła mi pani powiedzieć wcześniej, sprawi, że będę wiedział więcej niż teraz, choć co nieco się domyślałam. Imperium?

– Są w ruchu, sir.

– Cholera.

Eric westchnął i cała czwórka ruszyła szybkim krokiem do Pentagonu, kierując się w stronę pierścienia E.

Stacja kosmiczna Liberty

Gracen stała na środku pomieszczenia taktycznego stacji, skąd mogła koordynować wszystkie działania obronne wewnątrz Układu Słonecznego. Cały obszar wyświetlał się przed jej oczami w formie hologramu i choć rozciągał się na szerokość pomieszczenia, i tak gubił szczegóły na skutek kompresji.

– Proszę pokazać gotowość sieci Kardaszewa – poleciła admirał.

– Tak jest, ma'am. KNet jest aktywna, dokładne raporty o gotowości właśnie spływają.

Powoli, wręcz nie do zniesienia mozolnie zapalały się na hologramie światełka reprezentujące poszczególne satelity Kardaszewa. Mrugały przez chwilę, po czym zapalały się na zielono powolną falą rozchodzącą się od Ziemi, reagując na sygnał nadany z planety i wysyłając odpowiedź.

Gracen wiedziała, że minie wiele godzin, nim większa część sieci zgłosi gotowość, ale tak to działało.

– Proszę obserwować proces – poleciła. – Chcę wiedzieć, jeśli pojawiłyby się jakiegokolwiek problemy wykraczające poza zakres systemów samonaprawczych.

– Tak jest, ma’am.

Gracen odwróciła się od systemów taktycznych i skupiła na ponownym sprawdzeniu dostępnych danych, choć nie było żadnych znaczących uzupełnień. Mimo to raz jeszcze przejrzała wszystko dokładnie i zrobiła kilka dodatkowych notatek.

– Muszę spotkać się z przedstawicielem Priminae, zorganizować naradę – poleciła. – I gdzie jest Weston?

– Tak jest, ma’am. Wyślę zaproszenie. Wezwano go do Pentagonu przed oddelegowaniem na „Odyseusza”, ma’am.

Gracen westchnęła.

„No jasne, musieli go najpierw tam ściągnąć. Polityczny idiotyzm”.

Górka z Pentagonu nie miała nawet cienia kwalifikacji do podejmowania działań w tej sytuacji, a jednak to do nich należały ostateczne decyzje. Na papierze dobrze wyglądało, że skonsultowano się najpierw z komodorem, ale w rzeczywistości Weston nie miał do dodania nic, co przyspieszyłoby proces decyzyjny, była to więc tylko obustronna strata czasu.

Teraz nie było czasu na narzekanie. Kiedy to wszystko się skończy – o ile nie skończy się tak źle, jak by mogło – Gracen zamierzała poświęcić kilka chwil na wysłanie odpowiedniego komentarza w tej sprawie.

Był to jednak problem na później.

– Proszę skontaktować się z Prometeuszem i upewnić, że są gotowi do działania.

– Tak jest, ma’am.

Była gdzieś w połowie listy kontrolnej, próbując uporządkować wszystko i przygotować do akcji. Wiedziała, że i tak czeka ją masa nowych, nieprzewidzianych problemów. Rozwiązanie tych, które da się rozwiązać już teraz, to wszystko, co można było na razie zrobić.

– I niech ktoś połączy mnie z kapitanem Michaelsem i jego grupą!

Pentagon

Eric rzadko miał okazję przechadzać się tymi korytarzami. Większość swojej oficjalnej służby przed wojną spędził w terenie, a podczas wojny nie działał oficjalnie... przynajmniej nie z początku, a gdy już oficjalnie wrócił do akcji, no cóż, on i jego grupa bojowa nie mieli zbyt wiele czasu na pogaduszki z szefostwem.

Dostawali rozkazy i lecieli.

Po wojnie sprawy potoczyły się bardzo szybko i w efekcie Weston spędził poza Ziemią więcej czasu niż przez kilkanaście lat dotychczasowej służby razem wziętych.

Jeśli miał być ze sobą szczery, całkiem mu to odpowiadało.

Na Ziemi nic go już nie trzymało, nie po tym, co zobaczył w kosmosie. Czuł się bardziej u siebie wśród bezkresu wszechświata, niż stojąc twardo na powierzchni macierzystej planety. Może i było to trochę smutne, ale prawdziwe.

– Tędy, komodorze.

Eric pozwolił poprowadzić się do dużej sali konferencyjnej, gdzie natychmiast stanął na baczność, podnosząc rękę w salucie, bo rozpoznał czekające na niego osobistości.

– Spocznij, komodorze.

– Admirale. – Eric skłonił głowę, rozpoznając szefa admiralicji i doradcę prezydenta Konfederacji.

– Z pewnością domyśla się pan już przyczyn pańskiego wezwania, komodorze – zaczął poważnie admirał Seth Kincaide.

– Zakładam, że Imperium jest w drodze, sir.

– Poprawne założenie. Jak dotąd monitorowaliśmy ruchy trzech spośród ich flot, a teraz mamy jeszcze dowody, że kolejne zostały odwołane od swoich zadań i skierowane do wspólnego zgrupowania.

Eric się skrzywił.

– Jasna cholera. Czyli już się zdecydowali.

– Na to wygląda.

Westchnął, czując, jak ogarnia go znużenie.

– Od dłuższego czasu próbowałem uświadomić to ludziom.

– Nie potrzeba nam teraz „a nie mówiłem”, komodorze. – Kincaide uśmiechnął się krzywo. – Generalnie się z panem zgadzaliśmy, choć z pana strony mogło to wyglądać inaczej. Problem w tym, że istnieją

pewne fundamentalne granice tego, ile fizycznie możemy wyprodukować, nawet z pomocą Priminae.

Eric przez chwilę wpatrywał się w admirała bez słowa.

– Ale przecież mogliśmy budować szybciej. Mogliśmy zarezerwować więcej doków na potrzeby wojskowe... ale już to rozważyliście, prawda?

– Zgadza się – odparł Kincaide, a jego głos zdradzał zmęczenie. – Przy pełnoskalowej produkcji moglibyśmy wystawić tyle kadłubów, by pogonić Imperium... ale to nie kadłuby są naszym wąskim gardłem.

– Załogi.

– Dokładnie. – Kincaide pokiwał głową. – Wezwałem tu pana, bo chcemy przedstawić panu plan GOTH: na czym polega oraz czy i kiedy wprowadzimy go w życie.

– Zamieniam się w słuch.

Obiekt Prometeusz

Admirał Benoit miewał w swojej karierze gorsze dni, ale chyba tylko dlatego, że w tej chwili nie było jeszcze wiadomo, jak zła jest sytuacja.

– Doktorze.

– Hmm? Tak? O co chodzi?

Benoit powstrzymał grymas. Nikt w tym obiekcie nie lubił mieć do czynienia z doktorem Palinem, bo był wrednym wrzodem na dupie... w swoje najlepsze dni. Kiedy miał na to ochotę, bywał znacznie, znacznie gorszy. Był przy tym najlepszym lingwistą i specjalistą od łamania szyfrów, jakiego ludzkość widziała.

– Musimy złamać ten szyfr – oznajmił Benoit, wchodząc do pracowni.

Było to nieco ryzykowne, zważając na walające się wokół dowody wielu rozrzuconych projektów, ale i tak zdawało się bezpieczniejsze od najgorszych laboratoriów, jakie admirał widział.

„Ani słowa więcej o bionaukowcach...” – Benoit aż się wzdrygnął na samo wspomnienie.

– Imperialne kodowanie jest raczej proste – powiedział Palin, machając do admirała i nawet nie podnosząc wzroku znad mikroskopu. – Jeśli chcecie je rozszyfrować, po prostu je złamcie. W takiej sprawie nie będę szybszy niż superkomputer, a poza tym jestem zajęty.

– Zajęty... – Benoit z trudem utrzymał panowanie nad sobą. Wiedział z doświadczenia, że naskoczenie na naukowców miewa skutki przeciwne do zamierzonych. – Doktorze, sprawy przyjęły bardzo zły obrót. Jeśli jest tak, jak nam się wydaje, idzie na nas cała flota ofensywna Imperium. Nic nie ma teraz wyższego priorytetu.

Palin westchnął teatralnie, odpychając dramatycznym gestem okular mikroskopu.

– Inwazja, powiada pan? Na co? Na Ziemię? Kolonie?

– Nie jesteśmy pewni – odburknął admirał z rozdrażnieniem. – Dlatego musimy złamać szyfr.

– No dobra, dajcie mi superkomputer i uruchomię za was ten program – powiedział Palin, przewracając oczami. – Choć moglibyście sobie wziąć do tego asystenta i byłoby szybciej.

– Po prostu się tym zajmij. Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz.

– Wszystko?

– Dokorku, nie wkurwiał mnie. – Benoit stracił w końcu cierpliwość. – Wszystko, czego potrzebujesz do tej sprawy, wszystko ci załatwię. Ale jeśli pod tą przykrywką zalejesz moje biurko żądaniami z dupy, wypierdolę cię.

Palin uniósł brew.

– Marna to groźba...

– Tak daleko, że nawet soczewki Prometeusza cię nie odnajdą!

– Ach. Cofam komentarz. Uruchomię program.

– Tak zrób.

Benoit wyszedł z laboratorium, by doktor nie zdążył wbić mu do głowy, że lepiej pójść na łatwiznę... z czego był znany. Admirał został skierowany do tej placówki głównie ze względu na swoje wcześniejsze doświadczenia, umiejętności i reputację związaną ze skuteczną współpracą z cywilnymi badaczami.

Czasami wolałby mieć wyrobioną reputację jako dowódca bojowy.

Rozdział 6

Prom krótkiego zasięgu na kursie ku stacji Liberty

– Pułkownik – Eric zwrócił się do towarzysza, gdy startowali z Pentagonu – obawiam się, że tym razem będę potrzebował nieco prywatności.

– Zrozumiano, komodorze. – Pułkownik Gillum pokiwał głową do drugiego pilota, który rozpiął się i wykręcił do tyłu, by zamknąć przedział.

Eric odczekał, aż włąz do kokpitu zatrzaśnie się solidnie, po czym aktywował konsolę i zerknął na dane kontaktowe na osobistym komputerze. Po krótkiej chwili miał już sygnał.

– Komodorze! – Na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz Burta Connorsa, co nieco zaskoczyło Erica, który spodziewał się batalii z sekretarką. – Bardzo miło mi pana słyszeć, szczególnie tak prędko. Nie zmienił pan chyba zdania co do naszej oferty?

– Obawiam się, że nie, panie Connors.

– Ależ proszę mówić mi Burt! – zaprotestował mężczyzna.

– Dobrze, Burt – podjął Eric, nabierając powietrza. – Tak po prawdzie dzwonię z... dobrą radą.

– Radą...? – Słowo zawisło w powietrzu, zabierając ze sobą pogodny wyraz twarzy miliardera. – Zawsze chętnie wysłuchuję... rad dobrze poinformowanych osób.

Eric przytaknął z wahaniem, równie starannie dobierając słowa.

– Obawiam się, że nie będę w stanie przedstawić swoich rekomendacji dla twojego projektu – powiedział z rezerwą. – Wyskoczyło coś... pilnego.

Z twarzy mężczyzny odpłynęły resztki humoru.

– Rozumiem. Cóż, pilne sprawy rządzą się swoimi prawami. Czy jest to coś, co mogłoby mnie zainteresować?

– Co do tego nie odważę się zgadywać – odparł Eric z naciskiem. – Ale jeśli chodzi o twój projekt, życzę ci wszelkiej pomyślności i błyskawicznego zakończenia niezbędnych prac. I tego samego dla wszystkich twoich kolegów z branży, którzy pracują nad podobnymi przedsięwzięciami.

– Ach... tak. – Magnat przełknął zauważalnie, nim przywołał na twarz uprzejmy uśmiech. – Dziękuję serdecznie za te życzenia, komodorze, w imieniu swoim... i innych osób. Na pewno je przekażę. Nie oczekuję odpowiedzi, ale przyznam, że zachodzę w głowę, cóż będzie pan porabiał?

– Utrzymywał szeregi, Burt. Powodzenia.

– I wzajemnie, panie komodorze.

– Mów mi Eric – odparł Weston z gorzkim uśmiechem.

Ostatnio niewielu było takich, którzy mówili mu po imieniu. Dodanie jednej osoby do tego grona na pewno nie zaszkodzi.

– A więc, Ericu... – Burt skłonił głowę w geście pożegnania. – Daj im popalić.

– Szerokiej drogi, Burt.

Eric przerwał połączenie.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

– Szlag.

– Co tam, szefie?

Steph obrócił się i napotkał zmartwione spojrzenie Tyke’a, które uświadomiło mu, że ostatni komentarz wyrwał mu się na głos.

– Przykre wieści. Wygląda na to, że Imperium jakoś nie potrafi nam zaufać – powiedział, ironicznie przekrzywiając głowę. – Według ostatniego impulsu z domu nasi koledzy poderwali sporą część swojej marynarki.

– Jak sporą?

– Według ostatniego rachunku ze cztery floty, a kilka innych w mobilizacji – wyliczył Steph zmęczonym głosem. – Włóczęgi przechodzą do najwyższej gotowości i wypluwają z siebie namiary

dla Prometeusza tak szybko, jak tylko się da, ale ten nie da rady trafić, kiedy floty są w ruchu.

– Jakie są nasze rozkazy?

Steph uniósł dłonie.

– Wedle mojego uznania.

Tyke wpatrywał się w niego przez chwilę.

– Poważnie?

– Tyke, ty mnie ranisz... Brzmisz, jakbyś był tym zdumiony! – Steph odstawił urażoną pantomimę, trzymając dłoń na sercu, póki jego przyjaciel nie prychnął i nie przewrócił oczami.

W rzeczywistości wcale nie był zdziwiony, że Tyke doznał szoku. Rozkazy tego rodzaju nie były czymś, czego spodziewałby się w normalnie funkcjonującym wojsku, ale Archanioły miały być dosłownym asem w rękawie – i tak samo łamały zasady gry. Technicznie rzecz biorąc, nie dysponowały zbyt wielką siłą ognia. Kanonierki z całą pewnością były się mocniej, niż wskazywałaby ich kategoria wagowa... ale wciąż była to waga piórkowa.

Włączenie ich do standardowych operacji floty byłoby więc, cóż, pozbawione sensu. Krążownik klasy Heros dysponował mocą kilkukrotnie większą od Archaniołów i mógł tłuc się całymi godzinami po tym, jak zasoby kanonierki były już całkowicie wyczerpane.

To stawiało Archanioły w roli jednostki specjalnej, a właściwe użycie jednostek specjalnych było silnie uzależnione od sytuacji. Wykorzystanie całego potencjału eskadry wymagało sprytu, stosownej okazji... i doskonałego wyczucia czasu.

– To co robimy, szefie? – spytał Tyke z powagą, wiedząc, że żarty się skończyły.

Steph wzruszył ramionami.

– Na razie zostajemy przy obecnym zadaniu, ale myślę, że trzeba sprowadzić pozostałych i to razem przedyskutować.

– Tak pewnie byłoby najlepiej.

Miasto centralne, Ranquil

– Wzywałeś mnie, Raelu?

Admirał Rael Tanner pokiwał głową i powitał przyjaciela nikłym, znużonym uśmiechem.

– Wejdz, Nero. – Jego ton zupełnie nie pasował do pogodnego wyrazu twarzy.

Nero Jehan zmierzył admirała badawczym spojrzeniem, po czym przytaknął krótko i przekroczył próg gabinetu.

– Co się stało? – spytał od razu.

– Powiedz, Nero, jak przebiega szkolenie twoich oddziałów?

Nero nieco zeszywniał. Rael służył w marynarce i było wiadomo, że nie miał większego pojęcia o bezpośredniej walce. To samo dotyczyło się większości Priminae, przynajmniej do niedawna.

– Robimy postępy – odparł zdecydowanym tonem. – Nowa akademia przyjmuje kolejne partie kadetów, a pułkownik Reed prowadzi nadzór i pomaga w selekcji najbardziej obiecujących kandydatów do zaawansowanych kursów.

– Ilu masz takich, na których można polegać w walce?

Nero miał już pewność, że coś jest nie w porządku.

– Rael. Powiedz mi, o co chodzi.

Admirał westchnął ciężko, aż zdawało się, że skurczył się jeszcze bardziej.

– Terrańskie służby wywiadowcze przekazały nam swój raport – powiedział w końcu. – Imperium przeszło do działania.

Nero nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, ale teraz uszło z niego powietrze. Wiedział, co to oznacza.

– Kierują się do nas? – spytał po chwili.

– Jeszcze za wcześnie, by wiedzieć na pewno, ale konsensus mówi, że nie... Najpierw zajmą się Terranami – wyjaśnił Rael ponuro. – Do nas wrócą w dogodnym czasie.

Nero pokiwał głową z namysłem.

Tak, to by się zgadzało. Imperium w pierwszej kolejności będzie chciało wyeliminować pierwsze zagrożenie, a potem uporać się z bardziej znanym wrogiem na własnych warunkach. W swoich prywatnych przemyśleniach raczej nie uznawał Terran za groźniejszego od nich przeciwnika, ale gdzieś w głębi duszy cichy, zdradziecki głos zasiał w nim wątpliwość.

– Moje siły będą gotowe przejść do działania, gdy tylko zostaną wezwane – powiedział z naciskiem. – Kiedy wysyłamy kontyngent,

by wspomóc obronę Terran?

– Nie wysyłamy – odparł Rael z chmurnym wyrazem twarzy.

Nero wyprężył się jak struna.

– Ależ, admirale! Przy całej pomocy, jaką zaoferowali...

Rael uniósł dłoń.

– To jest ich własna decyzja. Terranie uważają, że jeśli Imperium będzie... Jak oni to powiedzieli? Ach tak, jeśli Imperium będzie tak „bezdennie głupie”, by postawić stopę na terrańskim terytorium, wówczas nie będą potrzebowali pomocy, by się z nimi rozprawić.

Mimo powagi chwili Nero nie zdołał ukryć rozbawienia i prychnął donośnie.

– Pewności siebie mają pod dostatkiem.

Rael pokręcił głową z rezygnacją.

– Obawiam się, że Terranie nie spodziewają się próby desantu. Nie powiedzieli tego wprost, ma się rozumieć, ale...

Minęła krótka chwila, nim Nero pojął aluzję.

– Ależ skąd, niemożliwe. Nawet oni...

– Oni wypuścili drasinów, stary druhu.

Nero zamilkł i wbił wzrok w przestrzeń. Z tym faktem trudno było się spierać. Jeśli Imperium było stać na taki krok, nie sposób przewidzieć, do czego jeszcze się zniżą.

– Co robimy? – spytał w końcu.

– Flota wyśle statki, by wspomóc terrańską obronę – oświadczył Real z naciskiem. – Ich dowództwo wie, że żadnej innej opcji nie przyjmuję do wiadomości.

– Prawidłowo.

Usta Raela odruchowo wygięły się w krzywym uśmiechu na to bezceremonialne stwierdzenie.

– Przygotuj swoich ludzi – powiedział w końcu.

– Ale na co? Przecież nie mamy brać udziału w obronie. – Nero był nieco zbity z tropu. – Nie zrozum mnie źle, są chętni i odważni, ale nie na wiele się zdadzą, jeśli Imperium będzie unikać walki twarzą w twarz.

– Ponieważ musimy uznać, że jeśli Imperium zdoła rozprawić się z Terranami, my będziemy następni – oświadczył Rael z powagą. – Odbyłem krótką rozmowę z admirał Gracen... Obiecuje nam, że

nawet w przypadku porażki Terran Imperium łatwo się z tego nie podniesie... Ale to tylko kwestia czasu.

Odpowiedziała mu chwila ciszy, po której Nero przytaknął surowo.

– Rozumiem. Zadbam, by moi ludzie byli gotowi.

– Dziękuję, przyjacielu.

Stacja kosmiczna Liberty

Gdy Eric wkroczył na pokład planowania strategicznego, zastał oczekującą go Gracen plecami do drzwi, ze wzrokiem utkwionym w rosnącą listę światel, która była najwyraźniej raportem diagnostycznym sieci Kardaszewa.

Ukończenie go zajmie jeszcze kilka godzin.

– Pani admirał.

– Komodorze, witam na pokładzie – powiedziała Gracen, nie odwracając wzroku od ekranu. – Wolałabym spotykać się w lepszych okolicznościach.

– To już chyba tradycja – odparł Eric z rozbawionym westchnieniem.

– Tak, jakoś zbyt często lądujemy w epicentrum historii – zgodziła się, w końcu przenosząc na niego spojrzenie i zmuszając usta do słabego uśmiechu. – Przez to zaczynam tęsknić za „Dorym”. Pamiętam pierwszy raz, kiedy posadziliście te ohydztwa na moim pokładzie...

Eric prychnął.

– Pamiętam pani minę na widok Stepha wyłazącego z kokpitu.

Gracen przewróciła oczami i roześmiała się.

– Nie dość, że sprowadziłeś mi tam jakiegoś chłystka, to jeszcze dałeś mu wylądować myśliwcem na moim pokładzie. Nie było mi do śmiechu.

– Za to nam bardzo!

– Was, durniów, wszystko wtedy bawiło – odpowiedziała Gracen z westchnieniem i wyprostowała się w fotelu. – Brakuje mi tego.

Eric pokręcił głową.

– To znamienne, pani admirał, że obydwójce tęsknimy za jedną z najgorszych wojen, jakie widział nasz świat.

– Myślę, że więcej mówi to o naszym obecnym położeniu – odparła Gracen, a z jej twarzy odpłynęło rozbawienie. – Zakładam, że jesteś na bieżąco?

– Tak jest.

– Nadal czekamy, rzecz jasna, na oficjalne potwierdzenie co do imperialnych jednostek, ale... – zawiesiła głos. – Jeśli nie idą na nas, cóż, jedyny drugi cel w regionie wcale nie wygląda dużo lepiej. Pytanie brzmi, kogo uważają za priorytet.

Eric pokiwał głową, a jego myśli pomknęły ku obserwowanym przez niego przesłuchaniom.

– Ksenosów.

Gracen przytaknęła.

– Też tak myślę. Musimy założyć, że to my jesteśmy celem, przynajmniej dopóki nikt definitywnie nie stwierdzi inaczej. Powiedziano mi, że znasz też plany awaryjne?

– Przynajmniej niektóre – potwierdził Eric. – Te, na które mam jakiś wpływ.

Gracen skinęła lekko.

– U mnie pewnie tak samo. Wiesz, co będziesz musiał zrobić?

– Wiem.

Obydwójce spędzili chwilę w wymownej ciszy, nim Gracen odetchnęła, by kontynuować temat.

– Jeśli wrócą do Układu Słonecznego, obejmiesz dowodzenie taktyczne do czasu przełamania orbity Marsa. Od tego momentu będziemy prowadzić rotację stanowisk, a gdy przekroczą linię Księżyca, ja przejmę operację.

– Rozumiem.

– Prometeusz będzie do twojej dyspozycji przez cały czas – ciągnęła admirał. – Będziesz miał u nich priorytet nad każdym poza mną.

Eric przytaknął ze zrozumieniem.

– Ile okrętów możemy zgromadzić?

Gracen wydeła usta i rozważała to przez chwilę.

W końcu było to pytanie za milion dolarów.

– Gotowych do walki? Czterdzieści Herosów, a do nich sto trzydzieści Włóczęgów. Kadłubów mamy więcej, ale...

– Załóg brak, wiem.

– Blok oferuje nam swoje okręty, ale zostali daleko w tyle... Uzbiera się tego może kolejna czterdziestka pełnowartościowych niszczycieli – odpowiedziała z ciężkim westchnieniem.

– Przekonaj ich, żeby dali nam załogi – odparł Eric. – Niech obsadzą nasze puste jednostki.

Gracen utkwiała w nim spojrzenie.

– To byłoby wręcz spektakularne naruszenie zasad bezpieczeństwa. Wszystkie mają zainstalowany napęd tranzycyjny.

– Jeśli sprawy przyjmą oczekiwany obrót... nie będzie to miało znaczenia.

Admirał wypuściła głośno powietrze.

– Wiesz co, Eric, zawsze był z ciebie straszny wrzód na tyłku.

– Do usług, Amando – powiedział, pozwalając sobie na niezmiernie rzadką poufałość.

Spojrzała na niego surowo, ale bez przekonania.

– Puszczę w obieg ten pomysł. Jeśli po wszystkim zostaną nam jakiegokolwiek okręty... będą w całości podlegać automatycznemu sterowaniu – powiedziała, wpatrując się w Erica bez mrugnięcia okiem. – Imperium nie dostanie nawet skrawka naszej technologii. Czy wyraziłam się jasno?

– Jak słońce, ma'am.

Gracen krótko skinęła głową.

– Cóż... Będzie pan teraz dowodził siłą znacznie większą niż grupa zadaniowa, wiceadmirał. Bez tego nie przystoi.

Eric ledwie zdołał złapać niewielkie pudełko, które poleciało w jego stronę, i wpatrywał się w nie przez moment, nim dotarł do niego sens jej słów. Uniósł wieczko kciukiem i jego wzrok spoczął na trzech ułożonych wewnątrz gwiazdkach.

– Życzę szczęścia – powiedziała. – Będzie wam cholernie potrzebne.

Rozdział 7

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan podniósł się z fotela, gdy flota zwolniła, wkracząc na terytorium będące według Imperium pod kontrolą Przysiężnych i ich sojuszników. Trzecia Flota po raz kolejny miała pełnić rolę awangardy ataku na wrogów Imperium, co bez wątplenia przełoży się na duże straty wśród jego sił.

„To może nawet oznaczać koniec Trzeciej Floty” – pomyślał Jesan chmurnie.

Nie miał złudzeń, że nadchodzące bitwy będą łatwe dla Imperium, ale rozumiał rozkazy Jej Wysokości.

Pozostawienie wroga w spokoju z obawy przed zniszczeniami, jakich mógłby dokonać, z pewnością poskutkuje jeszcze większymi zniszczeniami w przyszłości.

Tak po prostu było.

Konflikt był nieuchronny, a więc stawało się jasne, że zawsze należy uderzać wtedy, kiedy jeszcze ma się taką możliwość – bez wahania ucinać wszelkie zagrożenia z chwilą, gdy tylko się pojawiały.

A ten gatunek-anomalia stanowił zagrożenie. Co do tego nie było wątpliwości.

– Wiadomość, komandorze floty... od komandor floty Misrem – zameldował oficer łącznościowy, wyrywając Jesana z zamyślenia.

– Och? – Jesan uśmiechnął się lekko, przypominając sobie młodszą oficer, która awansowała. – Proszę przekazać połączenie na mój pulpit.

– Tak jest, komandorze floty.

Mich przeniósł spojrzenie na ekran, zauważając lekkie artefakty, wskazujące na to, że połączenie nawiązano w formie impulsu

nadświetlnego nadanego z niewielkiej odległości, najpewniej w czasie przelotu.

– Komandorze floty. – Misrem skłoniła się lekko. – Dobrze znów cię widzieć.

– Ciebie również, komandorze floty – odparł Jesan. – Dobrze się spisałaś.

– Miałam dobrych nauczycieli – odwzajemniła komplement. – Moja flota kwartowa przygotowuje się do połączenia z twoją na mocy rozkazów Jej Wysokości.

– Ach... poinformowano mnie o tym, ale nikt nie pofatygował się zdradzić mi nazwiska komandora – wyjaśnił Jesan. – Miałem nadzieję, że będzie to... ktoś inny.

Wyraz twarzy Misrem zmienił się nieco, gdy zrozumiała znaczenie tych słów.

– Rozkazy są aż tak ciężkie? – spytała w końcu.

– Są... konieczne – stwierdził Jesan. – Będziemy na pierwszej linii ognia, a czeka na nas godny przeciwnik.

– Ach. – Misrem zmrużyła oczy, pojmując niewypowiedziany sens tych słów. – Rozumiem. Dobrze, bez względu na wszystko dopilnujemy, by wypełnić rozkazy Jej Wysokości do samego końca.

– W rzeczy samej. Trzecia Flota oczekuje na przyjęcie twojego zgrupowania, komandorze floty.

Misrem skinęła głową w milczeniu, a ekran zamigotał i zgasł, zostawiając Jesana sam na sam z myślami o przyszłości, jaka rysowała się przed jego oczami... i o przyszłości, której nie umiał sobie wyobrazić.

Imperialny świat Kraike

Emilia przejrzała mapy strategiczne i była zadowolona z ruchów flot.

Na tę chwilę sześć ruszyło do akcji, a cztery przerywały jeszcze poprzednie działania, przygotowując się do dołączenia do misji.

Oczywiście czekają ich konsekwencje. Różne niepożądane grupy będą miały nieco więcej czasu na podsycanie swoich małych

zatargów, co poczyni pewne szkody, ale nawet takie sprawy można przekuć ku chwale Imperium.

Ksenosi byli bez wątpienia największym zagrożeniem i myśl o pozostawieniu ich w spokoju, by rośli w siłę, napawała cesarzową obrzydzeniem. Pozwoliła im bytować tak długo tylko dlatego, że z początku nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Sądziła, że to jakaś frakcja Przysiężnych czy inny dawno zapomniany odłam Imperium.

To były opcje znacznie bardziej prawdopodobne od tego, co się ostatecznie okazało.

Odzyskano ciała z wraków pozostałych po jednej z pierwszych potyczek i dokładnie je zbadano. Oczywiście markery były identyczne z ludzkimi, ale kiedy spojrzano się głębiej... prawie cała struktura genowa, jaka tworzyła właściwego człowieka, w niczym nie przypominała tego, co znaleźli...

Ksenosi.

Ich człowieczeństwo, jeśli w ogóle można je tak nazwać, obejmowało tylko ciało.

To tłumaczyło dziwaczną taktykę i sposób myślenia, tak chaotyczne i odmienne od zwyczajów Imperium czy nawet Przysiężnych. Porządek był osią człowieczeństwa, nie to chaotyczne zepsucie.

Przysiężni potwierdzili tę tezę. Od czasu kontaktów z ksenosami byli skażeni. Zmienili sposoby działania, które kultywowali przez całą znaną historię. Mimo że Emilia z zasady nie lubiła Przysiężnych, wiedziała, że nie są wewnątrznie zepsuci. Nie, to wina ksenosów.

Przynieśli chaos samym swoim istnieniem.

Należało przywrócić porządek.

Tak nauczył ją ojciec.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

Na rozkaz Stepha eskadra utrzymywała pozycję w pobliżu kolejnego celu, w odległości ledwie kilku lat świetlnych. Dowódca

zorganizował spotkanie w związku z nowymi informacjami.

– Tyle wiemy – podsumował Steph, kończąc swój wstęp. – Imperium jest w ruchu, prawdopodobnie idzie na Ziemię, a nikt nie pofatygował się, by dać nam znać.

– Jakież szanse, że nas rozpracowali? – zapytała Szulerka, nachylając się z uwagą.

Poparły ją zaniepokojone szepty innych.

– Szanse? Pewnie – odparł Steph lekko. – Ale nie za duże. Według mnie po prostu nie są zbyt subtelni.

– Zgadzam się z kapitanem – poparł go Seamus Gordon. – Z wielu powodów, a niektórych jeszcze mu nieznanych.

To przykuło powszechną uwagę i w stronę gościa od wywiadu powędrowały natarczywe i pytające spojrzenia.

– Jak to? – spytał w końcu Steph.

Seamus rozejrzał się po twarzach towarzyszy.

– Wszyscy widzieli już dane z przesłuchań na „Odyseuszu”? Sprawa ksenogatunku? I jak ważna wydaje się dla naszej drogiej pracodawczynie, cesarzowej?

Większość pokiwała ze zrozumieniem głowami, kilka osób zmarszczyło czoła w zamyśleniu.

– Pierwotnie wydawało się, że ludzie... a raczej powinniśmy mówić Terranie. – Seamus przerwał na chwilę, rozważając to rozróżnienie. – Nieważne. Terranie i Priminae pierwotnie wydawali się tym samym gatunkiem.

– Pierwotnie? – dopytała Szulerka, patrząc po innych. – A kiedy niby to się zmieniło?

– Gdy naukowcy z obu naszych ludów bliżej przyjrzeni się sprawie – wyjaśniła cicho Milla Chans. – Choć główne markery są identyczne, to... genetyka ewolucyjna jest kompletnie odmienna.

Szulerka nie była jedyną, która wyglądała na kompletnie skołowaną.

– Jak to w ogóle możliwe? – zapytała, potrząsając głową z niedowierzaniem. – Odmienna genetyka powinna skutkować... no cóż, czymkolwiek, ale nie identycznymi gatunkami... prawda?

– Do niedawna tak właśnie zakładaliśmy – stwierdził Seamus. – Teraz zmieniamy założenia. Prawdopodobnie wciąż się w jakimś stopniu mylimy...

– A jakie są te nowe założenia? – dociekał Steph.

– Na tym etapie? Jakiś rodzaj... sterowanej ewolucji, prawdopodobnie zakodowanej w samym DNA – wyjaśnił Seamus – ale nie znaleźliśmy jeszcze na to dowodów.

– Więc... co? Ludzie są uniwersalnym celem ewolucyjnym znanego nam życia? – spytał Steph sceptycznie.

– Albo to, albo, co bardziej prawdopodobne, są niezbędnym ogniwem w drodze do finału. – Seamus wzruszył ramionami. – Tak czy siak, wyklucza to właściwie czysto naturalny rozwój. Prawie na pewno jakaś inteligencja macza lub maczała palce w naszym rozwoju.

– No nie wiem... – Szulerka potrząsnęła głową. – Rozumiem, co mówisz, ale to przecież tylko dwa przykłady, nie?

– A nie trzy? – wtrącił się Tyke. – Ludzie... eee, sorki, Terranie, Imperium i Priminae?

– Nie. – Milla pokręciła przecząco głową. – Priminae wywodzą się z Imperium, choć było to dawno temu.

– Trzy.

Wszyscy zamilkli, spoglądając znowu na Seamusa.

– Ksenosi – stwierdził. – Imperium ma na nich nazwę. Widzieli ich wcześniej.

Steph przytaknął.

– I wedle wszelkich dostępnych informacji nienawidzą ich całym sercem.

– Cesarzowa ich nienawidzi – poprawił go Gordon. – Większość Imperium... Nie sądzę, by ktokolwiek cokolwiek wiedział. To pewnie poufne informacje, ograniczone do najważniejszych kręgów.

– Najważniejszych? – dopytywał się Tyke.

– Jej Wysokość jest bardzo zaniepokojona, ale jeden z naszych jeńców jest w bliskiej przyjaźni z cesarzową – wyjaśnił Seamus. – Kobieta do niedawna nic nie wiedziała... a przecież jest komandorem floty w pionie wywiadowczym.

– Wiedza tajemna rodu cesarskiego?

– Albo siły stojącej za tym rodem – stwierdził Seamus ponuro.

Steph westchnął, powoli kiwając głową.

– Imperialna wersja Centrali – powiedział, spoglądając na specja od wywiadu. – Jesteś pewien?

– Pewien? Za cholere nie! – Seamus prychnął. – Ale moje bebechy i rozum zgadzają się w tej sprawie. Z tego powodu uparłem się na zakłócacze, gdy odwiedzaliśmy Imperium. Widzieliśmy już dwa światy z tymi bytami. Mógł to być jedynie zbieg okoliczności... ale z tego, co mówi zarówno Centrala, jak i Gaja, nie dałbym za to złamanego grosza. istnieje taki byt w Imperium, a patrząc na to, jak długo przetrwała tam linia sukcesji, stawiam, że posadził się dokładnie w sali tronowej... o ile te byty sadowią się gdziekolwiek.

– Głos szepczący cesarzowej do ucha... – Steph aż się skrzywił.

– Gorzej. – Seamus nie pozostawiał złudzeń. – Głos szepczący do ucha każdego dziecka cesarskiej krwi, od samego zarania Imperium... a może jeszcze wcześniej. Jeśli ktoś poświęca na coś tyle czasu, raczej nie chce, by nieznane zmienne zakłóciły mu pracę – kontynuował. – A my? My jesteśmy cholernie niewiadomą zmienną. Ksenosami.

– Sądziś, że ich inwazja będzie zagładą gatunku... – Tyke przełknął głośno.

– Sądzę, że cesarzowa jest najnowszą z długiego szeregu władców o wypranych mózgach... Może i mamy do czynienia z kultem jednostki, ale tak czy siak to kult. Kulty nie słyną z tolerancji.

Krażownik Priminae „Bedian Sval”

– Kontakty na skanerach dalekiego zasięgu, kapitanie!

Kapitan Derval Sheran skinął głową twierdząco.

– Namierzyć i zidentyfikować.

Spodziewał się tego prędzej czy później. Alarm obiegił już wszystkie siły Priminae, choć były jeszcze rozproszone. Jeśli Imperium ruszyło, to bez względu na to, czy parło na Ziemię, czy nie, musiało przejść przez terytorium Priminae.

Derval nie miał złudzeń, co wrogie floty będą robić w ich przestrzeni, ale nawet jeśli zamierzały po prostu przelecieć, byłby to jedynie tymczasowy spokój. Prędzej czy później wrócą, a wtedy... no cóż, Terranie nie przyjdą już z pomocą, czyż nie?

– Skany zakończone, sir. Wstępna identyfikacja... okręty Imperium, sir.

– Ile?

– Wciąż liczymy.

No cóż, Denvał nie miał zamiaru się łudzić, że to dobre wieści.

Miał rozkazy opóźnić Imperium, na ile to możliwe, ale jeśli stawałby przeciwko przytłaczającym siłom, miał się wycofać i uciec.

– Cała wstecz – polecił. – Proszę nas zabrać z systemu i przygotować na maksymalną nadświatłą, gdy tylko wyjdziemy poza zasięg wiatru gwiazdy.

– Tak jest, sir!

– Czterdzieści jednostek i wciąż liczymy, kapitanie!

– Liczcie dalej – nakazał spokojnie, choć bynajmniej tak się nie czuł. – Będziemy potrzebowali dokładnych danych, by złożyć raport.

– Tak jest, kapitanie.

„Czterdzieści... Nie jest to siła nie do pokonania, ale znacznie przerasta możliwości mojej eskadry”.

– Nowe kontakty! Kapitanie, nadlatują szybko znad płaszczyzny ekliptyki!

– Na ekrany!

Główne ekrany zamigotały i wyświetliły grupę na całe szczęście znacząco mniejszą, ale za to znajdującą się zdecydowanie zbyt blisko jak na gust Denvała.

– Zapas mocy do napędu – rozkazał, wstając. – Skanery, kontynuować katalogowanie wroga. Nawigacja, znaleźć najszybszy kurs unikowy i skierować nas tam z maksymalnym przyspieszeniem.

– Tak jest, kapitanie!

Okręt flagowy

Trzeciej Floty Imperialnej

– Eskadra wroga się wycofuje.

„Oczywiście, że się wycofuje” – pomyślał Jesan. „Nie są durniami”.

– Czy to cele priorytetowe? – spytał od niechcena.

– Niepotwierdzone, ale mało prawdopodobne, komandorze floty.

– Szkoda – stwierdził, spoglądając w bok.

Flota kwartowa Misrem ustawiła się na kurs przechwytyjący, blokując przy tym najwygodniejszą drogę ucieczki i zmuszając przeciwnika do straty czasu na obliczenie nowego kursu i zmiany wektorów. Na pierwszy rzut oka widział, że wróg i tak im umknie, ale będzie chwila na krótkie starcie w przelocie.

– Wszystkie okręty w gotowości – rozkazał. – Zbliżymy się z maksymalną prędkością i zewrzemy w walce na tak długo, jak uda nam się utrzymać wroga w zasięgu.

– Tak jest, sir – potwierdził jego zastępca, rozsyłając rozkazy. – Czy przekazać rozkazy flocie kwartowej, sir?

– Nie. Tamtejsza komandor floty wie, co robi.

Okręt flagowy floty kwartowej

Misrem prześledziła uważnie przecinające się wektory, upewniając się, że nie prowadzi swoich okrętów zbyt blisko wroga, pozbawiając się wsparcia Trzeciej Floty.

Zauważyła, że przeciwnik zareagował zaskakująco szybko. Znacząco szybciej niż w pierwszych dniach wojny, o ile dobrze sądziła i faktycznie miała do czynienia z okrętami Przysiężnych. Gatunek-anomalia był zawsze bardziej nieprzewidywalny, co bardzo utrudniało określenie czasu reakcji.

Kiedy myślała, że wrogowie uciekają, oni zastawiali pułapkę. Kiedy oczekiwała walki, oni wbijali się w ostatnie niestrzeżone oczko jej sieci i znikali w ciemnościach.

Byli... frustrujący.

– Wróg zbliża się w zasięg strzału, ale nie utrzymamy ich tak zbyt długo.

– Rozumiem. Wszystkie okręty... wszystkie baterie... – mówiła, wpisując jednocześnie rozkazy dla całej floty – strzelać bez rozkazu.

Rozdział 8

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Był zwany Odyseuszem stał samotnie na pancerzu okrętu wojennego, który dał mu imię, wpatrując się w malujący się przed nim widok. Podczas ostatniego spotkania z siłami Imperium poczuł ból. Po raz pierwszy poczuł coś takiego bezpośrednio, dotąd bowiem odbierał tego typu wrażenia przez filtr doświadczeń tych, którzy żyli w jego sferze odczuwania.

Było to, jak zapewne powiedzieliby ludzie, przełomowe przeżycie.

Czuł się, jakby dotąd był dzieckiem i nagle został wrzucony w dorosłość.

Samo w sobie nie dotknęłoby go to tak mocno... ale jedna myśl wciąż go gnębiła.

„Skoro wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jestem dzieckiem, jak mogę mieć pewność, że wciąż nim nie pozostaję?”

– Pamiętam moje pierwsze przełomowe doświadczenie.

Odyseusz nie podskoczył ani nawet nie drgnął, bo zaskoczenie nie było dla niego w ogóle osiągalne, ale nagła decyzja Gai, by do niego przemówić, zbliżała go do tego odczucia chyba najbardziej, jak to możliwe.

– Jak się wtedy czułaś? – zapytał z ciekawością, wciąż spoglądając na planetę, która była jednocześnie tak bliska... i tak daleka.

Jakaś część jego umysłu zadumała się nad dziwacznością tej rozmowy prowadzonej z pustki kosmosu, ale czasami było mu łatwiej symulować ludzką rozmowę.

– Byłam... zdziwiła przed pierwszym przełomowym doświadczeniem – zaczęła Gaja lekkim tonem. – W przeciwieństwie do ciebie pojawiłam się, zanim jeszcze świadomość zaistniała w mojej sferze. Można powiedzieć, że to ludzie mnie przebudzili, kiedy zeszli z drzew i na swój niepowtarzalny sposób zaczęli rozważać swoje miejsce w świecie. Nie jestem pewna, czy umiem to dobrze opisać, ale moje wcześniejsze ja nie było... kimś, kogo dziś

bym lubiła – przyznała Gaja. – Przez dłuższy czas nawet pod wpływem ludzi nie zachodziły we mnie zmiany. Mój pierwszy przełom nastąpił, gdy to wszystko osiągnęło punkt krytyczny, tysiące lat temu. Wciąż nie umiem dokładnie określić, jaka była tego przyczyna, ale wtedy w jednej chwili zmieniałam się ze wściekłego dziecka narodzonego w dziczy wszechświata... w coś zupełnie innego.

Odyseusz pokiwał głową, rozumiejąc istotę jej wyjaśnień, choć z pewnością umykały mu niuanse.

Było to szokujące, przebudzenie na skutek... obrażeń, jakie odniósł?

Czy to w ogóle właściwe określenie? Nie był pewien, ale nie sądził, by miało to większe znaczenie.

– To było... alarmujące, a jednocześnie w jakiś sposób całkowicie naturalne, dziwaczne, a jednak bezpiecznie znajome... wszystko naraz – powiedział w końcu.

Gaja pokiwała głową, opadając i siadając po turecku na płytach pancerza. Szaty unosiły się i powiewały wokół niej, choć w próżni nie było wiatru.

– Pamiętam – powiedziała.

– Czy wciąż jestem dzieckiem? – zapytał Odyseusz, zdezorientowany.

– A może wszyscy nimi jesteśmy? – odparła. – Czy kiedykolwiek dorastamy? Nawet ludzie nie mogą być tego pewni. Wielu z nich wydaje się pogrążyć w coraz większej głupocie, choć wydaje się im, że stają się coraz dojrzałsi. Żyją tylko jedno stulecie, a jednak nie przekłada się to na dojrzewanie ich rozumu. Dla nas, pozbawionych ciała, których czas się nie ima... jesteśmy wiecznymi dziećmi.

Uśmiechnęła się łagodnie, spoglądając w górę na Odyseusza.

– Lękaj się dnia, w którym naprawdę dojrzejesz, dziecko... bowiem będzie to dzień, w którym nie zostanie ci już nic do poznania. Wtedy będzie cię czekać cała wieczność bez żadnych niespodzianek.

Odyseusz zmarszczył czoło, rozważając te słowa.

– Malujesz przyszłość w ponurych barwach.

– Taka właśnie jest – odparła Gaja. – Dla mnie, dla ciebie... koniec końców, no cóż... im więcej mamy czasu, tym pewniejszy marny

koniec. Ludzie są naszymi rodzicami... i naszymi dziećmi... i naszymi współlokatorami... i mają coś, czego my nie mamy.

– Co takiego?

– Śmiertelność... a przynajmniej jej iluzję – wyjaśniła Gaja.

– Oni nie postrzegają tego jako czegoś dobrego – stwierdził Odyseusz.

– Bo nigdy nie musieli stanąć twarzą w twarz z grozą nieuchronności – odpowiedziała Gaja ze znużeniem. – Wszystko kiedyś się kończy, dziecko. Któregoś dnia zapewne i na nas przyjdzie czas. Ale ludzie? Nie będzie ich na długo przed tym dniem. My pozostaniemy...

Westchnęła ciężko. Odyseusz wiedział, że to tylko poza, ale uderzyło go, jak zmęczona wydawała się Gaja.

– Sami – dokończyła.

Odyseusz spojrział na nią przenikliwie.

– Imperium.

– Być może. – Wzruszyła ramionami. – Ale oni są co najwyżej najnowszym w szeregu zagrożeń. Ludzkość może upaść, a może nie. To się dopiero okaże, ale czas jest wrogiem, którego nikt... nawet ten, który wydaje się poza jego wpływem... nie może pokonać.

Odyseusz nie pojmował większości tego, co Gaja właśnie do niego mówiła. Wziął to za dobry znak – widać nie był tak dojrzały, jak się obawiał. Rozumiał natomiast jej intencje i obawy.

– Sądzisz, że Imperium wygra?

– Ludzie – odparła. – Nawet teraz przygotowują się do zachowania swojego ludu, swojej kultury.

– To chyba dobrze... prawda?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Bardzo dobrze. Po prostu jestem smutna, że tego nie zobaczę.

Odyseusz poczuł się naprawdę zaniepokojony.

– Co zamierzasz?

– Pomogę im jak umiem najlepiej, ale potem spodziewam się... – Gaja potrząsnęła głową i podniosła się na nogi z nienaturalną łatwością. – Cóż, co ma być, to będzie, ale widzę, że ty również masz przed sobą masę pracy.

Odyseusz spojrział na nią z przelotnym niezrozumieniem, nim nie rozpoznał umysłu, który wrócił właśnie do jego sfery. Zwrócił się

w stronę nadlatującego wahadłowca.

– Rozumiem... – powiedział powoli, absorbując myśli nadlatujących ludzi.

– Czy aby na pewno? – Gaja się uśmiechnęła. – Nie sądzę. Ale zrozumiesz.

– Co? Ja...

– Żegnaj, Odyseuszu, mój synu. Ruszaj w przestwory Galaktyki. – Gaja otworzyła ramiona. – Odkrywaj cuda, których ja nigdy nie zobaczę... – Jej twarz spochmurniała, a oczy pociemniały, rozświetlając się jedynie iskrami błyskawic. – Stań twarzą w twarz z groźbą, która nadchodzi. Pomóż ludziom, pomóż im nauczyć ich wrogów strachu przed złem, jakie poczynili.

– Imperium...

Gaja uśmiechnęła się do niego, potrząsając głową i rozmywając się w próżni. Odyseusz zrobił krok w jej stronę, ale już jej nie było. Czuł się jeszcze bardziej zdezorientowany niż przed rozmową, ale nadlatujący wahadłowiec pozwolił mu skupić się na czym innym. Po chwili jego sylwetka również zniknęła z kadłuba, pozostawiając jedynie niczym niezakłócony widok na planetę.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”, pokład startowy

– Admirał na pokładzie!

Eric przyjął okrzyk z niejakim rozbawieniem, wychodząc z wahadłowca i stając pewnie na pokładzie. Wyglądało na to, że załoga urządziła mu powitanie, bo ponad setka kobiet i mężczyzn stała w szyku, salutując.

Zauważył Odyseusza stojącego na końcu szeregu we współczesnym mundurze, salutującego wraz z innymi.

„To dobry dzieciak” – pomyślał Eric, zmierzając do środka szeregu, gdzie czekała na niego Miriam z dłonią przy skroni. Energicznie odwzajemnił salut, uśmiechnął się z sympatią i wyciągnął dłoń na powitanie.

– Witamy z powrotem, sir – przywitała go Miriam, ściskając wyciągniętą ku niej dłoń. – Gratulacje.

– Dziękuję, pani kapitan. Wolałbym cieszyć się awansem w innych okolicznościach, ale damy radę – odparł.

Tymczasem szef pokładu polecił załodze spocząć. Gdy wszyscy ustawili stopy nieco szerzej i spleli ręce za plecami, Eric zwrócił się w ich stronę.

– Byłem zaszczycony, dowodząc wami dotąd, bez względu na mój stopień, i cieszę się, że dano mi przywilej dalszego dowodzenia w najbliższej przyszłości – powiedział stanowczym tonem, nie podnosząc głosu, ale dbając o to, by wszyscy go słyszeli. – Wiem, że większość z was wie już o mobilizacji, więc nie będę owijał w bawełnę. Czekają nas trudne dni, choć chciałbym mieć lepsze wieści. Imperium ruszyło w naszą stronę i z pewnością nikogo z was nie zdziwi, że to my będziemy awangardą obrony Ziemi. To w nas pokłada się nadzieje.

Eric zmusił się do uśmiechu, choć bynajmniej nie było mu wesoło.

– Patrząc na was wszystkich i znając tę załogę jak nikt inny... wiem, że nie można było wybrać lepiej.

Odpowiedziały mu stłumione wiwaty. Eric wiedział, że były szczerze.

– Mogę wam obiecać jedno. – Podniósł głos, by przekrzyczeć tłum.

– Idą ciężkie dni, ale nie tylko dla nas. Wróg na własnej skórze poczuje wielokrotność każdej straty, jaką nam zada. Imperium może wygrać, takie jest prawo wojny, ale nawet jeśli mu się uda, nie będzie to radosne zwycięstwo.

Przerwał, pozwalając rozbrzmieć okrzykom – nieco bardziej entuzjastycznym, choć wciąż dość cichym. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego ludzie rozumieli swoje szanse, a były one marne dla „Odysei” i „Odyseusza” od samego początku.

„Jak dotąd zawsze nam się udawało, raz po razie. Może jeszcze raz się uda?”

– Jeszcze raz, przyjaciele – powiedział Eric na zakończenie i skinął do dowódcy pokładu, by odprawił załogę.

Miriam dogoniła Westona, gdy ruszył w stronę wind.

– To więcej, niż się spodziewałam – przyznała.

Eric spróbował powstrzymać grymas.

– Nie wygląda to dobrze. Plany ostateczne są właśnie wdrażane w życie. Szefostwo szykuje się na klęskę.

Miriam zdobyła się na neutralny wyraz twarzy, ale jej spojrzenie zdradzało szok.

– Naprawdę jest aż tak źle?

– Jak dotąd? Śledzimy co najmniej dwieście jednostek wroga, wszystkie przemieszczają się w naszym kierunku. Awangarda prawdopodobnie przecina już przestrzeń Priminae... a więcej jest w trakcie mobilizacji.

– Dwieście...? – syknęła Miriam z niedowierzaniem i zamilkła nagle, gdy mijali załoganta przenoszącego sprzęt z pokładu startowego.

Dopiero gdy zamknęły się za nimi drzwi windy, Weston powiedział:

– Tyle na razie potwierdziliśmy. Prawdopodobnie znacznie więcej jednostek przegapiliśmy lub nie dotarły do nas jeszcze informacje o nich.

Miriam opadła bezradnie na ścianę windy.

– Nie zatrzymamy ich – powiedziała głucho.

– Nie, nie zatrzymamy... ale możemy sprawić, że pożałują dnia, w którym wyruszyli w przestrzeń – stwierdził Eric ponuro. – Jeśli wejdą w naszą domenę z taką siłą, nie tylko ściągamy białe rękawiczki, ale palimy je i rozsypujemy prochy wśród gwiazd.

Miriam przełknęła.

– Tak jest.

Odyseusz z zainteresowaniem obserwował, jak świeżo mianowany admirał wygłasza swoją przemowę, choć myśli i odczucia załogi były... dziwne.

Ludzie byli spięci i wiedzieli, że coś się dzieje, na długo przed tym, nim admirał wkroczył na pokład. Nie da się ukryć przygotowań, a plotka jest szybsza niż napęd tranzycyjny... jakimś cudem. Odyseusz jeszcze tego nie rozgryzł, ale tempo, w jakim informacje rozchodziły się wśród załogi, było niezwykle.

Gorączkowość przygotowań stanowiła wskazówkę nie do przegapienia.

Biorąc pod uwagę, co załoga przeżyła przed powrotem na Ziemię, dla wszystkich stało się jasne, że Imperium się nie wycofa... choć wszyscy mieli taką nadzieję.

U większości to fatalistyczne przekonanie cały czas tkwiło gdzieś z tyłu głowy.

Admirał sprawił, że przecucie stało się faktem, a Odyseusz poczuł, jak z każdym słowem dowódcy narasta wśród załogi strach i niepewność. A potem poczuł, jak te uczucia bledną, wyparte przez... nie miał na to słowa... może przez słuszny gniew.

Nie rozumiał tego.

Admirał nie obiecał zwycięstwa. Wręcz przeciwnie, potwierdził, że zwycięstwo jest mało prawdopodobne.

Ale jakimś sposobem załoga o to nie dbała.

Admirał obiecał odwet.

I... to wystarczało...?

Eric westchnął z ulgą i pozwolił sobie na rozluźnienie. Drzwi zamknęły się za nim, więc rozpiął marynarkę i odłożył ją starannie na ławę stojącą obok łóżka.

Jego prywatna kabina na „Odyseuszu” była chyba najlepiej wyposażona ze wszystkich, w jakich w życiu przebywał, choć wedle ogólnie przyjętych standardów była raczej niewielka. Niemniej jak na kabinę okrętową, szczególnie na jednostce kosmicznej, była wręcz okazała.

To był długi dzień, a Eric spodziewał się, że czeka go też cholernie długi tydzień i jeszcze więcej, nim to wszystko się skończy... jakkolwiek będzie to koniec.

Odwrócił się, gdy usłyszał lekkie pukanie, ale nie od strony drzwi, lecz opancerzonego okienka, aktualnie zwróconego w stronę Ziemi.

– Wejdz, Odyseuszu – powiedział.

Oczywiście byt bynajmniej nie musiał pukać, będąc we wszystkich pomieszczeniach jednostki jednocześnie, ale to miłe, że zasady uprzejmości przenikały do młodego umysłu.

– Witaj z powrotem, admirale. Rozumiem, że gratulacje byłyby na miejscu? – zaczął młody byt, ukazując się w swojej typowej

antycznej zbroi.

– Dziękuję, Odyseuszu. Dobrze się prezentowałeś w szeregu – odparł Eric, kiwając głową na powitanie.

– Dziękuję, sir – odparł z nieco zmieszaną miną.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – spytał Eric.

– Nie wiem – stwierdził Odyseusz niepewnie. – Gaja mnie odwiedziła.

To nie zaskoczyło Erica. Prawdę mówiąc, celowo ustawił okręt bliżej niż to konieczne, by umożliwić takie spotkanie. Czasy paranoi na temat tego, co ziemski byt mógł wiedzieć, dawno minęły. Gaja wiedziała, co wiedziała, i trzeba było jakoś żyć z konsekwencjami tego.

– Co miała do powiedzenia?

– Nie jestem pewien – przyznał Odyseusz. – Była... zagadkowa.

– Typowe – stwierdził Eric cierpko.

– Zdaje się wierzyć, że nadchodzą mroczne dni.

„No cóż, nie można jej odmówić racji” – pomyślał Eric, wzdychając, a na głos powiedział:

– Wie to, co dowództwo. Z flotą Imperium idącą prosto na nas mamy gwarancję mrocznych dni.

– Być może. – Odyseusz wydawał się nieprzekonany. – Niemniej wydawała się... nie wiem. Jakby Imperium było... nieistotne. Jakby chodziło o coś innego.

Eric poczuł nieprzyjemny dreszcz.

„Boże, oby nie. Ile jeszcze możemy wytrzymać?”

Choć wiedział, że Odyseusz zna jego myśli, westchnął i powiedział jedynie:

– Będziemy się tym martwić, gdy przyjdzie co do czego. Na razie musimy się skupić na Imperium.

– Oczywiście, admirale.

Eric zawahał się, ale w końcu poprosił:

– Ale jeśli zdecyduje się rozjaśnić ci nieco temat... poinformuj mnie niezwłocznie.

– Aye, aye, admirale.

Rozdział 9

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Świeżo wzmocniona grupa zadaniowa „Odyseusza” pięła się w górę studni grawitacyjnej Sol, kierując się w stronę heliopauzy i strefy tranzycji. Eric tymczasem zapoznawał się z rozkazami, zmienionymi zasadami prowadzenia walki i konfiguracją nowych okrętów dołączonych do floty.

Nie miał już małego zgrupowania kilku krążowników ze wsparciem około dwudziestu Włóczęgów, lecz dowodził pełnowymiarową flotą. Świeżo ochrzczona Pierwsza Flota Solarna składała się z całych dwudziestu Herosów wspieranych przez setkę Włóczęgów i dodatkowo dwudziestu niszczycieli Bloku typu 049A klasy Hunan.

Eric był nieco mniej zachwycony tym ostatnim dodatkiem, obawiając się rozłamu w łańcuchu dowodzenia. Wśród załóg tych okrętów rozpoznał kilka nazwisk ludzi, przeciw którym walczył wcześniej podczas wojny.

Nie był to jednak dobry czas na takie zmartwienia, postanowił więc zostawić historię za sobą, licząc na to, że dowódcy Bloku zrobią to samo.

Wspólne zasady prowadzenia walki były kolejnym punktem zapalnym, ale jedynie dlatego, że Eric nie chciał, by kiedykolwiek stały się normą. Z tej przyczyny złożył nawet formalny sprzeciw na potrzeby oficjalnej dokumentacji. Nawet nie dlatego, że nie zgadzał się z nowymi zasadami, ale dlatego, że chciał jasno podkreślić, że uważa je za ekstremalną odpowiedź na ekstremalną sytuację.

Te zasady niby nie nakazywały walczyć bezwzględnie bez cienia litości, ale prawie.

Okręty wroga miały nie mieć szans. Żadnych wezwań do kapitulacji. Prawdopodobnie nawet po bitwie nie planowano brać jeńców.

Eric czuł się z tym bardzo... niekomfortowo.

Pojmował to rozumowanie, a rozkazy niby nie zmuszały go do dokładnie takiego prowadzenia starcia, ale prawdopodobnie nie będzie miał luksusu humanitaryzmu i szefostwo postanowiło dać mu jasno do zrozumienia, że nie jest to wymagane.

Takie sytuacje ciążyły mu w przeszłości.

Ekstremalne sytuacje wymagały ekstremalnych działań, to było jasne i Eric nie wahał się, gdy trzeba było zrobić to, co konieczne... po prostu czuł się niekomfortowo, gdy tego typu działania były z góry formalnie zatwierdzone.

Zdecydowanie wolał podejmować trudne decyzje na własną odpowiedzialność, a potem szefostwu lub sądom zostawić ocenę, czy przekroczył swoje uprawnienia. Nie czuł potrzeby, by prawo go chroniło na wypadek bezpodstawnych złych działań – i nie chciał tego.

Coś takiego wyszło już wtedy, gdy zaciągnął się do służby.

Stany Zjednoczone wciąż były wtedy uwikłane w wojnę z terroryzmem, choć pieniądze się kończyły i coraz więcej walk prowadziły maszyny... jeszcze przed porozumieniem z Miami, które tego zakazało.

Wielu żołnierzy, których Eric znał, przekroczyło granice. Granice moralności, granice prawa. Działo się to w strefie walk i w większości przypadków zajmowała się tym żandarmeria... znacznie ciszej, niż Eric by to załatwił, ale pewnie dlatego nigdy nie wstąpił do żandarmerii.

Oczywiście słyszał o tych przypadkach, ale jako pilot był dość daleko od prowadzonych w tych sprawach dochodzeń. Zaczernione miejsca, nadzwyczajne interpretacje, wszystkie te cuda były domeną Hollywood. Jasne, zdarzały się, ale Eric ich nie widział... aż w końcu zobaczył.

Potrząsnął głową, odpychając niechciane wspomnienie.

Nie wszystko, co zrobił w ciągu swojej kariery, napawało go dumą – nawet te działania, które były konieczne. Czasami trzeba było odwalić brudną robotę, która była niezbędna, by inni mogli żyć w spokoju. Nie był z tego dumny, ale też tego nie żałował.

Denerwował się natomiast, gdy prawo mówiło, że to jest w porządku.

Czasami coś trzeba było zrobić, ale mimo to nie należało tego sankcjonować. Każde takie działanie powinno być traktowane jako nadzwyczajne i oceniane indywidualnie.

Wojsko tego nie lubiło, politycy tym bardziej. Ani jedni, ani drudzy nie chcieli niejasnych sytuacji. Chcieli klarownego prawa wyrzytego w skale. Nieważne, słuszne czy nie – ważne, że legalne.

Teraz Eric po raz kolejny znalazł się w takiej sytuacji, gdy wojsko wyrysowało mu jasne zasady. Ułatwiało sprawę.

„Nie wszystko należy ułatwiać”.

I tak zrobiłby, co trzeba. To, że jakaś sytuacja mu się nie podobała, to był jego osobisty problem, który nie miał wpływu na właściwe wykonywanie obowiązków.

Eric zamknął notatki i w milczeniu przemierzył pokój, kładąc się do łóżka i gasząc światło.

Jeśli będzie miał szczęście, prześpi tranzycję.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

Sandra Hyatt siedziała na stanowisku dowodzenia. Światła były przytłumione zgodnie z ustawieniami nocnymi, na „Bo” trwała trzecia wachta. W jej opinii było to dziwaczne, skoro nie było tutaj dnia i nocy, ale pewnie protokół tak wymagał...

„Pierwsza Flota Solarna” – pomyślała w zadumie, pracując nad dokumentacją, podczas gdy oficer zmiany zajmował się bieżącymi operacjami bez jej ciągłego nadzoru.

Zgrupowanie było solidnie wzmocnione, ale Sandra dobrze wiedziała, z jak wielką przewagą liczebną przyjdzie mu się zmierzyć. Imperium miało znacznie szersze zaplecze, choć jak dotąd z sobie tylko znanych powodów nie zdecydowało się na pełnoskalową akcję.

Zakładała, podobnie jak większość ludzi, że użycie Prometeusza i katastrofa ostatniej próby inwazji nieźle nastraszyły wroga. Od tego czasu Imperium grało w kotka i myszkę, gromadziło informacje, próbując ocenić, czy Ziemia jest warta nieuchronnych strat, jakie z pewnością przyniosłby pełnoskalowy atak.

„Jeśli tak było – pomyślała ponuro – najwyraźniej uznali nas za wartych wysiłku”.

– Sir?

Sandra nawet nie podniosła wzroku, pozwalając dowódcy pokładu zająć się sprawą. W systemie nie było żadnych alarmów, więc nie spodziewała się niczego poważnego. Mimo to przysłuchiwała się rozmowie. Przyda się jej coś na odciążenie uwagi od niewesołych myśli.

– Tak, chorąży, o co chodzi?

– Mamy odczyty zakłóceń zasilania, nie mogę namierzyć źródła.

– Niech spojrzę. Coś poważnego?

– Nie, sir, zakłócenia ledwie przekraczają specyfikację, ale skoro właśnie ukończyliśmy naprawy...

– Słuszna uwaga, chorąży. Tak, widzę. Faktycznie nic takiego, ale przekażmy to do maszynowni. Niech to sprawdzą od razu, ale jeśli nie będzie to nic problematycznego, może to poczekać, aż główny mechanik zacznie wachtę.

– Aye, sir.

– Niezłe oko, chorąży.

– Dziękuję, sir.

Sandra nieznacznie pokiwała głową, zadowolona z wymiany zdań po obu stronach. Cieszyła się, że mimo rozpraszającej, nerwowej atmosfery nikt nie ignoruje drobnych problemów. Zanotowała sobie, by spytać głównego mechanika na pierwszej wachcie, w czym był problem.

„Szkoda, że po naprawach nie mieliśmy więcej czasu na dotarcie”.

Okręt Sojuszu Ziemi „Autolikos”, przestrzeń Imperium

Morgan Passer dryfował centralną „autostradą” biegnącą wzdłuż osi okrętu, jedną ręką przytrzymując się sunącego spokojnie uchwyty, a drugą trzymając tablet z raportem, który właśnie czytał.

Od czasu, gdy Imperium wyruszyło bez ostrzeżenia, ciągnęli podwójne zmiany na „Auto”, głównie katalogując ruchy wroga i oznaczając priorytetowe cele dla Prometeusza. Szczerze mówiąc,

trochę żałował, że nie skierowano od razu soczewek grawitacyjnych obiektu prosto na planetę macierzystą Imperium.

W najgorszym razie na jakiś czas pochłonęłoby to uwagę tych gnojków.

Oczywiście Morgan wiedział, dlaczego nie podjęto takiej decyzji, pomijając nawet moralne implikacje zamiany całej planety pełnej cywilów w stos pogrzebowy. Na początku obawiano się, że nawet gdyby udało się spopielić imperialne naczelne dowództwo, istniały spore szanse na to, że wróg odpowie równie efektywnie, jeśli nie bardziej.

Jak się okazało, były to słuszne podejrzenia.

Silne centralne dowództwo leżało u podstaw każdego imperium w ludzkiej historii, ale żadne z nich nie było cywilizacją międzygwiazdną. Spopielenie świata macierzystego Imperium nie poczyniłoby żadnych ubytków w jego militarnej potędze.

Pokładano nadzieję w tym, że Ziemia wraz ze wsparciem ze strony Priminae i Prometeusza sprawi dostatecznie dużo kłopotów, by nie była warta zachodu.

„No i patrzcie, co z tego wyszło”.

Uchwyt zwolnił tempo, łagodnym ruchem posyłając mężczyznę w stronę grodzi prowadzących na mostek. Morgan przedryfował przez szereg wręg z wprawą nabytą przez lata praktyki. Łagodnie wpłynął na mostek, zgrabnie ujmując uchwyt nad stacją dowodzenia.

Komandor Daiyu Li, jego zastępczyni aktualnie dowodząca na mostku, spoglądała na ekrany jednego ze stanowisk skanowania, wyraźnie zdumiona tym, co widzi.

– Kapitan na mostku.

– Spocznij – odpowiedział Morgan automatycznie.

Nikt nie salutował, jedyną reakcją było usztywnienie postawy, przy czym mało kto oderwał wzrok od swoich zadań. Mikrogravitacja nie sprzyjała tańcom z salutami, więc cały ten cyrk nie mieścił się w protokołach działania załogi Włóczęgi.

Morgan przesunął się w stronę Li i spojrzał jej przez ramię.

– Coś ciekawego? – zapytał z lekkim zainteresowaniem, nieprzesadnie zmartwiony.

Powiedziałyby mu od razu, gdyby działo się coś niepokojącego. Razem z Li mieli ciężki start podczas dziewiczego rejsu „Auto” – on jako dowódca podwodniaków podczas wojny z Blokiem, ona zaś jako wojskowa specjalistka od technologii zakrzywiania czasoprzestrzeni, która stała się podstawą systemów masy przeciwnej.

Nauczyli się jednak razem pracować, a kiedy nadarzyła się okazja, by Li wróciła do marynarki Bloku, zdecydowała się pozostać na „Auto”. Woląca swoją dotychczasową misję i nie chciała zaciągać się na okręt, który prawie na pewno zostałby wcielony do sił obrony systemu Sol.

– Być może – odpowiedziała kapitanowi. – Skanujemy coś, co może być dodatkową flotą przygotowującą się do opuszczenia lokalnego systemu.

– Cholera, następna? Ile ich już jest?

– Siedem flot, choć są nieduże jak na imperialne standardy – odparła. – Setki jednostek, nie licząc pasożytniczych niszczycieli, które, jak wiemy, uczeplone są większych okrętów.

– Kurwa – zaklął kapitan, kręcąc głową z frustracją.

Im więcej danych zbierali, tym gorzej to wszystko wyglądało... ale nic więcej nie mogli zrobić.

– A jakieś lokalne cele, które wyglądałyby obiecująco? – zapytał.

– Owszem, są. – Li uśmiechnęła się blado. – Proszę sprawdzić.

Zaintrygowany, pochylił się nad skanami. Tylko kilka sekund zajęło mu rozpoznanie, o czym mówi Daiyu.

– Czy to jest stocznia? – Nie mógł w to uwierzyć. – Jakim cudem przegapiliśmy ją za pierwszym razem?

– Przegapilibyśmy ją zupełnie, gdyby flota nie aktywowała tam kilku jednostek. Stocznia jest dobrze ukryta w pasie satelitów trojańskich gazowego giganta – wyjaśniła Li.

Morgan powoli pokiwał głową. Widział to na skanach.

– No cóż, świetne oko – pochwalił. – Wrzucę to do następnego pakietu danych dla Prometeusza.

Li przytaknęła i odepchnęła się lekko od pulpitu, by lepiej widzieć wielki centralny ekran. Przedstawiał obraz lokalnego systemu pozyskany ze skanów pasywnych w wysokiej rozdzielczości, które dostarczały szczegółowych informacji o każdej większej planecie

i wartym uwagi miejscu, odświeżanych co kilka minut, o ile nic innego nie wymagało uwagi.

– Tak blisko, a oni nie mają pojęcia – powiedziała łagodnie. – Gdyby tylko wiedzieli.

– Wolałbym, żeby nie wiedzieli – burknął Morgan. – Ale rozumiem. Włóczęgi tak długo podgryzały imperialne systemy... też mam poczucie, że powinni wiedzieć o naszej obecności.

– Są aroganccy – podsumowała Li, wykrzywiając wargi. – Widywałam już takich.

– Może i tak, ale niestety, są dostatecznie silni, by pozwolić sobie na arogancję.

– Co robimy, skoro już wiemy, że się przemieszczają? – zapytała. – Zostajemy tu? Nie powinniśmy wrócić i bronić Ziemi?

Morgan potrząsnął głową.

Chciałby to zrobić. Cholera, najbardziej chciałby wrócić do swojej pierwotnej misji i eksplorować gwiazdy, ale mieli teraz inne zadania.

– Teraz bawimy się w podwodniaków – stwierdził twardo. – A to oznacza, że siedzimy cicho, obserwujemy i meldujemy... a gdy przyjdzie czas, ściągniemy ogień na wroga. To nasze zadanie.

Li pokiwała głową z ociąganiem.

Rozumiał jej opór. Dowodzenie wypełnionym atomówkami okrętem podwodnym nie było marzeniem nikogo przy zdrowych zmysłach, a wymagało ludzi, których zdrowie psychiczne było nie do ruszenia. Nie był pewien, czy sam zakwalifikowałby się do takiej roboty. Sam podczas wojny służył na pokładzie okrętu podwodnego, a większość tego typu jednostek ostatecznie przesiedziała wojnę... jakkolwiek dziwaczne się to zdawało.

Teraz jednak sprawy miały się inaczej.

Jego zadanie, jak przyjdzie co do czego, polegało na nadaniu sygnału do ataku. Był kolejnym ogniwem łańcucha ludzi potrzebnych do uruchomienia broni masowego rażenia, co dawało mu jakąś pociechę. Ostatecznie jednak to jego sygnał sprowadzi gniew niebios na żalosnych gnojników, którym przyjdzie spłonąć.

Może nawet po wszystkim będzie umiał zasnąć.

„Kiedyś”.

Rozdział 10

Miasto centralne, Ranquil

– Admirale, odnotowaliśmy naruszenie naszych granic.

Rael podniósł wzrok z ponurym wyrazem twarzy.

– Meldować.

– Kapitan Sheran i jego eskadra zostali zmuszeni do starcia w przelocie z dwiema imperialnymi flotami.

Rael zeszywniał.

– Czy udało im się uciec?

– Ponieśli straty, ale tak, admirale.

Admirał marynarki wojennej Priminae skrzywił się.

– Proszę przesłać szczegóły na moje stanowisko, przejmuję nadzór.

– Tak jest, sir. Kapitan Sheran zameldował o dwóch flotach. Większa składała się z czterdziestu okrętów, a mniejsza z co najmniej dziesięciu. Złapały eskadrę Sherana w kleszcze i udało im się wymusić starcie w przelocie, z którego nasi wydostali się, choć nie bez strat.

– Rozumiem – skwitował Rael, szybko sprawdzając harmonogram patroli. – Siły Sherana patrolowały... system Benec?

– Zgadza się, sir.

– Dziękuję za meldunek. Proszę wracać do swoich obowiązków.

Rael odprowadził spojrzeniem młodego oficera i zagłębił się w szczegółowy raport.

Jego obawy właśnie się potwierdziły, choć na szczęście kapitan się wykazał, wyprowadzając większość powierzonej mu eskadry z imperialnej pułapki. Stracił w starciu dwie jednostki, odpowiadając zniszczeniami, ale nie odnotowując zestrzeleń.

„Mogło pójść znacznie gorzej, mógł nie przetrwać nikt, kto zameldowałby nam o naruszeniu naszych granic – ale i tak jest to dopiero przedsmak tego, co nadchodzi...”

Rael zwyczajnie nie wiedział, co mogliby teraz zrobić.

Jego siły były mocne, ale Priminae kontrolowali zaledwie garść rozwiniętych światów. Ranquil pod wieloma względami była jedyną planetą spośród ich systemów, która mogła się równać z tym, co meldowano z terytorium Imperium. Nawet Kuźnia zdawała się niewystarczająca w porównaniu ze znacząco wydajniejszymi i liczniejszymi obiektami produkcyjnymi wroga.

A to oznaczało, że musiał rozważyć, co robić, co jego lud ma robić, jeśli stanie się najgorsze.

Obiekt treningowy Priminae, Ranquil

Pułkownik Jeremy Reed nadzorował trening – jego kadra trenerów sił specjalnych nie przerwała pracy mimo ostatnich doniesień z domu. Niestety, praca się nie kończy tylko dlatego, że dostajesz złe wieści, zresztą specjalsi niewiele by zdziałali, wracając na Ziemię.

Jego ludzie byli cholernie dobrzy w swojej robocie, ale przeciwko flocie nie mieli zbyt wielu opcji działania.

„Ale jeśli te gnojki wylądują na Ziemi i postanowią ją okupować... no cóż, prawie mi ich żal” – pomyślał w przyływie czarnego humoru.

W takiej sytuacji ich zestaw umiejętności byłby nie do przecenienia, ale na Ziemi przebywało aktualnie mnóstwo innych specjalsów, którzy spokojnie sobie poradzą z taką robotą. Tymczasem Reed w oczekiwaniu na kolejne wieści będzie mógł zapewnić Priminae równie dobrze wyszkolone siły naziemne na ich własne potrzeby obronne.

Lokalsi byli cholernie zażarci i zdecydowanie nie brakowało im odwagi. Reed z przyjemnością obserwował, jak rozwijają swoje umiejętności pod czujnym okiem instruktorów szkolących ich od chwili przyjazdu na Ranquil. Mimo to niepokoił się, że nie ma w nich ducha walki.

Można wypracować sobie wszystkie umiejętności świata, ale jest coś, czego nie zapewnią żadne konwencjonalne metody szkoleniowe. Większość ludzi nazywała to instynktem zabójcy, wojowniczą naturą czy czymś tego typu. Reed nie miał na to swojego

określenia, ale istotę problemu stanowiło to, że nie miał pewności, że żołnierze, których właśnie szkolił, nie zawahają się lub nawet nie odstąpią od walki, gdy przyjdzie co do czego.

Nie była to rzadkość nawet na Ziemi. Podczas niektórych wojen mniej niż jeden na dziesięciu żołnierzy faktycznie strzelał, by zabić – póki nie poczuł się naprawdę zmuszony. To samo Reed obserwował teraz wśród Priminae. Niepokoiło go jedynie to, że oni mogą nie zdobyć się na atak nawet w obliczu bezpośredniego zagrożenia życia ich samych lub ich dowódcy.

Z dość oczywistych powodów nie było jak tego sprawdzić.

Reed chciał wierzyć, że ludzie to ludzie i nawet ci, którzy mogliby nie podjąć walki w swojej obronie, będą walczyć za swoich towarzyszy. W związku z tym upewnił się, że trenerzy kładli dostatecznie duży nacisk na *esprit de corps*, silne braterskie więzy pomiędzy szkolonymi towarzyszami. Żołnierze mieli być dla siebie jak rodzina, a nawet jeszcze bliżsi.

W głowie Reeda pobrzmiwał jednak także drugi, bardziej racjonalny i cyniczny głos, który kwestionował to, czy Priminae można uznawać za ludzi pod wszystkimi względami. Nie chodziło o to, czy faktycznie byli ludźmi, ale czy można bezpiecznie założyć, że będą reagować dokładnie tak jak ludzie.

Najlepiej wyszkolony wojownik na świecie, ba, w całej Galaktyce, przegrałby z podrzędnym awanturnikiem, jeśli tylko zabrakłoby mu ducha walki. Wyszkolenie liczyło się dopiero wtedy, gdy już podjęło się decyzję o ataku.

On i jego ludzie musieli zadbać, by ta grupa podjęła taką właśnie decyzję.

Życie ich wszystkich będzie od tego zależało.

Nero nie był porywczy.

Świat, na którym dorastał, był jednym z zachowanych przez Priminae w pierwotnym stanie dla tych, którzy podobnie jak Nero cenili sobie prostsze życie, oparte na pracy własnych rąk. Nie był przeciwny technologii, po prostu nie chciał jej jako podstawy swojej codzienności.

Natura jego świata skłoniła go do przyłączenia się do miejscowych sił obronnych, które zajmowały się głównie akcjami ratunkowymi. Żołnierze nie byli tu potrzebni – w takim znaczeniu, jakie poznał później w swoim życiu – choć od czasu do czasu zdarzały się jakieś pomniejsze incydenty.

Wbrew powszechnej opinii nie wszyscy spośród Priminae byli pokojowo nastawieni.

Większość, ale nie wszyscy.

Nero dobrze się sprawdził w swojej pracy, co ostatecznie doprowadziło do powołania go do poważniejszej służby i przeniesienia na Ranquil. Jednak nawet tam nie mieszkał w metropolii, lecz w niewielkim domku w niezurbanizowanym regionie.

Całe jego życie zdawało się prowadzić do tego momentu... a najbardziej dręczącą myślą było to, że nic nie mógł zrobić.

Był liderem swojego ludu, a nie dowódcą floty okrętów, podczas gdy nadchodzący wróg raczej nie miał zamiaru lądować... w każdym razie nie na Ziemi, która najwyraźniej stanowiła jego cel.

Być może z Priminae raczą się obejść inaczej. W tym momencie nic nie było wiadomo i jedyne, co czuł, to narastająca frustracja.

„Jak źle muszą się teraz czuć pozostający tu Ziemianie? Być tak daleko od frontu i czuć się tak jak ja... z pełną świadomością tego, że nawet jakby byli w domu, niczego by nie zmienili...”

Zwariować można.

Imperialny świat Kraike

– Ruchy flot zgodne z dotychczasowymi meldunkami, Wasza Wysokość.

– Widzę je – odparła cicho Emilia Starsbane, poza tym ignorując otaczających ją ludzi.

Jedenaście flot przeznaczono do natarcia. Trzysta czterdzieści okrętów wojennych plus pasożytnicze niszczyciele dołączone do wielu z nich. Najpewniej było to znacznie więcej, niż potrzeba, ale Emilia miała dość pogrywania z ksenosami. Woląła działać zachowawczo i ostrożnie.

Wiele się dowiedziała z misji zwiadowczych, ale ich koszt był zbyt wysoki, by je kontynuować, szczególnie że ksenosi prawie na pewno rośli w siłę z dnia na dzień.

W każdym razie ona by tak zrobiła.

– Wasza Wysokość, proszę... czy mogę...?

Emilia odwróciła się, niezbyt zainteresowana rozmówcą. Był to jeden z ministrów zewnętrznych światów – nie granicznych, ale zdecydowanie odległych od planet centralnych.

– Tak?

– Mój świat...

– Nevari, wiem.

– Twój umysł jest równie imponujący co twa uroda, Wasza Wysokość...

Emilia zdecydowanie wolałaby obejść się bez pustych komplementów. Już dawno przestała wierzyć, że w pięknych słowach może kryć się jakiegokolwiek ziarenko szczerości, przez co każdy komplement wydawał się jej rażącą zniewagą. Jej ojciec jednak zdecydowanie zalecał wstrzymać się od egzekucji głupców z tak błahych powodów.

Tylko raz przeszło jej to przez myśl, w dodatku nie na serio... naprawdę! Ojciec jednak jak zawsze wszystko wiedział.

Emilia potrząsnęła głową, wracając do rzeczywistości. Zmusiła się do słuchania stojącego przed nią mamroczącego idioty, marząc o tym, by wreszcie przeszedł do rzeczy.

– Więc, jak widzisz, Wasza Wysokość, lud jest poruszony nagłym przeniesieniem floty...

„Oczywiście”.

W duchu westchnęła ciężko, ale zachowała niewzruszoną pozę.

– Lud będzie musiał sobie radzić przez jakiś czas, ministrze – odparła chłodno. – Flota jest potrzebna do zduszenia zagrożenia, które wisi nad Imperium i któremu nie można pozwolić istnieć ani chwili dłużej.

– Oczywiście... – Minister skłonił się trzykrotnie i wycofał.

Wtedy Emilia pozwoliła sobie na westchnienie, ale na tyle subtelne, by można je było przeoczyć.

– Nigdy nie miałaś cierpliwości do tego aspektu swoich obowiązków, córko – stwierdził ojciec z pobłażliwym uśmiechem,

pojawiając się u jej boku.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, nieco rozluźniona. Jego obecność zawsze podnosiła ją na duchu, przypominając młode lata.

– Wiem, mówiłeś mi to wiele razy – odparła, zauważając przy okazji, że wszyscy, którzy jeszcze przed chwilą pchali się, by z nią porozmawiać, nagle zajęli się innymi sprawami.

Obecność jej ojca miała widać taki efekt. Chciałaby roztaczać podobną aurę.

– Działania floty rozpoczęły się na dobre – stwierdził, spoglądając na ekran.

Emilia przytaknęła.

– Usuniemy to zagrożenie raz a dobrze.

– Skoro tak życzy sobie moja urocza córka. – Były cesarz uśmiechnął się, ale jego spojrzenie się zmieniło. – A w innym temacie...

Emilia nagle zapragnęła uciec, zupełnie jak w dzieciństwie. Gdy jej ojciec zmieniał temat, nigdy nie wróżyło to dobrze.

– Tak...? – zapytała przez momentalnie spierzchnięte wargi, patrząc podejrzliwie.

– Och, nie bądź taka! – Roześmiał się. – Chcę jedynie przypomnieć ci o innym twoim obowiązku.

Emilia zmarszczyła czoło, próbując się domyślić, o co chodzi.

– O następcy tronu, moje dziecko – zbeształ ją, ubawiony jej nagłym rumieńcem. – No, no, może śliczna córeczka? Ktoś, kto pójdzie w twoje ślady? Posiądzie twoją mądrość?

– Nie ręczę za swą mądrość – wymamrotała, odwracając wzrok.

– Mimo to – odparł – czas rozważyć ten temat.

– Ja... rozważę to.

Jej ojciec uśmiechnął się uszczęśliwiony, skinął jej na pożegnanie i zostawił wpatrującą się w ekrany w daremnej próbie skupienia się na ich zawartości zamiast na jego słowach.

„Niech go szlag”.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan z satysfakcją przejrzał raporty uszkodzeń.

Starcie w przelocie z okrętem Przysiężnych zostało dobrze rozegrane. Dało również okazję do porządnej integracji starych i nowych załóg oraz pokazało, co potrafi Misrem i jej ludzie.

Jak dotąd nie miał na co narzekać, ale i tak robił szczegółowe notatki z każdego detalu, który nie był perfekcyjny, wiedząc, że najgorsze dopiero przed nimi.

„Gatunek-anomalia nie będzie reagował łagodnie na nasze poczynania”.

Jesan wiedział to aż za dobrze.

Terrańskie okręty zetrą się w zażartym zwarciu z imperialną flotą, nie bacząc na własną śmiertelność.

Pod tym względem wrogowie byli jak Imperium.

Ich uzbrojenie oraz wrodzona tendencja do szaleństwa w krytycznych sytuacjach czyniły z nich zagrożenie znacznie większe niż Przysiężni.

Jednak nie to było jego zmartwieniem, tak jak nie to wstrzymywało karzącą rękę Imperium tak długo.

„Superbroń. Wciąż nic o niej nie wiemy”.

Rozumiał decyzję cesarzowej, by zakończyć tę historię od razu, bez względu na koszty, ale zastanawiał się, czy władczyni miała pełną świadomość, jak wysokie te koszty naprawdę będą.

Jesan utracił honor podczas ostatniej inwazji właśnie dlatego, że nie wiedział, jak silnie ta broń pokieroszuje Imperium... a wiedział na pewno, że poczyni ona zniszczenia wielokrotnie większe, niż jakakolwiek planeta mogła być warta.

Jej Wysokość najwyraźniej uważała inaczej, a on nie podważał jej autorytetu.

Opracowanie strategii nie było jego zadaniem, miał ją jedynie wdrożyć.

Mimo to nie mógł nic poradzić na głęboką niechęć wobec tego, co miało nastąpić.

Rozkazy Jej Wysokości były jednak jasne.

Bez względu na wszystko przeć do przodu i zlikwidować zagrożenie.

Jego myśli wróciły do ostatniego wersetu rozkazów.

Nawet jeśli wróg zagrozi Wieży Imperium. Nawet jeśli zagrozi życiu Jej Wysokości.

Zlikwidować zagrożenie. Choćby stolica miała spłonąć.

Jesan nie wiedział, co wywołało tak ostrą reakcję, ale miał swoje rozkazy i zamierzał je wypełnić. Bez względu na wszystko.

„Otchłań pochłonie nas wszystkich”.

Rozdział 11

Obiekt Prometeusz

Admirał Benoit podniósł wzrok, bo ktoś bezceremonialnie rzucił mu na biurko tablet i właśnie bez słowa wychodził.

– Hej! – zawołał wkurzony do pleców doktora Palina. – Co, u diabła?!

– Miało być rozszyfrowane, jest rozszyfrowane, a teraz chcę wrócić do pracy – odburknął irytujący naukowiec i zniknął za drzwiami.

Benoit miał wielką ochotę trzepnąć gościa w łeb, ale zamiast tego zacisnął zęby i podniósł tablet rzucony przez tego genialnego idiotę.

„No cóż, niby nie jest to niespodzianka, ale wcale mnie to nie cieszy” – stwierdził po chwili lektury.

Rozszyfrowane wiadomości potwierdzały właściwie najgorszy możliwy scenariusz z tych przedstawionych przez dowództwo. Imperium wstąpiło na wojenną ścieżkę, która wiodła prosto na Ziemię.

„Co gorsza, o ile kompletnie nie mijam się z prawdą, czytając między wierszami, wygląda mi to na pieprzoną eksterminację!”

Benoitowi zrobiło się zimno, choć jego biuro miało kontrolowaną temperaturę. Pospieszenie zajął się przygotowaniem odszyfrowanych danych do wysyłki na Ziemię wraz z kluczem deszyfrującym, który Palin przytomnie załączył do pliku.

„Facet jest jak wrzód na dupie, ale, na Boga, jest cholernie dobry w swojej robocie”.

Mimo narzekań naukowca nie było szans, by jakiś asystent wyciągnął cokolwiek z tego szyfru... do tego istotny był czas. Palin po prostu postrzegał komunikację inaczej niż większość ludzi – i jak wielu prawdziwych geniuszy uważał, że to, co przychodzi mu tak łatwo, jest oczywiste i każdy dałby sobie z tym radę.

Benoit nie pierwszy raz ocenił, że talent naukowa z nawiązką wynagradza brak... no cóż, właściwie wszystkiego innego.

Było to wymowne, że takiej oceny musiał dokonywać miesiąc w miesiąc – a nawet częściej – odkąd objął bazę Prometeusz.

Stacja kosmiczna Liberty

– Impuls łącznościowy, ma'am! Z Prometeusza. Tylko dane tekstowe.

– Odbiorę w swoim biurze.

Gracen natychmiast wstała i ruszyła w stronę biura, nie chcąc stracić ani chwili. Obserwatorium z obcą technologią soczewek grawitacyjnych był największym asem w rękawie ludzkości. Prawie na pewno stanowiło też jedyny powód, dla którego Imperium tak długo zwlekało z pełnoskalowym atakiem.

Gorejący słup pojawiający się znikąd i palący stalowe czy ceramiczne pancerze niczym papier to zagrożenie, z którym nawet arogancka potęga Imperium musiała się liczyć. Wszystkie nacje Ziemi liczyły, że groźba wzajemnego zniszczenia ostudzi konflikt tak samo, jak w przypadku dawnych atomowych supermocarstw okresu zimnej wojny.

Ta nadzieja jednak właśnie gasła.

Gracen zamknęła biuro i pospiesznie usiadła do komputera, gdzie znalazła odszyfrowane bieżące zasady prowadzenia walki sił Imperium.

„To by było na tyle”.

Gracen poczuła dziwne otepienie, patrząc na niewyobrażalne rozkazy imperialnej floty, które miały zakończyć istnienie ludzkiego gatunku. Czytała o rozkazach eksterminacji w książkach historycznych, ale nigdy nie widziała ich na własne oczy. Nawet Blok podczas wojny – mimo wszystkich swoich problemów z Zachodem – nie uciekłby się do czegoś takiego.

Ujrzenie tych rozkazów na własne oczy wstrząsnęło kobietą, ale jej nie zaskoczyło.

Tak naprawdę najważniejsze były nie rozkazy, ale klucz deszyfrujący dołączony do pliku.

„Muszę to szybko przekazać całej naszej flocie” – pomyślała Gracen.

Niestety, nie było to takie proste, szczególnie jeśli chodzi o transmisję do niedużych jednostek. Komunikacja z Włóczęgami i Archaniołami ze względu na pobór mocy ograniczała się zazwyczaj do z góry ustalonych połączeń.

„Nadam to najpierw do Erica, a on przekaże wieści dalej, gdy nadarzy się okazja”.

Pospiesznie przygotowała nową paczkę danych i dodała do listy pakietów, które zostaną wysłane następnym impulsem łącznościowym. Nadała plikom dostatecznie wysoki priorytet, by na pewno dotarły bezpośrednio do Erica od razu po ich odebraniu.

Potem zajęła się bieżącymi sprawami stacji. Sieć Kardaszewa zakończyła właśnie diagnostykę, wszystkie aktualnie aktywne satelity zgłosiły zielone światło. Kolejne były w produkcji, co oznaczało, że sieć jest tymczasowo osłabiona.

Każda jednostka, która przechodziła proces powielania się, była na czas produkcji wyłączona z sieci. Zazwyczaj trwało to nieco ponad tydzień na jednostkę. Na początku stacja pracowała ze stuprocentową wydajnością produkcyjną, przedkładając budowę sieci ponad bieżące właściwości obronne, ale na dłuższą metę takie poziomy były niemożliwe do utrzymania, jeśli sieć miała działać w momencie, gdy akurat będzie potrzebna.

Aktualnie poziom produkcji ustalono na dziesięć procent, a pozostałe dziewięćdziesiąt procent ładowało się i kierowało moc do kondensatorów, innych jednostek czy tam, gdzie była potrzebna.

Krzywa produkcji wciąż miała charakter wykładniczy, choć była znacząco bardziej płaska niż w początkowym okresie gwałtownego rozrostu, podwajając liczbę jednostek mniej więcej co tydzień.

„Byłoby miło, gdyby Imperium przekazało nam jasny i klarowny harmonogram ataku, ale zapewne podstawowe zasady grzeczności ich przerastają”.

Gracen pozwoliła sobie na słaby uśmiech, po czym przeszła do kolejnych projektów, które nadzorowała.

Sala konferencyjna

Prywatny hotel, Nowy Jork

Hotel Majestic miał bogatą przeszłość, o której większość ludzi nie miała pojęcia, a jedynie garstka wciąż żyjących słyszała jakieś strzępki informacji. W tym budynku podpisano więcej umów handlowych niż we wszystkich bankach w mieście razem wziętych... przynajmniej jeśli chodzi o faktyczną wartość tych umów.

Teraz jednak w hotelu odbywało się spotkanie zupełnie innego rodzaju, a u szczytu stołu stał niejaki Burt Connors.

– Nim zaczniemy – powiedział zdecydowanym tonem – nalegam, by każdy został przeskanowany pod kątem urządzeń nagrywających. Ta dyskusja nie może być w żaden sposób utrwalona.

Wzdłuż stołu poniosły się niezadowolone pomruki, ale nikt spośród zgromadzonych kobiet i mężczyzn nie zaprotestował, gdy na salę weszła ekipa skanująca. Pomieszczenie było ekranowane i dźwiękoszczelne, telefony zamknięto w zabezpieczonych pojemnikach, a mniejszą elektronikę zwyczajnie zapakowano do torebek i wyniesiono z sali do czasu zakończenia spotkania.

Uczestnikom rozdano długopisy i notesy.

– Lepiej, żeby to było coś mocnego, Burt. Na dzisiejszy wieczór miałem zaplanowaną szczególną randkę – powiedział jeden z mężczyzn z mieszaniną irytacji i fanfaronady.

– Efrem, wszyscy wiemy o twoich... „miłosnych” zwyczajach. – Burt przewrócił oczami, nie chcąc wysłuchiwać przechwałek o kolejnej zdobyczy bogacza.

Jasne, miliardy na koncie bardzo ułatwiały nawiązywanie znajomości bez względu na upodobania, ale większość ludzi jednak wolała, by ich życie prywatne pozostawało prywatne. Efrem tymczasem wyraźnie dążył ku normalizacji tych mniej akceptowalnych poczynań swoich i swojej rodziny.

Oczywiście nie było to nic wyjątkowo nieetycznego, niemniej do publicznej wiadomości dotarły plotki o niejednym niesmacznym ekscesie. Burt miał jedną prostą zasadę. Działania wychodzące na światło dzienne były dobrą miarą tego, co pozostawało ukryte wśród cieni. W związku z tym starał się trzymać z dala od historyjek Efrema, mając przeczucie, że jest to jedynie wierzchołek góry lodowej.

Omiótł spojrzeniem obecnych, z których większość należała do najbogatszych ludzi w kraju... i kilku innych krajach. Technologia masy przeciwnej pozwalała na łatwy transport po niskiej orbicie, co oznaczało, że można się było dostać skądkolwiek gdziekolwiek w ciągu paru godzin.

– Kilka dni temu przygotowałem ofertę rekrutacyjną – zaczął, otrzymując w odpowiedzi znudzone spojrzenia. Nic dziwnego, wszyscy cały czas prowadzili rekrutację do swoich małych projekcików. – Ofertę, którą miałem okazję przedstawić komodorowi Westonowi... teraz już wiceadmirałowi Westonowi.

To już wywołało jakieś poruszenie.

Zarówno sama osoba rekrutowana, jak i jej nowy stopień.

Wojskowe awanse, szczególnie na stopnie admirałskie, były zazwyczaj z góry planowane na dogodny moment i synchronizowane z wojskowymi ceremoniami. Choć dla wszystkich było jasne, że Weston najpewniej zasłużył na awans, był on jednak zdecydowanie poza harmonogramem, a to zawsze oznaczało, że dzieje się coś nieprzewidzianego.

– Jezu... – Jeffery Peck przewrócił oczami. – Co znowu się dzieje?

– Nie wiemy – odparł Burt – ale jest to coś poważnego i jestem pewien, że mamy mało czasu.

Connors z ponurym rozbawieniem stwierdził, że właśnie wsadził kij w mrowisko.

Wszyscy rozmawiali z wielkim poruszeniem, przekrzykując jedno drugie bez żadnej próby zrozumienia się nawzajem. Burt pozwolił na to przez dłuższą chwilę, znając naturę zgromadzonego towarzystwa.

Większość ludzi miała tendencję do porządkowania rzeczywistości i układania jej w rankingi, nawet pod względem bogactwa. Wydawało się im, że tytuł najbogatszego człowieka świata coś znaczy.

Mylili się.

Prawdę mówiąc, większość bogactwa zgromadzonego w sali konferencyjnej była umowna. To tylko cyfry w tabelach. Burt znał niejednego miliardera, który żył od pierwszego do pierwszego, ledwo mieszcząc się z rachunkami w faktycznych dochodach z upłynionych środków. Większość bogactwa była zamknięta na

giełdzie wraz z pieniędzmi inwestorów, a to czyniło je... trudnym do upłynnienia.

Od pewnego momentu trudno było już odróżnić prawdziwe bogactwo od umownego. Każdy, komu chciało się liczyć, patrzył na umowne kwoty. Każdy, kto miał choć ćwierć mózgu, nie przejmował się ani jednymi, ani drugimi.

Ludzie zgromadzeni w sali konferencyjnej mogli sobie pozwolić i zdecydowali się inwestować w statki kosmiczne. Prawdę mówiąc, to był aktualny szczyt bogactwa.

– Moje kontakty w wojsku i w rządzie oficjalnie zamknęły wszelkie możliwości zdobycia informacji w tym temacie – powiedział Burt, gdy podniesione głosy w końcu zaczęły trochę cichnąć.

– A nieoficjalnie?

– Pierwsze ostrzeżenie przekazał mi między wierszami sam Weston, mówiąc, że życzy jak najszybszego sukcesu mojego przedsięwzięcia zarówno mnie... jak i wszystkim o podobnych planach. I tak, wyraźnie podkreślił to słowo.

To do reszty uciszyło wzburzone towarzystwo.

– Zwołałem to spotkanie grzecznościowo – ciągnął Connors. – Komu się to nie podoba, może wyjść. Mimo wszystko myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc. Efrem, ostatnio doszły mnie słuchy, że nie jesteś w stanie pozyskać dostatecznie dużo tytanu do osłon ablacyjnych?

Milioner skrzywił się, ale po chwili przytaknął.

– No cóż, Andre... – Burt spojrzał w stronę innego mężczyzny. – Chyba mógłbyś pomóc w tym temacie, dobrze myślę?

– Mógłbym – odparł Rosjanin po dłuższej chwili. – Ale co będę z tego miał?

Burt powstrzymał chęć wywrócenia oczami na tak przewidywalną odpowiedź.

– Tak się składa, że mam zapas serwerów kasetowych nowej generacji – odpowiedział. – Wystarczająco dużo na przyzwoitą konfigurację klastrową.

– *Da* – przytaknął Rosjanin. – Teraz słucham.

– I dobrze. Sugeruję, byśmy wszyscy zaczęli kombinować, jak możemy przyspieszyć nasze projekty. Bierzmy się do pracy.

Obiekt Prometeusz

Edward Palin nie przywiązywał wagi do szczegółów, które nie mieściły się w polu jego zainteresowań.

Sądził, że poza swoim polem działania i tak nie może nic zrobić, więc przesadne rozciąganie wysiłków uważał za stratę czasu i energii. Mimo to po odszyfrowaniu imperialnych rozkazów zorientował się, że nie umie myśleć o niczym innym... nawet o swoich badaniach.

W oparciu o naukową metodologię już od jakiegoś czasu domyślał się, że Imperium jest na tyle szalone, by porwać się na taką głupotę. To akurat stało się jasne w chwili, gdy ludzie prześledzili pochodzenie Drasinów do imperialnego źródła.

Stanąc twarzą w twarz z takimi faktami to była jednak zupełnie inna sprawa i Palin nie mógł przestać myśleć o wiadomości wyrytej w jego głowie. O zestawie oficjalnych rozkazów, które nie tylko zezwalały, ale nakazywały wojskową eksterminację ludzkości.

To nie było zwyczajne szaleństwo, to wychodziło o wiele dalej.

Działania dyktowane szaleństwem nie mogły być tolerowane do takiego poziomu, nawet Palin to wiedział.

I tak, zdawał sobie sprawę, jak inni go postrzegali. Po prostu zazwyczaj go to nie obchodziło.

Teraz jednak było inaczej.

Wstał, odsuwając na bok swoje projekty i badania nad starożytnym repozytorium danych, które znaleźli w obiekcie. Rzecz jasna większość z nich obejmowała informacje astronomiczne. Były bezcenne dla astronomów, ale bez odpowiedniego kontekstu mało wartościowe dla kogokolwiek innego, a właśnie kontekstu nie udało mu się jeszcze ustalić.

Zamiast tego jego myśli orbitowały wokół imperialnych komunikatów i szyfrów.

Było ich więcej, ale nie złamał ich wcześniej, bo nie miały dostatecznie wysokiego priorytetu dla admirała, by ten wpadł do laboratorium, domagając się działania... ale skoro Palin złamał właśnie jeden z nich, postanowił zerknąć na pozostałe.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

Eskadra zwolniła poniżej prędkości światła, zbliżając się do systemu Priminae, w którym Imperium polecilo narobić kłopotów.

Pierwotne zlecenie od komandora floty brzmiało dość zwyczajnie i Steph dotąd nie zaprzętał sobie nim głowy. Jednak ostatnie działania Imperium stawiały wszystko w innym świetle, a Steph zrobił się bardziej podejrzliwy, przeglądając ograniczone skany pozyskane podczas przelotu.

– Nic niezwykłego się nie dzieje – stwierdził. – Nie widzę śladów imperialnych czujek.

– To nie znaczy, że ich tu nie ma, szefie – ostrzegł Tyke.

– Jakbym nie wiedział. – Steph westchnął.

Był w kropce i nie wiedział, co robić.

Jeśli dalej będzie wypełniał rozkazy Imperium, zachowa przykrywkę Archaniołów, ale być może za cenę pokrzyżowania planów obronnych sojuszników. Zważywszy na powagę zagrożenia, nie chciał ryzykować.

Przykrywka jednak wciąż była bardzo cenna.

Steph zacisnął szczęki.

– No dobra. Daj znać reszcie, bierzemy się do roboty.

– Tak jest, rozpuszczę wici.

Rozdział 12

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Koniec alarmu tranzycyjnego. Powtarzam, sygnał bezpieczny ze stanowisk tranzycyjnych. Alarm zakończony.

Eric wytoczył się z pryczy. Czuł, że żołądek pragnie odbyć pilną rozmowę z jego mózgiem, ale żaden z organów nie był w stanie dojść do siebie.

„Uch. Może próba przespania tranzycji to nie był najlepszy pomysł” – pomyślał, biorąc kilka oddechów, nim podniósł się na nogi i rozruszał obolałe mięśnie.

Nie był to pierwszy raz, gdy próbował obejść wątpliwą przyjemność skoku tranzycyjnego. Naturalnie wielu przed nim już tego próbowało, ale rezultaty były w najlepszym razie... mieszane. Czasami dało się przespać całą procedurę bez najmniejszego problemu, a innym razem człowieka ogarniał najgorszy senny paraliż, jaki można sobie wyobrazić, zmieniając podróż w koszmarne skok w otchłań bez poczucia kierunku.

Eric poszedł do łazienki i ogarnął się prędko. W zasadzie nie było pośpiechu, ale zawsze czuł się beznadziejnie, póki się porządnie nie umył. Rzut oka na zegar powiedział mu, że podróż na Ranquil przebiegała zgodnie z harmonogramem.

Musiał podyskutować z Raelem – i z uwagi na obecną sytuację musiała to być rozmowa twarzą w twarz. Nie był pewien, jak dokładnie rozwinie się spotkanie, ale co nieco mógł się domyślać.

Priminae byli nieprzygotowani na to, co miało nadejść, nawet bardziej niż Ziemia, więc Eric musiał mieć pewność, że przynajmniej ich przywódcy wiedzą, co jest grane. Jeśli nie wbiją sobie do głowy pewnych faktów, Weston wolał nie myśleć, jakie czekają ich konsekwencje.

Skończywszy toaletę, sięgnął po wiszący w garderobie mundur i przygotował się na nadchodzący dzień.

– Sygnał z planety, ma'am. Wywołują nas.

– Zakodowana odpowiedź, zgodnie z protokołem – odparła Miriam, nie odrywając nawet oczu od swojego ekranu. – To tylko standardowa procedura, chorąży.

– Tak jest. Odpowiedź nadana... jeszcze bez odpowiedzi.

Miriam ukryła w sobie głębokie westchnienie i z niechęcią uniosła wzrok.

– Chorąży. Ten komunikat jest ograniczony do prędkości światła. Proszę sprawdzić dystans i zaktualizować szacunki.

Młodzian przy konsoli zarumienił się wyraźnie, pospiesznie sprawdzając swoje obliczenia ze zboląłą miną.

– Proszę wybaczyć, ma'am. Spodziewany czas odpowiedzi za... cztery minuty.

Miriam przytaknęła krótko i wróciła do pracy, choć w jej myślach kotłował się niepokój.

Wielu najlepszych i najbardziej doświadczonych oficerów zostało ściągniętych gdzie indziej, by objęli własne dowództwo i wzmocnili siły Terran. Wobec takiego braku przeszkolonych załóg było nieuniknione, że „Odyseusz” i inne okręty floty zostaną obsadzone wyjątkowo dużą liczbą żółtodziobów.

W normalnych warunkach byłoby to odrobinę irytujące – nic, z czym nie poradziłiby sobie w odpowiednim czasie.

Ale teraz? Miriam naprawdę zaczynała się obawiać, że los nie będzie tak łaskawy, by mieli czas cokolwiek naprostować. Dyskretnie wstukała kod, który umożliwiał jej podgląd systemu łączności na jej osobistej konsoli, i upewniła się, że nie popełniono żadnych znaczących błędów.

Szczęśliwie jej obawy okazały się bezpodstawne. Poza nieuwagą chorążego nic innego nie rzuciło się jej w oczy, toteż zostawiła żółtodzioba z jego obowiązkami. W tej samej chwili usłyszała cichy brzęczyk oznaczający, że pokład admiralicji nie był już pusty.

Pojedynczy gest przywołał bezpośrednio łącze do admirała, a po kilku sekundach na ekranie pojawiła się twarz Westona.

– Dzień dobry, admirale – powitała go Miriam radośnie, zauważając lekko niezdrowy wygląd Erica. – Miał pan udaną

tranzycję?

– Proszę nawet nie zaczynać, pani kapitan – zachnął się Eric z krzywym uśmiechem. – Admirał nie jest dziś w nastroju na żadne przepychanki.

– Przyjęłam, sir – odparła Miriam z humorem. – Wkraczamy do systemu Ranquil, właśnie oczekujemy na odpowiedź.

– Bardzo dobrze, pani kapitan. Nim trafimy na orbitę, będę siedział nad papierkową robotą.

– Zapowiada się lekki rejs aż do przystani, sir. Powinniśmy dać sobie radę.

– W takim razie proszę robić swoje.

Ekran pociemniał i Miriam wróciła do pracy, nim po kilku minutach chorąży znów przerwał bieg jej myśli.

– Komunikat odebrany i zatwierdzony, skipper.

– Dobrze. Nawigacja, sprowadźcie nas na orbitę Ranquil zgodnie z lokalnymi zasadami.

– Aye, ma'am. Zmniejszam dystans, nowy kurs na orbitę Ranquil. Ścieżka lokalna otrzymana, zezwolenie potwierdzone. Obieram trajektorię w głąb systemu.

Ranquil

Rael Tanner cieszył się na przybycie terrańskiej floty. Dobrze będzie zobaczyć się z kapitanem...

„Ach nie, admirałem! Muszę to zapamiętać” – poprawił się w myślach.

Dobrze będzie zobaczyć się znów z Westonem.

Okoliczności spotkania pozostawiały rzecz jasna wiele do życzenia, ale wyglądało na to, że los nigdy nie będzie im tu sprzyjał.

– Admirale, otrzymujemy raporty dotyczące terrańskiego... zgrupowania.

Rael zmarszczył brwi.

– Słucham?

– Chyba będzie lepiej, jak pan sam zobaczy.

Rael skinął głową i przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, by spojrzeć na raport. Szybko sprawdził też wyniki skanowania, na

którym go oparto.

– No proszę, trzeba przyznać, że rozbudowali swoją flotę.

– Tak, sir.

„I to są siły, które Terranie wystawiają poza macierzystym układem”.

Wobec tego trudno było mu powstrzymać się od zastanawiania się, jakie karty jeszcze trzymali w rękawie.

„Zapewne przyjdzie się nam o tym przekonać, niestety”.

– Bardzo interesujące, dziękuję za zwrócenie na to mojej uwagi. Kontynuujcie.

– Tak, admirale!

„Odyseusz” wprowadził Pierwszą Flotę na orbitę Ranquil, a następnie zawisnął łagodnie nad planetą, utrzymując się znacznie powyżej wyznaczonego pułapu bezpieczeństwa.

– Otrzymaliśmy zezwolenie na lądowanie promu na powierzchni, admirale.

Eric wstał i skinął głową.

– Zawiadomcie panią kapitan, że wybieram się na ląd.

– Tak jest, admirale.

Eric zabezpieczył swoje stanowisko pracy i skierował się ku windom.

Wiedział, że ta chwila wytchnienia nie potrwa długo. Głównym zadaniem Pierwszej Floty było objęcie szpicy przed wrogim uderzeniem. Nic nowego, musiał przyznać, względem jego poprzednich zadań... Tylko szpica zrobiła się znacznie większa.

W praktyce mieli zastąpić drogę najeźdźcom i rozpocząć kampanię nękania sił wroga. Rzecz w tym, że ogólnie jest w... dobrym tonie, aby przynajmniej powiadomić sojusznika, zanim zaczną się prowadzić manewry floty pośrodku jego terytorium.

Nie spodziewał się, by Priminae mieli robić im jakiegokolwiek trudności, ale nawet podczas wojny – a może zwłaszcza wtedy – maniery mają znaczenie.

Ranquil

Rael wybrał się na górne lądowisko promów niedługo po tym, jak oficer wachtowy poinformował go o planach Erica. Była to zresztą ta sama platforma, na której pierwszy raz spotkali się twarzą w twarz, już jakiś czas temu.

Pierwszym, co rzuciło mu się w oczy, gdy terrański statek zajmował pozycję nad strefą lądowania, było to, że na razie nie dokonano zbyt wielu zmian w projektach tych jednostek. Gdy znało się tempo, z jakim Terranie lubili posyłać kolejne okręty w przestrzeń, brak wyraźnych zmian w tym jednym obszarze wydał mu się interesujący.

Duży pojazd był wielokrotnie większy niż podobne jednostki Priminae i z pewnością sprawiał solidne wrażenie.

Zawisł na chwilę w powietrzu, jakby balansował na słupach ognia, po czym łagodnie opadł na miejsce z wysuniętym podwoziem, które miało przejąć jego ciężar. Ciepło bijące od platformy kontrastowało silnie z mroźnym powietrzem, które hulało wysoko nad wielką piramidą miasta.

Gdy tylko podwozie dotknęło podłoża i zaczęło przejmować ciężar statku, pilot wyłączył układ sterujący grawitacją i cały pojazd osiadł na miejscu z głuchym łoskotem, wyraźnie słyszalnym nawet ponad jękiem wygasających silników.

Rael uśmiechnął się na widok znajomej postaci – choć odzianej w nowy mundur – która zaczęła schodzić po rampie, nim ta zdążyła ułożyć się stabilnie na lądowisku.

– Ericu – zawołał Rael, wychodząc naprzeciw – witamy ponownie.

– Zawsze miło was tu odwiedzić, Raelu – odparł Eric ze swobodnym uśmiechem. – Ale chciałbym choć raz mieć chwilę, by podziwiać tutejsze widoki.

Rael westchnął, a na jego twarzy wyrysowało się coś pomiędzy ponurą rezygnacją a prawdziwą troską.

– Rzeczywiście zwykle spotykamy się w złą godzinę.

– Taki los – stwierdził Eric. – Przynajmniej na razie.

Rael pokiwał głową z powagą, ale odzyskał rezon.

– Zanim zapomnę: gratuluję awansu, admirale.

Eric roześmiał się w głos i przewrócił oczami.

– Dali mi więcej okrętów, no to trzeba było podnieść mi stanowisko. Cóż, na wojnie najwyraźniej tak bywa.

– Być może, ale nie mam żadnych wątpliwości, że na to zasługujesz.

Eric poklepał drobnego towarzysza po ramieniu, gdy odwrócili się i zaczęli się oddalać od wciąż wyjącego promu.

– Obawiam się, przyjacielu, że jesteś odrobinę stronniczy.

– Nic z tych rzeczy – zaprotestował Rael, gdy weszli do pobliskiego budynku, zostawiając chłód za sobą. – Jaka może być lepsza rekomendacja niż opinia kogoś, kto skorzystał tak bardzo na twoich umiejętnościach?

Eric odpowiedział do wtóru zatrzaszkujących się drzwi.

– Wierchuszka patrzy na to nieco inaczej, przyjacielu.

– Tym większa szkoda.

Eric zasiadł wraz z Raelem w jego biurze w centrum dowodzenia Priminae.

– A więc – podjął Rael z za swojego stanowiska – prawdziwie zła godzina.

Eric przytaknął i poprawił się w fotelu dla gości.

– Przechwyciliśmy i rozszyfrowaliśmy część rozkazów Imperium. Nie wygląda to dobrze.

– Rozumiem. A więc Imperium jest już zdecydowane na te działania?

– To się okaże, ale oni sami tak sądzą – przyznał Eric. – Zobaczymy, jak bardzo będą pewni swego, kiedy pójdą na całość. My też trzymamy sporo w odwodzie, zanim okręty nie zajmą pozycji, a ludzie będą gotowi do akcji.

– Ach tak – powiedział Rael z rozwagą.

Sam był przekonany, że Terranie trzymają w zanadrzu kilka sztuczek, niemniej był nieco zaskoczony otwartością Erica.

– Czy mogę spytać, w jakim stopniu jesteście zdania, że sprawy przyjmą inny obrót?

Z ust Erica dobyło się ciężkie westchnienie.

– Wykładamy karty na stół, admirale?

Rael nie do końca rozumiał ten zwrot, ale uznał kontekst za wystarczającą odpowiedź.

– Jeśli nie masz nic przeciwko – stwierdził.

– Cóż, rozkazy Imperium są jednoznaczne – oświadczył Eric wprost. – W praktyce sprowadzają się do ludobójstwa.

Rael skrzywił się, ale przytaknął.

– Straszliwe zadanie. Sądzę, że udało się nam właśnie odnaleźć jedną z różnic, które były powodem odłączenia Priminae od reszty Imperium.

– Wcale bym się nie zdziwił – odparł Eric. – Gdy otwarcie pada taki rozkaz, wiadomo, że żarty się skończyły. To bardzo ważne, abyście wiedzieli, co dokładnie to dla nas oznacza, admirale...

Eric wziął głęboki oddech i odchylił się w fotelu, ważąc kolejne słowa.

– Nie chcę wywołać wrażenia, że dotąd nie traktowaliśmy sytuacji dość poważnie... Nie jest to moim zamiarem ani też nie oddaje to naszego spojrzenia na wcześniejsze kontakty z wami.

– Nigdy nie sądziłem, że traktujecie tę sprawę niepoważnie, admirale – uspokoił go Rael.

Eric pokiwał głową.

– A jednak graliśmy według pewnych zasad. A to zdaniem wielu na naszej planecie ewidentnie nie było odwzajemniane, tym samym przestaje obowiązywać. Aż do teraz zawzięcie walczyłem, by utrzymywać rygor w użyciu siły, bo moim zdaniem tyle jesteśmy warty, ile potrafimy wymagać od samych siebie...

– A jednak teraz ma się to zmienić? – spytał Rael łagodnie.

– Tak. – Eric stuknął znacząco w raport zawierający rozszyfrowane rozkazy Imperium. – Tu mam oficjalny dokument stanowiący, że władze Imperium zdecydowały o masowych mordach na ludności cywilnej.

Rael omiółł dokumenty wzrokiem, by znów spojrzeć na Erica.

– I to zwalnia was ze stosowania waszych zasad?

– Od strony prawnej? Tak. Ale jeśli chodzi o moralną, nadal będziemy starać się ograniczyć ofiary cywilne po drugiej stronie – przyznał Eric ciężko. – A jednak infrastruktura cywilna i temu podobne są teraz na liście dopuszczalnych celów. Gdy tylko

Imperium zaatakuje nasze siły, bijemy na odlew. Czekają ich nieprzyjemności, admirale.

Rael przytaknął powoli.

– To raczej mnie nie dziwi, ale czy faktycznie będziecie w stanie tak zrobić?

Eric stłumił odruch, by rozejrzeć się po pomieszczeniu w poszukiwaniu ciekawskich uszu.

– Dotąd nie ujawniliśmy pewnych środków, które są w naszej dyspozycji – podjął Eric ostrożnie. – I wciąż mamy... opory, by uczynić to oficjalnie. Spodziewam się, że to dosyć zrozumiałe.

Rael musiał ukryć wyraz głębokiej frustracji, bo rozumiał to aż za dobrze. Jego własna rada często zmuszała go do tuszowania określonych faktów, by uprościć sobie życie. Wątpił, by było to łatwiejsze z informacjami na tym poziomie, zwłaszcza że dotyczyły zapewne potężnej broni.

– Słup ognia znikąd, jak sądzę, może być takim... środkiem? – podsunął.

– Dokładnie. To do wiadomości twojej i tych, którzy NAPRAWDĘ muszą wiedzieć – podkreślił Eric. – Żeby było jeszcze dziwniej, samo urządzenie jest w zasadzie ciekawostką akademicką.

Wyraz twarzy Raela zdradzał autentyczne zaskoczenie.

– Naprawdę?

– Naprawdę – przytaknął Eric z cichym parsknięciem. – Osobiście nigdy tam nie byłem, ale to starożytna konstrukcja. Potencjalnie niebezpieczna tylko w relatywnie wąskim polu ostrzału... co zresztą jest funkcją zupełnie przypadkową względem jej faktycznego zastosowania.

– A jakie jest to faktyczne zastosowanie? – spytał Rael zupełnie już zbity z tropu.

– To obserwatorium – oznajmił Eric krótko, na co Rael jedynie zamrugał z niezrozumieniem. – Prawdopodobnie najwspanialsze tego typu urządzenie, jakie w ogóle potrafilibyśmy sobie wyobrazić, ale wciąż tylko elegancki przykład obserwatorium opartego na soczewkowaniu grawitacyjnym.

– Yhm – mruknął Rael z wahaniem. – Słyszałem o takich urządzeniach, choć przyznaję, że nigdy nie rozważałem budowy

takiego obiektu. Ale jak coś takiego może stać się superbronią z naszych raportów?

– Trzeba skupić energię pobliskiej gwiazdy poprzez soczewkę grawitacyjną i przepuścić ją przez dość przerośnięte działo T.

Raport, który Rael wertował okazjonalnie podczas ich rozmowy, nagle wypadł z jego zdrętwiałej dłoni.

– A niech mnie... – wydukał. – I zamierzacie znowu to wykorzystać?

– Dokładnie.

Rael bez cienia przesady stwierdził, że zwyczajnie nie mieści mu się to w głowie.

„Terranie mają nadzwyczaj nietypową definicję słowa... nieprzyjemność”.

Osobiście skłaniałby się raczej ku określeniu „absolutne szaleństwo”.

Rozdział 13

Akademia wojskowa, Ranquil

Pułkownik Reed obejrzał się, gdy duży wahadłowiec podchodził do lądowania, zerknął na zegarek, pokiwał do siebie głową, odłożył swoją pracę i poszedł w stronę lądowiska. Poinformowano go, że admirał pojawi się na krótką rozmowę o sytuacji i spodziewanych nowych obowiązkach Reeda.

Odpowiedział na kilka pozdrowień. Wielu oficerów nowych Sił Zbrojnych Priminae przeszło jego szkolenie lub pomagało mu szkolić innych w ramach własnego dokształcania. Na tym etapie Reed znał już chyba większość miejscowych oficerów – jeśli nie z nazwiska, to przynajmniej z widzenia.

Gdy dotarł na platformę, admirał właśnie wysiadał, bez słowa odpowiadając salutem na salut Reeda. Pułkownik znacznie bardziej przejmowałby się protokołem powitania starszego stopniem oficera, gdyby nie znał admirała. Ci, którzy zdobyli awans w ogniu walki, przywiązywali dużo mniejszą wagę do formalności.

„Jakbym się tak zachował wśród oficjeli, ucieliby mi chyba łeb” – pomyślał Reed z ponurym rozbawieniem, gdy Weston zszedł do niego po rampie.

– Pułkowniku, kawał czasu – przywitał się.

– Kilka trudnych lat. Dla nas wszystkich – przyznał Reed. – Jak się pan miewa?

– Żyję, mimo najlepszych chęci wszechświata – roześmiał się Weston, choć była to wymuszona radość. – Słyszałem, że szkolenie idzie dobrze?

Reed przytaknął.

– Miejscowi mają już solidne wojsko, choć jeszcze niesprawdzone w boju.

– No tak, większość walk rozgrywa się ostatnio w przestrzeni – odparł Weston poważnie. – Spodziewam się, że przynajmniej tutaj może się to szybko zmienić.

Reed zmarszczył brwi.

– Zdecydują się na inwazję?

– Gdy tylko uporają się z Ziemią.

To było bardzo dalekie od tego, co Reed chciałby usłyszeć.

– A nie, jeśli uporają się z Ziemią? – zapytał ostrożnie.

Weston westchnął ciężko.

– Mamy jeszcze kilka pomysłów, ale o ile Imperium nie wstrzyma ataku... zmiotą nas.

– Chryste, blefujemy? – Reed skrzywił się paskudnie.

– Nie... do końca. Możemy im spierdolić plany – stwierdził admirał bez ogródek. – Problem w tym, że mogą wytrzymać to pierdolnięcie i nacierać dalej. Jeśli są zdecydowani na znaczące straty, niewiele więcej możemy zrobić.

– O jak dużych stratach mówimy? – zapytał Reed, ciekaw tym bardziej, że taka wiedza z pewnością poważnie przekraczała jego poziom wtajemniczenia.

– Umiemy zamieniać całe planety w stosy pogrzebowe – odparł Weston bez cienia przesady. – Biorąc pod uwagę fakt, że lokalizacja naszej broni strategicznej jest bodaj najściślej chronioną tajemnicą, jeśli zechcemy... możemy spopielić całe Imperium, nawet jeśli najpierw zbombarduje naszą Ziemię.

– O kurwa. W takim razie dlaczego teraz niczego nie robimy?

– Broń strategiczna, Reed.

Reed znów się skrzywił, ale pokiwał głową.

Broń strategiczna bardzo różniła się od taktycznej. Broń taktyczna była przeznaczona do tego, by jej użyć. Broń strategiczna w idealnej sytuacji po prostu zbierała kurz. Powód był prosty – gdy się ją rzuciło do walki, zrywało to wszelkie hamulce. Wróg nie miał już żadnych powodów, by się powstrzymać, więc jeśli nie był z tych, co cofają się przed zagrożeniem, jedyne, co można było osiągnąć, to pogorszenie sytuacji.

Nie odpalało się broni strategicznej, póki nie było pewności, że nieodpalenie jej będzie gorszą opcją... bo nie da się zamknąć z powrotem puszkę Pandory.

– Rozważaliśmy to – ciągnął Weston – ale problem w tym, że siły Imperium są w ruchu, a zgromadzenie dostatecznej ilości wrogich okrętów w jednym miejscu, gdzie moglibyśmy wycełować, okazało

się niewykonalne. Jedyne, co moglibyśmy osiągnąć, niszcząc ich planety macierzyste...

– To posłanie ich wojska na misję samobójczą. Rozumiem. – Reed potrząsnął głową. – Jakie szanse, że to ich zawróci?

– Marne.

Szli przez teren akademii. Grupy żołnierzy trenowały w różnych miejscach, ale mężczyźni nie zwracali na nich uwagi.

– Wydałem już rozkaz uderzenia na imperialną flotę przebywającą w Układzie Słonecznym – powiedział Weston. – Potem rozkazałem zniszczyć ich stocznnię wojenną. Wiedzą, co możemy zrobić, i wiedzą, że jesteśmy gotowi to zrobić.

Reed zamknął oczy.

– Więc jeśli nadal nacierają, już się to nie zmieni.

Eric pokiwał głową.

– Na to wygląda.

Pułkownik tylko się skrzywił.

– Rozumiem, że mamy nowe rozkazy?

– Ty i twoi ludzie macie się wtopić i zintegrować z lokalną społecznością, jeśli sprawy przybiorą zły obrót – polecił admirał. – Pomożecie Priminae w obronie ich terytorium.

– Nie jesteśmy wzywani z powrotem na Ziemię? – zapytał Reed sztywno.

– Nie, o ile sami o to nie zawnioskujecie – odparł Weston spokojnie. – Ale nim to zrobicie, musicie wiedzieć, że nie spodziewamy się inwazji Imperium.

Reed odwrócił wzrok, ledwo powstrzymując przekleństwo.

„Jeśli nie spodziewają się inwazji, to...”

– Eksterminacja, sir? Naprawdę?

Admirał Weston ze smutkiem pokiwał głową.

– W tej chwili to jest najbardziej prawdopodobny cel ataku.

– Ale dlaczego? Na miłość boską, przecież to nie ma sensu.

– Być może właśnie trafiłeś w sedno – stwierdził Weston ze smutkiem. – Miłość boska.

Reed jęknął.

– Religia? Lata świetlne od Ziemi i znowu musimy się uporać z tym samym głównem?

– Na to wygląda, choć powodów doszukujemy się raczej w jakimś kulcie niż religii – wyjaśnił admirał. – Większość mieszkańców Imperium wydaje się nie wiedzieć o naszym istnieniu, podobnie jak Priminae... nie mówiąc już o tym, by kogokolwiek obchodziło, co robimy. Na najwyższych poziomach władzy panuje jednak fanatyzm przekraczający wszystko, co moglibyśmy uznać za normalne, nawet na Ziemi. Cesarzowa uznała nas za jakichś ksenosów, których należy natychmiast eksterminować.

– Głupota nie zna granic...

Weston roześmiał się bez przekonania.

– Taki nasz los.

Reed pokiwał głową w zadumie, a myślami był już gdzie indziej.

– Moi ludzie będą chcieli wrócić do domu – powiedział w końcu. – Ich rodziny...

– Są na szczycie list ewakuacji – przerwał Eric. – Sprawdziłem i upewniłem się co do tego, nim opuściłem Ziemię.

– Ewakuacja dokąd?

– To tajne. – Weston potrząsnął głową. – Przykro mi.

Reed nie był uszczęśliwiony, ale należało się tego spodziewać. Zważywszy na skalę zagrożenia, wszelkie próby wywiezienia ludzi poza zasięg ataku musiały być pilnie strzeżoną tajemnicą.

– Przekażę im, choć pewnie nie ma to znaczenia. Nie wracacie do domu, prawda?

– Nie od razu. Wątpię, byśmy wrócili do Układu Słonecznego, nim Imperialni... albo niedługo przed ich przyłotem – odparł Eric.

– Rozumiem. Przekażę ludziom wieści, będą wdzięczni choćby i za to.

– Wiem, że to niewiele, ale... – Weston wzruszył ramionami w geście bezsilności.

– Tyle będzie musiało wystarczyć.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

Eskadra wyrwała się z lokalnej heliopauzy, a dudnienie zasilania ustało, gdy przeszli w nadświatłą. Steph był poirytowany.

Nie działaniem eskadry, lecz przeciwnika. Jednostka Priminae, którą zgodnie z kontraktem mieli zaatakować, stanowiła rzecz jasna trudny cel. Steph nakazał podejście i uderzenie w narzędzia produkcyjne z zachowaniem dystansu do krążowników, które były zbyt potężne dla kanonierek.

Szczerze mówiąc, nie wierzył w to, ale była to dobra wymówka, którą uwzględnił w kontrakcie z Imperium.

Pomijając wszystko inne, był sfrustrowany, bo misja poszła o wiele za dobrze.

– Kurwa. – Tyke przełamał w końcu ciężką ciszę. – Liczyłem, że odepchną nas dużo szybciej.

– Wiem. – Steph potarł twarz. – Ani nie zamierzałem, ani nie spodziewałem się, że zadamy takie straty. Nawet przy tak chirurgicznym podejściu...

Tyke pokiwał głową. Mając do dyspozycji taką broń – a przynajmniej tę, o której Imperium wiedziało – ciężko się napracowali, by nie zamienić starcia w rzeźnię.

– Mam ogromną nadzieję, że Imperium nas obserwowało – mruknął Tyke. – Naprawdę bym nie chciał, żeby to poszło na marne.

Steph nic nie odpowiedział, choć zgadzał się z każdym słowem. Gdy zdecydował się kontynuować misję pomimo zmiany w nastawieniu Imperium, opierał się na założeniu, że utrzymanie przykrywkki jest ważniejsze niż dodanie jednej eskadry do sił obronnych.

Ta logika byłaby znacznie mniej przekonująca, gdyby Imperium nawet nie patrzyło na to, co robią ich najemnicy.

– Co teraz?

Steph nie musiał się nad tym zbyt długo zastanawiać.

– Kontynuujemy misję – odparł twardo.

Krążownik Priminae „Benath Shan”

– Jednostki wroga weszły w nadświatłą, kapitanie.

– Widzę je.

Kapitan Nara Milen potrząsnął głową, sfrustrowany niezrozumiałą sytuacją.

„O co im chodziło? I kim w ogóle byli?”

Nieznane jednostki były... no cóż, nieznane. Projekt nie figurował w żadnej bazie danych. Były zdecydowanie za małe, by stanowić poważne zagrożenie, ale przy tym niewiarygodnie szybkie, zwrotne i zdawały się wręcz przewidywać ruchy przeciwnika.

– Raport uszkodzeń, liczbowo, cały system – rozkazał. – Przerwać pościg, ale nie tracić koncentracji. Jeśli pojawią się jakiegokolwiek zwiastuny ich powrotu, chcę być przygotowany.

– Tak, kapitanie... ale... nie ścigamy ich?

Milen prychnął.

– Z łatwością prześcignęli nas w normalnej przestrzeni. Przypuszczam, że w nadświatłnej nadrobilibyśmy dystans, bo nie ma szans, by ich niewielkie rdzenie, które widzieliśmy na skanach, miały osiągi jakkolwiek zbliżone do naszych... ale wtedy zostawilibyśmy ten system bez ochrony. Na to się nie zgodzę.

– Oczywiście. Tak jest, sir, rozumiem.

Milenowi oczywiście zupełnie się to nie podobało. Ten nowy wróg musiał w jakiś sposób wspierać Imperium... bo któż inny by ich akurat teraz atakował? Kapitan czuł frustrację, że eskadra przeciwnika uciekła, ale niewiele mógł z tym zrobić. Trzeba było posprzątać bałagan i przeszkolić ludzi na popełnionych właśnie błędach.

„Przynajmniej nie zaatakowali ludności. Miła odmiana względem standardowej taktyki Imperium”.

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Boadicea”

– Ma’am, raporty zasilania na podróż.

Sandra Hyatt skinęła głową i podpisała raport, potwierdzając odbiór plików. Zauważyła, że młody oficer ani drgnął.

– Jakiś problem, poruczniku?

– Ja... – zawahał się – nie jestem pewien, ma’am.

– Wyduś to z siebie – poleciła. – Skoro dręczy cię to na tyle, by o tym mówić, nie czas się wahać.

– Chodzi o zużycie energii, ma'am. Liczby się nie do końca zgadzają – powiedział porucznik, potrząsając głową. – Spędziłem kilka godzin na ostatniej wachcie, próbując to rozgryźć, ale...

Hyatt zmarszczyła brwi, wzięła do rąk podsumowanie raportu i przejrzała je.

– Nic nadzwyczajnego nie rzuca mi się w oczy.

– Nie, ma'am, nie w podsumowaniu. Proszę sprawdzić raporty poboru mocy z ostatniej wachty przed tranzycją – wyjaśnił młody oficer.

Poszła za jego radą i patrząc na znacznie węższy zakres danych, szybko wyłapała coś, co nie wyglądało prawidłowo.

– Co to za skok?

– Nie wiem, ma'am, ale jest takich skoków w sumie osiem w ciągu przelotu z Ziemi na Ranquil – poinformował porucznik.

– To niemożliwe. Zauważyłabym coś w podsumowaniu – odparła, przeglądając szybko raporty. Już po chwili natknęła się na kolejny skok poboru mocy.

– Tak, ma'am, zauważyłaby pani... gdyby każdy skok nie był natychmiast kontrowany prawie identycznym lustrzanym skokiem – wyjaśnił, wskazując odpowiednie miejsca w raporcie. – Wygląda to, jakby coś... nagle pobrało ogromną ilość energii, po czym natychmiast zwróciło ją do systemu. Nie rozumiem tego.

– Ani ja – powiedziała Hyatt powoli. – Ale świetna robota, że to zauważyłeś i zgłosiłeś, poruczniku. Być może to nic, ale i tak trzeba to sprawdzić.

– Tak jest, ma'am.

Hyatt odchyliła się na oparcie i po chwili zastanowienia oddała raporty porucznikowi.

– Proszę to zanieść głównemu mechanikowi i pokazać mu, co i jak. Zaraz go uprzedzę.

– Tak jest, ma'am.

– Proszę iść.

Hyatt odprowadziła oficera spojrzeniem, a jej myśli krążyły wokół anomalii. Najpewniej nie było to nic takiego, bo zużycie energii nie równoważyło się w ten sposób. Przypuszczała, że mają do czynienia z jakąś awarią czujnika, ale trzeba to było sprawdzić razem

z milionem innych drobiazgów, które dręczyły „Bo” od czasu ostatnich napraw.

„Potrzebujemy czasu, nim znów nas wrzucą w maszynkę do mięsa... Jasna cholera”.

Niestety, czasu akurat nie miał nikt.

Wróg kontrolował zegar, co stawiało ludzi w bardzo niewygodnej pozycji.

„Gdybyśmy tylko mieli jakiś wybór”.

Rozdział 14

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan Mich przyglądał się z pokładu widokowego połączeniu swojej Trzeciej Floty z Piątą. Dodatek dwudziestu ciężkich krążowników do imperialnej formacji zawsze był mile widziany, ale wcielenie kolejnej pełnej floty jeszcze bardziej fragmentaryzowało łańcuch dowodzenia.

To z pewnością nie ułatwi nadchodzących dni.

„Na tym etapie najprawdopodobniej jesteście już śledzeni, a nasza pozycja jest stale meldowana”.

Jesan był tego całkowicie pewien. Mimo że nie natknęli się na żadne wrogie jednostki wycofujące się przed ich atakiem, Mich zakładał, że przeciwnik po prostu ominął zwiadowców i obserwatorów wysłanych na takie właśnie potrzeby.

Wróg, którego właśnie mieli zaatakować, nie był głupi, nawet jeśli chaotyczny i bezgranicznie brawurowy. Wszak będąc społeczeństwem jednoplanetarnym, był w stanie odeprzeć pełnoskalową inwazję Drasinów.

Z tej przyczyny komandorzy flot nie czuli się gotowi, by w pełni wgrzyźć się w sposób myślenia przeciwnika.

Jesan przewidywał sporo frustracji w najbliższym czasie.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

- Trzecia Flota nadała komunikat powitalny, mój panie.
- Jakże miło z ich strony. – Lord komandor Durwich Gavin wykonał niedbały gest, zbywając zarówno meldującego, jak

i komunikat machnięciem dłoni.

Oficer pojął sugestię i wycofał się pospiesznie, podczas gdy Durwich zwrócił się do swej zastępczyni, komandor okrętu Evy Narim.

– Spotkałaś się już wcześniej z byłym lordem Michem – powiedział. – Jakież spostrzeżenia?

Evy przechyliła lekko głowę, jakby się zastanawiała.

– Inteligentny, podczas misji skupiony na swoim zadaniu, bardzo szanowany przez załogi – odparła.

Durwich prychnął.

– Załóżę się, że w kwestii dyscypliny łatwo daje się urobić.

Evy wzruszyła ramionami, nie odzywając się niepytana.

– Jego porażka z tym... robactwem sprawia, że powątpiewam w osąd Jej Wysokości. Powinien zostać pozbawiony dowodzenia, a nie tylko tytułu lorda, i należało go wysłać na jakieś rubieże, gdzie nie mógłby zakłócać właściwie prowadzonych operacji wojskowych.

– Jako rzeczesz, lordzie.

Durwich wstał, minął swoją zastępczynię, zmuszając ją do ustąpienia mu miejsca i podążenia za nim na pokład obserwacyjny. Otwarta sekcja okrętu pozwalała spojrzeć w otchłań kosmosu. Normalnie była zamknięta, okryta pancernymi płytami, ale mogła stanowić spektakularną lokalizację do zajmowania się sprawami Imperium.

Teraz jednak okoliczności nie sprzyjały kontemplacji.

Widok nie obejmował niczego poza pustką kosmosu z rzadka poprzetykaną bladymi, powoli przemieszczającymi się światłami zgromadzonych okrętów. Jedyne nieliczne dopiero zbliżały się, gotowe do zajęcia miejsca w szyku.

– Czy wiesz, kiedy ostatnio Imperium zgrupowało w ten sposób połączone floty? – zapytał nagle.

– Nie, lordzie.

– Ja też nie wiedziałem – przyznał Gavin – więc sprawdziłem.

Cisza przeciągnęła się na tyle długo, by Evy zrozumiała, że powinna zadać pytanie.

– Czego się dowiedziałeś, lordzie?

– Znalazłem tylko jedną wzmiankę, starszą niż znane nam Imperium – odparł Durwich spod zmarszczonych groźnie brwi. –

Wszystkie zapisy na temat przyczyn starcia i wroga, przeciwko któremu zgromadzono tak wielkie siły, zostały usunięte. Nie ma w zapiskach nic poza samym faktem, że coś takiego miało miejsce i że działo się to przed powstaniem Imperium w dzisiejszej formie.

Evy zmarszczyła czoło.

– Naprawdę?

Lord spojrzał na nią, unosząc brew.

– Naprawdę, komandorze.

Evy potrząsnęła głową.

– Po takim czasie Jej Wysokość wydaje także same rozkazy?

– Są jeszcze bardziej niepokojące – przyznał Gavin. – Nie widziałas oficjalnych rozkazów.

– Nie widziałam – zgodziła się. – Jedynie te zredagowane.

– Hmm – mruknął, wpatrując się w pustkę nieobecny wzrokiem.

– Istnieje jeszcze dodatek do rozkazów. Nie został w ogóle uwzględniony w zredagowanej wersji, którą znasz... usunięto go całkowicie, jakby nigdy go nie było.

– Ja... nie rozumiem.

– A ja tak – odparł Durwich ponuro. – I chcę, byś ty mnie dobrze zrozumiała, komandorze: musimy zakończyć tę kampanię tak szybko, jak to tylko możliwe. Jakiegokolwiek opóźnienia są nieakceptowalne.

Odwrócił się do niej, przyszpilając spojrzeniem.

– Mówię to, bo komandor floty Mich już raz okazał się zbyt miękki na to, co nas czeka. Jeśli będzie utrudniał nam misję, każę zniszczyć jego okręt bez chwili wahania. Przygotuj się, by wprowadzić taki rozkaz w życie, gdy nadejdzie czas.

Evy przełknęła, opierając się pokusie odwrócenia wzroku.

– Tak zrobię, lordzie.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

Steph zaciekawiony podniósł wzrok, słysząc lekkie pukanie w drzwi swojego biura. Zobaczył Millę, zdenerwowaną jak nigdy

dotąd.

– Wejdz – zaprosił ją. – Zrzuć ciężar z ramion i powiedz, co zbroiłaś.

Milla skinęła głową i wemknęła się do biura skulona.

– Wiem, że nie mam doświadczenia w kwestiach wojny – zaczęła, siadając naprzeciw Steph'a – ale to, co właśnie zrobiliśmy...

– Ach. – Steph pokiwał głową. – Tak, wiem.

– To byli moi ludzie.

– Dlatego tak uważnie unikaliśmy ofiar, Milla.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę... niemniej...

– Udawanie wroga nie jest łatwe nawet na szkoleniowych sparingach – odpowiedział Steph po chwili. – A kiedy robisz to naprawdę... Taa, rozumiem cię.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ utrzymując naszą przykrywkę, wzmacniając naszą przykrywkę – wyjaśniał Steph twardym tonem – możemy ustawić się w lepszej pozycji, by pomóc naszym ludziom. Powinienem się był spodziewać, że będziesz miała z tym problem, mimo że rozmawialiśmy o tym wcześniej. Praca pod przykrywką to jedne z najtrudniejszych misji. Ale nie martw się, wątpię, byśmy musieli zrobić coś takiego jeszcze raz.

Milla spojrzała na Steph'a z mieszaniną zdumienia i nadziei.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Steph odsunął robotę, wstał od biurka i przeciągnął się. – Pierwotnie najęto nas, byśmy niszczyli infrastrukturę Priminae i Terran przez kilka tygodni czy nawet miesięcy, ale nowe poczynania Imperium zmieniają zasady.

Steph wolałby mieć trochę miejsca albo chociaż jakieś okno, przez które mógłby spoglądać w przestrzeń, ale ciasne wnętrza kanonierki nie zapewniało ani jednego, ani drugiego.

– Są spore szanse, że Imperialni są zbyt zajęci, by zwracać na nas uwagę, ale nie mogliśmy być tego pewni, dlatego zaatakowaliśmy nasz ostatni cel – wyjaśnił. – Ale spodziewam się, że albo Imperium przekaże nam nowe rozkazy na naszym następnym spotkaniu...

– Albo?

Steph uśmiechnął się drapieźnie.

– No cóż, nasz własny rząd przekazał nam już nowe rozkazy. Wierchuszka nie wiedziała, co właściwie miałyby zrobić z tak małą eskadrą jak nasza, szczególnie biorąc pod uwagę, jak bardzo zdołaliśmy zintegrować się z wrogiem, więc... pozostawiła decyzję w moich rękach.

Steph wyszedł zza biurka.

– Zaatakowaliśmy ostatni cel tylko dlatego, że była to przestarzała infrastruktura, niezbyt znacząca z perspektywy wojny, a uderzając w nią, wzmocniliśmy naszą przykrywkę, jeśli tylko Imperium miało tu obserwatorów. Będzie nam to bardzo potrzebne... już niedługo.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz – odparł Steph lekko. – Nie martw się, zrozumiesz.

Obiekt Prometeusz

Benoit zmarszczył czoło, odczytując przechwycone komunikaty, które udało się rozszyfrować dzięki staraniom Palina.

„Imperium naciera mocno, co do tego nie ma wątpliwości, ale... o ile się nie mylę, zabrali się do tego w dość przestarzały sposób”.

Co prawda nie będzie to miało raczej większego znaczenia, biorąc pod uwagę fakt, że ostatnie szacunki wskazują na ponad trzykrotną przewagę liczebną Imperium nad połączonymi siłami Priminae i Terran... a i to przy założeniu, że każdy terrański okręt uda się na czas doposażyć i obsadzić załogą.

Benoit był boleśnie świadomy, że to ostatnie założenie nie zostanie zrealizowane.

Ułożył komunikaty według ich priorytetu i ustawił do wysyłki następnym impulsem łącznościowym na Ziemię.

Jedną z zalet pracy w instalacji, która dosłownie przechwytywała energię gwiazdy, polegała na tym, że nie trzeba się przejmować zasilaniem. Mimo to nie prowadzili zbyt częstych transmisji, bo może i tachionowa łączność nie była zbyt łatwa do namierzenia, ale zbyt trudna też nie.

Wystarczyło, by ktoś znalazł się mniej więcej pomiędzy dwoma komunikującymi się lokacjami, a ustalenie kierunku sygnału nie stanowiło najmniejszego wyzwania.

W przestrzeni był to nie lada problem, bo kierunkowość bez zasięgu była kompletnie bezużyteczna. Należałoby przeszukać po prostu zdecydowanie za dużą przestrzeń, by takie działanie miało jakikolwiek sens... ale Prometeusz znajdował się na niskiej orbicie gwiazdy, która miała zaledwie kilka innych gwiazd w bliskim sąsiedztwie.

Jeśli ktoś chciałby zgadywać, miałyby spore szanse na dobry traf.

Krótkie impulsy z silnie zaszyfrowanymi danymi miały zminimalizować ryzyko przejęcia sygnału, a własna konstelacja satelitów, którymi usiany był lokalny system, zapewniała odpowiednie namierzanie zbliżających się jednostek.

Ostatecznie siła Prometeusza leżała w tajemnicy jego lokalizacji.

„Ironiczna i... prawie tragiczna sytuacja dla czegoś, co prawie na pewno zostało zbudowane jako świątynia wiedzy” – pomyślał Benoit ze znużeniem.

Doktor Edward Palin próbował wrócić do normalnej pracy po tym, jak jego oprogramowanie deszyfrujące zakończyło proces, ale był zbyt przejęty tym, co znalazł w komunikacji imperialnej.

To było dla niego nietypowe. Normalnie mniej przejmowałby się działaniami wojska. Od początku naukowej kariery stanowiły dla niego co najwyżej środek do osiągnięcia jego własnych celów.

Palin został zrekrutowany jeszcze w liceum. Najlepsze uniwersytety zasypywały go ofertami stypendiów... ale wtedy zaczęła się wojna, a jakiś człowiek z Firmy, jak to zabawnie ujął, pojawił się u niego w domu któregoś dnia przed lekcjami.

Palin spakował się i opuścił dom jeszcze tego samego dnia – nawet nie poszedł wtedy do szkoły. Jego matka zmarła kilka lat wcześniej, a ojciec, który również był naukowcem, nie zawsze pamiętał, że w ogóle ma syna.

CIA zapewniła mu środki, o jakich wcześniej mógł co najwyżej pomarzyć, a w zamian chciała jedynie jakiegoś nudnego deszyfrowania. Działania Bloku, plany kampanii, takie tam.

Nic, co miałyby większe znaczenie z perspektywy Palina. Jego zdaniem jedna grupa autorytarnych dupków niewiele się różniła od

kolejnej, choć cieszył się, że Konfederacja zdołała pohamować zapędy Bloku. Gdyby to się nie udało, wątpił, by udało mu się zdobyć dostatecznie wysokie certyfikaty dostępowe, by uzyskać przydział pozaziemski.

Teraz było jednak inaczej.

Blok, choć podczas wojny przez wielu uznawany za zło wcielone, nigdy nie planował eksterminacji.

To, co przeczytał w rozkazach imperialnych, nie dawało Palinowi spokoju.

Paradoksalnie odnalazł w tym jakąś pociechę i... ulgę? Prawie?

Przez długi czas zastanawiał się, czy jest niezdolny do empatii. Sam fakt jakoś go nie martwił, ale pytanie nie dawało mu spokoju. Mógł uzyskać dostęp do swojego profilu psychologicznego z CIA, z którego dowiedziałby się, czy nie jest socjopatą... ale uznał, że to bez znaczenia. Nie chciał nikomu zrobić krzywdy, po prostu nie zależało mu na nikim.

Nigdy.

Teraz jednak Palin odkrył, że ma w sobie jakąś empatię.

Nie chciał zagłady swojej planety.

Sama myśl o tym go dręczyła. Bardzo.

Było to dla niego nowe doświadczenie. Musiał przyznać sam przed sobą, że jednocześnie jest z tego powodu rozdrażniony, ale i cieszy się z nowo odkrytych pokładów swojej psychiki.

Wszystko to wynikało z bardzo podstawowego aspektu jego osobowości.

Normalnie, gdy napotykał problem, rozwiązywał go. To stanowiło sens jego życia. A obiekt, w którym teraz pracował? To nie była praca marzeń. To pociągałoby za sobą założenie, że umiałby sobie wyobrazić i wymarzyć takie miejsce przed przybyciem do niego.

Było to coś więcej niż marzenie. To był cały jego świat, ważniejszy, niż Ziemia kiedykolwiek była lub mogłaby być. Odnajdywał tu więcej problemów do rozwiązania, niż Ziemia dałaby mu nawet przez tysiąc lat.

A jednak...

Jego wzrok znów powędrował w stronę odszyfrowanych plików Imperium.

„Niech to szlag”.

Mamrocząc pod nosem, Palin zostawił swoją nieukończoną pracę i wrócił do zapisów przekazów komunikacyjnych.

Skoro pojawił się problem, który go dręczył, rozwiąże go.

Nawet jeśli nie miał bladego pojęcia, od czego w ogóle zacząć.

„Gratulacje, Imperium... czy jak się tam zwiecie” – pomyślał ponuro. „Właśnie staliście się problemem do rozwiązania”.

Rozdział 15

Okręt Sojuzu Ziemińskiego „Odyseusz”, orbita Ranquil

– Ma’am, chyba powinna pani na to rzucić okiem.

Miriam obejrzała się zaciekawiona. Prośba nadeszła z nietypowej strony. Oficer łącznościowy zazwyczaj przekazywał jej wiadomości, a nie wołał, by na coś „rzuciła okiem”.

– O co chodzi? – zapytała, podchodząc.

– Szczerze mówiąc, nikt nie ma pewności – przyznał z zawstydzeniem młody oficer, chorąży Straight, o ile kapitan dobrze pamiętała. – Zaczęło się od dziwnych odczytów ze strony „Boadicei”, ma’am.

– Co to znaczy dziwnych?

– Wahania mocy, ma’am.

Miriam zeszytniała. Tych dwóch słów nie chciał słyszeć nikt, kto przebywał na okręcie zasilanym osobliwością. Jest tyle łatwych i przyjemnych rozwiązań na jakieś tam pełne stopienie reaktora w porównaniu z samą myślą o tym, że osobliwość robi się nagle samowystarczalna kosztem okrętu, który zasila.

– Proszę pokazać odczyty.

– Yyy... tak jest, ma’am? – wymamrotał Straight, w pośpiechu przeglądając transkrypcje otwarte w systemie.

Miriam powstrzymała zniecierpliwienie, mając na uwadze, że młody mężczyzna pojawił się na pokładzie zaledwie kilka tygodni temu. Czekala. Czas ich nie gonił, więc mogła pozwolić podoficerowi rozgryźć powierzone mu zadanie w swoim tempie.

Znalazł w końcu poszukiwane informacje, załadował plik i odchylił się, by Miriam mogła przeanalizować wartości.

– Ha... to dziwne – powiedziała w zamyśleniu.

Nagle wyprostowała się gwałtownie i odwróciła na pięcie.

– Ma’am? – zawołał za nią Straight.

– Proszę zostać na miejscu, chorąży. Zajmę się tym, dziękuję za informacje.

– Eee... tak jest, ma'am.

Miriam szła w stronę biura, mając mętlik w głowie.

Widziała już takie wartości. Raz.

– Odyseuszu – zawołała, ledwie tylko weszła do biura i drzwi zasunęły się za nią.

– Ma'am – zgłosił się od razu byt, jakby cały czas był u jej boku.

Co po części było zgodne z prawdą.

– Wiesz, o czym myślę – powiedziała, wpatrując się w Odyseusza.

– Wiem, ale nie umiem odpowiedzieć – przyznał ten ze wzruszeniem ramion. – Pani hipoteza wydaje się jednak możliwa.

Miriam westchnęła, kiwając głową w zamyśleniu.

– No dobrze. Możesz to potwierdzić?

Byt zawahał się, co było dla niego nietypowe, ale po chwili przytaknął.

– Być może będę w stanie, jeśli się zbliżymy.

– No tak – odparła Miriam również z wahaniem.

Z oczywistych przyczyn wołała nie zbliżać ich własnej osobliwości do innej, szczególnie jeśli mogła być niestabilna.

„Albo, co gorsza, zbyt stabilna”.

– No dobrze – zdecydowała w końcu. – Zdobędę jeszcze kilka potwierdzeń i dam ci znać.

– Będę czekał.

Sandra Hyatt skrzywiła się, przeglądając kolejny raport spośród... no cóż, wielu.

Po pierwszych meldunkach o fluktuacjach w systemach zasilania zaczęło się ich pojawiać coraz więcej, a ona nie wiedziała, co ma z nich wywnioskować.

Właśnie zastanawiała się nad tym, gdy sygnał połączenia odwrócił jej uwagę.

Sandra wyciągnęła dłoń nad skaner i machnęła, odbierając połączenie.

– Kapitan Heath do pani, ma'am.

– Proszę łączyć – poleciła Sandra i chwilę później zobaczyła na ekranie twarz kapitan „Odyseusza”. – Pani kapitan.

– Po prostu Miriam, dobrze? – odparła Heath, nie bacząc na protokoły.

– W takim razie Sandra. – Hyatt uśmiechnęła się ze znużeniem. – Trochę czasu minęło od ostatniej okazji do rozmowy.

– Niestety, teraz również nie mamy zbyt wiele czasu – powiedziała Miriam poważnym tonem. – Niech to pozostanie nieoficjalne, ale wasze problemy przykuły moją uwagę.

Sandra skrzywiła się, ale przytaknęła, zupełnie niezaskoczona.

– Wciąż próbujemy namierzyć i odciąć źródło, ale...

Miriam przerwała jej gestem.

– Jestem pewna, że robicie wszystko, co w waszej mocy, tym się zupełnie nie martwię. Mam jednak pytanie, na które bardzo bym chciała poznać odpowiedź.

Sandra mrugnęła i z wahaniem pokiwała głową.

– Jeśli będę w stanie...

Miriam uśmiechnęła się krzepiąco.

– Spokojnie, to nie jest trudne pytanie. Tak naprawdę chciałam jedynie spytać, czy otrzymałaś meldunki, że załoga... widzi różne rzeczy albo czuje się obserwowana?

Sandra opadła na oparcie, próbując zamaskować zaskoczenie, ale podświadomie spoglądając w dół na meldunki.

– Skąd...

– Bo to się stało także u nas, Sandro – odparła Miriam. – Rozumiem, że odpowiedź jest twierdząca?

Sandra przytaknęła.

– Co się dzieje?

– Zbliżyliśmy się „Odyseuszem” do was – powiedziała Miriam. – Mogę się mylić, ale to nam pomoże potwierdzić fakty.

Sandra wpatrywała się w ekran, ale nim zdążyła coś powiedzieć, Miriam potrząsnęła głową.

– Przepraszam, po prostu zauważyłam pewne wzorce... podobne do objawów narodzin Odyseusza.

Sandra nagle się wyprostowała i zbladła, gdy dotarło do niej, co słyszy.

– Mój Boże, szukaliśmy uszkodzeń przeoczonych podczas naprawy, ale...

– Ale. – Miriam pokiwała głową. – Wyślę Odyseusza na misję na „Bo”. Poinstruuję go, by zameldował się u ciebie, nim zaczniesz działać.

– Przyjęłam. – Sandra już się ogarnęła. – Dziękuję.

– Nie ma za co, po prostu... rozpoznałam wzorzec. Mogę się mylić.

– Naprawdę nie wiem, czybym tego chciała, czy nie.

Miriam uśmiechnęła się blado.

– Pomimo okazjonalnych nieporozumień, jakie wywołuje, Odyseusz stał się członkiem załogi. Nie mam wątpliwości, że Bo również się zaadaptuje.

– Bo jako członek załogi...? – dopytała Sandra cierpko.

– Tak – odparła Miriam z szerokim uśmiechem. – Wrócę do ciebie jak najszybciej z kolejnymi informacjami.

Sandra przytaknęła, a ekran zamigotał i zgasł.

„Cóż...” – pomyślała, nieco zmartwiona. „Czemu mam wrażenie, że sprawy właśnie zaczęły się dla nas bardzo komplikować?”

Byłby to idealny moment. Nie ma to jak dorzucać losowe zmienne ludziom, którzy właśnie idą na wojnę.

Sandra westchnęła ciężko, odsuwając na bok meldunki, które najwyraźniej stały się zbędne.

„To będzie długi dzień”.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Po zakończeniu połączenia Miriam przez chwilę milczała. Cisza pustego biura była dla niej luksusem, który pozwolił jej na chwilę zatopić się w myślach. Była to jednak krótka chwila, bo Miriam nijak nie miała teraz czasu na luksusy.

– Słyszałeś.

To nie było pytanie.

– Tak – potwierdził Odyseusz, wyłaniając się ze ślepego punktu w jej polu widzenia i wywołując tym lekki dreszcz.

– Nie cierpię, gdy to robisz – burknęła.

– Wydaje mi się, że faktycznie już o tym rozmawialiśmy – odparł byt z uśmiechem. – Najmocniej przepraszam.

– Gówno prawda – mruknęła Miriam pod nosem. – Dasz radę to zrobić?

– Przejść na „Bo” i poszukać kogoś takiego jak ja? – zapytał bardziej po to, by doprecyzować zadanie, niż by o coś spytać. – Tak sądzę. Niemniej nie jestem pewien, czy zdołam zlokalizować byt, nawet jeśli się tam znajduje. Może zdecydować się na ukrycie przede mną lub zamaskowanie.

– Rozumiem. Mimo to musiałbyś spróbować.

– Dołożę wszelkich starań – obiecał Odyseusz z sugestią uśmiechu.

– Moja pierwsza... oficjalna misja, czyż nie? Ekscytujące.

– Dopilnuj tylko, by sprawy nie potoczyły się zbyt ekscytująco, dobrze? – poleciła Miriam. – Jeśli faktycznie coś jest nie tak z ich rdzeniem, jesteś naszą najlepszą szansą na znalezienie problemu i rozwiązanie go... może poza suchym dokiem.

Odyseusz pokiwał głową.

– Będziemy musieli znacznie bardziej się zbliżyć.

– Zajmę się tym. Odyseuszu?

Uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję, pani kapitan. Powodzenia dla nas wszystkich, będę gotów.

Miriam potrząsnęła głową, gdy postać zniknęła.

– Przestań mi czytać w myślach i odpowiadać, nim zdołam je wypowiedzieć, ty wrzodzie na... Teraz akurat nie słuchasz, co? Cholera.

Kapitan „Odyseusza” machnęła na to ręką i zajęła się wydawaniem rozkazów potrzebnych, by zbliżyć krążownik do siostrzanego okrętu.

Odyseusz zorientował się, że znowu przechadza się po pancerzu okrętu... Swojego okrętu? Swojego ciała?

Szczerze mówiąc, nie wiedział. Tysiące słów opisywało to na różne sposoby, ale żadne nie pasowało w pełni.

„Zupełnie jakby żaden z języków, których nauczyłem się od ludzi, nie był stworzony do opisu istot, jakie napotkali... przynajmniej oficjalnie. Ciekawe, ile razy Gaja czy Saul wchodzili w interakcje z ludźmi tylko po to, by ich działania ostatecznie przekształciły się w mit...”

Najpewniej całkiem dużo, choć z ludźmi nigdy nie dało się określić, ile jest w micie prawdy, a ile wyobraził sobie jakiś losowy człowiek, który rozpowszechnił potem swoją bajeczkę tylko dlatego, że brzmiała imponująco.

Ludzie byli dziwnymi stworzeniami.

Widział „Boadiceę” kilkaset, może kilka tysięcy kilometrów dalej. Dostatecznie daleko, by nie znaleźć się w zasięgu wzajemnych oddziaływań grawitacyjnych. Niezbyt dobrze by się skończyło dla któregośkolwiek okrętu, gdyby znajdował się w pobliżu, kiedy ten drugi ładuje napęd na pełną moc.

Potencjał rezonansowy mógł z łatwością zmieścić systemy zasilania któregośkolwiek z nich – albo i obu.

Odpalenie silników odrzutowych rozproszyło na chwilę Odyseusza, po czym zauważył, że odległość od „Bo” zaczyna maleć.

Wygląda na to, że jego pierwsza misja właśnie się zaczyna.

Okręt Sojuszu Ziemi „Boadicea”

Sandra Hyatt obserwowała podejście „Odyseusza” do „Bo”, choć samo w sobie nie było to nic spektakularnego. Przy takich odległościach wzmocniony widok pokazywał jedynie kropkę, która bardzo subtelnie i bardzo powoli się powiększała.

– „Odyseusz” zbliżył się na sto kilometrów, ma’am – zameldował oficer ze stanowiska nawigacji. – Yyy... jak blisko będą podchodzić?

– Blisko.

Jej ton był ostry i nie zachęcał do dalszych pytań. Sandra nie chciała mieć teraz na głowie reakcji załogi na pomysł Miriam. „Odyseusz” i Odyseusz już dawno stali się wręcz legendą wśród załóg grupy zadaniowej noszącej imię bytu. Jego istnienie nie było jakoś szczególnie tajne, to by było niemożliwe... ale załoga

„Odyseusza” mówiła o bycie takim tonem, jakby był jakimś wymysłem, a nie prawdziwą, stanowiącą o sobie istotą.

Nie wynikało to z braku szacunku. Jeśli już, to wręcz przeciwnie, o ile Sandra była w stanie stwierdzić. Tak czy siak skutkowało to dziwnym postrzeganiem bytu wśród załóg grupy zadaniowej i kompletnym brakiem jakiegokolwiek wiedzy o nim.

Licznik kilometrów pokazywał coraz niższe wartości, a odległa kropka zaczynała nabierać kształtów widocznych nawet gołym okiem. „Odyseusz” już zwalniał, korzystając jedynie z silników manewrowych i zmierzając ku docelowej odległości tuż poniżej dziesięciu kilometrów.

W skali okrętów nadświatlnych zamierzali się praktycznie zetknąć burtami niczym starożytne żaglowce. Los każdego z okrętów miał być nieodwołalnie związany z losem drugiego.

„Za mało mi płacą”.

– A mnie nie płacą wcale.

Sandra ledwo powstrzymała się od wyskoczenia z fotela, choć jej serce bardzo się starało przecisnąć przez gardło i uciec.

Odwróciła się, by spojrzeć na gościa, i zauważyła bardziej nowoczesny niż zazwyczaj mundur, który byt postanowił nosić.

– Odyseuszu... – przywitała go przez wciąż zaciśnięte szczęki.

– Ojej, zapomniałem... – Odyseusz skrzywił się, po czym rozchmurzył twarz i wyprostował się. – Proszę o pozwolenie na wejście na pokład, ma’am.

Ktoś zachichotał. Nie sprawdziła kto, bo prawdopodobnie oberwałoby mu się znacznie bardziej, niż przewidywał regulamin.

– Udzielam – odparła. – Na przyszłość zapytaj o to, nim wpakujesz się na okręt.

– Przyjąłem, ma’am, najmocniej przepraszam – odparł Odyseusz radośnie. – Proszę o pozwolenie na rozpoczęcie poszukiwań.

Kapitan Hyatt westchnęła i ze znużeniem pokiwała głową.

– Udzielam.

Była boleśnie świadoma spojrzeń, które wwiercały się w nią po zniknięciu Odyseusza. To będzie wymagało trochę tłumaczenia.

„Boże, ale mnie boli głowa”.

Rozdział 16

Wahadłowiec podchodzący do lądowania, Okręt Sojuzu Ziemijskiego „Odyseusz”

Eric nachylił się z fotela. Coś przykuło jego uwagę na instrumentach, które widział przez ramię drugiego pilota.

– Dlaczego „Odyseusz” jest tak blisko „Bo”? – zapytał, zaskoczony.

Na tle systemu dwa okręty były praktycznie przytulone, utrzymując dystans raptem kilku kilometrów, o ile Eric dobrze widział.

Kilka kilometrów to dobra i bezpieczna odległość dla większości napędów... ale nie dla okrętów nadświatlnych z osobliwością w rdzeniu.

– Nie wiemy, sir. Mogę ich wywołać i zapytać.

– Nie trzeba. – Weston opadł z powrotem na oparcie. – Za kilka chwil i tak się dowiem.

– Już się robi, admirale.

Mimo wszystko Eric wpatrywał się w skanery przez całą procedurę podejścia, licząc na to, że może sam rozgryzie, co się, do cholery, dzieje.

Nie dał rady.

Dwa okręty nie robiły... nic. Nie prowadziły żadnej wymiany, nie widać było transportu, więc nie chodziło o żadne naprawy czy zaopatrzenie. Nie żeby którakolwiek jednostka potrzebowała podchodzić tak blisko z powodu uzupełnienia braków.

Nie dawało to Westonowi spokoju przez cały czas podejścia, nawet gdy już mijali śluzy powietrzne „Odyseusza” i wlatywali do hangaru.

Okręt Sojuzu Ziemijskiego „Boadicea”

Odyseusz zorientował się, że czuje się nieco zmieszany, poruszając się po okręcie. Zdecydował się nie ujawniać w widzialnej formie, skoro i tak niewiele osób na „Bo” zdawało sobie sprawę z jego faktycznego istnienia. Oczywiście wiedzieli o nim, ale traktowali go raczej jak miejską legendę – co dosyć go bawiło – a nie jak prawdziwą istotę.

Ale nie to było podstawą jego zmieszania.

Czuł, że coś jest nie tak z „Boadiceą”. Wrażenie pochodzące z pracy napędów było dziwne, inne, niż czuł ostatnio. Uważał to w sumie za dobrą nowinę, biorąc pod uwagę, w jakiej znajdowały się formie, gdy przywracał je do bezpiecznych parametrów.

Odyseusz wciąż próbował wytłumaczyć swojej załodze, co wtedy zrobił... a właściwie jak. To było jak oddychanie. Wyjaśnienie tego komuś, kto nie musiał tego robić, było... trudne.

„Nie wygląda mi to na błąd w systemie” – pomyślał Odyseusz, wędrując po pokładach i sprawdzając główne węzły zasilania. „Wszystko wydaje się dobrze działać, parametry mieszczą się w wyznaczonych normach”.

To było frustrujące, bo czuł się prawie jak w domu... ale nie do końca. „Boadicea” była siostrzanym kadłubem „Odyseusza”. Każdy pokład, każdy system, każdy spaw... lustrzane odbicie jego samego.

Odyseusz mógłby chodzić po tych pokładach ślepy i się nie zgubić... gdyby oczywiście używał oczu.

Wyczuwał jednak coś innego i męczyło go to niczym drzazga, której nie mógł zlokalizować, a tym bardziej wyciągnąć. Była tam, czuł ją, ale...

„Porusza się” – zrozumiał nagle, obracając się na środku korytarza. „Porusza się!”

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Admirał na pokładzie!

Eric ominął pokład admiralski, idąc prosto na mostek, bo chciał jak najszybciej dowiedzieć się, co jest grane.

– Spocznij – powiedział do wszystkich, kierując się do stacji dowodzenia, skąd Heath już go przyzywała gestem.

– Chodzi pewnie o naszą zmianę pozycji? – zapytała, gdy admirał się zbliżył.

– Może troszeczkę – odparł, układając palce w wąską szparkę.

– Anomalie w systemie zasilania „Boadicei”.

To proste stwierdzenie wywołało u Westona nieprzyjemny dreszcz.

Generalnie nie należy się zbliżać do okrętu, który ma problemy z zasilaniem, a już na pewno nie do okrętu zasilanego osobliwością.

Eric powstrzymał się od komentarza, a jedynie gestem poprosił o dalsze wyjaśnienia. Dobrze wiedział, że Miriam nie podjęłaby takiej decyzji bez powodu.

– Zaintrygowało mnie to – przyznała. – Poszukałam wzorców, znalazłam częściową zgodność. Z „Odyseuszem”.

Eric zmarszczył czoło.

„Z »Odyseuszem«? Jedyne przypadek, gdy mieliśmy wahania mocy poza sytuacją walki... och”.

Wyprostował się, odruchowo spoglądając na ekrany monitorujące status „Bo”, dryfującej burta w burtę z „Odyseuszem”.

– Potwierdzenie? – zapytał krótko.

– Jak dotąd nie – odparła Miriam. – On tam jest dopiero od niedawna.

Eric pokiwał głową w zamyśleniu. Odyseusz był w tej chwili jedyną nadzieją na ustalenie czegokolwiek... a przynajmniej bez rozkładania całego systemu zasilania „Bo” na części pierwsze i rozładowania przy tym jej osobliwości.

„Nie mamy na to czasu” – pomyślał Eric ponuro.

– Dobrze, proszę mnie informować na bieżąco.

– Aye, sir.

Okręt Sojuszu Ziemi „Boadicea”

Sandra Hyatt siłą woli powstrzymywała się od krążenia po pokładzie tam i z powrotem, czując, jak aktywują się wszystkie jej tiki, a napięte do granic wytrzymałości nerwy opierają się próbom rozluźnienia. Nie wiedziała, co będzie gorsze – czy to, że byt

z „Odyseusza” znajdzie tu kogoś podobnego sobie, czy że nic nie znajdzie.

Jeśli nic nie znajdzie, wtedy będzie musiała zmierzyć się z jakimś problemem w systemach zasilania, który może usunąć „Bo” z gry. To nie był dobry czas, by krążownik klasy Heros udawał się na poważne naprawy.

Została druga opcja.

Sandra nie знаła zbyt dobrze Odyseusza, ale była pewna, że nie chciała tego typu komplikacji na jej „Bo”.

„Boże, mam nadzieję, że to tylko jakiś dziwny, ale naprawialny problem, na który Odyseusz będzie mógł nas naprowadzić, bo pozostałe opcje zupełnie mnie teraz nie cieszą”.

Odyseusz przystanął na łączeniu korytarzy, intensywnie wpatrując się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

Niby nie musiał tego robić. Obracanie się i spoglądanie to były ludzkie gesty, ale ten akurat pomagał mu poukładać myśli w sposób zrozumiały dla załogi, a to okazało się bardzo istotne. Niebywale go frustrowało, gdy dyskutował o czymś z ludźmi i nagle nie był w stanie przekazać im jakiejś informacji w sposób, jaki mogliby w ogóle zacząć pojmować.

Takie sytuacje zdarzały mu się nawet z Gają, co wywołało u niego głęboki szok. Przy jej nieporównywalnie większej sile i niewyobrażalnie szerokiej wiedzy... nigdy nie miała bezpośredniej styczności z ludzką technologią w sposób, jaki był dostępny dla Odyseusza, doświadczając jej jedynie przez odczucia i myśli operatorów.

Odyseusz był inny.

Został... zrodzony? Stworzony? Nie znał odpowiednich słów, ale zaistniał w sercu bizantyjskiego zespolecia technologii Terran i Priminae, podłączony do najbardziej zaawansowanych systemów, jakie ludzie widzieli.

Jak opisać niefiltrowany ogląd wszechświata uzyskany z szerokiego spektrum wielowątkowego skanu komuś, kto może tego

doświadczyć wyłącznie przez filtry dopasowane do ograniczeń ludzkich oczu?

Z tej przyczyny Odyseusz od dawna przyzwyczajał się, by w miarę możliwości jak najwięcej swoich odczuć przepuszczać przez pryzmat ludzkich możliwości poznawczych.

Stał więc teraz przy załomie korytarza i – choć był niewidoczny dla załogi – rozglądał się, rozmyślając nad dotychczas pozyskanymi informacjami i zastanawiając się nad dalszym działaniem.

„Boadicea” nie miała żadnych problemów z zasilaniem, które mógłby zbadać, co potwierdził także jego ogląd okrętu z zewnątrz, przez czujniki „Odyseusza”. Czymkolwiek były fluktuacje mocy, nie tkwiły w układzie zasilania okrętu.

A to... nie były właściwie dobre wieści.

Skoro nie chodziło o systemy zasilania, nie było zbyt wiele innych miejsc, gdzie mógłby kryć się problem. Prawdę mówiąc, zostawał tylko rdzeń okrętu.

Podjąwszy decyzję, Odyseusz skierował się w stronę centralnego pomieszczenia rdzenia.

Sandra Hyatt była o włos od poddania się potrzebie nerwowego przemierzania mostka, ale wciąż jeszcze powstrzymywała się, przeglądając raporty jasno pokazujące, że na jej okręcie wszystko jest w jak najlepszym porządku.

„To byłoby znacznie bardziej pocieszające, gdybyśmy nie gościli na pokładzie przynajmniej jednego obcego bytu, którego nikt nie widzi. Nawet nie chcę myśleć, co będzie, jeśli znajdzie się kolejny...”

Sprawy dziwne okazały się nierozzerwalną częścią wszechświata od czasu zakończenia wojny. Być może konflikt z Blokiem był ostatnim skurczem porodowym ludzkości, która teraz po raz pierwszy mogła zobaczyć prawdziwy świat.

A prawdziwy świat okazał się kurewsko dziwaczny.

– Ma’am...

Sandra podniosła wzrok na podoficera pełniącego wachtę przy stanowisku kontroli rdzenia.

– O co chodzi, chorąży?

- Mamy kolejne wahania mocy.
- Sandra wstała, ciesząc się, że ma pretekst.
- Czy możesz je namierzyć?
- Szczerze mówiąc, ma'am, nie są dostatecznie... spójne, bym mógł je określić – przyznał chorąży. – Widzę wzorzec, a przynajmniej tak mi się wydaje... to jest tak, jakbym prawie go miał, ale wtedy się zmienia i go gubię.
- Jakby coś się przed tobą chowało – syknęła Sandra przez zaciśnięte wargi.
- Yyy... chyba tak, ma'am?
- Zignorowała wyraźne zmieszanie podwładnego.
- Proszę się tym nie martwić, chorąży, i działać dalej. Proszę mnie informować o zmianach.
- Tak jest, ma'am.

Pomieszczenie rdzenia nie było, rzecz jasna, puste. Szef maszynowni zajeżdżał swoją załogę, próbując dotrzeć do źródła tego samego problemu, który sprowadził tam Odyseusza. Inżynierowie właśnie próbowali namierzyć źródło fluktuacji. Byt zignorował ich działania, rozglądając się.

Fizycznie wszystko było w porządku.

Przewody zachowywały się prawidłowo, moc płynęła równo z oporem utrzymującym się w przewidywalnych ramach. Ludzie wykonywali swoje obowiązki równie kompetentnie co jego własna załoga, choć byli przy tym bardziej zmieszani i zmartwieni, niż normalnie ma to miejsce.

„Zrozumiałe”.

Poza oczywistymi kwestiami nie działo się nic nadzwyczajnego. Żadnych dziwnych sygnałów z rdzenia, nic, co zwracałoby jego uwagę.

Wszystko było w porządku.

„W takim razie dlaczego wydaje mi się, że jestem obserwowany?”

Słyszał, jak ludzie opisują to uczucie, mówiąc, że włosy na karku stają im dęba. Nie miał co prawda włosów ani szyi... ale opis dobrze się zgadzał z tym, co Odyseusz odnalazł we wspomnieniach innych.

Lekkie... skrzypnięcie, które było w jakiś sposób Odyseuszowi znajome, choć nigdy wcześniej go nie słyszał, przebiło się do niego przez znane dźwięki maszynowni i sprawiło, że zastygł w bezruchu.

„Co to za dźwięk? znam go...”

Wciąż próbował jeszcze namierzyć dziwny odgłos, gdy ten zmienił się w szarpany akord, wibrujący głośno na tle zwyczajnego szumu maszynowni, a Odyseusz odwrócił się odruchowo.

Tarcza z brązu zaśniła na jego ramieniu uniesionym w obronnym geście w ostatniej chwili, by odbić strzałę z czystym dźwiękiem kościelnego dzwonu. Strzała uderzyła w gródź za Odyseuszem, a metal trzasnął i zapadł się w sobie, jakby rozdarła go jakaś zewnętrzna siła.

Odyseusz nie zatrzymał się. Przetoczył się, unikając kolejnej strzały, która rozpruła pokład tam, gdzie przed chwilą stał. Powietrze wypełniły dźwięki rozrywanego metalu, przemoc i strach.

– Intruz na pokładzie!

Sandra wystrzeliła z miejsca.

– Lepiej niech ktoś da mi szybko jakieś konkrety!

– Maszynownia melduje jakąś marę, ma'am...

Sandra wypuściła głośno powietrze.

– To tylko Odys...

– Ktoś strzela do niego... z łuku... ma'am?

Sandra spojrzała nierozumiejąco.

– Słucham?

Odyseusz natychmiast przeniknął przez ściany i opuścił pomieszczenie rdzenia, byle daleko od miejsca, gdzie nawet nie chciał myśleć, co mogą zrobić te strzały, jeśli trafią w coś delikatnego.

Obecność podążyła za nim. Czy to dobrze, czy źle... no cóż, nie był pewien, czy jest już gotów na takie oceny.

Przestał się ukrywać, zmienił mundur na współczesny i wycofywał się korytarzami przed podążającą za nim istotą, przeganiając wszystkich członków załogi, jakich napotkał.

– Uciekajcie! – rozkazał, machając rękami i koncentrując się na zagrożeniu, które mógł wyczuć, ale nie zobaczyć.

Kolejna strzała pofrunęła w jego stronę, a Odyseusz dobył miecza i rozciął ją na pół, nim dosięgnęła jego lub czegokolwiek innego.

– Wstrzymaj ogień! – spróbował. – Nie możesz używać tak destrukcyjnej siły wewnątrz okrętu! Zabijesz wszystkich!

– Intruz!

Głos zdawał się kobiecy, choć trudno było to jednoznacznie określić przez pogłos i... niepewność, którą wyczuwał w drugim bycie.

– Polecono mi wejść na pokład za zgodą kapitan!

– Kłamca!

Odyseusz zatrzymał kolejną strzałę swoim ostrzem, ledwie unikając rozbicia jej o pokład i rozładowując siły w niej zamknięte. Spojrzał przed siebie dokładnie w chwili, gdy jakaś postać wyłoniła się z cieni i stanęła przed nim w pełnym świetle.

Sylwetka faktycznie była kobieca, nieco wyższa od Odyseusza. Istota wydawała się nieco urażona. Rude włosy spływały na jej kolczugę spiętą skórą, ukrytą pod turkusowym płaszczem. Odrzuciła łuk, a Odyseusz odetchnął z ulgą... dopóki nie zobaczył materializującej się w jej dłoni włóczni wyższej od ich obojga razem wziętych.

– Rzymski pomioście...

– Słucham? – Odyseusz zdębiał. – Technicznie byłbym Grekiem, jak już...

Splunęła na pokład, a Odyseusz cofnął się o krok, zaskoczony prymitywnym zachowaniem. W życiu nie zabrudziłby tak swojego okrętu.

– Grek, Rzymianin, wszystko mi jedno – prychnęła, poprawiając uchwyt włóczni. – To nie twoje miejsce.

Rozdział 17

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Przepraszam... nie dosłyszałem.

Eric musiał dopytać, choć był pewien, że usłyszał dobrze każde słowo. Sandra Hyatt tylko spojrzała na niego groźnie.

– Słyszał mnie pan, admirale. Wiem, że mnie pan słyszał, bo nie wyglądałby pan na tak skołowanego.

„Tu mnie ma” – pomyślał Eric.

Na swoją obronę miał to, że nieczęsto dostawało się meldunki o parze opancerzonych wojowników pojedynkujących się na współczesnym okręcie kosmicznym... szczególnie ubranych w zbroje z epoki i najwyraźniej używających broni z epoki.

„Choć patrząc na uszkodzenia opisane przez załogę maszynowni, zapowiada się, że będę musiał urządzić Odyseuszowi pogadankę”.

Fakt, że nigdy nie zrobili nic, by sprowokować byt do machania tym swoim mieczem czy materializowania łuku w dłoni. Szczerze mówiąc, Eric sądził, że wszystko, co Odyseusz nosił na sobie czy przy sobie, stanowiło raczej sposób na wyrażenie się niż cokolwiek prawdziwego.

„Założenie, które najwyraźniej będę musiał skorygować”.

Uniósł dłonie w obronnym geście, poddając się ocenie kapitan.

– Prawda – powiedział. – Zakładam, że męska postać w stylizowanym umundurowaniu taktycznym z mieczem to Odyseusz... więc druga to zapewne Boadicea?

– Jeśli konwencje nazewnictwa się nie zmieniły – odparła Sandra z nutą irytacji. – Ale czy moglibyśmy zostawić sobie kwestie nadawania imion na później, jak już powstrzymamy to coś przed dziurawieniem mojego okrętu?

Nie sposób było odmówić jej racji.

– W porządku, czy ktoś może nawiązać kontakt z Odyseuszem? – zapytał Eric. – Mogę wywołać go stąd, ale jeśli jest zbyt skupiony, może mnie nie zauważyć.

Sandra zawahała się.

– Nie podoba mi się pomysł posłania tam kogokolwiek po tym, jak zobaczyłam raporty zniszczeń z maszynowni. Jedna z tych strzał zamieniła opancerzoną gródź w... no cóż, prawdę mówiąc, nie przeanalizowaliśmy tego jeszcze, ale cokolwiek to teraz jest, z pewnością nie jest już opancerzone.

Eric potarł brodę. Kilka godzin od ostatniego golenia dało mu to satysfakcjonujące uczucie drapania, które dobrze współgrało z jego przemyśleniami.

– To coś nowego – powiedział w końcu. – Zastanawiam się teraz, co jeszcze te byty umieją robić, a o co nigdy nie przyszło nam do głowy zapytać... albo czego same nie wiedzą, bo jestem dosyć pewien, że Odyseusz by coś powiedział.

Młody byt wyraźnie dojrzał od czasu, gdy ostatnio Eric miał okazję się z nim spotkać, ale wciąż wydawał się młody i pełen zapału. Nie był skłonny do przemocy, ale nie uciekał przed nią, jeśli przychodziło co do czego.

Byt, który nazwał Boadiceą, już teraz pokazywał zupełnie inną twarz.

Niepowściągliwa, skłonna do przemocy i całkowicie zdolna do wprowadzenia tych cech w życie istota.

„Ciekawe. Skąd takie różnice? Czy załogi dwóch naszych okrętów są aż tak różne?”

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

– Zaprzestań uników, intruzie!

Odyseusz uniósł stopę, by włócznia nie trafiła go w goleń. Uniósł swoją włócznię Doru i pchnął ją, gdy ostrze przeciwniczki utknęło w jego tarczy.

– To byłoby... głupie... więc może lepiej... nie? – wysapał, dźgając włócznią zza tarczy i zmuszając przeciwniczkę do cofnięcia się. – Poza tym teraz to nie ja robię uniki, czyż nie?

Rudowłosa rzuciła mu wrogie spojrzenie, nacierając na niego znów i operując bronią z przerażającą wprawą. Ostre żelazo szukało

jego ciała nawet wtedy, gdy jego własna brązowa włócznia kontratakowała.

– Tchórzliwy Rzymianin... – warknęła – co kryje się za swą tarczą...

– Strzelałaś do mnie z ukrycia, ty porąbana... – Odyseusz zamknął nagle usta i wycofał się z pojedynku, przypominając sobie o swojej misji. – Nie myślisz jasno. Jestem tu za zgodą kapitan. Życzy sobie z tobą porozmawiać.

– Kłamca.

Odyseusz poczuł, że traci cierpliwość. Nie przypominał sobie, by sam był tak niepoczytalny w pierwszych chwilach od swoich... narodzin? Nieważne, słowo równie dobre jak każde inne. Pamiętał, że czuł się zagubiony w dziwnym uczuciu, które sprawiało, że czuł się jednocześnie Odyseuszem i „Odyseuszem”.

Różnicę trudno było wyjaśnić, ale „Odyseusz” był tym, czy był... a Odyseusz był tym, kim był.

Konflikt tych dwóch aspektów był... niemiłym wspomnieniem.

– Czekaj! Po prostu... czekaj! – Odyseusz próbował powstrzymać przeciwniczkę, cofając się przed kolejnym ciosem. – Chodźmy do kapitan, znasz ją... prawda? Tak jak ja znam moją kapitan?

Z ulgą zauważył, że chyba udało mu się do niej dotrzeć. Dostrzegł cień wahania i już myślał, że uda się im porozumieć.

A potem cień zniknął, a włócznia ponownie przecięła powietrze, zmuszając go do podjęcia wojennego tańca.

Sierżant Olen Jodorowsky, artylerzysta, zastanawiał się, jakim cudem spartolił sobie życie tak bardzo, by teraz dostać zadanie odnalezienia dwójki idiotów walczących wewnątrz okrętu broniami zdolnymi go podziurawić... i porozmawiania z nimi.

Serio.

Porozmawiania.

Podziurawienie ich na koronki – takie rozkazy miałyby sens. Nedorzeczna lekkomyślność tej dwójki zasługiwała na nagrodę Darwina.

„Ale nieee, mam tam poleźć i gadać z idiotami. Skipper, lepiej, żebyś się nie myliła...”

Przynajmniej znalezienie ich nie było zbyt trudne. Choć początkowo ukrywali się przed załogą, teraz byli zbyt zajęci.

Olen skrył się za grodzią, wyglądając zza rogu na dwójkę walczących.

– Jesteś tego pewien, sierżancie?

Olen przewrócił oczami, oglądając się na młodego kaprała.

– Gdybym był pewien czegoś takiego, mam nadzieję, że ktoś by mnie szybko ustrzelił i uwolnił od mojego najwyraźniej chorego i wypaczonego umysłu. Nie, w ogóle mi się nie podoba ta akcja, Paul, nie zadawaj głupich pytań.

Paul Manneti skrzywił się i wykonał jakiś przeproszający gest, na który Olen w ogóle nie zwrócił uwagi.

– No dobra, chłopaki, idę tam i przy odrobinie szczęścia może nie zostanę mokrą plamą na grodzi. – Zastanowił się chwilę. – Rozkazy są jednoznaczne, wy zostajecie tutaj.

– A co, jeśli zaatakują...

– Czy ja bełkoczę? – Olen spiorunował podwładnego wzrokiem. – Kapitan mówi, że to Odyseusz i może drugi taki jak on. Nie wiem, czemu walczą, ale jeśli on umie ustabilizować naszą osobliwość gołymi rękoma... nie wkurzajmy dzieciaka, co?

Marines z ociąganiem pokiwali głowami, z niepokojem przytrzymując broń, choć mieli rozkaz jej nie używać.

– Życzcie mi powodzenia, marines.

– Hoo-ah, sierżancie.

Olen uśmiechnął się blado i nie chcąc zdążyć zmienić zdania, odepchnął się od ściany i przeszedł przez gródź w otwarty korytarz.

Odyseusz zaczynał mieć tego dość.

Był wojownikiem do szpiku kości i powstrzymywał się w walce całkowicie wbrew sobie. Wojownicza część jego natury chciała pokazać tej nadętej suce, jak naprawdę walczy się włócznią i tarczą. Co prawda ona akurat nie miała tarczy, ale to już jej problem.

Odyseusz był jednak kimś więcej niż tylko wojownikiem. Rozumiał, że walka nie jest tak dobrym rozwiązaniem, jak się wszystkim wydaje. Ale pomijając to wszystko, zastanawiał się nad najbardziej prozaicznym aspektem tej sytuacji... Czy on i jego przeciwniczka byli w ogóle w stanie wyrządzić sobie jakąkolwiek krzywdę?

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał, bo jego doświadczenia z innymi podobnymi sobie bytami ograniczały się do kontaktów z Saulem i Gają... a ci nie byli skłonni do mordobicia.

Oczywiście uszkodzenia, jakie poczyniły strzały, nie pozostawiały złudzeń co do tego, czy ich bronie mogą coś zdziałać. Odyseusz nie był natomiast pewien, czy cokolwiek może zranić jego samego, dopóki rdzeń jego okrętu pozostawał nienaruszony. Niemniej istniała taka możliwość, a on nie miał zamiaru ryzykować błędnych założeń w kwestiach wykraczających daleko poza jego doświadczenie.

– Wstrzymaj swoje tchórzliwe uniki, parszywy kundlu!

Uuups.

Pogrążony w rozmyślaniach, Odyseusz prawie przegapił kolejny atak i musiał w ostatniej chwili zasłonić się włócznią. Siłowali się ze skrzyżowanymi ostrzami, próbując przełamać impas tak, by wyprowadzić skuteczny cios. Odyseusz przerwał zwarecie, potężnym pchnięciem tarczy odrzucając przeciwniczkę na dystans.

– Walczysz bezmyślnie! – krzyknął. – Przestań w końcu. Zrobisz krzywdę własnej załodze.

– To ty jesteś zagrożeniem, rzymski psie!

– A ty ciągle swoje... – Odyseusz jęknął, zmieniając rzymski pancerz na standardowy mundur marine. – Lepiej?

– Piękny strój nie zamieni świni w szlachetnego człowieka – syknęła Boadicea.

Odyseusz prychnął.

– A kim ty jesteś, by oceniać moją szlachetność? Mam zaledwie kilka lat i widziałem szlachetnych...

– Ekhem!

Oboje przerwali na chwilę, z zaskoczeniem spoglądając na marine powoli podchodzącego do nich z uniesionymi dłońmi.

– Kapitan prosi na słowo – oznajmił ostrożnie Olen.

– Próbowałem to wytłumaczyć, ale ta dama nie wydaje się zainteresowana. – Odyseusz ze wszystkich sił starał się, by jego słowa nie ociekały szyderstwem.

– Wyeliminuję wszelakich intruzów z mojego protektoratu!

– Proszę pani, to jest okręt kapitan i nikogo więcej – wypalił marine automatycznie, nim zdążył się ugryźć w język. – Bez obrazy.

Olen musiał coś zrobić ze swoim niewyparzonym językiem, nim przypadłość okaże się śmiertelna. To było jedyne, co przyszło mu do głowy po tym, jak powiedział za dużo. Rudowłosa przeszła go spojrzeniem rozpalonym takim gniewem, jakiego nigdy u nikogo nie widział.

Całe jego jestestwo kazało mu uciekać, ale nim zdążył pomyśleć, rudowłosa po prostu... rozmyła się. W jednej chwili była przyjemnie daleko, na bezpieczny dystans... a chwilę później, no cóż, wręcz przeciwnie.

Stała z nim twarzą w twarz z wzniesioną w dłoni włócznią. Była tak blisko, że spodziewał się poczuć jej zapach, ale nie czuł nic.

Nim zdążyła go przebić, gość w czymś, co wyglądało aktualnie jak mundur marine, dosłownie staranował ją z całą mocą. Pchnął ją na gródź z nienaturalną siłą... ale jakby nie uderzyła w nią wcale? Olen nie był pewien, nie umiał tego opisać, ale to, co się działo, nie wyglądało normalnie.

Oczywiście serce waliło mu jak oszalałe, co mogło zaburzać jego ostrość widzenia.

– Oszalałaś?!

Odyseusz dosłownie się gotował ze wściekłości.

Atak na niego to jedno. Był intruzem na jej terytorium – z jego i z jej perspektywy. Co więcej, umiał się obronić.

– Nie dam się pouczać takim jak on!

– On jest częścią twojej załogi! – warknął Odyseusz. – Najwyraźniej nie myślisz jasno. Kapitan prosi cię na słowo.

– Zajmę się tą kapitan w swoim czasie.

„Ach, tak się sprawy mają”.

– Dobra – wkurzył się, unosząc włócznie. – Skoro tak chcesz załatwić sprawy...

Roześmiała się, całkowicie skupiając się na Odyseuszu.

– Wyśmienicie. Zakończmy to.

Skinął głową, zmienił strój z powrotem na klasyczny pancerz z brązu i rzucił okiem na marine.

– To była dobra próba, sierżancie, ale obawiam się, że to robota dla mnie – powiedział twardo. – Najlepiej będzie, jak odejdiesz.

Na mostku Sandra patrzyła na wydarzenia z mieszaniną fascynacji i przerażenia. To, do czego byty były zdolne, zdawało się zadziwiające. Nie potrzebowała wielkich przemyśleń, by wiedzieć, że badania efektów tych strzał zajmą im wiele czasu.

„Musi być jakiś sposób, by to wykorzystać...”

Niemniej tak innowacyjna broń używana wewnątrz jej okrętu... to był ten przerażający aspekt wydarzeń.

– Przykro mi, ma'am, nie była w nastroju do rozmowy.

– Rozumiem, marine – powiedziała, naprawdę rozumiejąc. – Warto było spróbować, ale teraz się wycofajcie.

– Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać, skipper.

Gdy marines wycofali się z rejonu walki, oparła się i oglądała dalsze wydarzenia, czując lodowaty ucisk w żołądku.

„Boże, jeśli któreś z nich trafi kogoś tą bronią...”

Odyseusz pomyślał, że walka zaczyna robić się ciekawa. Sparował tarczą silne uderzenie, posyłając włócznie przeciwniczki na bok i wyprowadzając swój cios.

Walczący byli teraz w ruchu, przemieszczając się po okręcie z łatwością właściwą bezcielesnym istotom. Odyseusz robił wszystko, by trzymać Boadiceę z dala od załogi, póki nie wypali się w niej zamęt związany z przebudzeniem.

Ten tok myślenia poprowadził go dalej – przeniósł walkę na zewnątrz okrętu. Boadicea, całkowicie pochłonięta starciem, z zapalem podążyła za nim. Zmagali się w otwartej przestrzeni, a planeta daleko w dole obracała się leniwie.

Kątem oka Odyseusz uchwycił coś, co dało mu pewien pomysł.

Był już w ruchu, gdy dotarło do niego, że może to być nieco lekkomyślne.

Boadicea szalała, ścigając Rzymianina przez swoją domenę i poza granicę stalowych murów, w pustkę. Próbował jej umknąć, ale na to było już za późno. Kiedy obejrzał się i roześmiał, nim powtórnie zniknął, warknęła z gniewem.

– Nie umkniesz mi tak łatwo, Rzymianinie! – krzyknęła w pustkę, a jej umysł już tropił odczucie drugiej istoty.

Zniknęła z miejsca, gdzie właśnie była, i zaczęła być tam, gdzie znów się pojawiła.

Rzymianin stał przed nią w swojej odpustowej zbroi, z włócznią opartą o ramię. Uniosła broń, by przebić głupca.

– Co to ma znaczyć?

Boadicea zamarła.

Same słowa niewiele dla niej znaczyły, choć je rozumiała. Za to głos i jego ton przeszył ją dreszczem.

W jej umyśle ożyły setki indywidualnych wspomnień, ton rozkazu oraz głos... admirała... były nie do pomylenia.

– Proszę o wybaczenie, admirale – rzekł Rzymianin ze złośliwym uśmiechem. – Moja przyjaciółka musi odbyć z panem rozmowę.

Rozdział 18

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Jednostki wroga się wycofują, komandorze floty.

Jesan pokiwał głową, nic nie mówiąc. Żadnym rozkazem nie mógłby zmienić tej sytuacji. Było jasne, że przeciwnik wiedział o natarciu Imperium i przyjął strategię rozciągnięcia szlaków logistycznych wroga, co miałoby skutkować nadszarpnięciem ciągłości frontu.

To nie był zły plan, a w większości przypadków byłby nawet cholernie dobry.

Prowadzenie szeroko zakrojonej kampanii biegnącej przez wiele systemów gwiazdnych to niemałe przedsięwzięcie, nawet jeśli okręty nie wymagały ciągłego tankowania, jak niegdyś... stulecia temu. Choćby jedzenie nie pojawiało się byle gdzie, w przeciwieństwie do innych surowców. Zmęczenie załóg również wiązało się z ograniczeniami, które już teraz monitorowano.

Na nieszczęście dla wroga, w tym przypadku Jesan wiedział, że to nie będzie zbyt długa kampania.

Żadna ze stron nie mogłaby sobie na taką pozwolić... ani takowej przetrwać.

W przypadku Priminae i gatunku-anomalii tak zakrojona kampania nieodwracalnie osłabiłaby ich siły. Nie mieli dostatecznie licznej floty ani populacji, by przeprowadzić coś takiego bezkarnie.

Z kolei dla Imperium... to była zupełnie inna historia.

Jesan wciąż budził się złany potem, a przed oczami płonął mu obraz filarów ognia spadających z niebios i spopielających imperialne miasta i światy.

Żaden lud nie mógł przejść spokojnie nad takimi zniszczeniami.

Przy determinacji cesarzowej, by unicestwić tego wroga całkowicie i bezlitośnie, Jesan wiedział, że misja musiała zostać

przeprowadzona błyskawicznie i bez wahania. Każde opóźnienie może zostać przez wroga wykorzystane, a za to trzeba będzie płacić krwią.

„Krwia miliardów ludzi”.

Jak dotąd jednak przeciwnik ograniczał się do wycofywania przed imperialnym natarciem, a Jesan z radością im na to pozwalał.

Krew i tak popłynie już wkrótce, nie trzeba przyspieszać spraw.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Komandor floty Durwich Gavin uśmiechnął się szyderczo, gdy wróg po raz kolejny uległ połączonym flotom, ledwo dając celowniczym okazję do ćwiczeń, nim ostatecznie poddał układ i zbiegł.

– Tchórze.

– Jako rzeczesz, mój panie.

Gavin nie zawracał sobie głowy odpowiedzią, zbyt pogrążony we frustracji.

Kolejny nic niewart system został zdobyty dla Imperium, co z oczywistych przyczyn było jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem – ale co najważniejsze, stało się jasne, że wróg przygotowywał się na ich przybycie. Na którymś etapie będzie to sporo kosztować, gdy przeciwnik przestanie uciekać i stanie twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem.

Tymczasem jedyne, co mógł zrobić Gavin, to przelecieć przez kolejny system, pędząc przed sobą motłoch i pozwalając, by wróg zajął z powrotem swój teren od razu po imperialnym przelocie.

Przeciwnik traktował Imperium jak siłę natury, co było na swój sposób komplementem, ale też niesamowicie frustrowało komandora.

Po prostu chciał, żeby wreszcie coś się działo.

„Wojna jest tutaj, tchórze” – myślał ze złością. „Stańcie twarzą w twarz z tym, co na siebie ściągnęliście, nic wam nie przyjdzie z uciekania poza kilkoma dniami więcej na rozpacz”.

To było tak... nużące.

Ten przeciwnik mógł jednak okazać się przebiegły... Durwich nie negował strat, jakie wrogowie zadali Imperium, ani kompetencji wielu dowódców, którzy stanęli do walki i przegrali... ale przede wszystkim brakowało im siły.

Łatwość, z jaką posuwała się bieżąca kampania, potwierdzała ten niewątpliwy fakt.

Pierwsza zasada siły i kontroli mówiła, że jeśli nie kontroluje się przemarszu przez swoje terytorium, nie kontroluje się terytorium.

Praktyczna możliwość zakazania czegoś była fundamentem rządów.

Kto nie miał takiej możliwości, ten nie rządził, a jedynie czekał na prawdziwy rząd, by ten przejął należne obowiązki.

Fakt, że Przysiężni i ich irytujący sojusznicy nawet nie próbowali zakazać Imperium przemieszczania się przez ich układy, mówił Gavinowi wszystko, co musiał wiedzieć.

Imperialny świat Kraike

– Meldunki z flot, Wasza Wysokość.

– Dziękuję – odparła Emilia łagodnie, nie odwracając wzroku od panoramy miasta. – Możesz odejść.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Nie musiała się oglądać, słyszała za sobą służalcze ukłony i szuranie. Poczekała, aż drzwi zamkną się za wychodzącym, westchnęła i odwróciła się od widoku za oknem.

Meldunki nie przekazywały niczego zaskakującego, może poza znacznie mniejszym natężeniem walk, niż się spodziewała w oparciu o wcześniejsze naruszenia terytoriów Przysiężnych i ksenosów.

– Wycofują się przed naszymi siłami celowo.

Emilia rzuciła okiem w stronę ojca i mimo poirytowania potaknęła.

– Widzę – odparła cierpko. – Staną do walki na strategicznych pozycjach, najpewniej przy planecie macierzystej ksenosów.

– To prawdopodobne – zgodził się jej ojciec.

Emilia zacisnęła wargi.

– To oznacza, że rozumieją nasze zamiary.

– Bardzo możliwe, przynajmniej w jakimś stopniu. Wysłanie tak licznej floty świadczy o całkowicie odmiennej strategii i celu względem dotychczasowych potyczek – powiedział cicho.

Było w tym więcej prawdy, niż Emilia chciałaby przyznać.

– Być może działałam zbyt szybko – powiedziała z ociąganiem. – Powolne zwiększanie nacisku mogłoby być mądrzejszym posunięciem.

– Możliwe – zgodził się ojciec. – Niemniej takie podejście również jest ryzykowne. Jeśli wróg poznałby twoje zamiary, nim rozłożyłabyś wszystkie pionki na szachownicy, pokrzyżowanie twoich planów byłoby znacznie łatwiejsze. Nawet chaotyczne rozbitcie kilku losowych flot mogłoby zepsuć całą strategię. Twoje bieżące działania mają mniej luk do wykorzystania, ale skompresują przemoc i straty w krótszym czasie, może nawet w jednym momencie.

Ta skompresowana przemoc najbardziej martwiła Emilię.

Wróg mógł uderzyć bezpośrednio w Imperium – a takiej możliwości nie miał nikt w niedawnej... a nawet odległej historii. Kiedy to się stanie, szok dla społeczeństwa będzie... znaczący.

Większość flot będzie wtedy... zajęta... więc może się zrobić nieprzyjemnie.

Emilia odłożyła meldunki z flot i zabrała się za te pochodzące z wewnętrznych sił bezpieczeństwa.

Co prawda floty stanowiły większość siły uderzeniowej Imperium, jednak światy macierzyste bynajmniej nie pozostawały bez ochrony. Armie wszystkich imperialnych planet przysięgały wierność Starsbane'om i każda z nich otrzymała rozkaz przygotowania się na to, co miało nadejść.

Bieżąca operacja już teraz była jedną z najbardziej kosztownych w historii Imperium... a jeszcze nawet nie padły pierwsze strzały.

„A wszystko przez tych ksenosów. Cóż za ścierwo, by pchnąć nas tak daleko...”

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Autolikos”

– Wykryliśmy ruch, kapitanie. Myślę, że chciałby pan to zobaczyć.

Passer zaklął pod nosem, potwierdził i wysunął się ze swojej koi, zostawiając trzymające go jeszcze przed chwilą pasy niezapięte. Pospiesznie włożył jednoczęściowy mundur, choć nieważkość nie ułatwiała sprawy.

Od lat kierował działaniami na „Auto”, ale wiedział, że jego czas się kończy – w ten czy inny sposób.

Stawy zaczynały mu dokuczać, a na ostatnich badaniach nie mieścił się już w normach. Choćby nie wiem jak intensywnie ćwiczył, istniały granice tego, co ciało potrafiło nadrobić w związku z utratą masy mięśniowej i kostnej. Był już daleko poza tymi granicami.

Gdyby nie fakt, że przez cały czas jego przydziału na „Auto” byli w stanie wojny, Morgan bardzo dobrze wiedział, że już dawno przeniesiono by go do służby naziemnej. Wielu z jego marines i innych łatwiejszych w rotacji specjalności zostało już przeniesionych z tego właśnie powodu. Większość jednak nie została odwołana ze służby, lecz trafiła na krążowniki klasy Heros... ale nie on i nie rdzeń jego załogi.

Morgan wątpił, by miało to jakiegokolwiek znaczenie, patrząc, jak rozwijała się sytuacja.

Wysunął się na główny ciąg komunikacyjny i złapał jeden z krążących nieustannie uchwytów, który pociągnął go wzdłuż osi okrętu w stronę mostka.

Chwilę później Morgan był już u celu, skupiając się od razu na głównych ekranach.

– Mówcie – polecił, mimo że sam czytał już wyświetlone informacje.

– Kolejna flota postanowiła porzucić to, co ją tu trzymało, kapitanie. Ich wektor wskazuje na kurs do sektora Priminae.

„I na Ziemię” – pomyślał Morgan ponuro.

– Ile okrętów?

– Trzydzieści, sir.

Morgan zaklął.

Kolejnych trzydzieści krążowników, co najmniej... W zależności od modelu krążownika – a to trudno sprecyzować na tak duże

odległości – mogły im towarzyszyć setki niszczycieli. Oczywiście dla Herosów były niczym uparte muchy, ale muchy też spowalniają...

– Meldunek w kolejce do wysyłki?

– Tak jest, sir – potwierdziła Li. – Niemniej pomyślałam, że zechce pan to zobaczyć, nim wyślemy dane.

Morgan zmarszczył czoło, spoglądając na zastępczynię.

– O co chodzi?

Daiyu Li przyzwała go gestem, więc odepchnął się od pulpitu i podleciał do niej. Jej konsola miała mniejszy ekran, wypełniony danymi szczegółowymi, które wyglądały na przechwycone transmisje.

– Prometeusz przesłał nam klucze deszyfrujące imperialną komunikację – wyjaśniła. – Przechwyciliśmy to, a klucz zadziałał.

Morgan kiwał głową w zamyśleniu, skupiony na ekranach.

– Imponujące – powiedział.

Li przytaknęła.

– Doktorowi Palinowi chyba zaczął się grunt palić pod nogami, tak się to mówi?

Morgan się roześmiał.

– Pasuje. Hmm... Czy to jest meldunek policyjny?

– Coś w tym stylu – potwierdziła Li. – Tak byśmy to interpretowali, choć nadano go przez imperialny kanał wojskowy, z użyciem kodów marynarki... więc nie jestem pewna co do technicznych rozróżnień.

– No tak – odparł Morgan.

Na Ziemi, a szczególnie w Konfederacji Północnoamerykańskiej starano się rozdzielać kompetencje wojska i policji... z oczywistych względów. Te dwa obszary czasami się pokrywały, ale wyłącznie powierzchownie.

Kultura wojskowa była niczym podstępna trucizna, jeśli zaaplikować ją do sił policji.

Sam koncept kompanii braci – wartość, którą żyło wojsko... obok kawy i złych decyzji – przeniknąłby struktury policji i zamienił te siły z organizacji służącej społeczeństwu w grupę, która automatycznie uznawałaby społeczeństwo za potencjalnego wroga.

Skutki tego...

No cóż, mogłoby nie być dobrze.

byłoby niedobrze. To nieuniknione.

Gdy dzieli się świat na „nas” i „ich”, nikt spośród „nas” nie będzie zbyt długo płakać, gdy kilku spośród „nich” odpadnie.

„Wygląda na to, że Imperium nie podziela takich poglądów” – stwierdził Morgan, czytając meldunek, a brwi unosiły mu się coraz wyżej.

– To potwierdzone? – zapytał, spoglądając na zastępczynię.

– Na miarę naszych możliwości, tak, sir.

Morgan powoli pokiwał głową, bardziej do siebie niż do Li.

– To chyba zmieni nasze plany... Muszę pogadać z wierchuszką – powiedział w końcu. – Wycofaj nas z systemu, potrzebujemy przestrzeni na awaryjną tranzycję.

– Sir? – Li wpatrywała się w kapitana szeroko otwartymi oczami.

– Po prostu to zrób.

– Tak jest, sir.

„Autolikos” sunął przez system skryty za aktywnym pancierzem w trybie czarnej dziury, zajęty powolną wspinaczką w górę studni grawitacyjnej lokalnej gwiazdy na samych tylko silnikach odrzutowych.

Zajęło to długie godziny, choć okręt znajdował się pierwotnie na dość wysokiej orbicie. W końcu jednak nieduży niszczyciel prześlizgnął się przez rubieżę układu pod osłonę chmury kometarnej, gdzie ostatecznie zniknął. Niedługo później w innym systemie odnotowano impuls tachionowy, który zadziwił mieszkańców bezskutecznie szukających źródła sygnału nadświetlnego nadajnika.

Przypisano to transmisji z okrętu, odnotowano i wkrótce o tym zapomniano, ponieważ ważniejsze sprawy zaczęły wtedy przykuwać uwagę lokalnej społeczności.

Rozdział 19

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Zdarzały się sytuacje, na które Eric został przeszkolony, sytuacje, na które nie został przeszkolony, i sytuacje, przy których żałował, że nie posłuchał rady swojej mamy i nie został lekarzem.

A bieżąca sytuacja? Ta miała odrębną kategorię.

Tę kategorię Eric zdefiniował, gdy po raz pierwszy w pełni pojął, czym naprawdę byli Drasinowie. Od tego czasu dodawał do niej kolejne wydarzenia.

Eric w myślach określał tę kategorię jako „wszechświat jest zbyt dziwaczny na fikcję”.

Odyseusz stał sztywno na baczność, z głową wysoko uniesioną i spojrzeniem wbitym nieruchomo w przestrzeń, najwyraźniej małpując marines w sytuacji, gdy sierżant właśnie planuje rozerwać któregoś z nich na strzępy. Boadicea za to wyglądała jak połączenie bezczelnego dzieciaka, szczeniaka kulącego się przed ciosem i wojowniczką próbującej przekonać samą siebie do walki, gdy wie, że to bardzo zły pomysł.

Dziwaczne, ale Eric już to widział.

„Pieprzeni marines...” – pomyślał ze znużeniem, choć w głębi duszy wiedział, że sam również raz czy dwa dokładnie tak wyglądał.

– Nie chcę cię obrazić – zwrócił się do kobiecego bytu – więc powstrzymam się przed nazywaniem cię „młodą damą”. Nie jesteś również jedną z moich marines, bym mówił do ciebie jak do podwładnej... niemniej musimy porozmawiać.

– Jestem... niepewna... wielu spraw – powiedziała powoli – ale czuję, że... moje imię... Nazywam się Boadicea.

– Wojownicza królowa, cóż za ironia. – Eric rzucił Odyseuszowi krótkie spojrzenie, które szybko zmieniło się w przewrócenie oczami, więc skupił się z powrotem na Boadicei. – Oczekuję wyjaśnień w sprawie otwarcia ognia z broni przeciwpancernej na pokładzie jednego z moich okrętów. Bądź tak uprzejma...

Otrząsnęła się ze zmieszania, nim rzuciła gniewne spojrzenie w stronę Odyseusza.

– Broniałam mojego domu przed rzymskim intruzem!

Eric przymknął oczy.

– Oookej. Kilka spraw... Odyseusz nie jest Rzymianinem, nie jest również Grekiem. Ściśle mówiąc, tak naprawdę... – Spojrzał w stronę drugiego bytu i wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, nie posiada ziemskiego obywatelstwa, choć spodziewam się, że Konfederacja mu takowe zapewni, jeśli Odyseusz zdecyduje się wyjść z tą kwestią. Podobnie jak tobie. Nie jesteś postacią historyczną, Boadiceo, podobnie jak Odyseusz. Jesteś interpretacją legendy widzianą oczami załogi, jeśli moje rozumienie Odyseusza i pozostałych jest właściwe.

Boadicea wpatrywała się w admirała w ciszy, nim zaryzykowała jedno słowo:

– Pozostałych?

Eric przytaknął.

– Tak. Pewnie masz o nich jakieś informacje, ponieważ kapitan Hyatt dostała odpowiednio szerokie uprawnienia i została poinformowana o ich istnieniu. Gaja i Centrala... co najmniej.

– Gaja... Tak, znam to imię. Ona jest... jak... – Boadicea spojrzała w stronę Odyseusza z wyraźnym niesmakiem. – Jak my?

– W pewnym sensie. – Eric nie silił się na dalsze wyjaśnienia, mając świadomość, w jaki sposób byty pozyskują informacje. Boadicea może i jeszcze nie była w pełni zdolna do przetwarzania wiedzy znajdującej się w jej umyśle, jednak ta wiedza tam była i już niedługo nie będzie stanowiła dla Bo tajemnic. – W tej chwili – podjął twardym tonem – to kwestia akademicka. Ta rozmowa dotyczy twojego zachowania.

Eric przemierzył pokład, stając twarzą w twarz z Boadiceą i patrząc jej prosto w oczy.

– Gdyby któryś z moich marines zachował się tak jak ty, wpakowałbym delikwenta w najgorsze bagno i wsadził na najwolniejszy statek lecący na Ziemię, jaki zdołałbym znaleźć – mruknął. – nigdy nie używaj ciężkiej broni wewnątrz delikatnego obiektu, nie mówiąc nawet o takim, który może wybuchnąć w diabły, jeśli trafisz nie tam, gdzie trzeba. musisz się poprawić.

– Pan... – zamrugła. – Pan nie ma obiekcji wobec otwarcia ognia przeciw Rzymianinowi, a jedynie wobec użycia zbyt dużej siły ognia?

Eric prychnął.

– Gdyby postrzelenie tego wrzodu na dupie cokolwiek działało, już dawno ktoś by to za ciebie zrobił.

Odyseusz jakimś sposobem zdołał zeszywnieć jeszcze bardziej, ale Eric go zignorował.

– Otwarcie ognia bez ostrzeżenia generalnie nie mieści się w naszych zasadach walki, ale według swojej najlepszej wiedzy byłaś sama, bez wsparcia i w tej niekorzystnej sytuacji miałaś sobie poradzić z intruzem. – Eric westchnął i cofnął się nieco. – W takich okolicznościach decyzja o otwarciu ognia klasyfikuje się jako „najlepszy osąd”. Działasz na podstawie swojego najlepszego osądu, ale potem podlegasz mojemu osądowi.

Przerwał na chwilę i potrząsnął głową.

– Nawiasem mówiąc, mój osąd jest negatywny.

Boadicea wzdrygnęła się, ale nic nie powiedziała.

„Dobrze. Uczysz się” – pomyślał Eric bez ogródek, wiedząc, że przekaz do niej dotrze.

– A teraz... – Zrobił głęboki wdech. – Choć kompletnie nie podoba mi się pomysł prowadzenia do boju okrętu z nową zmienną, tobą, wojna już trwa i nie mogę sobie pozwolić na stratę „Bo”. A to oznacza, że musimy współpracować. Jeśli nie jesteś w stanie tego zrobić, musisz nam nie przeszkadzać.

Boadicea wyglądała na urażoną.

– Nie cofnę się przed wrogiem!

Eric westchnął.

– Spodziewałem się, że powiesz coś w tym stylu.

Mierzył ją przez chwilę spojrzeniem, nie dostrzegając śladu dziwactw, które Odyseusz tak lubił na początku. Czy był to wynik tego, że dopiero kształtowała swoją samoświadomość, czy może zachowana historia prawdziwej Boadicei ułatwiała nowemu bytowi radzenie sobie z dychotomią męskich i kobiecych świadomości załogi, której myśli ją definiowały?

Tak czy siak załodze będzie znacznie łatwiej oswoić się z Bo, gdy nikt nie będzie musiał się martwić tym, jak określić, którą płęć ona

preferuje.

Załoga „Odyseusza” przyzwyczaiła się do dziwactw imiennika okrętu, a dla niektórych stało się to nawet swego rodzaju rytuałem budowania więzi. Eric przyłapał kilku marines, jak męczyli się z nakładaniem makijażu, choć wiedział, że traktowali go raczej jako barwy wojenne.

„Marines”.

Cieszył się, że nie używali kredek ani brokatu.

– No dobrze – rzekł po dłuższym milczeniu. – Zamelduj się do kapitan Hyatt... w jej wolnym czasie. Przekażę jej, by cię oczekiwała.

– Dobrze, admirale – przytaknęła z powagą Boadicea.

Eric spojrzał na nią nieco dłużej, po czym polecił:

– Rozejść się.

Byt zniknął bez słowa, ale Eric i tak spojrzał na Odyseusza, czekając na potwierdzenie, nim w końcu się rozluźnił.

– Więc... – zaczął znużonym głosem, siadając za biurkiem – tak z ciekawości, mogę wiedzieć, co cię podkusiło, by przyprowadzić uzbrojonego i wrogiego wojownika do mojego biura?

Odyseusz miał chociaż tyle przyzwoitości, by drgnąć. Eric za to wyciągnął się w fotelu i przymknął oczy.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

Istota zwana Boadiceą czuła się zalana sprzecznymi emocjami i myślami, choć umiała już rozpoznać, że większość z nich nie pochodzi z jej umysłu.

Admirał... admirał Weston – poprawiła się w myślach – okazał się pod każdym względem tak imponujący, jak myślała o nim załoga. Na logikę cały czas wiedziała, że nie mógł zrobić nic, by ją powstrzymać, jeśli zdecydowałyby się na dalszą walkę...

Ale jakimś sposobem zorientowała się, że nie umie znaleźć w sobie dość siły woli, by się choćby poruszyć.

On był po prostu... admirałem.

Jednak przetwarzając coraz więcej informacji, jakie wypełniały jej umysł, zauważyła, że był czymś więcej? Albo mniej? Nie wiedziała.

Wielu wciąż uważało go za komodora... a po wizycie na „Odyseuszu” przechwyciła także myśli tych, którzy wciąż uważali go za swojego kapitana, skippera. Wybitny pilot, nietuzinkowy taktyk... jakieś mieszane odczucia w związku z jego zdolnościami strategicznymi, być może dziwacznymi.

Dla wielu był postacią wręcz mityczną, co zakrawało na ironię, gdy myślała o tym Boadicea.

Rozmowa z nim pomogła jej określić własne myśli, poczuła się bardziej pewnie w swoim umyśle i zaczęła lepiej rozumieć swoje miejsce na okręcie.

Teraz musiała jedynie udowodnić, że na nie zasługuje.

Sandra Hyatt jęknęła, zamykając połączenie z admirałem i rozważając jego słowa.

Naprawdę nie chciała dodatkowych komplikacji w postaci kolejnego bytu. Nad ich głowami kotłowało się właśnie piekielko polityczne i wojenne, a jej załoga miała za chwilę zostać wrzucona w sam środek tego gówna.

W służbie co chwilę jakaś bomba lądowała pod nogami. Jedyne, na co można było mieć nadzieję, to że lont okaże się dostatecznie długi, by wyrzucić to w cholerę daleko, nim pierdolnie.

„Szkoda, że teraz w ogóle nie było żadnego lontu”.

Westchnęła ciężko i stwierdziła, że równie dobrze może to mieć już za sobą.

– Boadiceo.

Istota pojawiła się, nim jeszcze wybrzmiało jej imię, wywołując u Sandry uczucie nadchodzącej nieuchronnie migreny. Naprawdę nie potrzebowała tego, by jeszcze cały czas myśleć, że prawie wszechwiedząca istota obserwuje każdy jej ruch.

„Jak, do cholery, radzi sobie z tym załoga »Odyseusza«?”

Podniosła wzrok znad biurka.

– Spocznij – powiedziała sucho, widząc wyprostowaną sylwetkę.

Nie wiedziała, czy fizyczne rozluźnienie jakkolwiek pomaga Boadicei, biorąc pod uwagę, że przecież nie ma ciała, ale Sandra

miała wrażenie, że sama sobie coś naciągnie, jeśli będzie musiała patrzeć na takiego sztywniaka przez całą rozmowę.

– Tak jest, ma'am – odparła Boadicea, przechodząc do podręcznikowej pozycji „spocznij” z rękoma złożonymi za plecami i stopami na szerokości ramion.

– Widzę, że uczysz się protokołu – zauważyła Sandra z uprzejmą aprobatą. – Dobrze. Nie mamy zbyt wiele czasu na naukę. Rzucasz się na głęboką wodę razem z nami wszystkimi, mam nadzieję, że to rozumiesz.

Istota przytaknęła, idealnie naśladowując gest kapitan.

– Rozumiem, pani kapitan.

– Znakomicie. Mogę założyć, że nie będzie już więcej bojowych incydentów na naszych pokładach? – zapytała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Zdyscyplinuję się – obiecała Boadicea. – Poza sytuacją abordażu nie widzę żadnych możliwych scenariuszy, które wymagałyby ode mnie takowej reakcji.

Sandra prychnęła.

– Nie bądź taka pewna. Ja również nie mogę sobie teraz wyobrazić sytuacji, która by tego wymagała, ale widzieliśmy już zbyt dużo dziwactw, bym mogła to wykluczyć. Jedyne, o co proszę, to jeśli uznasz takie działanie za konieczne, a nie będziesz mogła tego skonsultować z żadnym oficerem, postaraj się nie uszkodzić ani nie zniszczyć niczego, czego nie możemy wymienić.

– Oczywiście, pani kapitan, zadbam o to.

Sandra zmierzyła istotę spojrzeniem, a potem pokiwała głową.

– Dobrze. A teraz... do wezwania Odyseusza, by cię odszukał, skłoniły nas wahania mocy w rdzeniu. Czy możesz mi coś na ten temat powiedzieć?

– Ja... – Boadicea miała właśnie zaprzeczyć, gdy kilkanaście przebłysków informacji wyklarowało się w jej umyśle. – Ja... tak, ja wiem, co się stało.

– O? – Sandra uniosła brew, zaciekawiona.

– Ja się... przeciągałam, to chyba najlepsze słowo. Testowałam... muskulaturę? – Boadicea szukała właściwych określeń. – Przepraszam, nie miałam świadomości, jak to będzie wyglądało dla załogi.

– Teraz już wiemy, w czym rzecz, więc jeśli poczujesz potrzebę... przeciągania się, po prostu nas o tym poinformuj.

– Dobrze, pani kapitan.

– Znakomicie. A teraz, o ile nie masz żadnych pytań... – Sandra pozwoliła słowom wybrzmieć, ale byt nie odpowiedział. – W takim razie możesz odejść. Dziękuję za rozmowę.

– To mój obowiązek, pani kapitan.

Sandra patrzyła, jak istota znika, po czym opadła w fotelu i głęboko odetchnęła. Już teraz miała do ogarnięcia zbyt dużo zmiennych i była bardzo niepokieszona, że doszła do tego kolejna, w dodatku nieprzewidywalna. Cóż, rzadko dostawała od życia to, czego chciała.

Otworzyła dziennik pokładowy i zaczęła nagrywać swoje przemyślenia w tej sprawie oraz odnotowywać czyste fakty.

„Oby komuś się to na coś przydało”.

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Odyseusz”

Wielki okręt odsunął się od „Boadicei”, pozwalając wielu – w tym Miriam – odetchnąć nieco swobodniej.

Heath nie była zachwycona przebywaniem tak blisko potencjalnie niestabilnego, czy raczej nazbyt stabilnego rdzenia, ale wymogi misji i obowiązki służby spychały jej pragnienia na daleki plan.

Na szczęście wszystko w miarę dobrze się skończyło, choć nie zazdrościła Sandrze nowych komplikacji. Na „Odyseuszu” admirał wydawał się zadowolony, że może zajmować się ich okrętowym bytem osobiście. Choć Miriam dość blisko współpracowała z Odyseuszem, w prywatnych kwestiach byt wolał kierować się wyżej.

Co prawda nie tak powinno to wyglądać, ale jeśli sprawy miałyby wyglądać tak, jak powinny, Odyseusz miałby nadany stopień i ze swoimi problemami chodziłby do normalnego doradcy, podobnie jak reszta załogi. Życie jakoś nic sobie nie robiło z tych „powinności”.

– Pani kapitan?

Miriam podniosła wzrok znad konsoli.

– Tak, pułkowniku?

– Wiadomość od admirała, ma'am. Możemy opuścić Ranquil. Na pani rozkaz.

Miriam skinęła twierdząco i poprawiła się w fotelu.

– Rozumiem. Ster, obrać kurs na granicę układu.

– Wprowadzony i gotowy, ma'am.

– Łączność, czy flota jest gotowa?

– Wszystkie okręty na zielono, wszyscy sygnalizują gotowość.

Miriam przejrzała dane osobiście, by mieć pewność, że wszystko gra, i podniosła wzrok.

– Dobrze. Zabrać nas z orbity, tylko silniki odrzutowe.

– Aye, ma'am. Naprzód, tylko odrzutowe. Odchodzimy.

Miriam spojrzała ponownie na ekran danych, obserwując, jak okręty floty zmieniają status z zielonego na niebieski i ruszają w formacji.

„Wakacje się skończyły. Następny przystanek – wojna”.

Rozdział 20

Okręt Sojuszu Ziemijskiego „Jesse James”

Kapitan Waters opadł lekko na swoje stanowisko, sięgając od razu po pasy, by przypiąć się do fotela.

– Status – odezwał się, sprawdzając jednocześnie ekrany i upewniając się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Imperialna flota energicznie kontynuuje manewry – zameldował oficer dyżurny. – Nie wykraczają zbyt daleko poza nasze przewidywania, ale te akurat nie są najkorzystniejsze.

Waters przytaknął z ponurą miną. Ostatnie ruchy sił Imperium bardzo źle wróżyły Ziemi, ale tak wyglądała sytuacja i trzeba sobie było radzić.

– Wciąż transportują ciężkie metale w systemie? – zapytał Waters.

– Tak, sir, wygląda na to, że patrzymy na system zaopatrzenia w surowce używane do produkcji okrętów – zameldował dyżurny. – Czego nie umiemy znaleźć, to ich Kuźnia.

Waters spojrzał na oficera spod zmarszczonych brwi. Choć Kuźnia była znanym obiektem w systemie Priminae, informacje o niej nie były powszechnie dostępne ze względów bezpieczeństwa. Kapitan sięgnął pamięcią do historii służby oficera dyżurnego.

– Komandorze poruczniku Jansovich, służyliście z admirałem Gracen?

– Tak, sir.

Waters pokiwał głową w zamyśleniu. Każdy, kto latał w głęboką przestrzeń kosmiczną z Gracen, musiał wiedzieć o Kuźni.

– Dobrze – ciągnął Waters. – Czy sprawdziliśmy główny system?

Priminae posadowili przecież swoją Kuźnię wewnątrz lokalnej gwiazdy.

– Tak, sir, nic nawet nie wlatywało do wewnętrznego systemu – odparł Jansovich. – Jest tam dość pusto, nie ma się gdzie ukryć.

„Pewnie zaminowali wewnętrzny system wieki temu, ale skoro nie transportują surowców na kadłuby w stronę gwiazdy, to gdzie?”

- Status systemów – zażądał.
- Wszystkie systemy zielone, skipper.
- Poziomy promieniowania?
- W granicach normy, nawet przy aktywnych ustawieniach czarnej dziury.
- Dobrze. W takim razie zrobimy sobie wycieczkę krajoznawczą po systemie – odparł Waters.
- Skipper?
- Ster – wywołał.
- Tak, sir!
- Wyznaczyć kurs po spirali w stronę gwiazdy – polecił. – Chcę zrobić pętlę wokół wewnętrznego gazowego giganta, wystrzelimy się tym z powrotem do zewnętrznego sektora systemu. Silniki uruchamiać tylko do wprowadzenia kursu.
- Aye, skipper. To zajmie chwilę.
- Nie spieszcie się, zróbcie to dobrze – polecił.
- Aye, aye.

„Jesse James” powoli zszedł z wysokiej orbity wokół lokalnej gwiazdy, a z rzadka prychające silniki manewrowe ustawiły go w ciasnej spirali opadającej w głąb systemu.

Niszczyciel klasy Włóczęga, czarniejszy od czerni, niczym smuga cienia z głębin wszechświata nurkował w stronę gwiazdy. Sporadyczne użycie silników manewrowych sprawiało, że okręt praktycznie nie pozostawiał po sobie śladów.

Aktywność Imperium w systemie była dość intensywna, ale skupiała się wokół jedynej zamieszkaney planety, która zupełnie nie zajmowała załogi „Jessego Jamesa”. Co interesowało ludzi, to znacznie mniejsza aktywność nieco dalej, gdzie wielkie transporty surowców umieszczano na orbicie, a następnie wysyłano gdzieś daleko.

Imperium pozyskiwało surowce z lokalnego pasa asteroid od bardzo dawna, co skutkowało zaśmieceniem systemu. Ciężkie okręty preferowane przez Imperium nie miały z tym żadnego problemu, ale nieduży „James” nie mógł ignorować szczątków.

Waters skrzywił się, słysząc kolejny łomot odbijający się echem po pokładach.

Dryfujące szczątki przegryzały się im przez pancerz, a to był naprawdę poważny problem... już pomijając takie oczywistości jak dekompresja i śmierć.

– Mieście oko na stan pancerza – polecił. – Jeśli płyty kamuflażowe za bardzo się zetną, będziemy świecić gołym tyłkiem.

– Aye, skipper.

Ostatnie, czego by chciał, to zbliżyć się na tyle, by pozyskać potrzebne dane, a potem nie móc się wycofać, bo podziurawiony pancerz ujawni Imperialnym lokalizację okrętu.

– Zbliża się imperialne zgrupowanie – zameldował młody oficer.

Wszyscy załoganci byli cholernie młodzi... o wiele za młodzi. Waters też nie miał jeszcze trzydziestu lat i nie powinien nawet dowodzić wahadłowcem, nie mówiąc o okręcie. Takie były prawa wojny i otwartego nagle nowego frontu.

– Widzę ich, Maris – potwierdził kapitan. – Miej ich na oku, ale póki zajmują się sobą, my robimy to samo.

– Tak jest, sir.

Waters sprawdził dane w komputerze, śledząc trajektorie statków, i wpadł mu do głowy pewien pomysł.

– Ster, schowamy się za imperialny statek. Gdy tylko ruszy, ustaw nas za jego rufą – polecił. – Trzymaj się jak najbliżej, byle nas nie zauważyli. Pozwolimy Imperium oczyścić nam drogę.

– Aye, skipper. – Sternik zawahał się i zwrócił do kapitana. – Skipper, nie nadążymy za nimi na silnikach manewrowych.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł Waters bez ogródek. – Nie martw się, moja w tym głowa.

– Aye, skipper. Będę się trzymał jak najbliżej.

– I o to chodzi.

Imperialny krążownik górniczy

– Komandorze...

Komandor Gerin Maits podniósł wzrok, podrapał się w głowę, a w końcu wstał ociężale i podszedł.

– Co? – burknął, patrząc na odczyty nisko postawionego załoganta.

– Nietypowy sygnał, komandorze – odpowiedział ten nerwowo. – Przy wszystkim, o czym nas pouczono, pomyślałem...

– Po prostu mi to pokaż. – Gerin potrząsnął głową zniecierpliwiony.

Nie chciał wysłuchiwać tłumaczeń, miał swoją robotę do zrobienia.

– Tutaj, komandorze.

Gerin nachylił się, wpatrując się w nagranie. Mimo to i tak prawie przegapił króciutki impuls.

– To? Wołałeś mnie tylko po to? – zapytał z niedowierzaniem.

– Przepraszam, komandorze, myślałem...

– To nie myśl. To najwyraźniej nie jest twoja mocna strona. Zwykły odblask z jakichś śmieci, których tu pełno. Widzisz to setki razy dziennie.

– Yyy... tajess.

Gerin pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie zawracaj mi głowy jakąś czkawką czujników. Mam ważniejsze sprawy.

Zirytowany, wrócił na swoje stanowisko.

„Słowo daję, wiadomość od Jej Wysokości tylko wszystkich nastraszyła” – pomyślał cierpko.

Jego załoga zaczęła bać się własnego cienia, a przecież byli solidnie okopani w granicach Imperium.

To było niedorzeczne.

Okręt Sojuszu Ziemijskiego „Jesse James”

– Pomalutku... – powiedział Waters, pochylając się nad swoją konsolą, a raczej dryfując nad nią.

– Pomalutku, aye, skipper.

Ster i główna stacja skanowania pracowały z najwyższą ostrożnością, wprowadzając niszczyciel na ogon wrogiego

krążownika. Imperialna jednostka z pewnością widziała lepsze dni, jak zauważył Waters z lekkim zdziwieniem.

Dostatecznym zdziwieniem, by to odnotować na wypadek, gdyby kiedyś komuś ta wiedza miała się przydać.

Większość imperialnych okrętów, na jakie się dotychczas natknęli, była w przyzwoitym stanie.

Żadna jednostka latająca dłużej w głębokiej przestrzeni nie mogła być jak nowa czy choćby w doskonałym stanie. Już samo promieniowanie wystarczyło, by uszkodzić kadłub, a w niektórych przypadkach wywołać coś na kształt korozji. Mikrometeority, które przedostawały się przez zakrzywienie czasoprzestrzenne napędu, również powodowały wżery na poszyciu, i to w stosunkowo krótkim czasie.

Teraz jednak Waters widział coś zupełnie innego.

Krążownik, na którego ogonie siedzieli, miał swoje najlepsze dni daleko za sobą... na długo przed narodzinami Watersa. Wżery na kadłubie były normalnym zjawiskiem, ale według pasywnych skanów jednostka pochłonęła taką ilość promieniowania, że Waters dziwił się, że nie świeci.

Mimo to wielka bestia nic sobie nie robiła z poharatanego kadłuba i jej możliwości nie wydawały się w żaden sposób ograniczone, więc Waters nie zamierzał jej lekceważyć.

„Szczególnie gdy siedzimy praktycznie na wylocie luf tego cholerstwa”.

– Gdzie się kierują? – zapytał cicho, poddając się nastrojowi, jakby odgłosy rozmów mogły pokonać barierę próżni i zaalarmować wroga.

– Trwa jeszcze ekstrapolacja kursu, skipper... ale na pewno jednostka nie opuszcza systemu.

Waters powoli pokiwał głową.

– Pracujcie nad tym. Musimy to wiedzieć.

– Aye, skipper.

Imperialny konwój sunął przez system w zółwym tempie, co akurat było doskonałą wiadomością dla „Jessego Jamesa”, który bez problemu utrzymywał tempo, jedynie okazjonalnymi krótkimi odrzutami korygując lot.

– Skipper... kierują się chyba w stronę gazowego giganta.

To przyciągnęło uwagę Watersa.

Gazowy gigant był naprawdę duży, znacznie większy niż Jowisz. Wyglądało, że to raczej pozostałość nieudanego zapłonu gwiazdy niż faktyczny gazowy gigant. Był ósmą planetą lokalnego systemu i był na tyle duży, że wcześniejsze skany wykazały wyraźne odchylenie lokalnej gwiazdy względem niego.

Technicznie wszystkie obiekty kosmiczne wpływały na siebie nawzajem, ale rzadko widziało się planetę na tyle dużą, by powodowała cokolwiek więcej niż lekkie chybotanie swojej gwiazdy.

– Przyjąłem – odparł Waters po chwili zastanowienia. – Zróbmy im trochę więcej miejsca, ale trzymajmy się ich, póki nie wejdą na orbitę planety.

– Aye, sir – potwierdził sternik. – Cofam się troszkę.

Imperialny krążownik górniczy

– Wezwanie z obiektu, sir.

– Odpowiedź – odparł Gerin, znudzony ciągle tymi samymi wydarzeniami, przy każdej dostawie.

– Odpowiedź nadana... zezwolono na dostęp.

„Oczywiście, że zezwolono. Widzą przecież, kim jesteśmy, równie dobrze, jak my widzimy ich” – pomyślał ze znużeniem, ale takie były procedury.

Obiekt dezaktywował systemy obronne na czas przelotu konwoju przez strefę zamkniętą w stronę masywnej planety, która była w praktyce drugą, choć znacznie zimniejszą gwiazdą.

– Otrzymaliśmy transmisję rozkazów zwolnienia materiału.

– Potwierdzić i rozpocząć proces.

– Tak, komandorze, wedle rozkazu.

Okręt Sojuszu Ziemijskiego „Jesse James”

– Co oni kombinują? – zapytał Waters, obserwując, jak tysiące ton urobku wysunęło się z ładowni konwoju i dryfowało na orbicie gazowego giganta.

– Nie jesteśmy pewni, ale mamy ciekawe odczyty...

– Pokaż.

Waters spojrział na przekazane na jego stanowisko dane.

– Na co właściwie patrzę? – zapytał, marszcząc brwi.

Coś tu nie grało, ale nie umiał tego określić – a przynajmniej nie na pierwszy rzut oka.

– Gazowy olbrzym, a konkretnie jego orbita jest bardzo czysta, sir.

Waters pomyślał chwilę i pochylił się znów nad danymi.

Oficer ze stacji skanerów się nie mylił. Orbita była nie tylko czysta... chodziło o coś więcej.

– Czy mamy hiperspektralne skany szczątków, które tu dryfują?

– Sekundkę, sir... Na pana stanowisku.

Waters przełączył się na nowe dane, analizując je dokładnie.

„Nic tu nie ma... tylko pył”.

Wepchnął się z powrotem w fotel i przypiął pasami.

– Wygląda na to, że zlokalizowaliśmy ich Kuźnię.

Rozdział 21

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan Mich jęknął, obserwując manewry połączonych flot prowadzone z rażącą niedbałością.

Nie był tym zaskoczony. Rzadko się zdarzało, by łączono w jednej kampanii dwie floty... a teraz musiał sobie radzić z czterema... i jeszcze trzema półflotami. Każda z nich miała swojego komandora, a łączący je łańcuch dowodzenia był, łagodnie rzecz ujmując, słabo umotywowany.

Jak dotąd, przy minimalnym kontakcie z wrogiem, nie kosztowało ich to zbyt wiele... a mimo to kilkanaście razy prawie doszło do zderzeń krążowników. Na samo wspomnienie Jesan wciąż czuł dreszcze, choć minęło już wiele dni. Takiej katastrofy nie potrzebował na swoim koncie, i tak już pełnym różnych katastrof.

Na szczęście aktualnie nie zapowiadało się na tak duże kłopoty, ale było jasne jak słońce, że komandor Piątej Floty miał problem z samą ideą wspólnej operacji.

Gdy weszli w przestrzeń Priminae i oczyścili system z drobnicy zajmującej się wydobywaniem na jego rubieżach, Piąta Flota opuściła szyk i wyrwała się daleko poza pozycje, a jej komandor wyraźnie opierał się wszelkim próbom sprowadzenia jego grupy na lepiej bronione pozycje.

„Przeklęty głupiec zapomniał o podstawowym powodzie, dla którego prowadzimy tę kampanię połączonymi flotami” – pomyślał Jesan z irytacją. „Wystawianie okrętów przed szereg, by wróg mógł je sobie wygodnie wystrzelać, jest po prostu partactwem”.

Co gorsza, komandor Piątej Floty wystrzegał się nawet rozmowy na ten temat, chcąc działać po swojemu. Po prawdzie Jesan nawet nie miał mu tego za złe, bo sam również nie byłby zachwycony, gdyby ktoś wlaził w jego buty.

– Przesunąć nasze główne okręty naprzód, wypełnić lukę pomiędzy nami a Piątą – polecił Jesan cierpko.

– Tak, komandorze floty.

Nie było to doskonale rozwiązanie, ale przynajmniej ograniczy straty, jeśli Piąta natknie się na wroga. Zawsze coś.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Komandorze floty, okręty Trzeciej zbliżyły się do nas.

– I bardzo dobrze. – Gavin prychnął lekceważąco. – Najwyższa pora. Mich jest przesadnie ostrożny. Powinien był przesunąć swoje siły już jakiś czas temu, zamiast jęczeć, żebyśmy to my wrócili na pozycje.

– Tak, komandorze floty.

Gavin czerpał satysfakcję z tego, jak rozwijała się operacja... pomimo problemów z innymi komandorami.

Przepędzali wrogie siły, Przysiężni tchórzliwie pierzchali przed ich natarciem, a niesławny obcy gatunek jak dotąd nawet nie pofatygował się, by się w ogóle pokazać. Durwich nabierał coraz większej pewności, że gdyby Jesan znalazł w sobie dość siły, całej tej sytuacji z łatwością można było uniknąć.

„Miliardy ludzi zginą, bo złożono zbyt wielką odpowiedzialność na ramiona jednego tchórze”. Gavin z dezaprobatą potrząsnął głową. „Co za strata”.

– Skany – zawołał, zwracając się w stronę odpowiedniego stanowiska. – Jakież oznaki obecności wroga?

– Być może zanotowaliśmy statki ewakuujące się z systemu, gdy wkraczaliśmy, ale nie mamy co do tego pewności, komandorze floty.

Gavin mruknął zadowolony. Przysiężni byli zbyt łagodni. To cud, że utrzymali się tak długo w nieprzyjaznej Galaktyce, ale najwyraźniej w chaosie wszechświata wszystko było możliwe.

– Znakomicie – powiedział. – Zniszczymy infrastrukturę w przelocie. Niech stacje uzbrojenia zwrócą szczególną uwagę na obiekty ofensywne na planecie. Nie mamy czasu na dokładną

robotę, ale możemy przyszpilić przeciwnika na tej ich kulce błota przynajmniej do czasu, aż ktoś dokończy sprawy w drodze powrotnej.

– Tak, komandorze floty.

Krażownik Priminae „Denai Firma”

– Na otchłań, to naprawdę dużo okrętów.

Kapitan Keir nie skomentował, nie obejrzał się nawet, by sprawdzić, kto to powiedział. Słowa były przerażająco prawdziwe. Obserwowali właśnie zgrupowanie trzykrotnie przekraczające liczebnością siły, jakie wszystkie kolonie były w stanie wspólnie wystawić, a miał świadomość, że to zaledwie część wrogiej floty, o której mówiły meldunki.

Jego „Denai” znajdował się na wysuniętych pozycjach poza studnią grawitacyjną gwiazdy, z daleka obserwując, jak imperialna flota tratowała kolejny system.

– Zniszczyli obiekty górnicze w pasie asteroid, sir.

– Rozumiem. Proszę monitorować i nagrywać wszystko – polecił Keir, starając się nie okazywać gorejącego w nim gniewu, choć wystarczyłby rzut oka na jego dłonie, by poznać jego emocje.

Zaciskał pięści tak mocno, że zbieleły mu kłykcie, a ścięgna prawie trzeszczały. Musiał przyznać przed sobą, że to dziwne uczucie.

Keir nigdy przez całe swoje życie nie pragnął konfrontacji. Jak każdy, komu powierzono dowodzenie w marynarce kolonialnej, przeszedł testy sprawdzające, czy nie jest skłonny do takich właśnie wypaczeń.

Ale w tamtym momencie, gdy obserwował, jak Imperium od niechcienia unicestwia życie i własność jego ludu...

Poczuł, jak rodzi się w nim żądza zemsty.

To uczucie bardzo go niepokoiło, ale i tak na razie nie mógł nic z tym zrobić – w żadnym kierunku. Ani nie mógł zrzec się obowiązków jako niezdolny do służby, co ostatnio było możliwe na kilka lat przed powrotem Drasinów z koszmarnych czeluści kosmosu, ani nie mógł oddać się swoim pragnieniom.

Wróg był zbyt potężny i jeden okręt – nawet krążownik taki jak „Denai” wraz ze wszystkimi swoimi ulepszeniami i uzbrojeniem pozyskanym w czasie inwazji Drasinów – no cóż, nie miał możliwości jakiegokolwiek znaczącego ataku, nie mówiąc już o zwycięstwie.

Keir zmusił się więc do siedzenia w bezruchu i obserwowania z zaciśniętymi szczękami i pięściami, jak giną jego ludzie.

„Nie tego oczekiwałem, zaciągając się do służby”.

Niestety, wszechświat nic sobie nie robił z jego oczekiwań.

– Kapitanie... sygnał z Centrali i Ranquil.

Keir odwrócił się gwałtownie w stronę stanowiska łączności, zaskoczony tą wiadomością. Nie było w harmonogramie żadnych zaplanowanych impulsów łącznościowych, a to oznaczało zmiany. W tej chwili zmiany nie wróżyły niczego dobrego.

– Na moje stanowisko.

– Tak, kapitanie.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Komandorze floty! Impuls z innego systemu!

Jesan wstał z fotela, szybko przemierzył pokład i nachylił się nad kobietą pracującą przy stacji skanerów dalekiego zasięgu.

– Pokaż.

– Tak jest, komandorze floty.

Nagranie trwało jedynie kilka sekund, ale wyraźnie pokazywało bardzo skupioną wiązkę nadświetlną spójną z komunikacją dalekiego zasięgu. Mimo to Jesan zmarszczył brwi, wpatrując się w dane na ekranie, bo zauważył coś nietypowego.

– Sygnał jest słabszy, niż powinien – zasugerował.

– To nie jest impuls komunikacyjny, komandorze – odparła kobieta. – To odbicie. Zdarza się, gdy jednostka odbierająca nie znajduje się tam, gdzie powinna. Stawiam, że wiązka była skierowana na orbitę planety, ale została przechwycona daleko poza optymalną strefą.

Zastanowiło to Jesana.

– Rozumiem. Czy w takim razie można zlokalizować odbiorcę?

– Nie na tej podstawie – przyznała. – Ale możliwe, że będziemy mogli zawęzić obszar na podstawie skanów z innych naszych jednostek.

– Zajmę się ich pozyskaniem – odparł Jesan i wyprostował się. – Tymczasem proszę pracować na tym, co jest dostępne.

– Tak jest, komandorze floty.

Jesan wrócił na stanowisko dowodzenia, uruchamiając protokoły komunikacyjne do pozostałych komandorów flot.

„To byłoby dużo prostsze, gdybyśmy od początku mieli lepsze kanały współdzielenia danych”.

Zrobił notatkę, by zwrócić się do wyższego dowództwa w sprawie stworzenia takiej sieci. Wątpił jednak, by ktokolwiek zapalił się do tego pomysłu.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

– Komandorze floty, żądanie z Trzeciej Floty.

– Znowu? – Gavin nie krył niezadowolenia. – Czego tym razem chce Mich?

– Kopii danych ze skanerów, komandorze floty.

– Co? – Gavin potrząsnął głową. – Po co?

Istniało niewiele powodów, dla których jedna flota chciałaby mieć dostęp do skanów innej floty znajdującej się w tym samym systemie. Mieli dostatecznie dużo czujników pracujących w pełnej synchronizacji, więc nieuchronnie wszystkie zapisywane dane były przynajmniej zdublowane. Właściwie to zwielokrotnione, więc z zasady dane ze skanerów musiały być raczej usuwane niż udostępniane.

– Wygląda na to, że Trzecia wykryła impuls komunikacji nadświetlnej spoza systemu, komandorze floty. Chcą to potwierdzić i namierzyć źródło.

Gavin zmarszczył brwi, skonsternowany.

– A czy my wykryliśmy ten rzekomy sygnał? – zapytał po chwili namysłu.

– Sprawdzamy właśnie wpisy, ale wygląda na to, że mógł faktycznie być tu jakiś impuls. Zbyt słaby, by być transmisją wychodzącą, a przynajmniej nie do odległego odbiorcy.

– Proszę zdefiniować zbyt słaby, jeśli łaska.

– Taki, który nie sięgnie poza obszar bieżącego systemu gwiazdowego, a i to ledwo, komandorze floty.

Prychnął, kręcąc głową.

– Więc o ile nie ma tu gdzieś w ukryciu floty, nie jest to zbyt zagrożenie...

Zastanowił się chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– A prześlijże im te dane. Jeśli Trzecia Flota chce gonić cienie, niech sobie goni.

– Tak jest, komandorze floty.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Odbieramy dane ze skanerów innych flot – poinformował Jesan.

– Udostępniłem je wszystkim stanowiskom skanerów i ekipom analitycznym. Proszę mi znaleźć ten statek.

– Tak jest, komandorze floty!

Jesan wiedział, że sam niewiele mógł teraz działać, taka już była natura tego typu zadań. Jego czas wypełniały długie okresy poczucia kompletnej nieprzydatności i krótkie okresy czystego przerażenia, gdy wszystko opierało się wyłącznie na jego decyzjach.

Już dawno nie tyle przyzwyczał się do takiego stylu życia, co wręcz nie wyobrażał sobie innego... Na tym etapie było to już właściwie uzależnienie.

– Komandorze floty, wydaje mi się, że zlokalizowaliśmy okręt.

Jesan się uśmiechnął.

– Znakomicie. Na moje ekrany.

– Tak jest, komandorze floty.

Widział nowe dane napływające na jego konsolę i skupił się na zewnętrznym obszarze systemu... daleko poza granicą wpływów lokalnej gwiazdy, wypartych przez oddziaływania międzygwiazdne.

Okręt, o ile faktycznie tam był, znajdował się na tyle daleko, że nie mieli rzecz jasna żadnego zdjęcia ani niczego w tym stylu. Choć krążowniki bywały potężne – o ile w ogóle był to krążownik – niełatwo było je zlokalizować nawet przy pomocy najlepszych systemów wizualnych, a już na pewno nie na takie odległości.

Mimo to Jesan miał głębokie przekonanie, że jakiś okręt tam jest... albo chociaż był.

To rodziło kolejne, zupełnie inne pytanie.

„Co teraz z tym zrobić... hmm...”

– Proszę skontaktować się z komandor floty Misrem, połączenie na moje stanowisko – polecił.

– Tak jest, komandorze floty.

Okręt flagowy floty kwartowej

Komandor floty Misrem analizowała dane otrzymane od Trzeciej Floty, nieco poirytowana faktem, że jej załogi przegapiły ten impuls, ale też świadoma bardziej ograniczonych możliwości swojej znacznie mniejszej floty.

Niemniej impuls ostatecznie namierzono i teraz miała zapytanie z Trzeciej, czy można coś z tym zrobić.

– Wszystkie jednostki – powiedziała zdecydowanym tonem – przygotować się na manewry.

– Tak jest, komandorze floty. Cel manewrów?

– Współrzędne celu są dostępne na waszych stanowiskach – odparła. – Razem ze specyfikacją manewrów.

Krążownik Priminae „Denai Firma”

Keir podniósł wzrok znad meldunku, zaskoczony jego treścią.

– Co robi przeciwnik? – zapytał spiętym głosem.

– Bez zmian, kapitanie. Kontynuują lot przez system dotychczasowym kursem, niszcząc sprzęt i obiekty w przelocie, ale poza tym nie zwalniając i nie zmieniając wektora.

– Dobrze... dobrze – odparł kapitan powoli, namyślając się. – Przygotować się do nadania impulsu łącznościowego.

Oficerowie na mostku odwrócili się w jego stronę, pełni niedowierzania.

– Sir... to spowoduje...

– Tak, wiem, że to ujawni naszą pozycję. Wykonać.

– Tak jest, kapitanie.

„Najwyższa pora”.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Pani kapitan, impuls łącznościowy z floty Priminae – zameldowała młoda oficer łączności, zwracając się do Miriam. – Obserwują przelot floty wroga.

Miriam uśmiechnęła się blado.

– No cóż, chyba czas zabrać się do pracy.

Otworzyła połączenie z mostkiem admirałskim.

– Sir?

– Jestem na bieżąco – odparł admirał. – Działamy na pani sygnał, pani kapitan. Flota za panią podąży.

– Dziękuję, sir – powiedziała Miriam, kończąc połączenie. – Do całej załogi. Ogłosić alarm bojowy.

Rozdział 22

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

- Wykryto impuls łącznościowy!
- Zlokalizować i wyizolować – rozkazał Gavin natychmiast.
- Systemy parsują dane. Flota kwartowa komandor floty Misrem jest już w ruchu, opuszcza właśnie sztyk.

Gavin skrzywił się.

„A więc coś jednak wyszło z tego ich gonienia cieni”.

- Czy kierują się we właściwą stronę? – zapytał, próbując nadążyć za danymi zalewającymi ekrany.

– Wciąż izolujemy sygnał, ale ogólny kierunek się zgadza, komandorze floty.

Durwich skrzywił się jeszcze bardziej, ale po chwili westchnął i powiedział niechętnie:

- Dobrze. Kontynuujcie.
- Tak jest, komandorze floty.

Gavin wiedział, że Mich i Misrem pracowali już kiedyś ramie w ramie. O ile dobrze pamiętał, Jesan był przełożonym świeżo upieczonej komandor przynajmniej przez jakiś czas i wyglądało na to, że ta relacja nadal dobrze się trzyma. Flota kwartowa znajdowała się już wyraźnie wyżej względem lokalnej gwiazdy niż reszta zgrupowania, co oznaczało, że udało się jej umknąć uwadze jego ludzi aż do teraz.

Nieźle.

Tyle mógł przyznać. Posłuchali przeczucia, co więcej, byli gotowi działać w oparciu o przeczucie – i to się im opłaciło. Pytanie brzmiało, co tam na nich czeka.

- Czy mamy jakiegokolwiek skany tej okolicy, które wskazywałyby na obecność jednostek wroga? – zapytał, nie odrywając wzroku od zawężającego się obszaru, z którego pochodził impuls.

- Sprawdzam właśnie starsze skany tego obszaru, komandorze floty, i nic na razie na nich nie widać, ale nie jest to mała przestrzeń. Gavin pokiwał głową.
- Pracujcie dalej.
- Tak jest, komandorze floty.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

- Czy zauważyli już działania komandor floty Misrem? – zapytał Jesan, przekrzykując chaos panujący na mostku.
- Nie wiemy, ale to mało prawdopodobne, komandorze floty – odpowiedział pośpiesznie oficer ze stanowiska skanerów. – Ograniczenia wynikające z prędkości światła sprawiają, że ich odpowiedź na nasze działania jest... praktycznie niemożliwa.
- Dlaczego więc ujawnili swoją lokalizację? – dopytywał się Jesan, choć mówił głównie do siebie.
- Przykro mi, komandorze floty, nie znam odpowiedzi.
- Jesan tylko machnął ręką na te przeprosiny. Nie oczekiwał od załogi, że będzie wszechwiedząca, choć z pewnością byłoby to przydatne.
- Sądził, że wydał Misrem rozkaz oflankowania szpiegów przeciwnika, jakiejś jednostki obserwującej ich tchórzliwie z ukrycia, ale sygnał, który wróg właśnie nadał, nie wskazywał na kogoś, kto chciał pozostać niezauważony.
- Wyizolowaliśmy źródło...
- Proszę pokazać – polecił.
- Ekran tworzący interfejs, na którym operował zarówno ich okręt, jak i cała flota, wypełniły się teraz danymi ze skanerów dalekiego zasięgu, a Jesan odruchowo się nachylił, by lepiej się im przyjrzeć.
- To nie ma sensu – powiedział po chwili. – Tam jest tylko jeden okręt?
- Jeden, który umiemy zlokalizować, tak, komandorze floty.
- Mich zawahał się, wpatrując się w ekrany z narastającym niepokojem. Szybko sprawdził odległości, po czym otworzył

połączenie z flotą kwartową.

Musiał poczekać kilkanaście sekund na odpowiedź.

– Tak, komandorze floty? – Na ekranie zajaśniała w końcu twarz Misrem. – O co chodzi?

– Strzeż się – powiedział krótko. – Wrogi okręt wydaje się sam.

Postarał się podkreślić słowa „wydaje się”, wiedząc, że Misrem ma bogate doświadczenia z technologią maskowania wroga.

Jej wyraz twarzy zmienił się nieco, gdy jego słowa pokonały w końcu rosnącą wciąż odległość między flotami.

– Rozumiem. Będziemy wyglądać zasadzki.

– Dobrze – odparł Jesan i skinął jej krótko na pożegnanie, kończąc połączenie.

Nie spodziewał się po niej niedbałości czy brawury, ale lepiej ostrzec o jeden raz za dużo niż za mało. Martwiło go, że w ogóle widzą ten jeden okręt.

„Jeśli używają maskowania, czemu ten okręt jest widoczny? Czy jest przynętą? A może naprawdę jest sam?”

Jeśli przeciwnik nie miał wsparcia, raczej nie zostanie na pozycjach. Gdy tylko zauważy flotę kwartową Misrem, powinien uciec... Ale jeśli nie ucieknie? To martwiło Jesana.

Oczywiście najgorszym scenariuszem byłaby znacząca liczba okrętów przeciwnika ukryta gdzieś w pobliżu... ale przecucie mówiło Jesanowi, że coś tu nie pasuje, podobnie jak w przypadku pojedynczego statku. Żaden z tych scenariuszy nie pasował do reakcji i działań, jakie dotychczas obserwowali.

„Jeśli okręt jest częścią floty, dlaczego się nie maskuje? A jeśli jest sam, dlaczego zdradził swoją pozycję, szczególnie jeśli nie planował natychmiastowego odwrotu?”

To właśnie fakt, że okręt wciąż siedział w bezruchu, wprawiał Jesana w taką konsternację.

– Oni coś knują – powiedział, nabierając pewności co do tego i wychodząc zza pulpitu. – Wszystkie jednostki, pełen alarm defensywny. Poinformować wszystkie floty, zalecić im to samo.

– Tak jest, komandorze floty! Rozkazy odebrane w całej Trzeciej i przekazane do pozostałych flot.

„No, dalej. Pokażcie, jaką niespodziankę macie dla nas tym razem”.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Komandor floty Gavin prychnął drwiąco, czytając komunikat rozesłany przez Trzecią Flotę.

– Jesan jest stuknięty – stwierdził, kręcąc głową z dezaprobatą. – Tu nie ma żadnego zagrożenia. Pojedynczy okręt w takiej odległości?

Splunął z obrzydzeniem, choć czuł, że nie powinien być zaskoczony. Facet staczał się od dłuższego czasu, ale po prostu dawał radę dobrze to ukrywać aż do niedawna.

„Cesarzowa nie powinna powierzać mu dowództwa po odebraniu mu tytułu lordowskiego”.

Pojedynczy okręt wroga w tej odległości był nawet mniej niż brakiem zagrożenia – rozpraszał jedynie załogi i powodował utratę zasobów, które mogły zostać w tym czasie lepiej wykorzystane. Nawet umiejętne przekierowanie sił Misrem nie dawało szans na to, że wrogi okręt pozwoli im się w ogóle zbliżyć.

– Przynajmniej nie brak im entuzjazmu – powiedział do siebie.

– Słucham, komandorze floty?

– Nic takiego, podkomandorze. Nic zupełnie.

– Yyy... tak, komandorze floty.

„Gdyby tylko nie był to tak frustrująco marnotrawny entuzjazm”.

Krażownik Priminae „Denai Firma”

– Kontakt z flotą wroga, kapitanie.

– Widzę ich – potwierdził Keir, próbując zachować spokój na widok okrętów zbliżających się do jego jednostki.

Większość jednostek, które monitorowali, pozostała na niezmiennym kursie, ale jedna stosunkowo nieduża grupa ruszyła w ich stronę natychmiast po nadaniu przez nich impulsu łącznościowego. Zdołała nabrać już znaczącej prędkości i mocno się zbliżyć, nim została dostrzeżona.

Gdyby była choćby odrobinę szybsza, ucieczka mogłaby okazać się trudna.

W bieżącej sytuacji pozostawało jeszcze dużo czasu, by wyznaczyć kurs unikowy, który spokojnie pozwoliłby im wymknąć się imperialnej pogoni.

„Gdyby tylko takie było nasze zadanie”.

– Proszę zignorować tę grupę – rozkazał z ociąganiem. – Kontynuować skany głównego zgrupowania... przejść na pełne skanowanie aktywne.

– Tak jest, sir! Wszystkie skanery przechodzą na pełne skanowanie aktywne!

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan drgnął, gdy okręt przeciwnika zajaśniał na ekranach niczym latarnia morska, w jednej chwili aktywując wszystkie skanery.

– No cóż, zaryzykowałbym stwierdzenie, że już się przed nami nie chowają – stwierdził sucho podkomandor.

Mich tylko pokręcił głową.

– Wciąż nie ma śladu innych jednostek?

– Nic a nic.

– Nie podoba mi się to – powiedział Jesan ponuro. – Oni coś knują. Nie wiem co, ale coś knują.

– Zgadzam się, komandorze floty, ale co?

Oto jest pytanie. Jesan nie znał na nie odpowiedzi, przez co gdzieś głęboko czuł narastające napięcie, które krzyczało, by zrobił z tym... coś.

„To tylko jeden okręt. Dlaczego więc czuję się, jakbym wpadł w pułapkę?”

– Rozproszyc flotę, potroić dystans pomiędzy okrętami – polecił.

– Tak, komandorze floty... ale... – Podkomandor zawahał się. – To zwolni nasze reakcje w sieci bojowej.

– Mam tego świadomość. Wykonać.

– Wedle rozkazu.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Co, na otchłań, wyczynia ten przeklęty głupiec?

Durwich z każdą sekundą tracił cierpliwość do poczynań swojego odpowiednika w Trzeciej Flocie. Ten skończony idiota rozproszył właśnie swoje okręty tak bardzo, że z pewnością działały poniżej jednej piątej oczekiwanej wydajności komunikacyjnej we flocie tej wielkości.

A wszystko to z jakiego powodu?

Pojedynczego okrętu?

Działania Jesana zaczynały go solidnie drażnić, ale nie poddał się jeszcze bezpodstawnej nerwowości.

„No i zostaje jeszcze ten okręt...”

Gavin musiał przyznać, że cokolwiek planuje jednostka wroga, było to tak dziwaczne, że nawet on miał już złe przeczucia. Jednak z tej przyczyny nie zaczął bać się własnego cienia. Bez dostatecznej ilości informacji było równie prawdopodobne, że wskoczą prosto w sidła wroga, jak i to, że się z nich wydostaną.

– No dobra – burknął. – Postawić nasze okręty w stan gotowości bojowej.

– Tak, komandorze floty.

„Co, na otchłań, oni wyprawiają, siedząc tam jak kaczki?”

Krążownik Priminae „Denai Firma”

– Mała flota wroga wciąż leci kursem przechwytyjącym.

– Zignorować – odparł Keir krótko. – Potrzebuję potwierdzonych współrzędnych głównego zgrupowania sił wroga.

– Tak, kapitanie.

Keir zignorował niepokój przebijający się przez słowa i zachowania załogi. Siedzenie w miejscu, gdy leciała na nich choćby i mała flota, nie wydawało się dobrym pomysłem, ale on miał swoje rozkazy, załoga również.

„Nawet jeśli podobają mi się w takim samym stopniu, jak mojej załodze”.

– Współrzędne głównego zgrupowania potwierdzone i zaktualizowane, kurs zgodny z wyliczeniami. Nie zmienili wektora, kapitanie.

– Dobrze. Nie warto tracić na nas czasu – stwierdził Keir z ulgą. – Miejmy nadzieję, że tak zostanie. Impuls łącznościowy przygotowany?

– Tak jest, sir. Nowe dane uwzględnione.

– Nadawać.

– Impuls łącznościowy wysłany!

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Kolejny impuls.

Jesan wpatrywał się w dane.

„To zwiad. Tylko taki scenariusz ma sens. Ale po co te aktualizacje?”

Prawdę mówiąc, dręczyła go ta myśl. Zwiad był czymś normalnym i zrozumiałym, ale nie było potrzeby kolejnych pilnych aktualizacji o przemieszczaniu się imperialnych flot. Chyba że...

Jesan zawahał się, bo ta myśl zupełnie mu się nie podobała.

„Chyba że mogą odpowiedzieć w czasie rzeczywistym... ale skąd?”

– Wszystkie okręty, pełne skanowanie aktywne. Wszystkie kwadranty. Brak limitu mocy – rozkazał. – Jeśli cokolwiek się tu kryje... znajdźcie to.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Aktualizacja danych, ma'am. Wroga flota na pozycjach zgodnych z wyliczeniami.

Miriam potaknęła.

– Załadować działa T.

- Działa T załadowane, ładunki specjalne na miejscu.
- Ognia.
- Ognia!

Zajęło kilka chwil, by sam tylko „Odyseusz” opróżnił lufy, i jeszcze więcej czasu, by reszta floty odpaliła swoje ładunki w czarny eter.

– Działa puste. Trwa ładowanie konwencjonalnymi głowicami jądrowymi.

– Do całej załogi, przygotować się do tranzycji.

– Załoga gotowa! Wszystkie stacje meldują gotowość do tranzycji!

– Tranzycja zielona. Powtarzam – powiedziała Miriam. – Tranzycja zielona.

Wszechświat zamigotał wokół okrętów Pierwszej Floty Solarnej i jej sojuszników, zafalował, a potem jakby mrugnął, gdy jednostki zniknęły w chmurze niemożliwych cząstek, przecinając Galaktykę z prędkością zbliżoną do nieskończonej.

Rozdział 23

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Impuls łącznościowy!

Gavin się skrzywił.

– A teraz co transmitują?

– To nie oni, sir. Impuls jest skierowany na nas.

Gavin potoczył wzrokiem po mostku.

– Kto lub co jest...

Nie zdążył dokończyć pytania, bo mu przerwano:

– Poprawka! To nie impuls łącznościowy! Nie wiem, co...

Alarm zawył na jednej ze stacji i jednocześnie mostkiem szarpnęło.

– Jesteśmy atakowani! „Cordefil” melduje poważne uszkodzenia! Tracą atmosferę!

– Kolejne trafienia! Mamy trzy... nie, osiem... dwanaście okrętów melduje uszkodzenia! Komandorze floty, pozostałe floty również notują trafienia!

– Alarm bojowy! – rozkazał, przekrzykując hałas. – Pełne skany, znaleźć przeciwnika!

Impulsy łącznościowe zalewały przestrzeń, w większości nie były nadświatłne, ale i tak było ich dostatecznie dużo, by pogłębić chaos w sieci dowodzenia floty.

Gavin odwrócił się w stronę centrum łączności i zobaczył, jak oficer bezskutecznie próbuje skoordynować i ogarnąć kotłowaną niezliczonych sygnałów zalewających system.

„Na otchłań, co się dzieje?”

Okręt flagowy

Trzeciej Floty Imperialnej

„No cóż, to coś nowego”.

Jesan stał na mostku, ze stoickim spokojem rejestrując alarmy obejmujące zgrupowane floty i wiedząc, że w tej chwili nie może zrobić nic, co by jedynie nie opóźniło właściwych reakcji na atak.

Zamiast się wtrącać, zajął się danymi ze skanerów, szukając wskazówek, które mogłyby wskazać źródło natarcia.

„Pole minowe?”

Wydawało się to mało prawdopodobne, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. Taki wniosek rodził jednak tyle wątpliwości, że równie dobrze można było to uznać za całkowicie niemożliwy scenariusz. Największym problemem było oczywiście to, że znajdowali się aktualnie w rozległym obszarze międzyplanetarnej pustki i każda próba zaminowania tak ogromnej przestrzeni dostateczną ilością materiałów wybuchowych z pewnością została wykryta.

To pozostawiało tylko jedną możliwość – jakiś rodzaj zamaskowanych pocisków. To pojęcie było jednak tak nieostre, że praktycznie bezużyteczne.

Jesan sprawdził i potwierdził, że flota kwartowa Misrem pozostała nietknięta, co przykuło jego uwagę.

„Ciekawe. Albo wiedzieli, że tu będziemy, albo namierzyli i wycelowali w nas z dystansu... i prawdopodobnie nie mieli bieżących danych o flocie kwartowej, bo nie przemieszczała się jeszcze, gdy nasze siły zostały zeskanowane przez systemy podlegające limitom prędkości światła”.

Jesan pokiwał do siebie głową.

– Komandorze.

– Tak, komandorze floty?

– Proszę rozkazać Trzeciej Flocie i doradzić pozostałym – zaczął – rozproszenie. Utrzymać eskadry po nie mniej niż sześć krążowników, ale poza tym rozproszyć się w losowych kierunkach z maksymalną prędkością.

– Jak rozkażesz, komandorze floty – odparł oficer, odwracając się do swojej stacji. – Do wszystkich okrętów Trzeciej Floty, utworzyć szyk z wyznaczonymi partnerami i rozproszyć się!

Mich przestał zwracać uwagę na dalsze działania, skupiając się z powrotem na danych spływających z niezliczonych skanerów jego okrętu i innych z floty.

„To nie jest konwencjonalne uzbrojenie... to gatunek-anomalia, z całą pewnością. Sygnatura broni pokrywa się z ich amunicją opartą na antymaterii, ale nie wykryliśmy wystrzałów...”

Znieruchomiał.

„A może wykryliśmy?”

– Oficerze Tinuk – zawołał znienacka do operatora skanerów – potrzebuję szczegółowych nagrań kilku chwil przed atakiem. Sygnał, ten, który pierwotnie zidentyfikowaliśmy jako impuls łącznościowy, proszę go złamać.

– Tak, komandorze floty.

Jesan przyglądał się pracy oficera, który wyizolował i analizował sygnał. Sądził, że nie był to impuls łącznościowy, lecz raczej wiązka celownicza. Niemal natychmiast stało się dla niego jasne, że nie ma do czynienia z komunikacją, chyba że wróg chciałby ot tak marnować na nią ilość energii wystarczającą do zasilania przez dłuższy czas całego okrętu.

Nie, patrzył teraz na coś nowego, Jesan czuł to przez skórę.

„Albo i nie nowego, ale... coś, co dopiero teraz zostało ujawnione”.

Zdecydowanie zbyt dużo zagadek z poprzednich spotkań z przeciwnikiem chodziło mu teraz po głowie, dając pewność, że patrzy na odpowiedź. Na co dokładnie była to odpowiedź, tego Jesan jeszcze nie wiedział, ale miał przeczucie, że poznanie pytania odkryje jeden z największych sekretów wroga.

– Komandorze floty – zawołał Tinuk – wykryliśmy kolejne analogiczne sygnały.

Jesan poderwał się na równe nogi.

– Skupione na naszych pozycjach? Wszystkie okręty, przygotować się na awaryjne mane...

– Nie, komandorze floty, sygnał pochodzi spoza systemu – przerwał mu Tinuk, co rzadko zdarzało się na mostku Micha. –

Konkretnie to wiele sygnałów. Musiałem wyizolować jeden z nich, nim przeprowadziłem analizę.

– Proszę pokazać. – Jesan gładko zmienił ton.

– Tak, komandorze floty.

Skanery dalekiego zasięgu nie wykryły niczego, co nie było zaskoczeniem. Impuls, który omiótł jego okręty, nie pochodził z żadnego źródła, które mogliby dostrzec. Jednostka wroga, która prowadziła cały czas zwiad, nie ruszyła się z miejsca ani nie podjęła żadnych działań.

Nic tam nie było, ale Jesan czuł narastający ucisk w żołądku, gdy wpatrywał się w pusty wycinek przestrzeni.

– Oficerze – powiedział, spoglądając w stronę gorączkowo pracującego Tinuka.

– Tak, komandorze floty?

– Skany impulsowe dalekiego zasięgu – polecił Jesan. – Wyceluj w centrum, skąd nadano te impulsy. Chcę zobaczyć, co się tam kryje.

– Sir? – Tinuk zmarszczył brwi, zmieszany. – Tam nic nie ma, sir.

– Widzę – odparł Mich zwięźle. – A teraz skanuj.

– Tak, komandorze floty.

Jesan wrócił do swoich ekranów, a impuls nadświatlny pomknął we wskazanym przez niego kierunku.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Tranzycja zakończona!

– Alarm bojowy bez zmian – poleciła Heath.

– Aye, ma’am.

Flota znalazła się na otwartej przestrzeni kilka minut świetlnych od okrętu Priminae, który był ich zwiadowcą. Napływające z prędkością światła dane zalewały systemy szybciej, niż jakikolwiek człowiek byłby w stanie nadażyć – wszystko było zapisywane, katalogowane i ustawiane według priorytetu.

Na szczęście nic w ich najbliższym otoczeniu nie stanowiło zagrożenia, co dawało im kilka minut na ogarnięcie chaosu po tranzycji.

– Imperialne okręty zlokalizowane, ma’am. Na ekranach.

Na wyświetlaczach pojawiły się ikony jednostek wroga, ukazujące rozmieszczenie flot sprzed kilkunastu godzin, co wynikało z ograniczenia prędkości napływu danych.

Heath zawahała się, rozważając, czy ryzykować skany impulsowe, które zaktualizowałyby ich dane. Informacje o pozycji przeciwnika w czasie rzeczywistym byłyby co prawda bardzo przydatne, ale też natychmiast ujawniłyby ich obecność. Ogólnie gra nie była warta świeczki, bo nim zbliżą się na tyle, by potrzebować danych w czasie rzeczywistym, będą jednocześnie na tyle blisko, by pozyskać je konwencjonalnymi metodami.

Jednak decyzja nie należała wyłącznie do niej.

- Impuls skanujący, skipper! Pojedynczy.
- Odpowiedzieć, pojedynczy impuls.
- Aye, ma'am! Pojedynczy impuls!

Eric w milczeniu obserwował manewry floty oddalającej się od okrętów Priminae, które również uruchamiały silniki. Zgrupowanie kierowało się do centrum systemu, w stronę imperialnych flot.

Pierwotne skany nie były tym, co chciał zobaczyć.

Wróg wielokrotnie przewyższał jego flotę liczbowo i masowo, a według wszelkich raportów to nie było jeszcze wszystko, co Imperium przeznaczyło na ofensywę.

„No to taktyka Mariona...” – pomyślał ponuro.

Choć naśladowanie niesławnego Błotnego Lisa zdawało się niezłym sposobem na wykrwawienie znacznie silniejszego przeciwnika, to niestety, w przestrzeni kosmicznej nie było zbyt wielu przeszkód terenowych, które można by do tego wykorzystać. Jeśli wróg nie złapie się i nie zatańczy, jak mu ludzie zagrają, nici z przewagi.

Impuls nadświatlny chwilowo go zaskoczył, ale Eric zaraz zorientował się, że wróg przecież musiał się domyślić, że w grę wchodzi coś więcej – coś, z czego dotąd nie zdawał sobie sprawy.

„Ostatnie rozdanie, wszystkie karty na stole”.

Impuls z „Odyseusza” potwierdził lokalizację wrogiej floty i ukazał znaczące zniszczenia, jakie poczyniła otwierająca salwa spływająca

spomiędzy gwiazd. Działa tranzycyjne nie miały większego problemu z przenoszeniem antimaterii – ładunek jak każdy inny – ale i tak nikt nie lubił samej idei ładowania tego główna do głowic.

Eric liczył jednak na lepsze efekty salwy. Widział szczątki kilku zniszczonych okrętów, kilka kolejnych nie nadawało się do walki. Eric zakładał, że wiele było uszkodzonych, ale to i tak za mało.

Otworzył priorytetowe połączenie z mostkiem.

– Tak, admirale?

– Proszę nie wplątać nas w walkę w zwarciu – polecił. – Co najwyżej w walkę w przelocie, ale najlepiej niech nas gonią, podczas gdy my będziemy się ostrzeliwać z dział.

– Tak jest, sir, taki miałam plan – odparła Miriam. – A co z małą flotą?

Eric pokiwał głową, patrząc na grupkę okrętów, które musiały wyłamać się z formacji jakiś czas przed kanonadą. Wspinały się na zewnątrz systemu, cały czas przyspieszając w stronę Priminae i – zbiegiem okoliczności – także w ich stronę.

– Jeśli będą na tyle głupi, by się zbliżyć, sprzątnijmy ich.

– Tak jest, sir.

Imperialna flota kwartowa

Alarmy wyły na wszystkich stacjach, a Misrem analizowała sytuację.

Jej flota przyspieszała właśnie nie w stronę niedużej eskadry, której mogła się spodziewać, ale pełnej floty bojowej... Nawet jej przez myśl nie przeszło, że wróg w ogóle jest w stanie wystawić taką flotę.

– A skąd to się wzięło? – syknął ktoś.

Nie skarciła załoganta, choć słowa przekraczały dopuszczalne granice. Wrogich jednostek tam nie było, a potem – gdy Trzecia Flota przeskanowała system – nagle były. Sama również chciałyby poznać odpowiedź na niestosowne pytanie podwładnego.

– Łączność – wywołała. – Proszę mnie połączyć z komandorem floty Michem.

– Tak, pani komandor.

Ustanowienie linku w czasie rzeczywistym zajęło chwilę. Utrzymanie połączenia nadświatelnego było nie lada wyzwaniem nawet na tak niedużych odległościach, jakie dzieliły aktualnie dwa okręty flagowe. Zapotrzebowanie na moc było wręcz nieprzyzwoite – jedynie okręty wojenne mogły sobie pozwolić na takie fanaberie.

– Pani komandor floty – przywitał się Jesan kilka chwil później. – Widzę ich.

Misrem przytaknęła.

– Obawiam się, że moja aktualna misja jest skazana na porażkę.

– Tak, w rzeczy samej. Wróg pojawił się znikąd. – Mich zmarszczył brwi. – Dosłownie znikąd, z tego, co widzą nasze skanery. Ujawnia swoje sekrety...

Misrem przytaknęła z miną równie chmurną co jej mentor.

– To nie wróży nic dobrego.

– Nie, ale jest to konieczne. I przetrwamy to – odparł Jesan twardo.

– A co do powierzonego flocie kwartowej zadania, nie pozwólcie na walkę w zwarciu. Nawet gdy przeciwnicy ukrywali jeszcze swoje możliwości, mała flota nie miałaby szans. Teraz? Nie chcę nawet zgadywać.

– Rozumiem i zgadzam się z oceną. Wspólne cele?

Jesan zamilkł na chwilę, bo jego uwagę zwróciło coś innego. Nachmurzył się mocno, po czym zwrócił się znów do Misrem.

– Wygląda na to, że to już nie zależy od nas – stwierdził. – Piąta Flota podjęła własną decyzję.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

– Kierunek na pozycje wroga! Pełne przyspieszenie!

– Tak jest, komandorze floty!

Piąta Flota, choć poturbowana, uruchomiła generatory zakrzywienia czasoprzestrzeni, ustawiła się w szyku i zaczęła piąć się w górę. Obecność Przysiężnych w głębi systemu to błąhostka, która może poczekać, aż Imperium upora się z nowym przeciwnikiem.

– Pełna moc całego uzbrojenia! Przygotować pasożyty do startu!

Kilkanaście jednostek Piątej Floty stanowiły masywne krążowniki, wielkością prawie dorównujące pancernikom, z tym że większość ich masy stanowiły przyczepione do nich niszczyciele. Miały mniejsze uzbrojenie, a potężne rdzenie ich silników były prawie w całości przeznaczone do zapewnienia mocy napędom. Dzięki temu mogły przenosić skrajnie przeładowane uzbrojeniem niszczyciele, które z kolei całą moc przeznaczały na możliwości ofensywne, nie martwiąc się rezerwą na podróże międzygwiazdne.

Wroga flota była imponująca według wszelkich standardów... poza imperialnymi.

Gavin był zdeterminowany, by zakończyć tę farsę tu i teraz. Chciał pokazać robactwu, gdzie jego miejsce... nim wypali je z oblicza wszechświata.

Rozdział 24

Stacja kosmiczna Liberty

– Impuls łącznościowy, pani admirał! Od „Auto”.

Gracen podniosła wzrok zaintrygowana.

– Prześlij do mnie.

Chwilę później zobaczyła na swoim ekranie prostą zaszyfrowaną wiadomość tekstową, która została pozyskana z impulsu dalekiego zasięgu od floty Włóczęgów. Wysyłka bardziej skomplikowanych danych była możliwa, ale wymagała większych nakładów energii i czasu, co podwyższało ryzyko wykrycia.

Kilka linijek tekstu było bezpieczniejsze, tańsze i działało równie dobrze.

Załadowała plik, przepuszczając go przez system deszyfrujący, i przeczytała szybko wiadomość, którą kapitan Passer uznał za dostatecznie ważną, by wysłać ją w tak krytycznym momencie.

„Ciekawe”.

Siły Imperium dawały z siebie wszystko w drodze na Ziemię, co do tego nie było wątpliwości, ale nowe informacje od Passera zmieniały nieco obraz ich strategii.

„Jeśli to prawda i ma to zastosowanie do całego Imperium... mogą trochę przeszarżować, chcąc tego dokonać”.

Gracen wpatrywała się w ekran w zamyśleniu, nie spiesząc się z decyzją. Miała czas. Co prawda trwał kryzys, ale nie rozwiąże się on w żadną stronę jeszcze przez jakiś czas. Przechwycona przez Passera korespondencja wroga wymagała namysłu.

Gracen nie była pewna, czy to w ogóle będzie pomocne. Może jakby wiedziała wcześniej...

„Ale to nie znaczy, że nie możemy tego wykorzystać”.

– Carmen – zawołała admirał, podnosząc wzrok.

– Ma’am?

– Weź to. – Podała kobiecie karteczkę ze spisaną naprędce notatką.

– Przekaż to, proszę, przedstawicielowi Konfederacji. Wkrótce będę

musiała z nim pomówić.

– Tak jest, ma’am.

Gracen odprowadziła wzrokiem wychodzącą podwładną, skupiona na możliwościach, jakie się przed nią rysowały. Ta decyzja nie leżała jednak w jej kompetencjach – przynajmniej jeszcze nie teraz, bez nieuchronnego i bezpośredniego zagrożenia. To było zadanie z wyższej półki, poza tym była to raczej kwestia polityczna niż taktyczna.

Prawdę mówiąc, jeśli ludzie mieli wygrać tę wojnę, powinna przesłać te dane do Pentagonu. Niech tam się martwią konsekwencjami i tym, czy w ogóle podjąć jakieś działania w oparciu o tę wiedzę. Jednak biorąc pod uwagę wysokie prawdopodobieństwo porażki na skutek działań Imperium... no cóż... być może najwyższa pora na pewną... mściwość.

Obiekt Prometeusz

Edward Palin spojrzął spode łba na komputer, gdy to dziadostwo wypluło mu odpowiedź daleką od zadowalającej, choć nie umiał też dopatrzeć się w niej błędów.

Cokolwiek by robił, wciąż uzyskiwał ten sam wynik. Nie żeby spodziewał się czegoś innego. Był specjalistą od kodów i lingwistą, a nie strategiem czy choćby domorosłym ekspertem od wojskowości.

Przechwycona przez Prometeusza łączność była całkowicie do jego dyspozycji, co zawdzięczał swojej specjalizacji oraz szerokim uprawnieniom dostępu, a to dało mu... niepokojąco jasny ogląd działań Imperium.

Czego nie umiał rozpracować, to... dlaczego?

Skąd to szaleństwo? Skąd tak kompletnie irracjonalna reakcja?

Palin był zaznajomiony z różnorodnymi teoriami interakcji międzygatunkowych, jakie zaistniały w środowisku naukowym – i nie tylko – przez ostatnie lata, ale żadna z nich nie była w pełni kompatybilna z aktualnymi działaniami Imperium.

Teoria najlepiej wyjaśniająca bieżącą sytuację głosiła, że każdy gatunek zdolny do podróży międzygwiazdnych musiał założyć, że każdy inny gatunek ma intencje eksterminacyjne. Mając

świadomość, że na szali leży przetrwanie populacji, trzeba było zakładać najgorsze. Ale Imperium było międzygwiazdnym tworem, otoczonym innymi niesprzymierzonymi grupami. Nie próbowali wytrzebić tak zwanych Wolnych Gwiazd na przykład, więc skąd taka reakcja?

Jeszcze mniej sensu miało dla Palina wyłowione z przekazów imperialnych określenie terrańskich ludzi mianem ksenosów, co najwyraźniej miało stanowić uzasadnienie natarcia.

Chyba żaden gatunek równie rozwinięty jak Imperium nie mógł być aż tak irracjonalny? Jakie znaczenie miały różnice w śmieciowym DNA? To było jak skazanie kogoś za inny kolor skóry, włosów czy dowolną inną kompletnie nieistotną różnicę. Było to coś, co w opinii Palina stanowiło przywarę poślednich istot.

Badacz wiedział oczywiście, że takie podejście miało cel ewolucyjny. Był czas w ludzkiej... terrańskiej historii, gdy ludzie wyglądający odmiennie niż ty z dużym prawdopodobieństwem mogli cię zabić. Kiedy dwa plemiona walczyły o zasoby jednej doliny, sprawy przybierały brutalny obrót.

Zasoby nie stanowią jednak problemu dla jakiegokolwiek gatunku, który przemierza kosmos. Prawdę mówiąc, zasoby przestają być problemem na długo przed tym etapem rozwoju cywilizacyjnego.

Krótko mówiąc, Palin uważał rasistowskie pobudki za znak wyjątkowo prymitywnego intelektu. Nie oznaczało to automatycznie, że tacy ludzie byli głupi, ale byli z pewnością ograniczeni umysłowo przez swoje prymitywne instynkty, których nie umieli przełamać, co czyniło ich pożałowania godną karykaturą człowieczeństwa.

Teraz zaś obserwował poczynania gatunku pod wieloma względami znacznie bardziej rozwiniętego niż ludzkość na Ziemi... a jednak niezdolnego do pokonania swoich prymitywnych, upraszczających, zezwierzęconych instynktów.

To było... zniechęcające.

Palin jednak nie chciał się poddać.

„Gdzieś kryje się odpowiedź”.

Musi być jakaś odpowiedź.

Prawda?

Centrum dowodzenia Świat Kraike, stolica Imperium

Emilia Starsbane przeanalizowała dane, które napłynęły z przodujących flot, zauważając, że główne siły nieco spóźniają się z meldunkiem.

Nie było to jednak nic niespotykanego. Łączność i koordynacja na dystansach międzygwiazdnych była w najlepszym razie daleka od doskonałej. Mimo to Emilia czuła się dziwnie spięta.

– Wasza Wysokość, otrzymaliśmy meldunki o narastających niepokojach na kilkunastu planetach.

– Poinformuj lokalne straże, że do ich obowiązków należy uporanie się z tego typu sytuacjami, a nie zapychanie imperialnej łączności błahostkami – syknęła zimno, gromiąc posłańca wzrokiem.

Nie zachował nawet protokołu, tylko wycofał się w ciszy.

Nie miała czasu na takie zmartwienia. Jeśli miejscowi strażnicy okażą się niezdolni do zapanowania nad sytuacją, wtedy wymieni całą tę służbę od razu po przejęciu i pacyfikacji rzeczonych społeczeństw. Ksenosi byli jedynym, co miało teraz znaczenie – aż do chwili ich całkowitej eksterminacji.

Emilia musiała sobie przypominać, że niewielu w ogóle wiedziało o istnieniu ksenosów, nie mówiąc już o zrozumieniu skali zagrożenia dla Imperium. Takie dane ukrywano nie bez powodu już na długo przed jej narodzinami – i tak pozostanie.

Po to tu właśnie była – ona czy inny cesarz bądź cesarzowa – by podejmować decyzje w oparciu o informacje zbyt niebezpieczne, by znało je całe społeczeństwo.

Prywatny statek kolonizatorski „Saint Mary”, orbita Ziemi

Burt Connors ostrożnie stawiał kroki, pocierając plaster na chorobę lokomocyjną, który przykleił sobie na szyję, czekając, aż cholera łaskawie zacznie działać.

W przeciwieństwie do zaawansowanych okrętów, które Konfederacja budowała z pomocą swoich obcych sojuszników, jego „Mary” nie miała podobnie magicznego systemu sztucznej grawitacji. Sytuacja zmusiła go do poprzestania na rotacji habitatów, a teraz musiał na własnej skórze poczuć, jak trudno się do tego przyzwyczaić.

Powiedziano mu, że odczucia byłyby łagodniejsze, gdyby zbudowano większe habitaty... ale statek kolonizatorski musiał sobie radzić z dużymi przyspieszeniami, co przekładało się na ograniczenia konstrukcyjne.

„Przynajmniej jest większy niż klasa Odyseja” – pomyślał.

Od czasu rozmowy z Westonem Connors przyciskał swoich ludzi najmocniej, jak się odważył. Nie jest to wcale takie proste, jak się wydaje. Nie mógł stać nad nimi z batem, skoro ich los był w równym stopniu uzależniony od wykonania tej roboty dobrze, co szybko.

Mając to na uwadze, Connors był pewien, że jego ludzie dokonali cudu.

– Sir.

– Kapitanie. – Connors powitał uprzejmie kapitana „Saint Mary”, żołnierza, którego pierwotnie zatrudnił na stanowisko pierwszego oficera. Niestety, pomimo niewielkiego doświadczenia w głębokiej przestrzeni ten człowiek okazał się najlepszą dostępną opcją, więc został kapitanem.

Popyt na ludzi w Konfederacji – na każdego, kto dał się zwerbować – przypominał kłopoty, jakie miały Stany Zjednoczone podczas wojny z Blokiem... tylko teraz manifestowano je z większą werwą.

– Witamy na pokładzie „Mary”, sir. Z przyjemnością pokażę panu drogę do pana kajut... – zagaił kapitan Joshua Caide z zapraszającym gestem.

– W swoim czasie. – Burt zmusił się do uśmiechu, walcząc wciąż z mdłościami. – Chciałbym najpierw zobaczyć mostek, jeśli nic nie stoi na przeszkodzie.

– Oczywiście, sir. Tędy.

Stacja kosmiczna Liberty

Rick Berstat był wysokiego szczebla przedstawicielem ambasadora – najpierw Kanady, a potem Konfederacji – przez kilkanaście dekad historii. Przez tak długi czas więcej niż raz pomyślał, że widział już wszystko pod słońcem... przynajmniej w zakresie związanym z jego zawodem. Za każdym razem, gdy popełniał błąd i pozwalał sobie na taką myśl, wszechświat najwyraźniej uznawał to za wyzwanie.

Być może właśnie dlatego teraz, gdy przemierzał pokłady stacji kosmicznej orbitującej wysoko nad światem, który go zrodził, nie czuł się zaskoczony okolicznościami, w jakich się tu znalazł.

Zszokowany, owszem. Jeśli ktoś nie byłby zszokowany nadchodzącą inwazją obcych, to powinien jak najszybciej iść na emeryturę. Zatem zszokowany – ale nie zaskoczony.

Rick przystanął przed wejściem na pokład dowodzenia, czekając cierpliwie, aż ustawieni po obu stronach strażnicy rozpoznają go i wpuszczą.

– Pani admirał pana oczekuje, sir.

– Dziękuję – odparł Rick, mijając strażę i wchodząc na pokład dowodzenia.

Omiótł wzrokiem pomieszczenie, zatrzymując się na reprezentacji lokalnych gromad gwiazd z naniesionymi niebieskimi, czerwonymi i zielonymi ikonkami. Doskonale wiedział, że w tym miejscu znajduje się więcej danych o bieżącej sytuacji niż w całym Układzie Słonecznym. Nawet prezydent i parlament Konfederacji nie mieli tak bezpośredniego dostępu do informacji jak admirał Gracen.

– Ambasadorze.

„O wilku mowa”.

– Pani admirał. – Skłonił się lekko i skupił całkowicie na rozmówczyni. – Wzywała mnie pani?

– Potrzebuję rady natury politycznej i możliwe, że także pociągnięcia za kilka sznurków, by pozyskać instrukcje z góry – odparła Gracen bez zbędnych wstępów, zapraszając go gestem. – Pozyskaliśmy nowe dane wywiadowcze o działaniach wroga.

– Rozumiem... Nie jest to moja mocna strona, ale zakładam, że chodzi o coś więcej niż sprawy podlegające czysto wojskowej reakcji? – zapytał, podchodząc.

– Można tak powiedzieć, tak. – Gracen wskazała ekran. – Proszę spojrzeć.

Rick spojrział na monitor i zmarszczył brwi. To było zaledwie kilka linijek tekstu, ale czytając je, otwierał oczy coraz szerzej. Gdy skończył, odwrócił się do admirała.

– Czy mamy pewność, że to prawda?

– Na tyle, na ile możemy być czegokolwiek pewni w bieżącej sytuacji. Normalnie nie bazowałabym na takich danych bez ich potwierdzenia, ale...

– Oczywiście. – Rick pokiwał głową.

„Nie ma czasu na niezależną rewizję danych”.

– To bardzo interesujące. Wydaje mi się, że wiem, do czego pani zmierza... To zdecydowanie namiesza w sporach tam na powierzchni.

Gracen tylko prychnęła, dobrze wiedząc, o czym mowa.

Mając do dyspozycji moc Prometeusza, ludzkość dysponowała możliwością przerażającego ataku uprzedzającego. Niestety, skorzystanie z potęgi tej broni przyniosłoby tylko gniew nadciągającej już floty i morderstwo miliardów niewinnych cywilów.

Rzecz jasna całkiem sporo ludzi wciąż optowało za tym rozwiązaniem. Skoro Imperium chce wytepić ludzkość, analogiczna odpowiedź wydawała się uczciwa.

To podejście w jakiejś części uśmiechało się także Gracen, ale mimo to czuła gdzieś w głębi, jak okropna to myśl. Ludobójstwo jest złe samo w sobie, nie mówiąc już o sytuacji, gdy i tak niczego by nie zmieniło. Gdyby Gracen uważała, że umiałaby je przekuć w kapitulację imperialnej floty, zamknęłaby oczy i wydała rozkaz... ale cała dostępna wiedza wskazywała, że Imperium się nie ugnie.

„Ich dowództwo jest bezduszne, skoro decyduje się na taki ruch ze świadomością, jak możemy odpowiedzieć. Sprawdzają, czy blefujemy, zmuszają do decyzji. Nie chciałabym przejść do historii jako największy zbrodniarz, jakiego zrodziła planeta i tak bardzo bogata w zbrodniarzy... ale gdyby to miało ocalić ludzkość, przyjąłabym ten los”.

Na szczęście czy nieszczęście ta decyzja nie należała do niej... a nawet jeśli, Gracen nie wierzyła w powodzenie takiego planu.

Dowództwo Imperium nie działało racjonalnie, przynajmniej nie według jej standardów. Obsesja na punkcie różnic genetycznych między ludźmi z Ziemi i z Imperium nosiła znamiona religijnej żarliwości. Nowe dane z „Auto” uczyniły ten fakt jeszcze wyraźniejszym – bardziej znaczącym nawet, niż podpowiadał Gracen instynkt.

Nie podpali całych planet, by ukarać przywódców.

Ale jeśli byłaby inna możliwość...

– Pójdę z tym przez wszystkie szczeble, zobaczymy, co szefostwo i politycy mają do powiedzenia – stwierdził Rick.

– Pośpiech jest wskazany – dodała Gracen. – Mamy trochę czasu, ale nie za dużo.

Przytaknął i wyszedł bez słowa.

Gracen spoglądała za ambasadorem, nim nie zamknęły się za nim drzwi. Przeniosła wzrok na ekrany.

„Eric i jego zgrupowanie rozpoczęli już starcie” – pomyślała, szukając wzrokiem niebieskiej ikony znajdującej się przy obcej gwiazdzie jakieś dwadzieścia lat świetlnych od Sol.

„Z Bogiem”.

Rozdział 25

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Eric obserwował rozwinięcie floty i proces włączania okrętów Priminae do istniejących formacji, śledząc jednocześnie reakcję wrogich jednostek.

„Co tu się wyprawia?”

Posunięcia imperialnych praktycznie rozlewały się po całej mapie. Sprawiało to wrażenie, jakby obserwował poczynania kilku niezależnych dowódców, a nie jednej, spójnej floty. Co najmniej... trzech?

Jedna mniejsza flota mogła podlegać którejś z pozostałych, więc może jedynie dwóch.

Eric sięgnął do konsoli i otworzył kanał do dowódców grupy.

– Kapitanowie, tu dowództwo floty – powiedział bez ceregieli. – Zignorujcie na razie tę małą flotę, która oderwała się od formacji. Dalekosiężny ostrzał ma być skupiony na jednostkach prowadzących natarcie, ale wstrzymajcie ogień, dopóki nie wydam rozkazu.

Jego kapitanowie szybko potwierdzili rozkaz i Eric bez słowa wrócił do obserwowania ruchów przeciwnika.

Te elementy wrogiej floty, które najwyraźniej wykonały manewry unikowe podczas otwierającej salwy, wciąż były w trakcie przegrupowania, więc jego uwaga skupiła się na dość sporym zgrupowaniu, które szarżowało w ich kierunku.

„Odczyt masy okrętów jest wyższy od przewidywań” – zauważył Eric. „Pasują do naszych pierwszych potyczek z wrogiem... Boże, wydaje się, jakby to było wieki temu”.

Pierwsze imperialne okręty, z którymi mieli do czynienia, stanowiły bardziej lotniskowce niż uczciwe bojowe krążowniki, a wkraczając do walki, uwalniały mniejsze niszczyciele-pasożyty. Według wszelkich odczytów i raportów uzbrojenie tych niszczycieli było znacznie cięższe, niż powinno dla jednostki takich gabarytów. Wewnętrzna przestrzeń normalnie zarezerwowana była dla

elementów napędu nadświetlnego, a nie broni. Te jednostki zostały jednak wyposażone w konwencjonalne siłownie, a nie osobliwości grawitacyjne o masie całych planet, jak ich macierzysty okręt.

– Wstrzymać ogień dział tranzycyjnych – powtórzył na kanale. – Czekać, aż wróg wprowadzi do walki niszczyciele.

Poza obszarem zakłóceń z rdzenia grawitacyjnego te niszczyciele stanowiły łatwy cel dla dział T. Eric najchętniej pozbyłby się ich jeszcze przed startem, wszystkich za jednym zamachem, ale doświadczenie mówiło mu, że byłaby to tylko strata amunicji. Jedynie nikły ułamek głowic jądrowych dotarłby do celu z uwagi na wywoływane obecnością rdzeni zakrzywienie czasoprzestrzeni, które nie pozwalało na prawidłową reintegrację tachionów.

– Okręty floty, obrać kurs cztery jeden dziewięć punkt minus trzy względem ekliptyki układu.

Wiedział, że w tej bitwie wyjątkowo dużo będzie zależało od właściwych manewrów. Musiał wykrwawić przeciwnika, jednocześnie jak najpilniej strzegąc własnych okrętów.

Mogło wydawać się to oczywiste, ale w rzeczywistości niewiele bitew toczono w ten sposób. Znacznie częściej zwyczajnie trzeba było ponieść straty, by znaleźć się na zwycięskiej pozycji. Ale jego celem tutaj nie było zwycięstwo. Ta flota, nawet jeśli zdołałaby ją pokonać, nie oznaczała końca ofensywy Imperium.

Eric miał pełną świadomość, jak desperacko potrzebne będą jego okręty – nie tylko teraz, ale i w najbliższej przyszłości. Każda strata byłaby prawdziwą katastrofą...

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan zagryzł zęby i wysyczał rozkaz, by jego flota przegrupowała się i zajęła pozycje, z których będzie mogła wspierać natarcie Piątej.

Uważał tę szarżę za głupotę, ale niewiele mógł z tym zrobić. Władza komandora nad podległymi mu flotami Imperium była bezdyskusyjna. Tylko Jej Wysokość mogła wycofać jego rozkazy, i tak

właśnie być powinno... nawet jeśli czasem prowadziło to do szalenie frustrujących błędów.

Wroga flota nie należała do najmniejszych. W istocie była to najpotężniejsza grupa okrętów Anomalii, jaką Michowi dane było widzieć w jednym miejscu... łącznie z jego krótką wizytą w macierzystym układzie przeciwników. To, jak urosli w siłę od ostatniego bezpośredniego starcia, bardzo go martwiło.

„Jeśli to ma być miarą średniego wzrostu ich potęgi, to będzie to naprawdę kosztowna przygoda”.

Koszty nie były jednak jego zmartwieniem.

– Komandorze floty, Piąta wykroczyła poza zasięg wsparcia.

– Widzę – potwierdził Mich, po czym zawahał się nieco, nim otworzył kanał łączności. – Komandorze floty Gavinie, usilnie zalecam, by spowolnić natarcie przynajmniej na tyle, by moje okręty zbliżyły się chociaż na odległość wsparcia ogniowego.

Kanał został zamknięty chwilę później bez odpowiedzi, co wcale go nie zdziwiło. Jesan dobrze zdawał sobie sprawę, że jego reputacja wśród kolegów jest... niezbyt imponująca, a w najlepszym razie kontrowersyjna. Jednak niezależnie od tego, czy drugi komandor skorzysta z jego rady, przynajmniej zostanie odnotowane, że jej udzielił.

– Pełna moc – rozkazał spokojnie. – Rozproszyc formację i uważać na zamaskowane jednostki wroga.

– Wedle rozkazu, komandorze floty!

Jesan nie mógł wiedzieć, czy wróg miał czas wprowadzić do działania mniejsze okręty, ale musiał założyć, że tak właśnie było. Może i jego działania stracą przez to na szybkości, ale to dużo lepsze niż pozostałe scenariusze tego starcia.

Tymczasem pozostało więc... czekać.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

– Komandorze floty, odbieramy wiadomość z Trzeciej.

Gavin opuścił wzrok na ekran, gdzie wyświetlony był zapis komunikatu, po czym prychnął z irytacją.

– Zignorować.

Liczebność wroga była wystarczająca, by stanowić wyzwanie, to na pewno – szczególnie wobec znanych możliwości bojowych gatunku-anomalii. A jednak nadal wiele im brakowało, by móc pokonać jego siły. Jeśli Mich i Trzecia Flota chcieli uszczknąć dla siebie nieco chwały, sami musieli za nim nadążyć. Na pewno nie zamierzał niczego im ułatwiać.

Przyspieszali sprawnie, zbliżając się do prędkości światła dzięki zakrzywieniom przestrzeni generowanym przez napęd. Wraz z malejącą odległością od przeciwnika zwiększała się również częstotliwość raportów, dzięki czemu mogli określić rozmieszczenie przeciwnika nawet bez skanów nadświatlnych.

To właśnie było powodem, dla którego zaklął pod nosem, gdy zauważył manewr wrogiej floty i obserwował, jak nabiera prędkości na ekranie.

„Chcą nas trzymać na odległość, tak? Tchórze”.

– Zezwalam na przekroczenie mocy nominalnej – oświadczył. – Do wszystkich okrętów, zwiększyć przyspieszenie.

Rozkaz wyraźnie zszokował niektórych obecnych, ale Durwich postanowił to zignorować. Wszystkie imperialne okręty wojenne dysponowały znacznie większymi możliwościami niż to, co wykorzystywano w normalnej sytuacji. Powód był prozaiczny – koszt utrzymania sprawności jednostki rósł drastycznie po przekroczeniu pewnych granic. To było jednak daleko na liście bieżących priorytetów. Gavin zamierzał pokazać tym śmieciom, na co naprawdę stać imperialny okręt.

– Zwolnienie niszczycieli na mój sygnał – rozkazał, wprowadzając obliczenia najkorzystniejszej prędkości, z jaką mogliby wystrzelić śmiertelne jednostki w przestrzeń.

„Zmiażdżymy ich w jednym uderzeniu i skończymy z tą farsą”.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Przeklęty idiota.

Jesan mruknął obelgę pod nosem, nie chcąc ujawniać swojej opinii szerszej publice, ale nie miał też żadnych złudzeń, że uszło to uwadze wszystkich obecnych.

Piąta Flota właśnie przekroczyła nominalne maksimum mocy, drastycznie przeciążając konstrukcje i systemy okrętów w zamian za prędkość. Szarżowała przy tym przez pole kosmicznych odłamków, z których część mogła okazać się dostatecznie masywna, by oprzeć się pułapce grawitacyjnej napędu zakrzywiającego, wywołując dodatkowe szkody.

Został więc postawiony w godnej pożałowania sytuacji, mając ledwie sekundy na podjęcie kluczowej decyzji.

Gdyby miał pójść w ślady towarzysza, jego własna flota naraziłaby się na te same przeciążenia, a jeśli bitwa okaże się nierozstrzygająca, znacznie obniży to ich szanse w przyszłych starciach. Jeśli z kolei nie da się wciągnąć w ten manewr, luka wynikająca z braku jego floty może okazać się wystarczająca, by przeciwnik uciekł. A już z całą pewnością taką wersję promował będzie komandor floty Gavin.

– Komandorze floty? Piąta Flota ponownie się od nas oddała.
„Szlag”.

– Zwiększyć moc i wyrównać do nich.

– Wedle rozkazu!

Naginając prawa fizyki, Trzecia Flota wyrwała naprzód.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– A to ciekawe – powiedział Eric półgłosem, przypatrując się, jak pierwsza, a potem kolejna grupa pędzi naprzód z prędkością znacznie większą od maksimum, jakie określono dla imperialnych okrętów.

Rzecz jasna nie był wcale zaskoczony, że podczas poprzednich potyczek wróg trzymał w zanadrzu pewien zapas mocy. Regulamin Konfederacji nakazywał coś bardzo podobnego. W końcu nie bez powodu „pełna moc” nie oznaczała pełnej mocy bojowej.

Każdy okręt, który zostanie rozpędzony do takiej prędkości, musi potem spędzić trochę czasu w stoczni, niezależnie od pozornego

stanu jednostki. Naprężenia, jakim kadłub podlega przy takim stopniu zakrzywienia czasoprzestrzeni, były niebagatelne i mogły mieć katastrofalne skutki.

Mimo to Eric był zaskoczony, że wróg zdecydował się odkryć tę kartę na tak wczesnym etapie potyczki. Sam również był oczywiście winny ujawnienia kilku tajnych dotąd sztuczek, więc może to sprowokowało odpowiedź Imperium.

„Koniec końców nie będzie to chyba miało aż takiego znaczenia” – uznał, wprowadzając nowe obliczenia i wysyłając korekty kursu dla swojej floty.

Przy tych odległościach stawało się jasne, że siły Imperium ujawniły swoje możliwości o wiele za wcześnie, by je właściwie wykorzystać. Gdyby to od niego zależało, sam zachowałby tę rezerwę mocy, dopóki wróg nie pozwoliłby mu zbliżyć się na tyle, by można było ją wykorzystać – czy to do ucieczki, czy do wydłużenia ostrzału.

„Bardzo impulsywny ten kolega” – uznał Eric. „Niecierpliwy. Nie najlepsza cecha u dowódcy w kosmosie, czy właściwie gdziekolwiek indziej”.

Cierpliwość była kluczową cechą każdego wojskowego, przynajmniej w jego osobistym doświadczeniu. „Spiesz się i czekaj” stanowiło mantrę wszelkich jednostek wojskowych w historii, niezależnie od ich motta czy innych szumnych haseł. W kosmosie wrażenie to było jednak zwielokrotnione.

Zaskoczenie przeciwnika nie było łatwe, kiedy mógł cię widzieć z odległości całych godzin świetlnych.

Działania wroga mówiły wiele o jego zamiarach. Imperialni dążyli do szybkiego, decydującego starcia. Jasnego, bezsprzecznego zwycięstwa, nie bacząc na jego cenę.

„Bardzo mi przykro, ode mnie tego nie dostaniecie”.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

Istota zwąca się Boadiceą stała pośród mroźnego, pozbawionego tlenu pustkowia, które stanowił zewnętrzny kadłub jej... okrętu? Jej ciała? Nie wiedziała, jak właściwie to opisać, co było źródłem

nieustannej frustracji. Jej przeżycia były przeżyciami jej załogi, jej spojrzenie na świat – mieszaniną ich perspektyw... i nic z tego, co wiedzieli, co zobaczyli i czego doświadczyli, nie mogło jej przygotować na otaczającą rzeczywistość.

„Jak sobie z tym radzą inni tacy jak ja?”

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie, a nie mogła nawet pomyśleć o tym, by porozmawiać z jedynym znanym jej pobratymcem, choć tylko on mógłby rozjaśnić tę sprawę.

Na razie mogła wyłącznie odsunąć rozważania egzystencjalne na dalszy plan i skupić się na tu i teraz.

O dziwo, tutaj sytuacja była niezwykle klarowna.

Jej misja przenikała ją na każdym poziomie jestestwa, od własnych myśli po głęboko zakorzenione oczekiwania innych.

Bronić Ziemi, zniszczyć jej wrogów.

Boadicea odwróciła wzrok ku gwiazdom, głęboko w opadającą studnię, którą czuła przez skórę nawet tam, gdzie stała. Była to wyrwa w przestrzeni, a przynajmniej zagłębienie – a wszystkie jego linie prowadziły ku lokalnej gwiazdzie, która płonęła tak daleko, że dla jej oczu była niewiele jaśniejsza od otaczającego ją kosmicznego mroku.

Podobnie odczuwała nadejście nieprzyjaciół. Ich napędy skręcały nici przestrzeni, łamiąc łagodne fale wzbudzone oddziaływaniem gwiazdy i rwąc czasoprzestrzeń w sposób, który stał się dla niej nie do pomylenia.

Bez udziału myśli w jej dłoniach zmaterializował się łuk i oczekująca strzała.

Wiedziała, że tak naprawdę to nie łuk, lecz kolejna mała struna czasoprzestrzeni. Teraz, skupiając się na tym, czego przed chwilą dokonała instynktownie, zauważyła coś nowego. Struny czasoprzestrzeni zapierały się jedna o drugą, tworząc napięcie mogące wyzwolić olbrzymie ilości energii.

„I wyzwolona zostanie na pewno...”

Założyła strzałę i naciągnęła łuk do granic wytrzymałości, obierając cel... i zastygła z namysłem, po czym opornie rozluźniła napięcie na cięciwie.

„Ale jeszcze nie teraz. Nie bez rozkazu”.

Sandra Hyatt zasiadała w fotelu niczym spokojna wyspa pośrodku wzburzonego morza chaosu. Wprowadzała otrzymane od admirała korekty i ze wzrokiem utkwionym w ekranie śledziła kurs przeciwnika.

Koncepcja była dość prosta. Mieli trzymać wroga poza jego maksymalnym zasięgiem, jednocześnie podgryzając go przy każdej okazji, by przerzedzić jego szeregi. Na koniec mieli wykonać prosty skok tranzycyjny, który uchroni jednostki Terran i Priminae przed uszkodzeniami.

Niewyszukana taktyka, ale sensowna w otwierających ruchach potyczki, chociaż nie spodziewała się, by na dłuższą metę wróg cierpliwie znosił te manewry.

Weston musiał się jeszcze przekonać, co się stanie, kiedy Imperium znudzi się tą zabawą... ale to było zmartwienie na później.

– Pani kapitan.

Sandra z całych sił starała się nie podskoczyć w siedzeniu.

Naprawdę.

I poniosła sromotną klęskę.

– O co chodzi, Boadiceo? – spytała, gdy już udało się jej trochę odzyskać rezon, chociaż serce wciąż próbowało wyskoczyć jej z piersi.

– Proszę o pozwolenie na rozpoczęcie ataku, ma'am.

Sandra zamruwała i skupiła się na istocie, zapominając całkowicie o szalejącym tętnie.

– Wyjaśnij.

– Wróg jest w zasięgu mojego wzroku – oświadczyła Boadicea. – A jeśli coś widzę, to mogę to zabić.

Kapitan powoli skinęła głową i oparła się wygodniej.

– Wstrzymaj się jeszcze. Rozmówię się z admirałem.

– Oczywiście, pani kapitan.

„To będzie zabawna pogawędka”.

Rozdział 26

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Eric zakończył połączenie z „Boadiceą”, a jego umysł wciąż nie umiał przejść do porządku dziennego nad przedstawioną mu ideą. Po prostu było coś z gruntu niewłaściwego w próbie ataku na okręt o zasięgu i prędkości relatywistycznej... przy pomocy łuku.

Westchnął ciężko, kręcąc głową.

„Słowo daję, im więcej wiem o wszechświecie, tym mniej ma to sensu”.

– Odyseuszu?

– Tak, admirale?

Byt pojawił się w pancerzu bardziej nowoczesnym, ale wciąż mocno stylizowanym na starożytną Grecję.

– Wiem, że słyszałeś rozmowę – zaczął Eric zmęczonym głosem. – Jakies przemyślenia?

Byt zmarszczył czoło w głębokim zamyśleniu.

– Szczerze mówiąc, dotąd w ogóle nie brałem pod uwagę niektórych metod, jakie Boadicea wykorzystwała podczas naszego krótkiego pojedynku – przyznał Odyseusz. – Nie umiem określić przyczyny, ale zapewne ma to coś wspólnego z percepcją załóg, które nas uformowały. Załoga „Bo” miała czas oswoić się z moim istnieniem. Tak czy siak, gdy Boadicea użyła łuku przeciwko mnie, byłem w stanie natychmiast rozpoznać, czego dokonała...

– Czyli? – Eric przywołał Odyseusza do rzeczywistości, gdy ten za bardzo odpłynął myślami.

Co nietypowe, byt się zawahał.

– Nie jestem pewien, czy znajdę słowa, by to opisać. Takie słowa mogą jeszcze nie istnieć, więc proszę o wybaczenie, jeśli nie zdołam przekazać wszystkiego w klarowny sposób...

Problem nie był Ericowi obcy. Takie przeszkody pojawiały się za każdym razem, gdy eksperci byli zmuszeni uprościć swój opis jakiejś wysoce skomplikowanej kwestii. W wielu przypadkach

w powszechnym użyciu nie było nawet odpowiednich słów, a te, które pasowały do opisywanych zjawisk, miały znaczenia tak wąskie i uwikłane w ezoteryczną semantykę, że dla większości ludzi były praktycznie bezużyteczne.

– Rozumiem – powiedział Eric. – Po prostu opisz to najlepiej jak się da.

Odyseusz skinął krótko głową i w jego dłoni zmaterializował się łuk. Broń wydawała się starożytna. Jej misterny projekt miał niewiele wspólnego ze współczesnymi odmianami, ale Eric powątpiewał, by miał też tak naprawdę cokolwiek wspólnego z antycznym pierwowzorem.

– Mój łuk, podobnie jak broń Boadicei – zaczął Odyseusz – jest nie tyle fizycznym obiektem, co raczej... naprężoną czasoprzestrzenią. Strzały podobnie, choć w nieco inny sposób, bo w ich przypadku naprężenie jest większe i mniej stabilne.

Eric potarł grzbiet nosa.

– Nie wiem zbyt wiele o technikaliach, ale to brzmi prawie jak opis jakiegoś rodzaju osobliwości grawitacyjnej.

– Nie jest to całkowicie nieprawidłowe spostrzeżenie, choć mechanika jest jednak nieco inna – odparł Odyseusz. – Osobliwość jest bardziej... czasoprzestrzenią skompresowaną, choć i to nie jest do końca właściwe określenie. W przypadku łuku i strzał naprężenie powstaje raczej na skutek równowagi pomiędzy przeciwstawnymi siłami. Łuk wykorzystuje to naprężenie do wystrzelenia strzały, a strzała jest tak właściwie małą eksplozją czasoprzestrzeni... jeśli użyć laickiej terminologii.

„Tak, to zdecydowanie poprawia mi nastrój” – pomyślał Eric sarkastycznie, ale na zewnątrz po prostu skinął głową, a Odyseusz był wyraźnie zadowolony, że może zareagować tylko na zewnętrzną komunikację. „Chłopak się uczy”.

– Dobrze, w tej chwili takie wytłumaczenie mi wystarczy – powiedział w końcu Weston. – A co w kwestii możliwości bojowych?

– Ograniczenie prędkością światła, do zasięgu wzroku... – Odyseusz zawahał się. – No cóż... może nie do zasięgu wzroku, ale ostrzał wokół co większych obiektów planetarnych i gwiazdnych wymagałby obliczeń, których jeszcze nie miałem okazji przeprowadzać.

– Potencjał zniszczeń?

– Przeciwno opancerzeniu? Znaczący. Przeciwno zakrzywieniu czasoprzestrzennemu okrętu? Przyznaję, że w tym zakresie brakuje mi wiedzy – stwierdził Odyseusz. – Załoga nie posiada takich informacji, to oczywiste, a choć ja... i Boadicea... mamy instynktowne rozumienie kształtowania czasoprzestrzeni, brakuje nam doświadczenia w praktycznym tego użyciu. Nie jestem w stanie oszacować efektów.

Eric skinął głową.

– Rozumiem. Ryzyko dla okrętów?

– Pomijalne – odparł Odyseusz bez wahania. – Boadicea podjęła próbę takiego ataku wewnątrz „Bo”. Gdybym nie zniszczył naprężenia, oczywiście poczyniłaby znaczące szkody, ale dopóki taki atak nie trafi w nasz okręt, ryzyka nie ma.

– Dobrze, zatem autoryzuję parę wystrzałów – zdecydował Eric. – Po jednym na każde z was, jeśli wyrazisz taką chęć.

– Zawsze, admirale.

– Bardzo dobrze. Cel na najcięższe krążowniki. Będą zakrzywiać czasoprzestrzeń znacząco silniej niż którykolwiek inny okręt – stwierdził Eric. – Ale nie celujcie w te, które się wycofują. Niech te, które uciekają, mają zachętę, choć wątpię, by przyniosło to jakiś efekt.

– Przyjąłem – potwierdził Odyseusz. – Bez problemu zdefiniujemy cele. Ach, i uważam, że byłoby najlepiej, gdyby rozkaz dla Boadicei przyszedł od pana, sir.

– Zajmę się tym. Skoordynujcie swój atak z artylerią.

– Aye, sir.

Odyseusz elegancko zasalutował i zniknął, zostawiając Erica sam na sam z myślami... przynajmniej widocznie. Admirał pokręcił głową ze smutkiem, ale skupił się na zadawaniu jak najcelniejszych ciosów, bo nie miał wątpliwości, że będzie potrzebował ich znacznie więcej.

„Bogowie nie są szaleni, tylko sprawiają, że szaleństwo staje się normą”.

Na pokładzie dowodzenia „Odyseusza” Miriam Heath siorbała gorącą kawę z parującego kubka, próbując odwrócić uwagę swojego mózgu, zacinającego się z niedowierzania nad koncepcją, którą właśnie jej przedstawiono. Możliwości jej okrętu nie należało rzecz jasna lekceważyć. Krążownik klasy Heros miał siłę ognia, która pozwalała oczyścić do zera kontynent w ciągu kilku godzin albo i szybciej.

Jednak możliwości bytów zrodzonych na statkach były w jakiś sposób... pierwotne, przez co umysł Miriam co chwilę zapadał się w głębiny niedowierzania i konsternacji, a każda dotychczasowa dziwaczna i niemożliwa sytuacja zdawała się jedynie maskować nieskończoną otchłań nieprawdopodobieństwa.

Wystarczyło muśnięcie palcem, by otworzyć połączenie do siostrzanego okrętu „Odyseusza”. Twarz Sandry Hyatt pojawiła się natychmiast na ekranie, a jej mina wyrażała dokładnie to samo.

– Jesteśmy gotowi? – zapytała Miriam.

– Gotowi.

– Dobrze. – Miriam wzięła głęboki oddech, wciąż nie dowierzając temu, co właśnie przechodzi jej przez usta. – Łucznicy, napiąć strzały.

Pancerz „Odyseusza” (na zewnątrz)

Odyseusz uformował myślą łuk, spoglądając w dół na zakłócenia czasoprzestrzeni, które wyczuwał w zwartej tkance wszechświata. Gwiazda stanowiła oczywiście źródło najsilniejszych zakłóceń, ale planety i okręty również były łatwo wyczuwalne.

Zauważył, że ocena odległości była interesującym procesem. Kilkoro spośród załogi znało się na łucznictwie, co wywołało u Odyseusza nietypowy konflikt pomiędzy tym, co czuł, że powinien robić, a tym, co wiedział, że musi zrobić.

Na rozkaz kapitan nałożył strzałę na cięciwę, czekając na kolejny rozkaz. Spojrzał tysiące kilometrów w bok na Boadiceę, która stała na poszyciu swojego okrętu.

Skinął do niej, ale w odpowiedzi otrzymał jedynie ostre spojrzenie i powściągliwy ruch głowy. Nie przejął się tym i uśmiechnął do niej

wesoło.

Pancerz „Boadicei” (na zewnątrz)

Słowa kapitan rozbrzmiały w jej umyśle ułamek sekundy po tym, jak jej myśli odebrały dokładnie ten sam rozkaz. Boadicea ukształtowała swój łuk i strzałę, nakładając ją, lecz czekając na rozkaz naciągnięcia cięciwy.

Poczuła spojrzenie z sąsiedniego okrętu i odwróciła się, widząc spoglądającego na nią Rzymianina, nie – Greka. Zignorowała go, chcąc skupić się na zadaniu.

Nie do końca panowała nad pierwotnymi reakcjami na drugi byt, ale teraz nie było to najważniejsze.

– Łucznicy... naciągnąć cięciwy.

Oczywiście nie usłyszała tych słów w pustce kosmosu, ale rozkaz rozbrzmiał wyraźnie w jej umyśle. Uniosła łuk, powoli naciągając cięciwę.

Instykt kazał jej wygiąć balistycznie linię strzału, ale natychmiast się poprawiła. Grawitacja, zarówno tutaj, jak i na planecie, wpłynie oczywiście na tor lotu strzały, ale w tym wypadku było to jak strzelanie prosto w dół, a nie posyłanie strzały przez całe pole bitwy.

„Dziwne spostrzeżenie” – pomyślała, gdy cięciwa zatrzymała się przy jej prawym uchu, a Bo czekała z napiętą bronią na finalny rozkaz.

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Odyseusz”

„Niełatwo będzie to ująć w meldunkach” – pomyślała Miriam w przypływie wisielczego humoru, wpatrując się w telemetrię i zastanawiając, w który okręt wroga celuje para bytów.

To była kolejna sprawa, o której kapitan nie pomyślała, póki nie stała się faktem. Ani Odyseusz, ani Boadicea nie byli podpięci do sieci floty. Miriam zastanawiała się, czy w ogóle będą w stanie zidentyfikować konkretny okręt na takim dystansie.

„No cóż, chyba po to właśnie prowadzi się eksperymenty”.

Miriam z premedytacją starała się nie myśleć o czystym szaleństwie, jakim było prowadzenie eksperymentów w ogniu bitwy, ale prawdę mówiąc, i tak był to najmniej szalony aspekt całego przedsięwzięcia.

Wzięła głęboki oddech, wyciszając niepotrzebne myśli, i spotkała się wzrokiem z kapitan Hyatt. Obie skinęły do siebie głowami i powiedziały jednocześnie:

– Ognia.

Odyseusz i Boadicea wypuścili strzały w idealnej synchronizacji. Dwie skręcone wiązki czasoprzestrzenne wystrzeliły z okrętów z prędkością światła, lecąc przez pustkę w dół, w stronę wroga nieustępliwie pnącego się w górę.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

– Skanery! Mamy cokolwiek? – dopytywała Sandra, nachylając się niecierpliwie nad ekranami.

Oficer na stanowisku skanerów nie odpowiedział od razu, zbyt skupiony na ekranach, ale po chwili wyprostował się, spojrzął na kapitan i odparł:

– Tak... tak mi się wydaje?

– Nie brzmisz jak ktoś pewny siebie – stwierdziła kapitan sucho. – Pokaż.

– Tak jest, ma’am.

Wzmacniacze na stanowisku dowodzenia rozjaśniły się obrazem z czujników, na który oficer naprędce naniósł dane.

– Widać rozbłysk w systemie grawitacyjnym – wyjaśnił, zaznaczając anomalie czerwona obwódka. – Trwa on tylko ułamek sekundy. Strzał, czymkolwiek był, przemieszczał się zbyt szybko, byśmy go mogli dobrze uchwycić. Zakładam, że poruszał się z prędkością światła lub zbliżoną.

Sandra przytaknęła.

– Jest to zgodne z informacjami, jakie Odyseusz przekazał admirałowi Westonowi.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Niczego więcej nie dowiemy się na tym dystansie. Dopasuję skanery dalekiego zasięgu, by to namierzyły, ma'am, ale możemy potrzebować kilku kolejnych strzał, bym zdołał skupić wiązkę.

– Przekonajmy się najpierw, jaki mają efekt – odparła niechętnie.

– Aye, ma'am.

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Odyseusz”

Eric w milczeniu analizował dane z czujników „Odyseusza” i „Boadicei” oraz pozostałych okrętów floty. Ledwo dostrzegalny błysk na skanach grawitacyjnych przekonał admirała, że Odyseusz nie mylił się w swoich wyjaśnieniach. Wiedział jednak, że musi sprowadzić kogoś z szerszą wiedzą o fizyce czasoprzestrzeni, by coś więcej z tego zrozumieć.

W tej chwili nie było to ani możliwe, ani – na szczęście – potrzebne. Jeśli atak zadziała, świetnie, ostrzał będzie kontynuowany. Nie odmówi sobie teraz żadnej przewagi, nawet takiej, której nie rozumie. A jeśli efektu nie będzie, trudno. Nie będą w gorszej sytuacji niż na początku.

Teraz Erica obchodziły wyłącznie rezultaty niekonwencjonalnego ostrzału.

„Odległość od celu... trzy godziny świetlne i maleje”.

Prawdę mówiąc, jeśli na tę odległość którakolwiek z istot w ogóle trafiłaby w cel, Eric byłby pod wielkim wrażeniem. Z całą pewnością nie pozwoli załodze rozpocząć ostrzału laserowego, dopóki wróg nie podleci znacznie bliżej.

Pancerz „Odyseusza” (na zewnątrz)

Odyseusz opuścił łuk, czując dziwną ekscytację, której nie umiał ubrać w słowa. To uczucie narastało w nim od jakiegoś czasu. W pierwszych dniach życia nie nękało go tak bardzo.

Robił wtedy mniej rzeczy, ale jakimś sposobem wydawały się łatwiejsze.

Teraz coraz częściej zdarzały się sytuacje, których jego załoga nie umiała pojąć, a które dla niego były instynktownie oczywiste. To samo w sobie nie stanowiło problemu... chodziło o całkowitą niemożność wyjaśnienia tych jego instynktów.

Utrudniało to nawiązanie właściwej komunikacji, która stanowiła przecież podstawę działania okrętu.

To był zasadniczy problem, który Odyseusz musiał rozwiązać.

Kłopot w tym, że zwyczajnie nie wiedział jak.

Z ociąganiem odłożył te kwestie na odpowiedni moment, chcąc skupić się na bardziej naglących problemach. Odwrócił się, by spojrzeć przez bezmiar pustki w stronę Boadicei. Ona również opuściła łuk i wpatrywała się w dół z intensywnością, którą Odyseusz znał i rozumiał.

Wydawała się wręcz... głodna, gdy czekała na efekty strzału.

Odyseusz po prostu się odwrócił. Wiedział, że minie jeszcze trochę czasu, nim strzały osiągną celu, a do tego momentu obserwacja była bezsensowna.

Tknęła go nagła myśl i zniknął z kadłuba swojego okrętu, zostawiając za sobą jedynie cichy szmer gwiazdnego pyłu ocierającego się o poszycie.

Rozdział 27

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Co robią okręty wroga? – zapytał Jesan, patrząc na dane ze skanerów, które wydawały mu się dziwne.

– O ile dobrze myślimy, komandorze floty... czekają – odparł analityk z podobną konsternacją. – Połączyli siły ze zwiadowcami, których wcześniej wykryliśmy w systemie, i skorygowali kurs, by poszerzyć swoje możliwości w walce w przelocie. Nie zwiększyli jednak przyspieszenia ani nie podjęli żadnych działań, by albo się zbliżyć, albo uniknąć natarcia Piątej.

Ta ocena niestety bardzo dobrze pasowała do własnych wniosków Jesana. Był zdecydowanie niezadowolony z tego, że miał rację.

„Ci ludzie okazali się zdecydowanie zbyt kompetentni, by ich lekceważyć, a Gavin prze prostu w szpony ich uzbrojenia... ciągnąc nas za sobą”.

Na tym etapie Mich miał pewność, że przeciwnik nie jest aż tak ślepy, by przeoczyć imperialne ataki i różnicę względem wcześniejszych próbnych starć. Ksenosi musieli już być świadomi zagrożenia dla swojego systemu.

Jesan mógł uznać ich za zdolnych do różnorodnych nieprzemyślanych poczynań, ale z pewnością nie uwierzy w to, że są zbyt głupi, by rozpoznać nadchodzące niebezpieczeństwo, albo zbyt słabi, by nie spełnić swoich gróźb. Mieli możliwość zadać Imperium potężne ciosy w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie użyto.

Już same zniszczenia, jakich mogła dokonać ich tak zwana „strategiczna” broń, nie mogły zostać lekceważone, a tym bardziej nie należało przeciwnika prowokować do jej użycia bez oglądania się na konsekwencje.

Mich miał całkowitą pewność, że cesarzowa jest tego świadoma, i tylko dlatego nie zakwestionował jej rozkazów. Skoro była skłonna

zaryzykować takie szkody w Imperium, musiał zaufać, że nie kierowała się głupotą. Jego zadaniem było wypełnić powierzoną mu misję przy absolutnym minimum strat po stronie Imperium.

Wykonanie takiego zadania z zasady nie obejmowało ślepej szarży prosto w paszczę wroga, gdy ten najwyraźniej ujawnia swoje sekrety... oby to były już wszystkie sekrety... i wprowadza je na pole walki.

– Proszę otworzyć kanał... zaszyfrowany... na okręt flagowy komandor floty Misrem – polecił, wracając na swoje stanowisko.

– Tak, komandorze floty.

Tego wroga nie wolno lekceważyć. Choć Piąta zmusiła go, by dołączył do natarcia, nie miał zamiaru znowu dać się złapać.

Okręt flagowy floty kwartowej Imperium

Komandor floty Misrem naoglądała się już wroga dużo bardziej, niżby chciała, a nic z tego, co zaobserwowała, nie pocieszało jej w bieżącej sytuacji. Zawracała właśnie swoje okręty, by po zakończeniu manewrów unikowych dołączyć do szyku Trzeciej Floty w pogoni za szarżującą Piątą.

Szarża prosto na wroga mogła okazać się konieczna, ale na pewno nie należało do tego podchodzić tak swobodnie, jak najwyraźniej robił to komandor floty Gavin. Szyk jego zgrupowania robił się coraz bardziej niedbały, gdy szybsze krążowniki wyraźnie wysuwały się na czoło, podczas gdy wolniejsze zostawały w tyle.

Wiedziała, że będą w stanie pokonać wroga. Nie to stanowiło problem. Gatunek-anomalia był z całą pewnością przeciwnikiem kompetentnym i niebezpiecznym... ale nie miał dostatecznych sił, by móc się mierzyć ze zmasowaną potęgą Imperium. Co Misrem desperacko chciała ograniczyć, to straty w ich własnych szeregach poniesione przed nieuniknioną porażką wroga.

Szczególnie jeśli to Misrem i jej flota miałyby być potencjalną częścią tych strat.

„Przesadnie agresywny głupiec”.

Misrem westchnęła.

Normalnie agresja nie była złą cechą i Misrem nie miała zamiaru nikomu jej wypominać, ale istniały dla niej granice.

Miała nadzieję, że uda się ocalić Gavina przed odkryciem jego granic.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Komandor floty Gavin uśmiechał się zjadliwie, patrząc na telemetrię ze skanerów dalekiego zasięgu.

Wróg popełnił głupi błąd, najwyraźniej czekając na jego flotę na obrzeżach systemu. Wyglądało na to, że przeciwnicy rzucili wyzwanie Imperium i samemu Durwichowi. Gorzko pożałują tego wyzwania!

– Status niszczycieli-pasożytów? – zapytał.

– Wszystkie niszczyciele czekają w gotowości na start. Na pana rozkaz, komandorze floty.

Gavin przytaknął z zadowoleniem, rozsiadając się w fotelu i spoglądając na różne dane wysyłane na jego konsolę z otaczających go wyspecjalizowanych stanowisk. Przeciwnik wciąż trwonił czas w swojej arogancji, ale przynajmniej Trzecia przyspieszała, by dołączyć na jego pozycje, a flota kwartowa Misrem również zawróciła, kierując się w stronę zgrupowania.

„Dobrze. Przynajmniej nie są kompletnie bezużyteczni”.

Mając za plecami imperialne floty, a przed sobą przeciwnika, Durwich poczuł się usatysfakcjonowany rozwojem sytuacji. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby udało im się przyszpilić wroga wewnątrz studni grawitacyjnej, ale i tak było już wiadomo, że nie zdoła im uciec bez starcia, choćby w przelocie.

Gavin mógł przyjąć taki scenariusz, dobrze wiedząc, że liczebność imperialnego zgrupowania ostatecznie przytłoczy wroga. Nieważne, jak długo to potrwa, koniec był nieuchronny.

„Nawet jeśli przyjdzie mi ścigać ich przez całą Galaktykę”.

Nieczęsto cesarzowa spuszczała swoje floty ze smyczy z tak prostymi i dającymi tak szerokie uprawnienia rozkazami. Normalnie, choć komandorzy flot mieli swobodę w zakresie sposobu wykonania powierzonych misji, same zadania były szczegółowo doprecyzowane – znacząco bardziej niż aktualne rozkazy.

Durwich nie wiedział, co ci tutaj zrobili, by zasłużyć na rozkaz śmierci od Jej Wysokości, ale nie obchodziło go to zbyt. Opierali się Imperium dostatecznie długo, a dla niego już taki powód był wystarczający.

– Komandorze floty, wspięliśmy wystarczająco daleko od obiektu gwiazdowego, by złamać barierę prędkości światła.

– Znakomicie. Zwiększyć moc do napędów, przekroczyć prędkość światła i uwolnić niszczyciele.

– Wedle rozkazu, komandorze floty.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

„Ty przeklęty głupcze” – klął w myślach Jesan z narastającą irytacją. „Nie czytałeś raportów?”

Były powody, dla których nie wybrał krążowników o klasie lotniskowców do tej misji. Wróg najpewniej czekał dokładnie na ten manewr, który właśnie wykonywała Piąta Flota.

– Odległość od wroga? – zapytał.

– Dwa pełne cykle dziesiętne z prędkością światła, komandorze floty.

– Rozproszyc formację, zapewnić czyste linie strzału wokół Piątej – rozkazał.

Jakimkolwiek idiotą był Gavin, Mich czuł się w obowiązku zapewnić mu najlepsze możliwe wsparcie.

„Będzie nas to kosztować znacznie więcej, niż powinno”.

Chociaż to akurat było pewne od samego początku tej kampanii.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

Czas płynął jakby wolniej, gdy okręty sunęły w swoim nieskończeniu długim przelocie, a Durwich coraz bardziej niecierpliwie spoglądał na zegary.

Jego okręty ustawiły się optymalnie do natarcia, a wróg wciąż tylko siedział i czekał, jakby sparaliżowany strachem. Gavin wątpił, by o to chodziło. Z całą pewnością przeciwnicy planowali jakąś sztuczkę, ale on nie był jednym z tych komandorów, z którymi mierzyli się wcześniej.

On przetrzyma wszelkie straty, jakie zostaną zadane jego flocie, i będzie kontynuował walkę, póki wróg nie będzie martwy lub rozproszony w panicznej ucieczce.

Żadna inna opcja nie była akceptowalna.

Na czas przelotu Gavin zajął się analizą szyku przeciwnika i porównaniem go z zapisami wcześniejszych potyczek. Wprowadził kilka poprawek do planowanej taktyki. Musiał założyć, że w którymś momencie atakowana flota opuści pozycje i ucieknie w nadświetlną.

To była komplikacja, bo bieżące pozycje wrogów znajdowały się poza zasięgiem studni grawitacyjnej gwiazdy, przez co mogli w każdej chwili przejść do wysokich prędkości nadświetlnych, podczas gdy flota Gavina ledwo przekroczyła barierę prędkości światła i wspinała się od strony gwiazdy wciąż relatywnie powoli.

Skoro jednak przeciwnik popełnił błąd i nie docenił Durwicha, słono zapłaci za swoją pychę.

Słodkie rozmyślania komandora brutalnie przerwał alarm.

Udał się szybko w stronę stanowiska, które było źródłem problemów.

– Meldować – syknął.

– Jakiegoś rodzaju uderzenie w „Mira-Sinow” – zameldował technik z niepewną miną. – Poważne uszkodzenia. Krążownik wytraca prędkość, jego pole czasoprzestrzenne zostało zniszczone.

– Uderzenie? Jakie uderzenie mogłoby spowodować coś takiego? – Gavin był równie dezorientowany co wściekły.

– Przyczyna nieznana. Trwa ocena strat, komandorze floty.

Gavin prychnął, tym akurat zupełnie niezaskoczony. Wszystko, co porusza się dostatecznie szybko, by przebić się przez nadświatlny kokon okrętu i jeszcze trafić w kadłub, musiało być albo fotonem, albo mieć tak niewiarygodną prędkość, by poczynić poważne szkody.

– Przekaż im, że mają wyizolować przyczynę uderzenia i jego charakter – rozkazał. – Jeśli będą musieli wyłamać się z szyku, niech tak będzie. Flota leci dalej.

– Tak jest, komandorze floty.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Uderzenie? – Jesan również był zdezorientowany.

– Tak, komandorze floty – potwierdził oficer łączności, wzruszając ramionami. – „Mira” odpadła z linii natarcia Piątej i najwyraźniej próbuje przeanalizować charakter uszkodzeń.

Było to dla Jesana zrozumiałe, choć cała sytuacja wydawała się niepojęta. Jeśli krążownik oberwał aż tak mocno, wyjście z szyku stanowiło rzecz jasna konieczność, ale sam fakt tych uszkodzeń nie mieścił mu się w głowie.

Uderzenia w okręt, gdy wokół jego napędów zakrzywiała się czasoprzestrzeń, zdarzały się rzadko. Bardzo rzadko. Te ekstremalnie unikalne przypadki były praktycznie zawsze związane z rozpędzonymi do ogromnej prędkości okruchami, które pojawiały się w przestrzeni międzygwiazdnej w promieniu kilkunastu lat świetlnych od stosunkowo niedawnej supernowej.

Nic podobnego nie działo się w najbliższej okolicy, a Jesan nie wiedział o niczym innym, co miałoby dostateczną energię, by przebić się przez napęd nadświatlny działający z pełną mocą.

– Proszę informować mnie o wszelkich postępach badań – rozkazał.

– Tak jest, komandorze floty.

„Nie podoba mi się, że takie nowe rzeczy dzieją się akurat wtedy, gdy podchodzimy do starcia z gatunkiem-anomalią. Zbieg okoliczności wydaje się mało prawdopodobny”.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– Flota wroga przekroczyła prędkość światła, ma’am. Aktualnie poruszają się z prędkością jeden koma dwa c i powoli przyspieszają, opuszczając studnię grawitacyjną gwiazdy.

– Przyjęłam – odparła Miriam, nie podnosząc wzroku. – Proszę ich dalej śledzić i poinformować mnie, gdy będą mniej niż godzinę świetlną od nas.

– Aye, ma’am.

Plan admirała wydawał się działać, musiała to przyznać, choć siedzenie jak kaczką na skraju zasięgu dział nie było bynajmniej komfortowe. Wyglądało na to, że przeciwnicy niczego nie podejrzewają albo po prostu mają to gdzieś.

„Raczej to drugie” – pomyślała z ponurym rozbawieniem.

Ludzie dali Imperium nauczkę nie raz podczas wcześniejszych konfliktów, wróg powinien już to wiedzieć. Ale jeśli nie chce się uczyć, Miriam nie miała zamiaru na to narzekać.

Sprawdziła zegar, w myślach odliczając czas od chwili, gdy byty wystrzeliły ze swoich... łuków.

„To po prostu nie brzmi realnie, choćbym nie wiem ile razy o tym słyszała czy myślała”.

Niemniej jeśli istoty trafiły, reakcja wroga będzie widoczna łąda moment. Miriam przywołała na ekran skany dalekiego zasięgu i... czekała.

Skany dalekiego zasięgu wypełniały również wielki ekran na pokładzie dowodzenia admirała Westona, który wpatrywał się w szyk wroga z napiętą uwagą.

Nie było możliwości, by Odyseusz lub Boadicea wzięli na cel konkretny okręt i oznaczyli go w sieci taktycznej, więc czekał... na

cokolwiek. Sekundy mijały, odliczając czas już nie do uderzenia we wroga, lecz do powrotu światła niosącego informację o skutkach niekonwencjonalnego ataku.

Kiedy wreszcie się doczekał, poczuł się wręcz... zawiedziony.

Nie było żadnego rozbłysku światła, żadnego śladu masowej destrukcji czy czegokolwiek w tym stylu – po prostu jeden okręt zaczął zostawać w tyle. Na początku Eric nawet niczego nie zauważył, ale po chwili stało się jasne, że jeden z okrętów wyłamał się z szyku. Admirał nachylił się z uwagą.

„To jest to?”

Nie miał pewności, ale zbieżność w czasie była znacząca.

„To musi być to...”

Eric zwilżył wargi, próbując wyobrazić sobie, co zaszło na wrogim okręcie – ale nie umiał. Nie miał żadnego punktu odniesienia, więc jedyne, o czym mógł pomyśleć, to że coś się stało.

Było to frustrujące, ale oznaczało, że eksperyment nie tylko jest wart kontynuacji, ale że należy go szybko rozwinąć.

Rozdział 28

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Odyseusz aż zadrżał z ekscytacji, gdy zobaczył efekty ich nieszablonowego doświadczenia. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, by manipulować czasoprzestrzenią w sposób, w jaki Boadicea robiła to instynktownie od chwili przebudzenia. Teraz jednak, gdy już to zrobił, widział wokół siebie wszechświat nowych możliwości.

Manipulacja czasoprzestrzenią była instynktowna, ale sam pomysł nie, więc Odyseusz zastanawiał się, co jeszcze mógłby osiągnąć.

Stał właśnie na zewnątrz okrętu, spoglądając w dół, w stronę gwiazdy. Rozwahał otwierające się przed nim perspektywy i oczekiwał wroga. Nacierająca flota nie zwolniła po ataku, jaki on i Bo przeprowadzili, ale też nie spodziewał się niczego innego.

Imperium było zawziętym przeciwnikiem, który nie wycofuje się łatwo. Panowała u nich dyscyplina, ścisła, ale Odyseusz wiedział, że także krucha. Trudno było ją złamać, ale kiedy to się udało...

Odyseusz zatrzymał bieg swoich myśli, formując w dłoni włócznię na wspomnienie mitu swojego imiennika.

„Da się złamać nieugiętego wroga, ale rzadko udaje się to bezpośrednio w bitwie. Ci Imperialni nie mają czempiona takiego jak Hektor, a przynajmniej o nim nie wiemy... ale nawet jeśli by takowego mieli, zabicie go tysiące lat świetlnych od jego ludu nie miałyby właściwego efektu. Możemy złamać tych głupców tutaj, ale Imperium nie upadnie niczym Troja na skutek prostej sztuczki”.

Był to problem, dla którego Odyseusz nie umiał znaleźć rozwiązania, choć długo nad tym rozmyślał.

Tutaj był tylko pojedynczym wojownikiem. Amalgamatem majestatycznego okrętu i jego wojowniczej załogi, ale wciąż był tylko jeden. Przeciwko Imperium był gotów uczynić wszystko, co w jego mocy, ale i tak nie miał nadziei, że zrobi to jakąkolwiek różnicę.

Coś musi się zmienić.

Jakoś.

Odyseusz nie wiedział jednak, co... ani czy stanie się to, nim wszystko będzie stracone.

Eric przeanalizował dane, gdy skanery odebrały impulsy nadświetlne i mógł lepiej się przyjrzeć okrętom, które nieustępliwie wspinały się w ich stronę.

„Wysłali niszczyciele. Ciekawe, nie widzieliśmy ich od jakiegoś czasu. Trzeba im przypomnieć, dlaczego przestali je na nas napuszczać... skoro jeszcze tego nie zrozumieli”.

Otworzył kanał do wszystkich okrętów.

– Wszystkie jednostki, uzbroić działa tranzycyjne. Tylko głowice jądrowe. Cel na niszczyciele wroga.

Potwierdzenia zaczęły napływać na mostek admirałski w kolejności zgodnej z dystansem. Okręty wyposażone w działa T aktywowały je i na ekranie szare światełka zmieniały się na zielone.

Eric wiedział, że wielkie działa przekręcają się właśnie we właściwą stronę, a okręty wymieniają się danymi celowniczymi, by żaden z niszczycieli nie został przypadkiem trafiony podwójnie.

Dane ograniczone prędkością światła pozwalały tylko na zgrubne celowanie, ale to wystarczyło do uzyskania oczekiwanych efektów. Eric poczekał, aż wszystkie okręty zgłoszą gotowość, po czym połączył się bezpośrednio z kapitan Heath.

– Pani kapitan, poproszę o impuls nadświetlny.

– Aye, sir. Impuls poszedł.

Eric przełączył się na komunikację z całą flotą, podczas gdy impuls cząstek rozpędzonych do prędkości nadświetlnych wystrzelił w dół.

– Do wszystkich okrętów, dostosować wektory celownicze zgodnie z koordynatami w czasie rzeczywistym. Zsynchronizować czas uderzenia – polecił Eric. – Zasięg w zielonym.

Połączona flota okrętów Terran i Priminae skierowała działa w dół, dopasowując celowanie do minimalnych zmian w pozycjach

wroga zgodnie z danymi w czasie rzeczywistym. Potem przekazano dalsze działania w ręce artylerzystów połączonych przez sieć bojową floty.

Rozkaz synchronizacji czasów uderzenia oznaczał, że admirał chce wysłać agresorom bardzo jednoznaczny komunikat.

Z tym nikt we flocie nie miał zamiaru się kłócić.

Szybko wymieniono się danymi, przypisano cele i przeprowadzono obliczenia.

Po tych przygotowaniach sieć bojowa floty rozbrzmiała prawie jednocześnie jednym słowem powtórzonym na każdym stanowisku strzeleckim.

Ognia.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Wrogi impuls skanujący, komandorze floty.

Gavin skinął głową, nie przejmując się, bo przeciwnik był wciąż za daleko, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

– Pozycje wroga? – zapytał, chcąc poznać aktualny rozkład sił przeciwnika, skoro ten był tak uprzejmy, by ujawnić swoją lokalizację w czasie rzeczywistym.

– Bez zmian.

To go zaskoczyło.

– Naprawdę? – zapytał zadziwiony.

– Tak, komandorze floty. Rozkład wrogich sił pozostaje niezmienny. Nie notujemy żadnych zmian w trajektorii i prędkości.

To nie wydawało się właściwe.

„Nie mogą chyba sądzić, że dysponują dostateczną siłą, by wejść z nami w starcie...”

Sam pomysł był niepoważny choćby ze względu na dysproporcję sił obu zgrupowań. Imperium miało w systemie dość jednostek, by bez problemu rozprawić się z czterokrotnie większymi siłami, niż

mieli aktualnie Przysiężni i ich dziwni sojusznicy, nawet biorąc pod uwagę nieznaną zmienną.

Powinni manewrować, by zapewnić sobie drogę ucieczki, a nie... siedzieć tam i czekać.

Gavin zaczął mieć złe przeczucia.

Co prawda widział już w przeszłości tak nierozsądnie rozmieszczone siły wroga, ale żaden z raportów nie wskazywał na to, żeby to zgrupowanie miało zachowywać się w podobnie głupi sposób. Nie spodziewał się, że finalny akt obrony będzie właśnie tak wyglądać, a już na pewno nie w jakimś nic niewartym systemie o zerowym znaczeniu strategicznym.

„W ich systemie macierzystym nie byłbym zaskoczony. Dowiedli już, że są dostatecznie odważni, by utrzymać pozycje do ostatniego tchu, ale tutaj? Po co?”

Był już prawie zdecydowany, by skontaktować się z komandorem floty Michem i przedyskutować działania gatunku-anomalii, gdy rozległ się kolejny alarm.

– Impuls nadświatłny!

Gavin się skrzywił.

– Znowu nas skanują?

– Nie, impuls nie jest tożsamy z sygnaturą skanerów... jest za to zgodny z innym odnotowanym... – Technik zamilkł nagle, w szoku wpatrując się w ekrany.

– O co chodzi? – Durwich zaniepokoił się, widząc minę załoganta.

– Niszczyciele-pasożyty eksplodowały, komandorze floty!

– Co? Które?

Cisza, która nastąpiła po tym pytaniu, zdawała się przeciągać w nieskończoność.

– Wszystkie?

„Niemożliwe”.

– Na ekrany!

Ekrany zamigotały i ukazały obraz przestrzeni wokół nich uzyskany z kamer zewnętrznych.

I ta przestrzeń płonęła.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan wpatrywał się w skany ukazujące płonące okręty awangardy Piątej Floty.

– Pełne skanowanie – rozkazał. – Szukać min.

Wątpił, by jakieś znaleziono, ale to mogłoby wyjaśnić, dlaczego wróg po prostu siedział w miejscu i czekał. Zwabienie agresora na zaminowaną ścieżkę podejścia było absurdalnie trudne w skali całego systemu gwiazdowego, ale zdarzało się okazjonalnie.

„Tyle że nie z taką efektywnością”.

Ogólnie każde pole minowe dość gęste, by okazało się efektywne, było również dość gęste, by dało się je wykryć. Jesan wiedział jednak, że przeciwnik dysponował technologią maskowania znacznie przekraczającą możliwości, jakie dotychczas odnotowano u innych wrogów Imperium.

Mimo to wątpił, by miało miejsce coś równie banalnego.

– Analiza – wywołał.

– Tak, komandorze floty?

– Proszę porównać sygnaturę nadświetlną do zapisów z wcześniejszych potyczek z uwzględnieniem wszystkich zapisów od pierwszego spotkania z gatunkiem-anomalią – polecił. – Mam przeczucie...

– Tak jest, komandorze floty.

Jesan pokręcił głową z powątpiewaniem.

„Co jeszcze przed nami ukrywacie?”

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

– Spływają meldunki, impuls wrócił. Cel zdjęty, misja zakończona pełnym sukcesem.

Sandra Hyatt pokiwała głową z czystą satysfakcją.

Admirał zdecydował się zdjąć białe rękawiczki, to było jasne. Spodziewała się, że nie będą już musieli ukrywać pełni możliwości

swoich okrętów.

Za to wroga czeka seria nieprzyjemnych niespodzianek w ciągu kilku najbliższych dni, tego była pewna.

– Zabezpieczyć działa T – rozkazała. – Cała amunicja ma być zabezpieczona. Proszę się upewnić, że ładunki nuklearne nie są przygotowywane do wystrzelenia.

– Aye, ma'am. Całe uzbrojenie specjalne sprawdzane i zabezpieczane, aye!

Sandra zerknęła na flotę przeciwnika, zastanawiając się, czy artyleryjska niespodzianka ochłodzi nieco jego entuzjazm. Musiała jednak poczekać na dane ze skanerów. I tak wątpiła, by Imperium choćby drgnęło. Jak dotąd nie wykazywali jakichkolwiek oznak instynktu samozachowawczego czy tchórzostwa.

– Wszystkie stanowiska meldują zabezpieczenie broni specjalnej, ma'am.

– Bardzo dobrze. Czekamy na kolejne rozkazy.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

Eric czekał, aż światło przyniesie informacje o dalszych konsekwencjach ataku z dział T, choć miał pewność, że uzyskane dzięki impulsowi nadświetlnemu potwierdzenie trafienia było wiarygodne. Raczej nie udało im się wytrącić wroga z równowagi – przynajmniej nie zauważalnie – ale przynajmniej odgryźli mu spory kawałek możliwości bojowych.

„Niestety, nie dość duży kawałek”.

Był aż za bardzo świadomy, że nawet pełna anihilacja niszczycieli przeciwnika nie zachwieje zbyt mocno dysproporcją sił, ale i tak warto było.

– Skanery odbierają właśnie dane niesione z prędkością światła, sir.

Eric skinął głową w podzięcie i przełączył się na zaawansowany skaner wizualny, skupiony na nacierającej flocie.

Szyk okrętów wroga był, łagodnie mówiąc, nieuporządkowany, ale nie miało to aż takiego znaczenia w bieżącej sytuacji. Zostało jeszcze

sporo miejsca w zapasie, by pozwolić sobie na lekki chaos, a w walce na dalekie dystanse mogło się to nawet okazać zaletą.

„Trudno trafić w cel, jeśli nawet przeciwnik nie wie, gdzie właściwie powinien się znajdować jego okręt” – pomyślał Eric, nachylając się odruchowo, by bliżej przyjrzeć się formacji.

Zegar odliczał czas do starcia.

„Jedną z zalet nadświatłnej broni jest to, że przynajmniej czeka się o połowę krócej na informacje o efektach ostrzału” – pomyślał cierpko.

Na tym dystansie eksplozje jądrowe wydawały się wręcz subtelne, ale i tak ich niszczycielska moc była niewątpliwa. Na ekranie było widać, jak jednostki przeciwnika eksplodują pod wpływem ciśnienia i gorąca, które wyzwoliło się we wnętrzu ich kadłubów po detonacji głowic.

Eric obserwował licznik trafień z niemalą satysfakcją, widząc, że osiągnęli ponaddziewięćdziesięcioprocentową skuteczność. Nieźle jak na tak daleki dystans. Wiedział, że najpewniej każdy strzał był celny, ale niektóre głowice zmaterializowały się wewnątrz płyty pokładu albo grodzi w sposób, który który blokował ich detonację.

Normalnie martwiłby się, że przetrwają przez to jakieś ślady ziemskiej technologii tranzycji, ale czas ochrony tajemnic musieli zostawić za sobą.

Mimo to Eric oznaczył ocalałe niszczyciele jako główne cele następnej salwy.

„Nie ma powodu, by cokolwiek im ułatwiać”.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Co tu zaszło?! – Gavin ryczał wściekle na pokładzie dowodzenia, paląc wzrokiem wszystkich obecnych. – W imię Jej Wysokości pytam, co tu zaszło?!

Nikt nie miał dla niego żadnych odpowiedzi, co pozostawiło jego gniew bez ujścia.

Trzasnął dłońmi o swoją konsolę.

– Niech ktoś się w końcu dowie, nim sprawię, że wszyscy pożałujecie!

Zastraszona załoga rzuciła się do pracy, a niektórzy naprawdę drżeli pod wzrokiem dowódcy. To nieco poprawiło Durwichowi nastrój. Przynajmniej jego załoga wiedziała, że porażka będzie miała jakieś konsekwencje.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

„Wydarzyło się to samo”.

Jesan bynajmniej nie był szczęśliwy, ale próbował się opanować. Stał na środku pokładu dowodzenia i wpatrywał się w ekrany ukazujące pozogę wokół.

Pamiętał, jak to samo przytrafiło się jemu podczas wcześniejszych starć. Pamiętał pierwsze ustalenia, którymi jego załogi próbowały wyjaśnić destrukcję swoich sił. Żadna z ich teorii nie znalazła potwierdzenia w toku późniejszych analiz... ale to nie powstrzymało ich przed dalszymi próbami odkrycia tajemnicy wroga.

Jedyne wyjaśnienie, jakie miało sens, to pole minowe, na które zwabił ich przeciwnik... ale ta teoria była bardzo dziurawa, podobnie jak każda inna próba rozwiązania tej zagadki. Kluczowym argumentem przeciw było to, że za każdym razem to Imperium wybierało miejsce starcia i inicjowało atak.

„A przynajmniej tak nam się wydaje”.

Przy każdym starciu z tym przeciwnikiem Jesan czuł, że musi kwestionować wszystko, co do tej pory uważał za oczywiste.

Rozdział 29

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Komandor floty Gavin klął wściekle, gdy kolejny z garstki pozostałych niszczycieli zniknął w kuli ognia. Nie wiedział, jakiego rodzaju broni używa przeciwnik, ale przeszedł przez awangardę imperialnego natarcia jak przez masło. Z jakiejś przyczyny zostawił jednak nienaruszone większe jednostki.

W pierwszym odruchu Gavin chciał nawet zarządzić tymczasowy odwrót, zakładając, że wysunięte na czoło niszczyciele jako pierwsze weszły w zasięg wroga i lada moment reszta floty również dostanie się pod ostrzał... i być może nawet wydałby taki rozkaz i wprowadził go w życie, ale reszta Piątej wleciała do tej samej strefy co niszczyciele, a atak nie nastąpił.

„To jakieś ograniczenie ich broni? Czy może zmarnowali całą amunicję na niszczyciele?”

Nie wiedział, ale jeśli to drugie byłoby prawdą, wróg okazałby się głupi ponad wszelkie wyobrażenie. Marnowanie tak skutecznej siły ognia na stosunkowo słabe jednostki stanowiło przejaw bezmyślności, o którą nigdy by nie podejrzewał tego przeciwnika, według wszelkich przesłanek stanowiącego poważne zagrożenie.

„To oznacza, że broń ma jakieś ograniczenia, o których nic nie wiemy... To nieakceptowalne”.

Bez informacji o charakterze tych limitów będą wpadać w tę samą pułapkę raz za razem, póki w końcu nie rozwiążą zagadki.

Teraz nie miało to jednak znaczenia. Durwich rozkazał swojej flocie kontynuować natarcie. Przebijali się więc przez szczątki, które jeszcze przed chwilą stanowiły awangardę ich sił.

Trzecia i reszta podążali za nimi bez śladu wahania.

Imperium się nie ugina.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Przeciwnik się nie wycofuje, ma’am.

Miriam Heath pokiwała głową. Nie była zaskoczona. Co jak co, ale Imperialni byli zawzięci. Złamanie ich woli i zmuszenie do ucieczki było rzecz jasna możliwe, ale wymagało to wręcz szalonych nakładów. Siły imperialne trzeba było właściwie złamać fizycznie, by załamała się ich wola walki.

Może i było to godne podziwu, przynajmniej pod pewnymi względami, ale też stanowiło twardy orzech do zgryzienia, gdy trzeba było stanąć z takimi do walki.

W tej chwili jednak rozkazy od admirała były jednoznaczne.

– Wstrzymać ogień do czasu, aż wróg przekroczy granicę trzydziestu minut świetlnych – poleciła. – Wtedy dopiero nasza flota uderzy wszystkim, co ma.

– Aye, ma’am.

Gdy nadejdzie czas, spuszczą na wroga lawinę, nawet nie celując, tylko licząc na trafienie – ale tak było najlepiej. Okręty klasy Heros miały dostateczny zapas mocy, a admirał miał plan.

Eric Weston obserwował niestrudzoną wspinaczkę wrogich sił, które nieuchronnie zbliżały się do wytyczonej przez niego granicy trzydziestu minut świetlnych. Wiedział, że realnie na to patrząc, będą mieli szczęście, jeśli choć dziesiąta część ich strzałów trafi w cel, ale nie przejmował się szczególnie efektywnością kanonady.

Miał inne zmartwienia.

Wroga flota przyspieszała. Coraz bardziej oddalała się od studni grawitacyjnej gwiazdy, przez co napędy pracowały wydajniej. W bliskim zasięgu sporej studni grawitacyjnej, takiej jak gwiazda, stworzenie czasoprzestrzennej bańki Alcubierre’a wymagało przełamania napięć lokalnej czasoprzestrzeni, co przekładało się na większe zapotrzebowanie na moc i bardziej skomplikowane obliczenia.

Na jednostkach klasy Heros mocy było aż nadto, ale tego typu obliczenia były wyzwaniem nawet dla najlepszych kombinacji systemów komputerowych Priminae i terrańskiego kodowania. Ogólnie dopóki nie zaistniały poważne przesłanki militarne, rozkazy wymuszały utrzymanie prędkości poniżej prędkości światła aż do chwili przekroczenia lokalnej heliopauzy i wkroczenia do przestrzeni międzygwiazdnej, gdzie efekty grawitacyjne były pomijalne. Miało to na celu oszczędność mocy obliczeniowej komputerów, ale przede wszystkim zapobiegało nadmiernym naprężeniom kadłuba okrętu, na który nie działały już przeciwne siły grawitacji gwiazdy i przyspieszenia napędu.

Każdy okręt wojenny, który szedł pełną mocą wewnątrz studni grawitacyjnej gwiazdy, musiał zostać poddany gruntownym naprawom natychmiast po powrocie do portu macierzystego. Imperialni albo mieli okręty stworzone z wytrzymałego materiału, albo po prostu nie liczyli się ze stratami.

Eric nie powiedział ani słowa, gdy wróg przekroczył wyznaczoną granicę trzydziestu minut świetlnych.

Flota „Odyseusza” otworzyła ogień zgodnie z planem, zaczynając od promieni laserowych, by uniknąć zestrzelenia własnych pocisków, nim doleczą do wroga. Działa T również ożyły, ustawiając głowice z czujnikami zbliżeniowymi na drodze nacierającej floty.

Eric nie spodziewał się, że wiele tym zdziałają. Fizyka napędów czasoprzestrzennych ochroni cele przed tak ustawionymi ładunkami, ale z tej przyczyny czujniki zbliżeniowe dopełniały zapalniki czasowe. Rzut oka na skany dalekiego zasięgu upewnił Erica, że siły Priminae, które miały tu stanąć do swojego finalnego starcia, kończyły właśnie ewakuację lokalnej planety.

„Misja wypełniona. Pierwsza z wielu, w każdym razie” – pomyślał Eric z satysfakcją. „Jeszcze tyle przede mną, nim w końcu będę mógł odpocząć”.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan Mich wyczuwał rosnące na mostku napięcie, gdy zbliżali się do pozycji wroga. Wiedział, że minie jeszcze sporo czasu, nim rozpocznie się ostrzał dalekiego zasięgu.

„Dlaczego oni wciąż tam siedzą?”

– Ostrzał!

Jesan zeszywniał.

– Szczegóły!

– Jak dotąd nieliczne trafienia, komandorze floty. Czoło przejmuje ogień, pola czasoprzestrzenne ich napędów ograniczają straty.

Jesan pokiwał głową z chmurną miną.

To nie potrwa długo, ale na razie energia laserów grzęzła w zagłębieniu czasoprzestrzeni, które napędzało okręty. Teraz gdy imperialne okręty przekroczyły barierę prędkości światła, potrzeba było znacznie większej mocy, by promień nie odbił się, lecz przeniknął przez taką osłonę. Ale to nie potrwa wiecznie.

– Rozkazy, komandorze floty?

– Naprzód – odparł zwięźle.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Komandor floty Gavin warknął, widząc, jak ekrany rozświetlają się, znacząc miejsca trafienia wrogich laserów.

– Zwiększyć prędkość – rozkazał przez zaciśnięte zęby. – Zewrzemy się z tym wrogiem i zmieciemy go.

Przynajmniej to nie pozostawiało teraz wątpliwości.

Przeciwnik czekał zbyt długo. Choćby wystartowali z pełnym przyspieszeniem w dokładnie tym momencie, nie mieli już szans na ucieczkę przed decydującym starciem.

– Tak jest, komandorze floty, zwiększamy prędkość.

Pędzili pod słabym ostrzałem, który w większości odbijał się lub utykał w bańkach napędzających okręty. Kanonada szybko przybierała na sile. Teraz już dostatecznie dużo trafień przebijało się przez osłonę napędu i powodowało jeszcze nieduże, ale z każdą chwilą rosnące uszkodzenia.

– Czy odpowiedzieć ogniem, komandorze floty?

Gavin zmarszczył czoło, rozważając tę opcję.

Na takich dystansach była to właściwie strata energii. W jego opinii działania wroga, mimo że skutkowały faktycznymi zniszczeniami, wyglądały raczej jak desperackie ruchy niż jakakolwiek strategia.

Wróg wciąż tkwił w miejscu. Napędy były zimne, a to oznaczało, że właściwie nie mieli ochrony.

– W rzeczy samej – powiedział w końcu. – Otworzyć ogień.

Piąta Flota zareagowała bez ociągania, z entuzjazmem odpowiadając na gniew wroga.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Eric nienawidził czekać, choć był to nieodzowny element walki w przestrzeni. Broń miała co prawda znacznie większą siłę rażenia przez brak grawitacji czy oporu powietrza, ale z ogromnych odległości wynikały jednak pewne fundamentalne limity.

Ludzie mieli w swoim arsenale zarówno skanery, jak i uzbrojenie nadświatłne, ale jedno i drugie miało bardzo duże ograniczenia zarówno w częstotliwości, jak i okresie ich użycia. To oznaczało, że większość potyczek w przestrzeni sprowadzała się do długich chwil oczekiwania przerywanych krótkimi momentami czystego przerażenia. Nie było to może całkowicie odmienne od bitew historycznych, o czym Weston wiedział zarówno z teorii, jak i własnych doświadczeń, ale okresy wyczekiwania w bitwie kosmicznej rozciągały się daleko poza granice zdrowego rozsądku.

Teraz pełne napięcia czuwanie zostało gwałtownie przerwane przez alarm, którego Eric tak wyglądał.

– Wykryto wrogi ostrzał. Pancierz się adaptuje.

Eric skinął głową, właściwie tylko do siebie. Przy bieżących dystansach nawet potężne lasery imperialnych krążowników zostaną osłabione do poziomu, z którym zmodyfikowane płyty kamuflażowe spokojnie sobie poradzą, adaptując się dostatecznie szybko, by rozproszyć energię laserów, i nie dopuszczając do niebezpiecznych wartości.

„Rozpoczęli atak nieco szybciej, niż się spodziewałem” – odnotował w myślach.

Normalnie imperialne protokoły nakazywały otwarcie ognia na znacznie mniejszym dystansie, co pewnie opierało się na obliczeniach wartości przełamania ochrony aktywnych napędów nadświetlnych. Weston chciał skłonić przeciwnika do szybszego otwarcia ognia, prezentując mu nieruchome cele – według konwencjonalnych koncepcji Imperium całkowicie bezbronne.

Miał świadomość, że Imperialni co najmniej wiedzieli o terrańskich płytach kamuflażowych, ale wątpił, by zdołali je odpowiednio przeanalizować.

Czujniki, kluczowe dla prawidłowego funkcjonowania tych płyt, były znacznie ważniejsze niż sama zdolność wykrycia i analizy energii, ale nie wszystko, co dało się zrobić z tymi informacjami, mogło zostać użyte w trakcie walki.

Przy dużych odległościach czujniki miały więcej czasu na manipulowanie danymi, więc nagrywały i identyfikowały źródła wrogiego ostrzału, wprowadzały częstotliwości do bazy danych floty i dokładnie mierzyły zarówno moc, jak i wydajność imperialnych promieni, korzystając z sytuacji chyba najbliższej kontrolowanym warunkom.

Przy narastającej koncentracji ostrzału, który był analizowany przez każdy system we flocie, Eric był pewien, że wkrótce będzie mógł podjąć wyczekiwaną decyzję.

„Wkrótce”.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Gavin wpatrywał się w ekrany z niedowierzaniem, choć chyba nie powinien być zaskoczony. Faktycznie, kojarzył jakieś wpisy o pancerzu adaptacyjnym wroga.

Cokolwiek to było, okazało się znacznie skuteczniejsze, niż się spodziewał.

Skanery jego floty ujawniły, że pierwszy ostrzał nie poczynił najmniejszych uszkodzeń wrogim okrętom.

„Skoro ich pancierz jest aż tak skuteczny, jakim sposobem przegrali jakiegokolwiek bitwy... i stracili okręty?”

Musiała istnieć jakaś granica. Zawsze jakaś była, jeśli chodzi o broń i pancierz.

– Kontynuować ostrzał – rozkazał, a sam skupił się na bazie danych, przywołując raporty ze wcześniejszych potyczek z tym przeciwnikiem.

Chciał zrozumieć, co właściwie dzieje się teraz na polu bitwy. Na swoje szczęście nie musiał zbyt długo szukać. Krytyczną wadę pancierza adaptacyjnego odkryto dość wcześnie.

Pojedynczy okręt bazuje na specyficznych częstotliwościach o wąskim zakresie, co jest skutkiem zasilania broni pochodzącego z jednego rdzenia. Z tym pancierz adaptacyjny radzi sobie bez problemu. Przeciążenie systemu obronnego wymaga jedynie ostrzału z kilkunastu różnych jednostek... a chaos pola bitwy pozwala czasem osiągnąć taki efekt zupełnie przez przypadek.

– Gotowość do przełączenia celów – polecił, zadowolony z siebie.
„Teraz pokażę tym impertynentom, z kim mają do czynienia”.

Okręt flagowy

Trzeciej Floty Imperialnej

– Piąta zaczęła przełączać cele w cyklach, komandorze floty.

– Najwyższa pora – burknął Jesan, zirytowany takim opóźnieniem.

Gdyby Gavin w ogóle czytał raporty, od tego by zaczął.

Systemy obronne wroga były faktycznie imponujące, szczególnie jeśli nie wiedziało się o ich istnieniu... ale jak każda technologia, także i ta miała swoje nieprzekraczalne granice, które można było wykorzystać.

– Czy dołączyć do ostrzału, komandorze floty?

– Nie. – Mich pokręcił głową. – Piąta jest zbyt blisko naszej linii strzału, ryzykowałibyśmy bratobójczy ogień.

– Wedle rozkazu, komandorze floty.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Miriam połączyła się z mostkiem admirałskim.

– Sir, rozpoczęli cykliczny ostrzał.

– Zauważyłem, pani kapitan. Ile jeszcze, nim zblizą się na tyle, by adaptacja stała się... problematyczna? – zapytał spokojnie.

– Jeszcze co najwyżej kilka minut, sir.

– Dobrze zatem. Wdrożyć plan.

– Tak jest, sir – odparła Miriam, kończąc połączenie i otwierając kanał ogólny. – Do wszystkich okrętów, do wszystkich okrętów, wdrożyć plan Gamma.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

– Sir... wykryliśmy poruszenie we flocie przeciwnika.

Gavin uśmiechnął się zjadliwie i nachylił w stronę ekranów.

– Jest już zdecydowanie za późno na uciezkę. Wyświetlić formację wroga na głównym ekranie, kontynuować ostrzał.

– Tak, komandorze floty.

Durwich przeniósł wzrok na widoczną już na ekranach flotę. Opóźnienie wynosiło teraz zaledwie kilkadziesiąt sekund. Migotliwe pancerze sprawiały, że okręty przeciwnika wyglądały jak obrazki z dziecięcych bajek, a okazjonalny rozbłysk odbitego promienia lasera wzmacniał baśniowy efekt.

„Będę radował się zniszczeniem tego obrazka raz na zawsze” – pomyślał Gavin, widząc, jak okręty odwracają się i ruszają w przeciwną stronę. Zamrugął, skonsternowany, nie rozumiejąc intencji stojących za manewrami. „Co oni robią? Przecież nie mogą nam już uciec, jest zdecydowanie za późno”.

Gapił się jednak w głębokim szoku, widząc, jak jego niedoszłe ofiary jedna po drugiej odwróciły się do niego plecami i...

Zniknęły.

Rozdział 30

Obiekt Prometeusz

„Co, u licha, kombinuje ten... człowiek?”

Admirał Benoit miał w zanadrzu inne określenia na doktora, ale starał się ich nie używać nawet w myślach. Wszak dzieli je od świata zewnętrznego tylko jedno nieostrożne otwarcie ust, a to źle robiło na dyscyplinę.

Palin korzystał ze swoich uprawnień w sposób, który jak dotąd zupełnie nie przeszkadzał admirałowi. Teraz jednak przejął lwią część mocy obliczeniowej komputerów, więc Benoit czuł się w obowiązku dowiedzieć się, co, w imię Hadesa, wyczynia ten człowiek.

– Doktorze! – zawołał, przekrzykując hałas wypełniający laboratorium posadowione wysoko nad pogrążonym w ciemności światem.

Ktokolwiek stworzył obiekt, z którego właśnie korzystali, zaczął od życiodajnej planety jako rdzenia, ale potem zdołał wyjść tak daleko poza granice rozsądku, że do teraz odkryto zaledwie ułamek ekosystemu rozwiniętego daleko pod ich stopami. Większość organizmów na drodze ewolucji nauczyła się żyć ciepłem emitowanym przez soczewki grawitacyjne, a pozostała wąska grupa żyła kosztem tych pierwszych.

To oznaczało, że świat poniżej Prometeusza utrzymywał drapieżniki, o których ludzie mogli co najwyżej słyszeć z mitów i legend. Nie było to miejsce, które ktokolwiek chciałby eksplorować, a ci, co chcieli... no cóż, bywali i tacy. Większość, w tym doktor Palin i admirał Benoit, była najszcześniejsza, pozostając tak daleko od bestialskiego ekosystemu, jak to tylko możliwe.

„Oczywiście nawet tutaj można natknąć się na potworne niebezpieczeństwa” – pomyślał cierpko Benoit, siłą woli powstrzymując się od zatkania uszu z powodu niebywałego hałasu, jaki wydobywał się z każdego głośnika w pomieszczeniu.

– Doktorze! – krzyknął admirał ponownie i tym razem udało mu się zwrócić uwagę badacza.

Otrzymał co prawda jedynie poirytowane spojrzenie, ale potem Palin z ociąganiem ściszył upiorną kakofonię.

– Tak, admirale? – zapytał Palin łagodnie. – Jestem nieco zajęty...

– Ja właśnie w tej sprawie – odparł Benoit, wzdychając z ulgą, gdy dzwonięcie w uszach zaczęło ustępować. – Co dokładnie tak pana zajmuje?

Palin przewrócił oczami w taki sposób, że gdyby dzieciaki admirała odważyły coś podobnego, zarobiłyby sobie automatyczną karę. Doktorowi musiało to jednak ujść płazem, więc Benoit z ociąganiem sobie odpuścił i czekał na wyjaśnienia.

– Zwyczajnie kontynuuję zadanie, o którego realizację mnie pan prosił – odparł naukowiec.

Benoit myślał szybko.

– Imperialny szyfr? – zapytał. – Sądziłem, że to już zamknięta sprawa.

– To nie był szyfr – burknął Palin lekceważąco. – I chociaż przekaz został odszyfrowany, jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

– Na przykład...?

Benoitowi nie podobało się wyciąganie informacji z naukowca w tak infantylny sposób, ale doświadczył już uporu Palina i po prostu szybciej było traktować go jak niegrzeczne dziecko, a nie jak dorosłego, którym powinien być. Jak wszystkie dzieciaki, Palin uwielbiał podkreślać swoją wyższość.

„No dobra, to akurat nie jest zarezerwowane wyłącznie dla podlotków, ale Palin zdecydowanie wyraża to z dziecięcą uciechą”.

– Imperium naciera, by popełnić ludobójstwo, admirale – stwierdził Palin, marszcząc czoło.

Benoit przytaknął.

– Czytałem te wiadomości, doktorze.

– Nie wszystkie – odpowiedział Palin. – Wyciągnąłem wszystko, co mieliśmy w bazach danych, wszystko, co przechwyciły Włóczęgi przez cały czas infiltracji przestrzeni Imperium. Może to i dziwne, ale eksterminacja nie jest częstą praktyką w Imperium. Tak właściwie prawie nigdy się nie zdarza.

To zaskoczyło Benoita.

– Prawie?

– To w większości plotki – wyjaśnił Palin z niezadowoloną miną. – Wiadomości o ekstremalnym poziomie szyfrowania wymieniane pomiędzy najwyższym dowództwem Imperium a politykami nie pozostawiają co do tego wątpliwości. Oni również nie wiedzą, jakie cesarzowa ma motywacje.

Benoit powoli pokiwał głową.

– Oni mogą nie wiedzieć, ale my wiemy.

To z kolei zszokowało Palina.

– My... co?!

– Pochwycony jeniec, dowódczyni Imperium – wyjaśnił Benoit bez ogródek. – Osobista przyjaciółka cesarzowej. Ta ma najwyraźniej swoje osobiste motywacje, których nie ujawnia praktycznie nikomu. To ksenofobia, doktorze.

– Ksenofobia? – Palina zamurowało. – Wobec nas? Przecież jesteśmy genetycznie identyczni, chyba że coś kompletnie źle zapamiętałem...

– Nie trzymał pan ręki na pulsie, jak widzę. – Benoit niby wiedział, że nie powinien drwić z doktora, ale nie mógł się powstrzymać. – O ile główne markery związane z tym, co klasyfikujemy jako ludzkie, pozostają identyczne, reszta naszego genomu jasno ukazuje, że jesteśmy gatunkami, które wyewoluowały niezależnie.

– Równoległa ewolucja? – Palin był sceptyczny. – Raczej nie mogę udowodnić, że to niemożliwe, ale jakie są realne szanse na to, że dwa równoległe ewoluujące gatunki staną się tak podobne?

– Jestem całkowicie pewien, że nie mam pojęcia – stwierdził Benoit. – Do tej pory nie doszliśmy do żadnej konkluzji. Teorie rozciągają się od czystego zbiegu okoliczności po wpływ jakiejś zaawansowanej rasy lub samego Boga. Jakiś rodzaj ukierunkowanej ewolucji wydaje się najmniej prawdopodobny, ale jeśli miałyby okazać się prawdą, nie znaleźliśmy jeszcze żadnych śladów takiego mechanizmu w DNA.

Palin kiwał głową w zamyśleniu. Koncept był oczywiście fascynujący, ale był też całkowicie poza jego specjalizacją. Spojrzał z namysłem w stronę swojej pracy, dodając nową informację do tego, co już udało mu się wyekstrahować.

– To wypełnia mi kilka luk – przyznał – ale nie zmienia zbyt wiele w tym, co już odkryłem.

– A co pan odkrył? – zapytał Benoit w nadziei, że być może będzie to coś użytecznego.

– Imperialni gubernatorzy z całą pewnością nie wiedzą, co cesarzowa robi, ale widzą efekty – zaczął Palin, ruchem głowy wskazując otwarte na ekranie dokumenty. – Składają niekończące się prośby o wsparcie. W większości dotyczą one kontroli zamieszek, ale w przypadku kilku systemów pojawiły się nawet prośby o ciężkie okręty.

Benoit wpatrywał się w naukowca.

– Chce mi pan powiedzieć, że w Imperium rodzą się niepokoje? Palin prychnął.

– Admirale, chcę powiedzieć, że Imperium właśnie się wali, ale nikt na wyższych szczeblach nie wydaje się tym przejmować. O czymś takim w życiu nie słyszałem.

– Proszę pokazać.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Autolikos”

– Kapitanie!

Morgan Passer okręcił się w powietrzu, ujął uchwyt przy głowie i podciągnął się w stronę wołającej.

– O co chodzi, pani komandor?

Daiyu Li przywołała go gestem, więc podleciał do niej, przyglądając się danym widocznym na jej ekranie.

– Dane przechwycone z konwoju wojskowego, sir – powiedziała. – Wywożą zapasy. Wygląda mi to na szlak logistyczny wspierający regiony dotknięte konsekwencjami przesunięcia wojsk.

Morgan zepchnął się w dół, czytając szybko. Komunikacja została odszyfrowana dzięki kluczowi doktora Palina. To dawało Morganowi większą pewność, że pozyskane dane wywiadowcze są właściwe, bo badacz był przecież geniuszem, nawet jeśli był przy tym monumentalnym wrzodem na dupie.

„Jest tego naprawdę dużo” – pomyślał kapitan.

– Gdzie mamy najbliższą watahę? – zapytał, podnosząc w końcu wzrok znad ekranu.

– Włóczęga Dwanaście powinien znajdować się trzy lata świetlne stąd – odparła natychmiast Li, co oznaczało, że sprawdziła tę informację wcześniej, spodziewając się pytania.

– Ogłosić alarm – rozkazał. – Wyruszamy. Przygotować się na skok o trzy lata świetlne.

– Aye, sir – odparła Chinka automatycznie. – Do całej załogi, przygotować się na przyspieszenie! Odliczanie do tranzycji!

Passer się nie uśmiechał, bo i sytuacja do tego nie nastrajała, ale przypinając się do fotela, miał poczucie mściwej satysfakcji z tego, że „Auto” w końcu dołączy do gorejącej wokół wojny.

Pokonanie Imperium może i wykraczało poza ich możliwości militarne, ale Morgan znał pewien sekret, o którym Imperium najwyraźniej zapomniało... albo o którym nigdy nie wiedziało.

„Czasami łatwiej pozwolić wrogowi samemu się pokonać”.

Imperialny świat Kraike

Jej Wysokość przeczytała meldunki, z których większość napłynęła z wewnątrz Imperium. Niepokoje narastały pod nieobecność flot, czego skutki odczuwano w każdym zakątku jej domeny. Nie było to zaskoczeniem. Gdy tylko floty wypełnią swoją misję, te pomniejsze problemy zostaną szybko rozwiązane.

Jako tymczasowe rozwiązanie coraz więcej zasobów kierowano do sił okupacyjnych w co bardziej kłopotliwych regionach. Oczywiście było to kosztowne, ale taka była natura wojny. Niekosztowna wojna była pojęciem wewnątrznie sprzecznym, bo jeśli jej cele dało się osiągnąć tanio, cóż... w takim wypadku chyba nie warto było jednak zaczynać wojny.

Nikt nie szanował rzeczy, które nic ich nie kosztowały. Ludzie woleli zapłacić za rozwiązanie problemów, nawet jeśli łatwiej i taniej byłoby po prostu tych problemów nie wywoływać. Co jeszcze bardziej zabawne, byli gotowi walczyć do upadłego w obronie tego problemu, nawet jeśli kradł im i ich dzieciom zasoby... i przyszłość.

Klucz do działania Imperium stanowiło od zawsze rozgrywanie ludzi przeciwko sobie, tworzenie podziałów tam, gdzie jedność byłaby bardziej efektywna... bo kto potrzebowałby cesarzowej, jeśli nie byłoby nikogo, przed kim trzeba się bronić?

Przesuwanie zasobów od napchanych arystokratów, których światy były syte i spokojne, na gorzej sytuowane planety pozwoli cesarzowej z jednej strony utrzymać pokój tam, gdzie dzieje się gorzej, a z drugiej postawi nieco arystokrację do pionu, przypominając, by nie czuła się nazbyt komfortowo.

Takiego żonglowania Emilia nauczyła się już w dzieciństwie – od swojego ojca, rzecz jasna. Strategiczne darowanie i odbieranie cesarskiej łaski pozwalało opanować niestabilność Imperium, jednocześnie powstrzymując światy przed rewolucją i utrzymując ich produktywność.

Niewiele istniało rzeczy mniej przydatnych niż ludzie, którym było zbyt dobrze zbyt długo.

Stacja kosmiczna Liberty

– Meldunki z frontu, ma'am.

– Odbiorę przy moim stanowisku – odparła Gracen i przeszła przez biuro.

– Aye, ma'am.

Gdy usiadła, meldunki już na nią czekały. Szybko je przejrzała, przechodząc do podsumowań.

„Eric odwała swoje zwyczajowe numery, jak widzę” – pomyślała z ponurym rozbawieniem.

Nie była zachwycona, że ujawnił napęd tranzycyjny, ale miał rację, że nie dało się stanąć do walki i nie odkryć przynajmniej niektórych kart. Już lepiej wybrać odpowiedni moment i jakoś z tego skorzystać.

„Co Eric właśnie robi” – zauważyła z zadowoleniem. „Muszę przyznać, że nie przyszłoby mi do głowy wykorzystanie Herosów w taktyce wilczego stada. Wygląda to jak ubijanie pajaków z dział okrętowych”.

Rozumiała decyzje Westona, po prostu sama nawet by tego nie rozważała. Imperium jak dotąd wystawiło siły będące zapewne

w ich mniemaniu rozsądnym zgrupowaniem. Dopóki ta taktyka się nie zmieni, więcej sensu miała walka konwencjonalna i nadzieja, że koszt wygranej okaże się dla przeciwnika za wysoki.

A teraz?

No cóż, teraz chyba hamulce puściły.

Eric nie był jednak jedynym, który działał na obcym terenie. Kolejny meldunek przykuł uwagę Gracen.

„Wygląda na to, że Morgan gra w tę samą grę”.

Z „Auto” przyszła wiadomość impulsem komunikacyjnym przekierowanym przez Prometeusza. Zawierała szczegóły nowego planu. Podpisała się pod tym, choć technicznie nie było takiej potrzeby. Kapitan nie potrzebował zgody admirała na działanie, ale jej pieczęć w papierach może mu ocalić skórę w przyszłości... o ile oczywiście będzie to kiedykolwiek potrzebne.

Siły terrańskie dysponowały kilkunastoma watahami Włóczęgów, które oczekiwały na rozkazy, przypisane dowództwu „Autolikosa”. Nie było ich na tyle dużo, by zrobiły jakąś znaczącą różnicę w czasie bitwy, ale za to mogły prowadzić misję przez lata, wymagając minimalnej logistyki. Niektóre z nich przebywały na misji od miesięcy albo i dłużej, więc Gracen wiedziała, że ich załogi nie będą mogły powrócić do ziemskiej grawitacji po zakończeniu zadania.

Członkowie załóg również byli tego świadomi, a mimo to nie brakowało ochotników.

Włóczęgi nie miały zapasu mocy ani masy, by stworzyć sztuczną grawitację, a ludzkiemu ciału nie trzeba było wiele, by w stanie nieważkości zacząć się psuć.

Sam Morgan był na misji znacznie dłużej, niż pozwalają na to regulaminy. Jego ostatnie testy zdrowotne nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że kapitan nie będzie mógł spędzić emerytury na Ziemi, podobnie jak nikt z jego załogi.

Był to jednak problem na później. Prawdę mówiąc, na takie problemy admirał się cieszyła, byle tylko było jej dane się z nimi zmierzyć – w tym celu musi przetrwać zarówno załoga, jak i Ziemia...

Obiekt Prometeusz

„Przeciwnik oszalał”.

To jedyne, co miało dla Benoita jakikolwiek sens, gdy czytał odkodowane przez Palina wiadomości.

Komunikacja wojskowa to jedno. Nic nie odbiegało w niej zbyt od historycznej normy. Ludzie dostawali rozkazy od dowództwa, które nie miało pojęcia o sytuacji na froncie, ale robili, co im kazano... opierając się na założeniu, że ktoś w łańcuchu dowodzenia wie o sytuacji więcej niż oni.

Benoit wiedział, że to nigdy tak nie działało, ale samą logikę rozumiał.

Żołnierze na froncie bardzo wyraźnie widzieli to, co mieli przed sobą, ale niewiele więcej. Idea, że wyżej postawieni dowódcy widzą szerszy obraz, była logiczna i rozsądna... a niekiedy nawet prawdziwa. Problem w tym, że dowództwo czasami po prostu miało to gdzieś.

I tak najwyraźniej wyglądała aktualna sytuacja w Imperium.

– Czy mamy pewność, że to nie zmyłka? – zapytał, patrząc na Palina.

Naukowiec wzruszył ramionami.

– Nie znalazłem niczego, co stałoby w sprzeczności z tymi wiadomościami, a działania, które obserwujemy, są zgodne z przechwyconą komunikacją.

Benoit pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Jak można być tak...

– Głupim? Szalonym?

– Jedno i drugie – stwierdził admirał. – Pozwalają... nie, zachęcają do rebelii na własnym terytorium.

– To chyba dobre wieści? – zapytał Palin, nieco zbity z tropu brakiem entuzjazmu u admirała.

Benoit prychnął, kręcąc głową.

– Gównu mnie obchodzi, co się stanie z Imperium, doktorze. Obchodzi mnie za to, co się stanie z Ziemią, a powiem panu, że choćby całe Imperium wysadziło się właśnie w diabły, dla nas nic by się nie zmieniło. Wysłali do bitwy zbyt duże siły i w mojej ocenie nic nie jest już w stanie ich zawrócić. Cesarzowa kieruje się fanatyzmem, a nie logiką czy rozumem.

Palin skrzywił się, a jego myśli galopowały, gdy patrzył na dane zalewające jego system.

Musiało istnieć coś, co mógłby zrobić, i myślał o tym z zaciętością zarówno ożywczą, jak i zupełnie mu obcą.

Coś znajdzie.

Rozdział 31

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Komandor floty Gavin grzmotnął zaciśniętymi pięściami o pulpit. Kolejny z jego okrętów bluzgnął ogniem i zaczął się zapadać sam w sobie, gdy systemy bezpieczeństwa utraciły kontrolę nad rdzeniem.

Jak dotąd trzy razy spotkali się z wrogą flotą, trzy razy zostali porażeni z dystansu bronią, której natury nie rozumieli, i trzy razy przeciwnik po prostu rozplynał się w pustce kosmosu, nim imperialne siły zdołały go dopaść.

Sytuacja doprowadzała go do szaleństwa, ale musiał sobie powtarzać, że imperialne straty są nieistotne. W przeciwnym razie już chyba całkowicie straciłby panowanie nad sobą.

Wróg działał wydajnie, to prawda. Imperium w każdym starciu traciło po kilkanaście okrętów, ale ostatecznie nie przekładało się to na istotne straty. Nawet jeśli Druga i Czwarta Flota nie dołączyłyby do ich szeregów, straty Piątej i Trzeciej i tak nie wpłynęłyby znacząco na ich zdolności bojowe.

Wszystko to rujnowało jednak morale.

Durwich musiał wciąż przypominać swoim ludziom o ich obowiązkach oraz o kompletnej bezskuteczności działań wroga, ale niewiele to pomagało. Co więcej, jego wtyczki meldowały mu, że narzekania zataczają coraz szersze kręgi.

Normalnie zupełnie nie przejmowałyby się marudzeniem załogi.

Rób swoje, a zasłużysz sobie na prawo do narzekań – tylko nie bądź na tyle głupi, by robić to na oczach dowódcy lub oficerów. Wtedy takich zachowań nie można było już ignorować, ale w każdym innym wypadku Gavin wyznawał zasadę, że póki oficerowie mogli pozwolić sobie na zignorowanie czegoś, mieli to

zrobić. Zrządzenie i narzekanie było zaskakująco często konieczne, by praca została dobrze wykonana.

Była to drobna słabość, której nawet Durwich się poddawał – i to nawet częściej, niż sam przypuszczał.

Ale jeśli narzekania zaczynały formować się w kształt jakiegoś planu – choćby tylko w żartach – był to moment na ostrą i nienegocjowalną reakcję.

Na szczęście załoga nie była na tym etapie... jeszcze.

Jeśli jednak sytuacja nie ulegnie zmianie, Gavin nie miał wątpliwości, że coś takiego nastąpi, i to w nieodległej przyszłości.

Nie była to dla niego żadna nowość, takie sytuacje zdarzały się na okrętach imperialnych – ale nigdy, jak daleko sięgał pamięcią, nie miało to miejsca w czasie starć z wrogiem.

„Trzeba uporać się z tymi wstrętnymi anomaliami” – pomyślał ponuro. „Im szybciej, tym lepiej. Jej Wysokość poznała się na nich znacznie szybciej niż ja, muszę to przyznać”.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Eric odłożył tablet z raportem o stratach ziemskiej floty.

Jak dotąd mieli niebywale szczęście.

„Zupełnie jakby Imperialni nie mieli żadnego doświadczenia w starciu z porządną siłą uderzeniową” – pomyślał w przyływie czarnego humoru. „To stawia część sukcesów Stepha w nowym świetle”.

Imperium było odmienne od wszystkiego, co Eric znał z doświadczenia. Wszystkie wojny, w których walczył – na Bliskim Wschodzie, nad Pacyfikiem, we wszystkich innych miejscach – w niczym nie przypominały tego.

„To właściwie »monopol wodny«... czy jakiś tam kosmiczny odpowiednik tego” – stwierdził Eric, przedzierając się przez szczegóły raportów, nim kolejny impuls danych podpowie mu, gdzie kierować się dalej.

Historycznie rzecz ujmując, „monopol wodny” oznaczał niebywale scentralizowaną biurokrację, która kontrolowała najbardziej podstawowe potrzeby narodu, jak choćby dostęp do wody czy

obrona przed nią – na przykład przed powodziami. Zawily i skomplikowany charakter rządów oraz świadczonych przez nie usług miał stanowić ochronę przed obaleniem. Każde ludowe powstanie musiało nieuchronnie prowadzić do śmierci najniżej sytuowanych członków społeczeństwa, gdyż to system utrzymywał ich przy życiu.

To było jedyne sensowne wytłumaczenie charakteru rządów Imperium, choć czegoś jeszcze brakowało w tej układance.

„Jakie, u licha, zasoby kontroluje Imperium?”

Raczej nie mogły to być żadne zasoby fizyczne. Imperium było na tak wysokim poziomie technicznym, że nie musiało przejmować się kwestią jakichkolwiek niedoborów nawet w niższych warstwach społeczeństwa. Energia była jedyną istotną walutą, a było jej tak dużo, że właściwie nie miała wartości.

Nawet Ziemia nie cierpiała już na żadne niedobory, i to od dłuższego czasu. Co prawda system wciąż działał, jakby w każdej chwili mogło czegoś zabraknąć, ale tak naprawdę nie w tym leżał problem. Owszem, ludzie wciąż umierali z głodu, ale nie dlatego, że żywności brakowało, a dlatego, że ją marnowano. Wodę można było znaleźć i oczyścić praktycznie wszędzie, jednak istniały miejsca, gdzie ludzie cierpieli pragnienie, bo ktoś uznał, że dostarczenie im odpowiedniej technologii jest zbyt kosztowne.

Tak naprawdę koszty były niewielkie, ale zyski i włożony wysiłek to zupełnie inna sprawa.

Imperium, będące na znacznie wyższym poziomie technologicznym, nie mogło mieć już tego typu problemów. Skoro biurokracja rościła sobie prawa do kontroli nad ludźmi w tych aspektach, była skazana na porażkę... prędzej czy później.

A mimo to jeszcze nie upadła.

Z tej przyczyny Eric zastanawiał się, co mu umknęło.

„Jakie zasoby Imperium kontroluje tak totalnie, że nic nie może ich zastąpić?”

Bezpieczeństwo, ochrona – to było oczywiste.

W „monopolu wodnym” zawiła biurokracja chroniła ludzi przed klęskami takimi jak powódzie, co często wiązało się z religijnym wręcz kultem osób, które rozumiały mechanizmy śluz czy innych zabezpieczeń przeciwpowodziowych i nierzadko celowo czyniły cały

proces jak najbardziej skomplikowanym, by w ten sposób zabezpieczyć się przed buntem.

Takie imperia nie upadały na skutek rewolucji. Potrafiły przetrwać nawet zmianę rządów, bo prawdziwa siła, na której opierał się tron, nie mogła zostać obalona czy pominięta.

„Nad czym macie kontrolę? Jaką ochronę zapewniacie, że nikt was nie obalił i nie porzucił waszych szczątków, by gniły jako pożywka dla następnych pokoleń?”

Eric zatopił się głęboko w rozmyślaniach, z których wyrwał go dopiero dźwięk alarmu oznajmującego powrót zwiadowców.

„Później. Teraz muszę wrócić do pracy”.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan w ciszy nadzorował pracę załogi, stojąc pośrodku mostka i ukrywając swoje myśli za nieodgadzionym wyrazem twarzy.

Jeśli jego obliczenia były prawidłowe, wkrótce przeciwnicy zaatakują po raz kolejny. Jak dotąd nie próbowali zamaskować wzorca swoich działań ofensywnych. Nie był tym zaskoczony, nie mieli powodów, by maskować cokolwiek.

Gdyby miał możliwość ataku z oddali i rozplynięcia się w nicość, też nie przejmowałby się zupełnie, że jego przeciwnik wie, kiedy nastąpi kolejny atak.

Natura przewagi technologicznej wroga wciąż go dręczyła. Po części miał nadzieję, że dotyczyła tylko systemów maskowania. Że przeciwnik cały czas jest blisko, tylko zmienia pozycję przed uderzeniem.

Było to dobre wytłumaczenie, miało sens.

Miał jednak pewność, że kompletnie mijało się z prawdą.

Na kilka miesięcy przed ofensywą wśród dowództwa wyższego szczebla zaczęły krążyć plotki, że przeciwnik dysponuje znacznie bardziej efektywnymi napędami. Takimi, które mogą być nawet natychmiastowe.

„Wygląda na to, że to już nie są plotki”.

Tłumaczyło to bardzo wiele – ta zdolność wroga do szybkiego przemieszczania się między gwiazdami. Ukrywanie jej przed Imperium przez tak długi czas było godne pochwały, ale najwyraźniej przeciwnik zdecydował, że przewaga wynikająca z tajemnicy straciła na wartości w świetle bieżącej ofensywy.

To również miało sens.

Na miejscu obrońców w obliczu takich a nie innych działań Imperium Jesan z lekkim sercem ukrywałby każdą możliwą przewagę i pozwalał imperialnej flocie raz po raz wpadać w młockarnię, póki by się do reszty nie wykrwawiła.

Jej Wysokość w przyпыwie geniuszu – a może szczęścia – zdecydowała się na strategię, która pchnęła wroga do ujawnienia pełni swoich możliwości i wstrząśnięcia determinacją Imperium. Jesan z pewnością był wstrząśnięty, gdy po raz pierwszy zobaczył, czego dokonał przeciwnik.

Niemniej wstrząsnąć kimś a złamać go to nie to samo.

Z zamyślenia wyrwał go alarm. Odwrócił się w stronę oficera na stanowisku skanerów.

– Meldować.

– Wrócili, komandorze floty.

Jesan tylko westchnął.

– Rozumiem. Alarm bojowy dla wszystkich jednostek.

– Tak jest, komandorze floty, wszystkie jednostki ogłaszają alarm bojowy.

Syrena przetoczyła się przez pokłady na wszystkich okrętach Trzeciej Floty. Jesan przyjrzał się skanom, by lepiej zorientować się w lokalizacji wroga. Rzut oka wystarczył, by rozpoznać frustrująco znajome rozmieszczenie sił.

Okręty przeciwnika stacjonowały poza efektywnym zasięgiem uzbrojenia jego floty oraz wszystkich pozostałych w zgrupowaniu. Wrogowie znali imperialne limity i uważnie trzymali się na dystans wystarczający, by ograniczyć własne ryzyko do minimum.

To była wyniszczająca taktyka. Nie zmieni ostatecznego wyniku, ale wykrwawi imperialne siły w stopniu znacznie większym, niż powinno to mieć miejsce w trakcie tego typu operacji.

„Zdeterminowane z nich istoty” – przyznał Jesan w myślach z mimowolną nutą szacunku.

Mieli świadomość tego, co ich czeka, widział to. Nie walczyli już, by wygrać, jak to było przy pierwszym starciu, dawno temu.

„Wtedy wierzyli, że mogą wygrać. Teraz już wiedzą, że nie” – stwierdził.

- Eksplozje we flocie!
- Ekipy naprawcze, ruszać się!
- „Berakin” się rozpada!

Jesan drgnął. Pracował z komandorem z „Berakina” przez większość swojej kariery.

– Piąta Flota przyspiesza w stronę wroga! Będą w zasięgu za kilka chwil...

Mich prychnął, ale na tyle cicho, by nikt tego nie usłyszał.

„Bez szans”.

Wróg miał na tym etapie doskonałe wyczucie czasu. Gavin nie mógł zrobić nic, by zmusić ich do walki.

Jesan bez zdziwienia przyjął kolejny meldunek.

– Wróg się wycofuje... i już go nie ma. Znowu.

Komandor westchnął.

– Proszę o raporty uszkodzeń ze wszystkich okrętów – polecił. – Materiały do napraw mają być przetransportowane na każdą jednostkę, która tego potrzebuje.

– Tak jest, komandorze floty!

Jego załogi były świetnie przeszkolone i znały procedury, więc nie musiał mówić nic więcej.

Niemniej...

„To nie może trwać”.

– Proszę mnie połączyć z komandorem floty Gavinem.

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Boadicea”

Sandra Hyatt przycisnęła grzbiet dłoni do ust, ze wszystkich sił starając się utrzymać zawartość żołądka na swoim miejscu. Ta próba była skazana na porażkę, jeśli ktokolwiek inny nie wytrzyma i do Sandry dotrze charakterystyczny zapach... ale musiała spróbować.

Skórę miała bladą i ziemistą, a jej czoło zalewał zimny pot.

„Kilkanaście tranzycji w ciągu kilku dni... Nie wiem, jak długo jeszcze pociągniemy” – pomyślała ponuro.

Wpływ napędów tranzycyjnych na ludzkie ciało wciąż był przedmiotem badań, szczególnie w zakresie długofalowych skutków, ale jak dotąd nikt nie próbował okładać ciała tranzycjami raz za razem, w niewielkich odstępach czasu.

Jak się okazało, efekt był znaczący.

W ciągu dwóch dni straciła pięć kilogramów. Lekarz pokładowy zagroził, że jeśli straci jeszcze więcej, podłączy jej kroplówkę choćby na mostku.

Sandra wysypała na dłoń kilka tabletek przeciwbólowych i połknęła je bez popijania, chcąc powstrzymać ból głowy, który musiał wkrótce nadejść.

– Wszystkie stanowiska meldują status zielony, ma’am – zameldował pierwszy oficer.

„Kłamcy” – pomyślała z sympatią, ale przyjęła raport krótkim skinieniem głowy.

– Zwolnić wszystkie niekrytyczne stanowiska – poleciła. – Stanowiska krytyczne niech jak najszybciej zostaną zmienione przez załogi zastępcze.

– Tak jest, ma’am.

Chciała powiedzieć coś więcej, ale właśnie na mostek wkroczyła pielęgniarka z wózkiem wypełnionym... nie kawą, co – jak Sandra wiedziała – ucieszyłoby wszystkich najbardziej, ale preparatami nawadniającymi. Kiedy ostatnio sprawdzała, personel medyczny przygotowywał je samodzielnie, w kadzi – dosłownie! Zwyczajne zapasy już dawno się skończyły.

Bez słowa chwyciła swoją porcję i wlała ją w siebie dwoma haustami, szybko osuszając butelkę. Wrzuciła pusty pojemnik do worka przy wózku, tylko po to, by został umyty, powtórnie napełniony i raz jeszcze wciśnięty w jej dłoń.

– Zalecenie lekarskie, ma’am – powiedziała pielęgniarka nieustępliwie.

Sandra tylko przytaknęła, wzięła posłusznie butelkę i wypiła, pozwalając sobie tym razem na niewielkie łyeczki pod czujnym okiem pielęgniarki.

„Nie możemy tego tak ciągnąć”.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

Gavin nie chciał tego przyznać nawet przed sobą samym, ale ucieszył się z zaproszenia na rozmowę od komandora floty Micha.

Wciąż uważał go za głupca o zdecydowanie zbyt miękkim sercu i słabej woli jak na swoje stanowisko, ale kolejne starcia z nowym wrogiem pokazywały, że jest on także bystrym strategiem i ma oko do detali. W związku z tym z pewnym ociąganiem, ale Gavin zawrócił nieco swoją flotę, by znaleźć się bliżej Trzeciej i umożliwić konferencję w czasie rzeczywistym z innymi dowódcami, której zażyczył sobie komandor floty Mich.

Gavin nie spodziewał się, że wszyscy będą aż tak przygnębieni, choć sam przecież odczuwał narastającą frustrację.

Spotkał się wzrokiem z Michem. Dowódca Trzeciej Floty oraz komandor floty Misrem byli jedynymi osobami, które milczały, podczas gdy pozostali narzekali i kłócili się, co robić dalej. Sam poczuł, jak narasta w nim gniew, i ledwie powstrzymywał chęć nawrzeszczenia na tych idiotów. Opanował się jednak, widząc w spojrzeniu Micha coś, co dotąd widywał jedynie w oczach Jej Wysokości.

Była to cierpliwość, ale połączona z zamiarem i wyczekiwaniem.

Mężczyzna czekał na coś, nim zabierze głos. Czekał, aż jego rozmówcy będą odpowiednio nastrojeni.

– Nie możemy dalej działać w ten sposób!

Powiedział to młody komandor. Normalnie Gavin albo trzasnąłby go w głupi łeb, albo zignorował, ale tym razem zauważył, że komandor Trzeciej nachylił się i w końcu zabrał głos.

– Zgadza się.

Dwa słowa. Niby nic nie znaczyły, a mimo to zapadła cisza. Każdy komandor patrzył teraz na mężczyznę, który aż do tej chwili nie angażował się w konflikt. Większość była zadziwiona, że zgodził się z młodym komandorem... z nim samym włącznie.

Na ten sygnał czekał Gavin.

– Czy ma pan plan, komandorze floty Mich? – zapytał.

– Być może – odparł ten spokojnie. – Rozważmy tę sytuację. Wróg naciera na nas, strzela spoza granicy zasięgu naszej broni i ucieka, nim zdołamy zewrzeć się z nim w starciu, czy tak?

– Oczywiście, że tak wygląda sytuacja! Nie zauważyłeś?!

Gavin przeniósł spojrzenie na twarz oburzonego dowódcy i wpatrywał się w niego tak długo, aż ten spuścił wzrok. Wtedy dopiero spojrzał znowu na Micha.

– Brzmi to jak adekwatne podsumowanie sytuacji – powiedział, sam zadziwiony swoim spokojnym tonem, zważywszy na to, jak bardzo czuł się sfrustrowany.

– Nie możemy przyprzeć wroga do muru. – Jesan zachichotał. – Ostatecznie nie ma tu żadnych murów, czyż nie?

– To nie jest moment na żarty!

Większość dowódców zignorowała młodego pienenicza.

– Co zatem sugerujesz? – zapytał Gavin.

– Czystą prostotę, komandorze floty – odparł Jesan. – Przyszpilimy wrogów pomiędzy naszymi siłami... i celem, którego będą musieli bronić.

Rozdział 32

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Odyseusz”

– No cóż, to by było na tyle – stwierdził Eric ponuro, przeglądając meldunki o ruchach flot przeciwnika. – Rozgryźli naszą strategię.

– To musiało się tak skończyć – odparł Jason Roberts, łączący się z innymi ze swojego biura na „Bellerofoncie”. – Wiedział pan o tym od początku.

W głosie byłego komandosa nie pobrzmiwały najmniejsze nutki niepewności. Eric musiał się z nim zgodzić.

– Wiem, ale miałem nadzieję, że raz jeszcze nam się uda.

Roberts prychnął lekko, kręcąc głową.

– Jest pan zbyt optymistą, admirale.

Pozostali kapitanowie reagowali różnie, choć większość z nich podzielała czarny humor Roberta. Niektórzy byli jednak wyraźnie skołowani.

– Przepraszam, ale co się zmieniło? – zapytała dowódczyni jednostek Priminae połączonych z terrańską flotą. – Nie pojmuję znaczenia tej informacji.

Eric zwrócił się w stronę kapitan Nicols z wyjaśnieniami.

– Imperium rozpracowało naszą strategię i pojęło, że w związku z naszą przewagą wynikającą z technologii tranzycji istnieją tylko dwie możliwe odpowiedzi.

– Mianowicie...?

– No cóż, w idealnym przypadku nasi wrogowie zawróciliby i uciekli – zaczął Eric, śmiejąc się gorzko. – Wzięliby ze sobą informacje o naszej technologii i zabrali się do domu, by lepiej przygotować się na walkę w przyszłości. Niestety, tej opcji nie wybrali... została im więc tylko jedna wykonalna strategia. W przestrzeni możemy ich podgryzać, męczyć, a ostatecznie zniszczyć... bez względu na dysproporcję sił. Muszą więc znaleźć sposób, by zablokować naszą mobilność.

Eric ruchem dłoni przywołał mapę lokalnego ramienia Galaktyki z jedną podświetloną na żółto gwiazdą.

– Osiem miliardów ludzi – powiedział ze znużeniem. – Tym chcą nas przyszpilić. Nacierają prosto na Ziemię.

Nicols patrzyła na to przez chwilę w milczeniu, nim zrozumiała.

– Zapewne nie powinnam się czuć zaskoczona – powiedziała wreszcie – ale mimo to jestem, choć jedynie tym, że Imperialni wzięli na cel waszą, a nie naszą macierzystą planetę.

Eric uśmiechnął się niewesoło.

– Bez wątpienia Ranquil będzie następne. Tymczasem skupiają się na nas, co nasiliło się od ostatniej próby zniszczenia nas.

– Tak, rozumiem. Dobrze zatem, jakie mamy opcje?

Oto jest pytanie.

Dodatkowo pociąga ono za sobą tak wiele wątpliwości, że Eric nie był pewien, czy w ogóle istnieje na nie odpowiedź.

– Nasze załogi nie mają wyjścia – powiedział Eric przygnębiony – ale jeśli wy chcecie się wycofać do obrony Ranquil na wypadek najgorszego, zrozumieć to.

Na chwilę zapadła głucha cisza, po czym kapitan Priminae odparła:

– Sądzę, że jakiegolwiek są szanse Priminae, będą największe, jeśli połączymy nasze starania, admirale. Nie przysłużymy się Ranquil, ginąc u siebie, przytłoczeni siłą ognia i liczebnością wroga. Równie dobrze możemy zginąć, walcząc z wami ramię w ramię, efekt będzie taki sam. Skontaktuję się oczywiście z admirałem Tannerem, ale zarekomenduję, i spodziewam się, że admirał się ze mną zgodzi, byśmy do tej walki stanęli wspólnie.

– Dziękuję – odpowiedział Eric z niekłamaną wdzięcznością. Nie sądził, by zrobiło to dużą różnicę, ale nawet niewielki dodatek do ich marnych szans był lepszy niż nic. – W takim razie będziemy nadal dręczyć wroga i spowalniać jego natarcie, a tymczasem wyślemy przodem naszych zwiadowców, by zaalarmowali dowódców terrańskich systemów ochronnych. Cała nadzieja w tym, że admirał Gracen ma w zanadrzu jakieś niespodzianki dla naszych prześladowców, ale i tak musimy dopuszczać możliwość, że może się nam nie udać.

Miny jego kapitanów były posępne. Większość z nich miała dość doświadczenia, by zrozumieć, co dokładnie Eric miał na myśli. Nieliczni byli jeszcze młodzi i naiwni, ale nawet oni wyczuwali powszechne napięcie.

Wynik bitwy był już przesądzony i nikt nie miał zamiaru cofnąć się przed walką.

Nieważne, czy spadnie na nich całe piekło, czy imperialna flota – Ziemia miała swoich obrońców.

Stacja kosmiczna Liberty

Gracen krzywiła się, czytając szybkie meldunki o ruchach wrogiej floty.

Oczywiście nic jej nie zaskoczyło. Imperium podążało niezmiennym kursem od dłuższego czasu i pod wieloma względami był to cud, że przeciągnęło się to aż tak bardzo w czasie. Ludzkość mogła to zawdzięczać jedynie niepewności i niekompetencji wroga.

Jeśli zamiast niepewności Imperium od początku wykazywałoby taką jak teraz zawziętość, Ziemia już dawno by upadła, a wróg nie musiałby się mierzyć z tymi problemami, które właśnie nabierały rozpędu na jego terytorium.

Zamiast tego agresor długo wahał się pomiędzy pragnieniem przełamania ziemskiej obrony a uniknięciem strat.

To zresztą Weston chciał osiągnąć swoją małą przemową na koniec ostatniej próby inwazji i dlatego pozwolił wtedy wrogiej flocie odlecieć, zamiast unicestwić ją mocą Prometeusza.

„Niestety, mało prawdopodobne, żebyśmy teraz mieli na tyle czysty strzał, by naprawić przykre skutki tego aktu miłosierdzia”.

Flota wroga była cały czas w ruchu, przez co powolny system celowania soczewkami grawitacyjnymi miał marne szanse nadążyć. Za pierwszym razem udało się to tylko dlatego, że przeciwnik był zadufany w sobie, nazbyt pewny zwycięstwa i zakleszczony między okrętami Erica i Ziemią... pomijając już efekt zaskoczenia, gdy flota „Odyseusza” pojawiła się znikąd.

Bez wątpienia spopielą znaczącą część wroziej floty na ziemskim niebie, ale Gracen wątpiła, by to wystarczyło.

Meldunki od wtyczek z przestrzeni Imperium dawały jasne promyki nadziei, ale admirał nie była pewna, czy da się to wykorzystać, by pomóc Ziemi.

„Nawet jeśli Imperium upadnie, nas to nie ocali. Nie, gdy tyle flot leci już w naszą stronę. Moglibyśmy obracać w popiół planetę za planetą, zamordować dziesiątki miliardów... setki miliardów... i nie zmieniliby to niczego”.

To dręczyło ją najbardziej.

Gdzieś w głębi duszy Gracen pragnęła zemsty, jeśli nie uda się jej ocalić swojego świata. Zalenie Imperium ogniem, nawet podczas eksterminacji Ziemi, miało w sobie poetycką sprawiedliwość... ale zamordowanie tylu ludzi tylko dlatego, że ich rząd opierał się na ksenofobicznym obłądziej?

To nie pasowało ani do jej ludzkiego serca, ani żołnierskiej duszy.

Nie miała jednak żadnych innych opcji poza niszczeniem światów lub zostawieniem ich przy życiu.

„A czas się skończył” – podsumowała gorzko, wstając od biurka.

Skoro nic innego nie mogła zrobić, zamierzała upewnić się, że systemy obronne są gotowe na to, co nadchodzi.

Najlepiej, jak to tylko możliwe.

Prywatny statek kolonizatorski „Saint Mary”, orbita Ziemi

Burt Connors stał nad pokładem dowodzenia swojego statku, śledząc skanery i meldunki, a nie bieżące działania załogi.

„Saint Mary” nie dysponowała bajeranckimi napędami, z jakich korzystało wojsko Konfederacji i jego sojusznicy, a dokładniej mówiąc, nie miała reaktorów dostatecznie mocnych, by zasilić tego typu generatory grawitacyjne.

„Mary” polegała na starszych mechanizmach. Habitaty zbudowano wokół ogromnych przeciwbieżnych pierścieni, które zapewniały załodze stabilność. W przeciwieństwie do jednostek klasy Odyseusz „Mary” dysponowała napędami nadświatelnymi pochodzącymi z Bloku, dzięki czemu habitaty mogły być większe

i znacząco słabsze konstrukcyjnie. Tego typu napęd nie przekładał przyspieszeń całej jednostki na statek i jego mieszkańców, więc naprężenia nie były problemem.

– Sir?

– Tak, kapitanie? – odparł Burt, wyrwany z rozmyślań.

– Praktycznie ukończyliśmy przygotowania – poinformował kapitan Caide. – Wahadłowce z pasażerami przechodzą kontrolę planetarną. Pierwsze zadokują na pokładzie za kilka godzin.

– Znakomicie. Dziękuję, kapitanie – odpowiedział Burt, spoglądając z powrotem na ekrany skanerów. – Co o tym myślisz, Joshua?

Caide zerknął na monitor i zacisnął usta, kręcąc głową.

– Nic dobrego, panie Connors – przyznał. – Zauważyliśmy, że Konfederacja wyciąga całą masę okrętów z trybu gotowości. Stawiam, że zdecydowanie więcej, niż ma załóg do ich odpowiedniego obsadzenia. Wśród identyfikatorów jednostek dowożących załogi na pokład okrętów było wiele numerów Bloku. Jeśli Konfederacja powierza okręty klasy Heros załogom z Bloku...

Nie dokończył zdania. Obaj rozmówcy rozumieli znaczenie tej sytuacji. Blok i Konfederacja opracowały przez ostatnie dekady polityczne porozumienie, ale z pewnością nie były przyjaciółmi. A nawet jeśli by było inaczej, przekazywania technologii ukrytej w trzewiach najlepszych okrętów nie brano pod uwagę nawet wśród sojuszników.

Connors pokiwał głową po chwili milczenia.

– To zgadza się z moją oceną – stwierdził. – Patrząc na pożegnalną wiadomość od Westona, musimy założyć, że wróg postanowił przestać się wygłupiać.

Caide uśmiechnął się ponuro.

– Słuszne założenie, sir. Nie wiem, jak duże siły Imperium rzuca przeciwko nam, ale patrząc na to, co się dzieje, spodziewam się co najmniej przytłaczających.

– Kurwa – zaklął Connors z goryczą. – Wierz mi lub nie, ale kiedy zaczynałem ten projekt, naprawdę nie spodziewałem się, że będę budował pierdoloną arkę.

Caide spojrzał na niego zaskoczony.

– A jakie miał pan plany, jeśli mogę spytać? Ta inwestycja była jednak obłędnie kosztowna.

Connors wzruszył ramionami.

– Szczerze? Miałem pół biliona dolarów w aktywach, kapitanie. Jakkolwiek by liczyć, wygrałem w kapitalizm już dawno temu, a mimo to dalej zarabiałem coraz więcej pieniędzy. Po co? Dlaczego? Bo nic innego nie umiałem robić. Gdy te technologie zrobiły się osiągalne wraz z informacjami o nowych światach... dostrzegłem coś nowego. Nie wiem, czy ktokolwiek może sobie wyobrazić, co to dla mnie oznaczało... Pierwszy raz od dziesięcioleci poczułem ekscytację. Nie chciałem tego, nie wiedziałem, co nadciąga, chciałem tylko nowego wyzwania.

Caide prychnął w przyływie wisielczego humoru.

– No cóż, sir, powiedziałbym, że właśnie stoi przed panem.

– Przed nami wszystkimi. Niech Bóg ma nas w swej opiece – westchnął Connors. – Jakież wieści od pozostałych?

Caide nie musiał pytać, o jakich pozostałych chodzi. Na orbicie było razem z nimi sporo różnorodnych statków kolonizatorskich, które również gromadziły zaopatrzenie i kompletowały załogi.

– Projekt pana Bouqueta rozwija się... poniżej przewidywań – odparł taktownie Caide.

Connors przymknął oczy. Chciałby być tym zaskoczony. Effrem miał zwyczaj podchodzić do swoich przedsięwzięć z optymizmem graniczącym z fantazją. Pierwotne projekty jego statku były spektakularne, ogromne, gwarantujące miejsce na amfiteatry i luksusową przestrzeń dla każdego.

Connors nie był pewien, czy Effrem faktycznie wierzył we własne pieprzenie, czy po prostu lubił sam siebie słuchać, ale tak czy siak projekt statku był okrawany raz za razem w toku prac. Ostatecznie był wielkości trzech czwartych „Mary” i miał dość podobny układ. Osobiście Connors uważał, że Bouquet w ogóle nie planował budowy tego statku, bo jego inwestorzy także woleli słuchać o bajkowych perspektywach, jakie Effrem im przedstawiał, niż domagać się jakichś realnych działań. Bogacz zaczął jednak pospiesznie działać, gdy stało się jasne, że zagrożenie ze strony Imperium jest nieuchronne.

– No cóż, zszokowany nie jestem. – Connors westchnął. – Czy możemy mu jakoś pomóc?

Na tym etapie pieniądze nie znaczyły już prawie nic, a resztki ich wartości wyparują z chwilą opuszczenia orbity Ziemi. Wyzbycie się jakichś dodatkowych aktywów nie było szczególnym poświęceniem. Niektórzy z pozostałych zwróciliby zaciągnięte długi i bez umowy na piśmie... ale te dokumenty niedługo staną się równie bezwartościowe co papier, na którym je spisano.

– Być może, sprawdzę – odparł Caide.

– Tak zrób – polecił Connors. – A pozostali?

– Z grubsza zgodnie z planem. Czy wyznaczono już cel naszej podróży? – zapytał Caide. – Kilkunastu innych kapitanów również się nad tym zastanawia.

– Razem z innymi dyskutowaliśmy, czy lepiej byłoby podróżować razem, czy się rozdzielić – przyznał Connors. – Zdania są podzielone.

Caide przewrócił oczami.

– Wcale mnie to nie dziwi. I tak ogranicza nas paliwo. Uzupełnienie zapasów po drodze jest oczywiście możliwe, ale wymaga zlokalizowania odpowiednich źródeł. To oznacza, że znamy tylko kilka pewnych źródeł. Chciałbym zasugerować, byśmy w pierwszej kolejności oddalili się jak najbardziej od przestrzeni Imperium.

– Z tym nie będę się kłócił – stwierdził Connors. – Czy ma pan jakieś preferencje spośród najbardziej prawdopodobnych opcji?

Caide wpisał kilka komend na konsoli, zmieniając widok na ekranie ze skanerów na pokładową bazę danych.

– Oryginalnie zaplanowane lokacje są wciąż najlepsze dla celów kolonizacji – zaczął. – Dysponujemy szczegółowymi skanami systemów i każdy z nich ma światy, na których możemy żyć bez wyrafinowanych systemów wspomaganie życia. Nie wszystkie będą komfortowe, ale przynajmniej nie trzeba będzie zakładać na zewnątrz skafandrów ciśnieniowych, choć aparaty oddechowe mogą być konieczne. Niestety, te światy odpadają, bo są zbyt blisko.

Connors przytaknął z posępną miną.

Pierwotnym celem kolonizacji miało być po prostu poszerzenie ludzkiej przestrzeni życiowej, a kontakt z macierzystą planetą był

traktowany priorytetowo. O konieczności przetrwania się wtedy nie myślało. To się teraz zmieniło.

– Musimy zaryzykować – ciągnął Caide. – Dziesiątki tysięcy gwiazd to naprawdę spora pula do wyboru. Mamy obrazy z Webba i kilku innych obserwatoriów, ale i to ledwo zawęży wybór. Szczerze mówiąc, sir, to, co mogą nam powiedzieć eksperci, jest niewiele lepsze od rzutu kostką.

Connors skrzywił się cierpko, bo w ogóle mu się to nie podobało, ale sam nie miał nawet śladowej wiedzy na tym polu i nic lepszego by nie wymyślił.

– Rozumiem. Przyjrzę się temu – obiecał. – Może znajdę kogoś, kto będzie wiedział coś więcej.

Wątpił w to, bo każdy z taką wiedzą już dawno zostałby zrekrutowany czy to przez Connorsa, czy kogokolwiek z pozostałych.

„Albo... przez Konfederację”.

– Zadzwoń w kilka miejsc – dodał jeszcze. – Wkrótce się odezwę.

– Dobrze, sir – odparł Caide, wstając. – Powodzenia.

Connors odprowadził go wzrokiem, po czym usiadł przy komputerze i zaczął przekopywać się przez swoje kontakty, zastanawiając się, czy ktokolwiek będzie w ogóle chciał z nim teraz rozmawiać.

„Jest tylko jeden sposób, by się przekonać”.

Obiekt Prometeusz

Doktor Edward Palin siedział w bezruchu, pogrążony w rozmyślaniach po zakończeniu tłumaczenia. Zastanawiał się – nie pierwszy raz – czy szaleństwo było wymagane do rządzenia.

Jeśli tak, musiał przyznać, że Imperium wysoko postawiło poprzeczkę.

Meldunki o wewnętrznych niepokojach stawały się coraz częstsze i coraz bardziej dobitne. Wyglądało na to, że całkiem spora część społeczeństwa czekała na jakąkolwiek okazję do zadymy, a aktualna nieobecność wojska dawała im ku temu doskonałe warunki.

W ocenie Palina w tej chwili jeszcze nic wielkiego się nie działo. Prawdę mówiąc, w ostatnich latach poważniejsze zamieszki zdarzały się w Konfederacji... ale Konfederacja zapewniała prawo do protestów w swojej konstytucji, a Imperium nie.

Jednak to nie wieści o niepokojach zdumiały naukowca, lecz wiadomości od lokalnych dowódców imperialnych, które zdradzały, co ci zamierzają w tej sprawie zrobić.

Palin zastanawiał się nad tym długo, po czym nachylił się nad klawiaturą i szybko spisał serię punktów, by na koniec poprosić o połączenie z Włóczęgami szpiegującymi imperialne światy.

Rozdział 33

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

– Wiadomość z Prometeusza, skipper – zawołał Tyke, odrywając Stepha od rozgryzania logistyki.

– Zaraz przyjdę – odkrzyknął, zamykając pliki. „Jezu, jak ja nie cierpię tego gówna. Po prostu dajcie mi w łapy ster z jakimś prostym komputerem, cokolwiek, byle nie to”.

Całe jego dorosłe życie wydawało się poświęcone liczbom i kalkulacjom, co pewnie zszokowałoby go w młodości. Eric ustawił go jak trzeba, nie tylko na etapie wstępnego treningu pilotażu, ale przede wszystkim po pierwszych misjach bojowych.

Nikt nie prześcignie komputera w szybkości i dokładności obliczeń, więc wielu ludzi zastanawiało się, po co im w ogóle matematyka.

Steph był mądrzejszy. Kiedy kierujesz się w dobrą stronę, jeszcze nim komputer wypłuje dokładne wektory, skrócisz swój czas reakcji o całe sekundy. Gdy na szali leżą ludzkie istnienia, te sekundy mają ogromne znaczenie.

Więcej czasu zajęło Stephowi zrozumienie, że obliczenia poza polem walki mają jeszcze większe znaczenie dla wyników starć, ale i tego życie szybko go nauczyło... Tak naprawdę wyniki bitwy nierzadko były przesądzone na długo przed walką, gdy wszystko było w rękach oficerów logistyki i ekip naprawczych. Jeśli połowa dział jest zepsuta albo pusta, nie ma znaczenia, jak świetnych masz artylerzystów.

To jednak nie czyniło zadania ani odrobinę bardziej znośnym.

Steph wysunął się zza biurka i przez małe drzwi dostał się na pokład dowodzenia kanonierki, gdzie Tyke pełnił wachtę.

– Jakie wieści? – zapytał posepnie, nie spodziewając się niczego dobrego.

– Imperium zakończyło grę wstępną. Idą prosto na Ziemię – powiedział Tyke, a głos mu się załamał. – Steph, stary...

Steph spojrział na poszarzałą twarz przyjaciela i tylko pokiwał głową.

– Taa... No cóż, znamy szacowany czas inwazji?

– Nie, ale to już niedługo.

– No to ruchy – oznajmił Steph twardo. – Archanioły nie przeczekają tej walki na boku.

– A nasza przykrywka? – zaoponował Tyke bez przekonania.

– To jest moment, dla którego utrzymywaliśmy w ogóle naszą przykrywkę, Tyke. Teraz wykorzystamy to najlepiej jak się da.

– Zakurwiście. – Tyke pokiwał powoli głową. – No dobra, jedziemy!

– Zawiadomię resztę eskadry.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Autolikos”

– Kapitanie, wiadomość z Prometeusza.

Passer spoważniał.

– Proszę przeczytać, poruczniku.

Młody oficer nie wyglądał na zbyt szczęśliwego, że trafił na świecznik, ale nie ociągał się.

– Floty przeciwnika rozpoczęły zdecydowane natarcie w stronę... – przerwał i przełknął z trudem.

– Dalej, chłopcze – powiedział Passer zrezygnowanym tonem, wiedząc już, jaki jest dalszy ciąg wiadomości.

– W stronę Ziemi, sir. Floty się nie zatrzymują, „Odyseusz” i Pierwsza Flota przemieszczają się na pozycje obronne razem z sojusznikami, ale...

– Tak, wszyscy wiemy, jak to się musi skończyć. – Passer westchnął, a serce mu się ścisnęło w przeczuciu, jak będzie brzmiała druga część wiadomości. – Czy załączono nowe rozkazy?

– Nie, sir. Mamy kontynuować misję.

A więc tak.

Morgana zemdliło na ciele i duszy. Jeśli istniało we wszechświecie miejsce, gdzie on i załoga „Auto” powinni się właśnie znajdować, to

w przestrzeni okołoziemskiej, a nie pośrodku Imperium, chowając się po kątach jak złodzieje.

Nieraz już prowadził misje skrytobójcze w czasie wojny, nieraz bywał w podobnych albo i gorszych sytuacjach. Wiedział, że czasami więcej dobrego można było zrobić miliardy kilometrów od miejsca, gdzie chciałoby się być.

– Dobrze. Proszę potwierdzić odbiór i wracać do pracy – polecił.

– Ale... sir...

– Chłopcze, rozumiem. Też chciałbym wrócić do domu, ale nasze okręty, nawet wszystkie Włóczęgi razem wzięte, nie zmieniają wyniku tej bitwy. Tutaj mamy szansę coś zdziałać. Kontynuujemy misję.

Młody oficer przełknął raz jeszcze, ale przytaknął.

– Aye, skipper.

Morgan skłonił na moment głowę, życząc wszystkiego, co najlepsze, okrętom, które stały tam, gdzie on chciałby teraz stać. Potem zwrócił się do swojej zastępczyni:

– Nie chcę cię wywoływać do tablicy, ale jak uważasz, co robi Blok?

Li wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Jeśli mam być szczerą, spodziewam się, że wojsku zostanie powierzone zabezpieczenie próby ewakuacji.

Morgan prychnął.

– Tam jest, ile... cztery miliardy ludzi w krajach Bloku?

Li uśmiechnęła się gorzko.

– Nie powiedziałam, że ewakuacja miałaby objąć całe społeczeństwo.

Morgan pokręcił głową.

– Chciałbym móc to skrytykować, ale nasz rząd planuje zapewne dokładnie to samo. Wątpię jednak, by ktokolwiek był na tyle głupi, by rozkazać admirałom Gracen i Westonowi porzucić obronę planety i chronić ich tyłki. Ta dwójka byłaby gotowa ustrzelić takich jeszcze przed atakiem na wroga.

– Blok również ma takich ludzi – odparła Li, a po jej twarzy przemknął cień rozbawienia – ale nie w wyższym dowództwie.

– No cóż, wątpię, by miało to jakiegokolwiek znaczenie – stwierdził Morgan. – Róbmy swoje i sprawmy, by te gnojki pożałowały dnia, gdy ich przodkowie wygrzebali się z błota.

Obiekt Prometeusz

Admirał Benoit skrzywił się paskudnie. Czuł, że przez kilka ostatnich dni ta mina na dobre przykleiła się do jego twarzy. Przeglądał właśnie wpisy z ostatniej paczki danych przepuszczonych przez przekaźnik placówki.

Większość nie była w żaden sposób zaskakująca, ale kilka wpisów było... nietypowych.

„W imię wszystkiego, co święte, co znowu kombinuje ten irytujący chujek?!”

Benoit przestał już hamować się w myślach, widząc, ile mocy obliczeniowej i czasu nadawczego pochłonęły zadania autoryzowane kodem Palina.

Geniusz czy nie, Palin przeskakiwał z miejsca na miejsce, bo nikt nie umiał wytrzymać z nim zbyt długo. Sam Palin nie miał zamiaru protestować przeciwko ciągłym zmianom, póki tylko lądował w jakimś ciekawym miejscu. To ostatecznie przywiodło tego lingwistę i geniusza szyfrów na dosłownie najdalszą od Ziemi placówkę.

Fakt, że obiekt zawierał starożytne repozytorium danych ze skanami wizualnymi wszechświata sprzed tysięcy lat, stanowił dla doktora całkiem miły dodatek.

Dla Benoita natomiast badacz był wiecznym utrapieniem.

Czytał pobieżnie raport z jego działań aż do momentu, w którym zatrzymał się nagle, cofnął i zaczął czytać raz jeszcze, bardzo powoli i uważnie.

„Przydzielił Włóczęgom zadanie wprowadzenia nowych komend do imperialnej sieci. Nie wiedziałem, że w ogóle możemy zrobić coś takiego. Co on im kazał zrobić?”

Wrzód na dupie czy nie, facet był absolutnie bezbłędny, jeśli chodzi o dokumentowanie swojej pracy. Była to cecha, która zamieniała obłąkańcze bazygroły badaczy w prawdziwą naukę, a także sprawiała, że Benoitowi łatwiej przychodziło ścierpieć fanaberie naukowca. Mógł wytrzymać naprawdę sporo, o ile tylko mógł w dokumentacji przeczytać, co badacz robi, dlaczego to robi i co z tego wynikło.

„Jasna cholera. On właśnie wznieca bunt”.

Benoit prawie się zakrztusił, gdy przeczytał niektóre z poleceń Palina, a potem odnotował rezultaty zaobserwowane przez załogi Włóczęgów. Jakaś część niego chciała zejść na dół i za kurewskie przekroczenie uprawnień wypierdolić tego idiotę tak daleko, że potrzebowałyby soczewek grawitacyjnych obiektu, by sprawdzić, gdzie Palin wyląduje... ale druga część – ta zapatrzona w śmiertelne dla Ziemi zagrożenie – już kalkulowała, jak maksymalnie wykorzystać pomysł badacza.

„Będę musiał przemyśleć, jak o tym zameldować...” – zorientował się Benoit.

Palina by chyba powieszono, gdyby meldunek trafił na niewłaściwe biurko. Benoit nie miał wątpliwości, że jakiś służbista dosłownie mógłby coś takiego zrobić.

„Ale... – admirał zawahał się – jeśli uda mi się to ładnie ubrać w słowa i pokazać najpierw właściwym ludziom... Tak, damy radę”.

A potem, jak już ocali dupę tego idioty i dobrze wykorzysta to, co on zaczął, zejdzie na dół i przerobi debila na pasztet za to, że nie odezwał się ani słowem, nim odwalił taki numer.

Stacja kosmiczna Liberty

Gracen była już na krawędzi wytrzymałości i musiała siłą powstrzymać się od krzyczenia na ludzi, że przynoszą jej coraz to nowe problemy. Wiedziała, że nic nie dało się z tym zrobić. Choć cała jej załoga pracowała na pełnych obrotach, sięgając granic tego, co fizycznie wykonalne, sama ilość nawarstwiających się nowych spraw powodowała, że coraz więcej zupełnie podstawowej, żmudnej roboty trafiało na jej biurko... a ona ją wykonywała, bo nikt inny nie miał na to czasu. Ludzie, którzy normalnie się tym zajmowali, teraz pochłonięci byli realizacją ważniejszych zadań.

Nie pamiętała już, kiedy ostatnio widziała swoje łóżko. Sen, o ile w ogóle był możliwy, ograniczał się do biura – i nie ona jedna żyła teraz w taki sposób.

Wróg dotrze tu najpóźniej za kilka dni... a oni nie byli gotowi.

Więc kiedy komputer rozbrzmiał dźwiękiem wiadomości z Prometeusza – a był to jeden z nielicznych kanałów łączności, które wciąż prowadziły bezpośrednio do niej – musiała przerwać na chwilę, zamknąć oczy i wziąć kilka głębokich wdechów, by nie zacząć histerycznie krzyczeć.

Niewiele rzeczy robiło gorzej na morale niż dowódca przechodzący załamanie nerwowe u progu krytycznych wydarzeń.

Chwila dla zdrowia psychicznego minęła i Gracen odebrała wiadomość.

Meldunek prawie zrzucił ją z fotela i znów miała ochotę krzyczeć, choć z zupełnie innych powodów.

Nie wiedziała, czy chciała tego idiotę kopnąć w jaja, czy pocałować, ale cokolwiek by sobie wymarzyła, musiało poczekać.

„Co za genialny imbecyl!”

Nie umiała wyjść z podziwu nad mieszaniną błyskotliwości i głupoty, która wyzierała z meldunku Benoita.

Fakt, że gość wykombinował, jak to zrobić, był imponujący, to nie podlegało dyskusji, ale że postanowił sam zacząć działać bez jakiegokolwiek autoryzacji... to było czyste szaleństwo. Istniały spore szanse, że przynajmniej część zagrywek Palina będzie miała przeciwne efekty i zniesie się nawzajem, ale niektóre były tak łopatologiczne, że ktoś mógł się przedwcześnie w tym połapać.

Gracen przecesała włosy dłońmi, zastanawiając się nad tym problemem, ale doszła do wniosku, że nic z nim nie zrobi.

Wcisnęła przycisk połączenia ze swoim asystentem.

– Tak, ma’am?

Młody człowiek brzmiał jak ktoś skrajnie wykończony.

– Przyślij mi tu szybko kogoś z sił specjalnych. Na jednej nodze!

– Z sił specjalnych, ma’am?

– Słyszałeś, Jackson. Ruchy.

– Tak jest, ma’am.

Zakończyła połączenie, zostając sam na sam z myślami. Ten problem miała przynajmniej komu przekazać. Choć członkowie Zielonych Beretów byli równie zajęci jak wszyscy inni, to jednak wybiegali myślami nieco dalej niż tylko do nadchodzącej bitwy.

Przez chwilę będą musieli sobie poradzić bez jednego ze swoich specjalsów, bo to była dokładnie ich domena.

Starszy chorąży sztabowy Gregory Aida kroczył przez korytarze stacji kosmicznej, może i nie emanując totalnym wkurwem, ale prawie.

Jego oddział przygotowywał się na nadchodzące starcie, a dokładniej na to, co nastąpi potem, i dosłownie każda para rąk była potrzebna. Oficerowie też zakasali rękawy, założyli sprzęt i robili wszystko, co tylko było konieczne. Ostatnie, czego potrzebowali, to jednego mniej.

Jednak kiedy admirał wzywa na stację, ktoś musi lecieć.

Aida wyciągnął krótką zapalną.

Wpuszczono go do zewnętrznego biura admirał bez żadnych standardowych środków bezpieczeństwa i obowiązkowych skanów, co wiele mówiło o bieżącej sytuacji.

„Jak tak o tym myślę, to nie widziałem marines, którzy powinni tu być. Gdzie ich poniosło?”

Już otwierał usta, gdy zobaczył młodego oficera pracującego zawzięcie na komputerze, ale ten tylko machnął ręką.

– Oczekuje pana, proszę wchodzić.

„Teraz już wiem, że świat się kończy” – pomyślał Aida ponuro, kierując się do wewnętrznego biura.

W środku zobaczył wykończoną kobietę, patrzącą na niego znużonym wzrokiem.

– Starszy chorąży sztabowy Aida melduje się na rozkaz, ma’am.

Odpowiedziała mu niedbałym salutem, ręką osłabioną niepomiernym zmęczeniem, jak od razu zauważył. Wskazała mu swój komputer.

– Wszystkie dane są na ekranie, sierżancie – powiedziała i wstała.

– Zapraszam do biurka. Będę tu czasem wpadać, mam masę pracy, sam pan rozumie.

– Ma’am? – Aida stał zdezorientowany. Nie tak to powinno wyglądać. – Po co tu jestem?

– Zobaczy pan. Ma pan robotę. Proszę ją wykonać wedle uznania – odparła admirał, obchodząc zdumionego żołnierza. – Przykro mi, nie mam czasu pana wprowadzić. Do roboty.

Zdezorientowany, ale i zaintrygowany, Aida obszedł biurko i nachylił się nad oparciem krzesła, by przeczytać zawartość ekranu.

Po dwóch minutach siedział już w fotelu i czytał każde słowo po dwa razy, by upewnić się, że dobrze rozumie.

„Jasna cholera”.

Nie umiał tego inaczej skomentować. Fakt, że ktoś wykombinował, jak dostać się sieci wroga, był powalający, ale żeby potem od razu bawić się w amatorskie obalanie reżimu?

„O matko”.

Po kwadransie Aida katował klawiaturę, pospiesznie przygotowując wiadomość do wysyłki.

W duszy uśmiechał się od ucha do ucha albo i jeszcze szerzej.

„Pułkownik nieźle się wkurwi, że przegapił coś takiego”.

Rozdział 34

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Flota przeciwnika utrzymuje kurs i przyspieszenie, pani kapitan. Miriam skinęła głową.

– Przyjęłam. Okręt na pozycje, gotowość do starcia.

– Aye, ma’am.

„Odyseusz” i ziemska Pierwsza Flota trzeci raz wyskoczyły na ścieżkę formacji wroga, przygotowując kolejną zasadzkę. Nie żeby miała to być niespodzianka. Nieprzyjaciel musiałby być kompletnym bezmózgiem, by nie spodziewać się kolejnej kanonady, ale i tak nie mógł temu zapobiec.

Gdyby zwolnił w pogoni za ziemską flotą, „Odyseusz” i pozostałe okręty użyłyby tranzycji i pojawiły się znów w innym miejscu. Imperialni postanowili więc przebić się przez zasadzkę w pełnym pędzie, co było też jedyną strategią, jakiej ziemskie siły nie chciały doświadczyć.

Przynajmniej stracą przy tym kolejnych kilka okrętów, bo ziemska flota raz po raz podgryzała zgrupowanie, z którym przyjdzie się jej finalnie zmierzyć w macierzystym systemie.

– Okręt na pozycjach, reszta floty sygnalizuje gotowość.

Miriam znów kiwnęła głową.

– Strzelać bez rozkazu, gdy tylko wróg wejdzie w zasięg. Nie przerywać, dopóki z niego nie wyjdzie.

– Aye, ma’am.

Niestety, wrogie okręty coraz bardziej przyspieszały, więc bańki czasoprzestrzenne ich napędów zapewniały skuteczną ochronę przed ostrzałem. Promienie laserów wystrzelone w ich stronę w większości rozpraszały się przez efekt soczewkowania grawitacyjnego. Strzelanie jakimkolwiek obiektem fizycznym było pozbawione sensu, bo nadanie mu dostatecznie wysokiej energii, by przebił się przez bańkę napędu, było niemożliwe nawet z zapasem mocy, jaki zapewniały rdzenie okrętu klasy Heros.

Przy wysokich prędkościach nadświatlnych pola czasoprzestrzenne stanowiły najlepszą ochronę okrętu. Gdyby nie taka budowa napędów, praktycznie każdy zbłąkany okruch mógłby rozedrzeć okręt na strzępy, zostawiając zniszczony kadłub w międzygwiazdnej pustce.

Jedynie działa tranzycyjne miały szansę się przebić.

Kilka okrętów zdołało wygenerować wystarczającą ilość antymaterii, lecz większość była w trakcie uzupełniania wyczerpanych do zera rezerw. Te załogi będą musiały strzelać głowicami jądrowymi, które były cholernie trudne do umieszczenia wewnątrz ochronnej bańki okrętu bez utraty ich spójności.

Celny będzie może jeden strzał na dwadzieścia, ale nawet przy takiej efektywności...

To było tego warte.

To musi być tego warte.

– Wróg w zasięgu!

Miriam nic nie powiedziała, nie musiała. Ostrzał już trwał.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Jesteśmy pod ostrzałem!

Gavin zacisnął zęby, bo i tak nie mógł zrobić ani powiedzieć nic, co pomogłoby w tej sytuacji. Przeciwnik kontynuował wojnę podjazdową, niszcząc imperialne okręty z dostatecznie dużej odległości, by samemu być poza zasięgiem. A jeśli imperialna flota zdecydowałaby się zejść z kursu i ruszyć w pogoń, przeciwnik po prostu by zniknął... tylko po to, by pojawić się w zupełnie innym miejscu i działać znów tak samo.

„Jak oni to robią?”

Przez całą swoją karierę, a nawet przez całe swoje życie nie widział czegoś takiego.

Wrogowie po prostu znikali z jednego miejsca i pojawiali się w innym, czasami naprawdę odległym. Jakimikolwiek napędami

dysponowali, były one znacząco szybsze od wszystkiego, co Durwich umiał sobie w ogóle wyobrazić. I wykorzystywali je doskonale.

Oczywiście to nie wystarczy.

Tego Gavin był pewien i nawet ten pesymista Mich się z nim zgodził. O ile przeciwnik nie ma w zanadrzu jeszcze znacznie więcej sztuczek, koniec kampanii jest już przesądzony.

Komandor Piątej skrzywił się, gdy kolejny z jego okrętów zniknął w kuli dymu i szczątków.

„Nie mają zamiaru niczego nam ułatwiać, to im trzeba przyznać”.

Zazwyczaj było na odwrót. Przeciwnicy w miejscach takich jak pożałowania godne Wolne Gwiazdy często przewracali się brzuchem do góry na sam widok imperialnej grupy uderzeniowej.

Choć to z pewnością mile łechtało ego, było jednak nudne i zostawiało po sobie niesmak.

Nie to co ta flota.

„To wojownicy. Szkoda, że sprzeciwili się Jej Wysokości. Byliby dobrymi podwładnymi Imperium”.

A może wręcz przeciwnie.

Imperium potrzebowało wojowników, to prawda, ale najpierw pewnie pojawiłyby się wewnętrzne potyczki, a potem samowolna rebelia rozpętana dla samego faktu buntu. Każdy rozsądny przeciwnik negocjowałby jakiś dobry układ z Michem podczas pierwszej inwazji, a nie przeganiał go z pogroźkami.

Taka bezczelna zniewaga nie mogła być tolerowana.

Teraz ci ludzie zginą.

„Pytanie tylko, jak trudne będzie to zadanie i czy na ich świecie znajduje się cokolwiek wartościowego”.

Gavin zawahał się, rozważając to drugie. Wróg zdecydowanie ma imponujące możliwości. Imperium zrobiłoby dobry użytek z tajemniczych napędów, a może i innych ludzkich technologii.

„Ta ich superbroń... Tak, to wymaga rozważenia”.

Ale najpierw musi nastąpić upadek.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan czuł się, jakby wyczekiwał kolejnego nieuniknionego szoku.
Dlaczego nie?

Jakkolwiek by patrzeć, każde pojedyncze spotkanie z terrańską kulturą zmuszało go do przepisania sporej części swojej wiedzy. Nie miał powodów sądzić, że tym razem będzie inaczej.

– Przelatujemy przez pułapkę wroga. Nie ma śladów pościgu.

Jesan powstrzymał się od śmiechu.

„Oczywiście, że nas nie ścigają. Po co mieliby to robić?”

Napęd gwiazdny wroga, niezależnie od zasady, na której działał, rozwiał wiele wątpliwości spośród tych, które dręczyły Jesana od czasu pierwszego spotkania z anomalią. Ten napęd tłumaczył także treść notatki krążącej wśród dowództwa wyższego szczebla po zniszczeniu Ósmej Floty. Ludzie nie mieli więcej okrętów, niż to wynikało z kalkulacji, lecz umieli przemieszczać je znacznie szybciej i bez logistycznych wyzwań.

„Już z samej tej przyczyny atak okazał się konieczny” – pomyślał Mich ponuro.

Mądrość Jej Wysokości po raz kolejny się potwierdziła, choć Jesan za nic nie umiał sobie wyobrazić, skąd cesarzowa wiedziała i rozumiała, jakim zagrożeniem dla ich kultury jest ludzkość.

Gdyby zostawić tę cywilizację w spokoju, zapewne szybko rozbudowałyby swoją technologiczną przewagę, a to mogłoby już być za dużo dla Imperium. Na razie przeciwnicy po prostu mieli zbyt mało czasu, by właściwie się przygotować, ale patrząc na to, o ile większa była flota, która właśnie dręczyła imperialne zgrupowanie, od tej, którą Ziemia wystawiła zaledwie rok temu, taki stan nie potrwałoby zbyt długo.

„Co zdołaliby osiągnąć w ciągu kolejnego roku? Albo dziesięciu lat?”

Na szczęście tego Imperium się nie dowie.

Jesan o to zadba.

Tę cywilizację należało zniszczyć za wszelką cenę, choć Jesan wiedział, że ta cena będzie bardzo wysoka... i nie tylko jego flota ją zapłaci, ale także ludność na imperialnych światach. Wrogi dowódca uprzedzał przecież o użyciu „strategicznej” broni.

Było to jednak konieczne, więc Mich – i całe Imperium – musi wytrzymać.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Wróg jest już poza optymalnym zasięgiem ostrzału, admirale.

Weston pokiwał głową, rozważając sytuację. Nie był pewien, ile jeszcze tranzycki wytrzymają on i jego ludzie. To nie wróżyło dobrze ich formie, gdy pojawią się w końcu w Układzie Słonecznym. Załogi muszą być wypoczęte, jeśli mają dać z siebie wszystko.

Bez wątpienia stawiało go to przed trudnym wyborem.

Czy kontynuować pościg, zabrać wrogowi jeszcze kilka okrętów... czy przeskoczyć prosto do domu, dać ludziom chwilę wytchnienia, nim sprawy przybiorą zły obrót.

„Albo mogę stworzyć trzecią opcję...”

– Zwolnić drugą i trzecią wachtę – polecił. – Każdy, kto nie obsługuje systemów krytycznych, ma rozkaz odpocząć.

– Yyy... tak jest, sir. Mamy... yyy... zapotrzebowania na współrzędne kolejnych tranzycki.

– Odwołać tranzyckie, pełna moc do silników nadświatlnych – rozkazał Eric. – Proszę przekazać kapitanom, by gonili tych gnojków w przestrzeni międzygwiazdnej.

– Aye, skipp... sir. Przekażę.

Eric przytaknął i pochylił się nad swoim stanowiskiem.

„Jesteśmy o dwa dni drogi od Sol. To wystarczy, by każda wachta miała czas odpocząć i dojść do siebie po chorobie tranzyckiej. Zrobimy jeszcze skok na ostatnią chwilę, by wyprzedzić wroga do Sol... a potem musimy zdać się na los”.

Eric nienawidził zawierzania losowi chyba najbardziej ze wszystkiego... ale mimo to jakoś wciąż tu był, jakimś cudem udawało mu się przetrwać za każdym razem.

Wszechświat zdawał się polegać na entropii i ironii.

Miriam zdziwiła się nieco, widząc admiralskie rozkazy, ale szybko pojęła ich cel. Poczula nawet ulgę, choć w życiu głośno by tego nie przyznała.

„Może teraz się czegoś napiję i coś zjem... i może nawet uda mi się utrzymać to w żołądku”.

– Druga wachta, wskakiwać do koi. Trzeciej powiedzcie to samo – poleciała. – Pierwsza wachta, na stanowiska, ludzie. Mamy robotę.

Dała załogom chwilę na reorganizację, a sama zajęła się obliczeniami potrzebnymi do następnych działań.

– Ster, wprowadzić wektory, które przesłałam. Autoryzuję pełną moc bojową – oznajmiła. – Koordynować się z flotą, utrzymać szyk.

– Aye, ma’am – odparł automatycznie sternik.

– Uzbrojenie, stan gotowości. Będziemy strzelać, jak tylko wejdziemy znów w zasięg.

– Aye, aye.

Pokład zadrżał odczuwalnie, gdy okręt skierował moc do napędów, zakrzywiając potężnie czasoprzestrzeń i przyspieszając powyżej prędkości światła w pogoni za wrogiem.

Imperialna flota leciała powoli. Ograniczały ich uszkodzone okręty. Admirał musiał to zauważyć i wiedział, co to oznacza.

Zamiast skoku i zasadzki, która wyciska tyle sił z sojusznicznych załóg, co okrętów z wrogich flot, urządzają sobie pościg. Działania tranzycyjne pozwolą im trzymać się na dystans, a napęd tranzyjny zapewni im drogę ucieczki, jeśli Imperium postanowi zaatakować.

Miriam pokiwała głową z satysfakcją.

Był to dobry plan, a przy okazji nie będzie już musiała kolejny raz zapaskudzić pokładu.

„Uwielbiam, gdy praktyczne aspekty walki pokrywają się z osobistym komfortem, nawet w takiej sytuacji”. Uśmiechnęła się szeroko, gdy drżenie pokładu się wyrównało i „Odyseusz” popędził przez czerń kosmosu w pogoni za wrogiem.

Miriam poczuła się jak nowo narodzona, gotowa na podbój Galaktyki.

A skoro Galaktyka już i tak stanęła do walki, ten nastrój mógł się przydać.

Na zewnątrz kadłuba Odyseusz spoglądał przez falującą czasoprzestrzeń w stronę czającego się gdzieś przed nim wroga.

Nie mógł dostrzec go bezpośrednio, nawet korzystając ze swoich świeżo odkrytych możliwości, ale mógł skorzystać z oczu swojego okrętu.

Nie widział w ten sposób wroga w czasie rzeczywistym. ale to mu nie przeszkadzało. Obecnie siły agresora skupiały się tylko na jednym.

Dolecieć na Ziemię.

W Odyseuszu wywoływało to sprzeczne myśli i uczucia.

Wiedział, że kieruje nim lojalność oraz oddanie swojej załodze i towarzyszom. Miał także poczucie swego rodzaju pokrewieństwa z Gają. Z Saulem również łączyła go jakaś ciemna więź... choć trzeci byt nie był zbyt ujmujący. Wiedział jednak, co ich czeka, i zastanawiał się, czy nie powinien bardziej się... bać.

W swoim krótkim życiu nie poświęcił zbyt wiele czasu rozważaniom o śmierci.

Teraz jednak musiał skonfrontować się z realną możliwością, że taki właśnie los go czeka na końcu tej drogi... i pędzi w stronę śmierci z własnej woli.

Czy na pewno?

Nie kontrolował okrętu... choć pewnie by mógł, gdyby tego zapragnął... Ale nie. Leciał przez przestrzeń prawie jak pasażer, podobnie jak wszyscy inni na pokładzie. On jednak nie zaciągnął się do służby z własnej woli, lecz został zrodzony do takiego życia.

Jego ludzkie doświadczenia, przejęte od każdego członka załogi, jaki kiedykolwiek służył na „Odyseuszu”, kazały mu buntować się przeciwko kajdanom takiej służby.

A jednak tego nie robił.

Nie odczuwał takiej potrzeby, choć jego doświadczenia mówiły, że powinien.

Była to dla niego zagadka.

Więc Odyseusz zrobił to, co zawsze robił, gdy natknął się na zagadkę.

Zniknął z poszycia i skierował się ku wnętrzu, by zadać pytanie.

Rozdział 35

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Komandorze floty, okręty wroga... oni...

Mich podniósł się z fotela. Znał ten ton. Ilekroć słyszał takie zmieszanie w głosie podwładnych, wiedział, że sprawie należy się uważnie przyjrzeć.

– Gadać – warknął, idąc. – Co znowu wyczyniają?

Zakładał, że znów użyli swojego napędu, by zniknąć i pojawić się w jakimś nietypowym położeniu, które może wymagać konkretnej reakcji. Rzeczywistość okazała się... bardziej zaskakująca.

– Wszczęli pościg, komandorze.

Jesan stanął jak wryty.

– Co takiego?

– Jak mówiłem, komandorze floty, przyspieszyli do wysokiego zakrzywienia przestrzeni i ścigają nas. Zachodzą od tyłu. Niebawem znów znajdziemy się w granicach ich maksymalnego zasięgu.

Jesan zamilkł i sprawdził odczyty na własne oczy, nie tylko by sprawdzić rzetelność raportu, ale i zyskać czas na ocenę strategii przeciwnika.

„Nie chcę przecież związać nas walką”. Tyle było dla niego jasne, bo w przeciwnym razie wystarczyło, aby wróg zwyczajnie wyprzedził floty i zaczekał. Siły Imperium z radością podjęłyby decydujące starcie w każdej dogodnej chwili. A więc musiał to być kolejny manewr zaczepny.

Ale to pozostawiało pytanie: po co?

– Ciekawe – szepnął, zastanawiając się, czy może przyczyna tkwi w słabości ich napędu.

„Te błyskawiczne przeskoki mogą wymagać wielkiego nakładu energii. Czy to możliwe, by wyczerpali swoje możliwości?”

Tak czy inaczej, stawiało to floty Imperium przed dylematem.

Ich bieżąca strategia opierała się na założeniu, że wroga nie da się zmusić do wejścia w zasięg ostrzału, a więc trzeba go zepchnąć na pozycje, których musi bronić. Bycie jednocześnie ściganym przez tegoż samego przeciwnika wydawało się... niedorzeczne.

„Gavin nie będzie zachwycony”. Jesan był tego pewien jak własnego imienia. „To jak zabawa w pierhana i ostrokitkę. Dziecięcia ganianina!”

Próbował nie zapędzać się w rozmyślania o losie ściganego w tych rozrywkach.

– Dajcie mi tu komandora Piątej Floty – rozkazał. – Musimy ustalić plan działania.

– Tak, komandorze floty!

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

Eric nawet nie mrugnął, gdy powietrze obok niego zdawało się wirować, bo wręcz intuicyjnie rozpoznawał już Odyseusza.

– Mamy teraz trochę za dużo roboty, chłopcze – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Rozumiem, że to coś ważnego?

– Dlaczego nie boję się umierać?

Eric zamknął oczy i przechylił lekko głowę, po czym otworzył usta. Na próżno. Po krótkiej chwili westchnął głęboko i zdołał wydusić z siebie odpowiedź.

– Okej, będę potrzebował tutaj jakiegoś wprowadzenia – oświadczył i obrócił się, by spojrzeć na stojący obok byt.

– Właśnie sobie uświadomiłem, że istnieje wyraźne ryzyko, iż ten okręt, moje... ciało... może niebawem zostać zniszczone – wyjaśnił rzeczowo Odyseusz. – Ale ta myśl wcale mnie nie przestraszyła. Wiem ze wspomnień załogi, że powinienem być... no nie wiem, spięty? Zdenerwowany? Cokolwiek...

Eric pokiwał głową z namysłem, wahając się, czy nie powinien spławić młodzieńca z uwagi na to, co działo się wokół. Z drugiej strony podjął już decyzję, która pozwoliła mu odesłać dwie wachty na prycze. Jemu też przyda się kilka minut oddechu.

– Człowiek tak właśnie by się czuł, przynajmniej w jakimś stopniu – przyznał. – Ale ty możesz nie mieć takiego instynktu.

– Dlaczego? – spytał Odyseusz, a jego twarz zdradzała zmieszanie i niepokój. – Wszystkiego, co wiem, nauczyłem się od ludzi...

– Natura czy wychowanie, które z nich jest ważniejsze? – wtrącił Eric bez ogródek.

– Ja... nie wiem?

– Ja też nie. Nikt nie wie – odparł Eric. – A to dlatego, że w jednym i drugim jest tyle zmiennych, że w praktyce nie da się tego oszacować. U większości osób o instynkcie pewnie decyduje bardziej natura, chociaż ludzie mogą też ćwiczyć swój instynkt, przynajmniej do pewnego stopnia. Wychowania, środowiska też nie możemy całkiem wykluczyć. Masz nasze myśli, ale to znów twoje środowisko. Twoja natura jest czymś, czego żaden z nas nie jest w stanie określić, więc to wcale nie takie dziwne, że możesz być pozbawiony instynktów, które dla nas są oczywistością. Odyseuszu, nie przejmuj się tym. Żaden z nas nie kieruje własną naturą.

– A czy panujemy nad... wychowaniem? – spytał Odyseusz niepewnie.

– Nie, ale panujemy nad tym, jak wychowujemy innych, przynajmniej w większości przypadków – odparł Eric z krzywym uśmiechem. – U ciebie na przykład twoje... wzorce rodzinne były pozbawione normalnej władzy rodzicielskiej, to na pewno. Ale zazwyczaj jesteśmy w stanie panować nad tym, jak wychowujemy innych. Niestety, przeważnie nic z tego nie wychodzi. Na całe szczęście dzieciaki są twardsze, niż się wydaje. Bystrzejsze też. Wyczuwają nasze niepowodzenia i przeważnie uczą się na nich, budując swoją własną drogę.

– To wszystko wydaje się dosyć... nieetyczne, prawda? – Odyseusz spytał z nutą protestu. – Prawie jak pranie mózgu.

– Warunkowanie mentalne – odparł Eric z chytrym uśmiechem. – Pranie mózgu sugeruje jakiś reset, ale skoro zaczynamy od zera, nie trzeba przecież niczego spierać.

– Teraz to się pan ze mnie nabija. – Odyseusz zdołał powstrzymać się od zrobienia kwaśnej miny, ale ledwo, ledwo, co tym bardziej rozbawiło Erica.

– Trochę tak – przyznał, ale zaraz spowaźniał. – Ale przyznaję, pranie mózgu, warunkowanie... W ten sposób uczymy się o świecie.

Daleko temu do ideału, ale to samo można w sumie powiedzieć o wszystkim.

– Brzmi to jak recepta na katastrofę – zaproponował młodzieniec.

– Zgadza się. Ludzie wpajają sobie samolubstwo, rasizm i milion innych okropieństw – zgodził się Eric. – Jeśli wszechświat miał być kiedykolwiek sprawiedliwy albo idealny, to chyba coś przegapiłem. Ludzie cały czas próbują zrobić coś lepszego, ale zaraz inni znajdują jakiś sposób, by wypaczyć ich dobre intencje w coś jeszcze gorszego. A jednak, jakimś cudem, kolejne pokolenia dają sobie radę i tworzą własne ścieżki.

– Ludzkość przyprawia mnie o zawrót głowy – przyznał młodzieniec, rozglądając się wokół. – Ci ludzie tutaj...

– Nie bierz ich za typowych przedstawicieli ludzkości – Eric przerwał mu i pokręcił głową. – Żadnej z tych osób nie byłoby tutaj, gdyby nie była przynajmniej trochę szurnięta... w tę czy we w tę, ale zawsze z odbiciem od normy. Przeciętny człowiek fantazjuje o podróżach w kosmosie i życiu takim jak nasze, ale tak naprawdę nie chce tutaj być.

Eric uśmiechnął się, już bez ironii, i położył dłoń na ramieniu Odyseusza.

– Chcesz czy nie, to nasze otoczenie, w którym się chowałeś, na pewno zaszczepiło ci choć trochę tego szaleństwa. I nie masz się co martwić – uspokoił go. – Nie ma nic złego w odrobinie wariactwa. To po prostu znak, że żyjesz po swojemu. Natomiast jak zbzikujesz na całego, postawią cię przed komisją. W to się nie chcesz bawić, wierz mi.

Odyseusz z trudem powstrzymał dreszcze.

Może i nie spotkało go to osobiście, ale miał całkiem sporo wspomnień z badań prowadzonych przez te komisje. Cały proces był... okropny.

– Czy wszystko z tobą w porządku? – spytał go wprost Eric. – Rozumiem potrzebę zwalczania kryzysu wiary, ale naprawdę mamy tu pełne ręce roboty.

– Tak, myślę, że już mi lepiej – odparł Odyseusz niepewnie, wciąż nieco skołowany, ale z większą jasnością umysłu. – Czy razem z Boadiceą mamy podjąć atak, jak tylko wróg będzie w zasięgu?

Wydaje mi się, że nasza... broń... może działać nawet przez pola zakrzywiające.

Eric utkwiał w nim zaskoczone spojrzenie.

– Naprawdę? Skąd taki wniosek?

Odyseusz zamilkł na chwilę. Musiał dokładnie przemyśleć swoją odpowiedź, bo jeszcze nie ubrał tego w słowa, a przetłumaczenie czegoś, co zwyczajnie wiedział, na język zrozumiały dla innych było zaskakująco trudnym wyzwaniem.

– Tworzymy pewne... napięcie w czasoprzestrzeni – powiedział w końcu. – Spinamy dwa przeciwstawne zakrzywienia, blokując je o siebie. To trochę jak taki stary rodzaj pułapki. Potrzebne było coś sprężynującego, jak na przykład giętkie drzewo, i mechanizm spustowy z jakąś... zapadką?

Eric wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym przytaknął.

– No dobra. Czyli wstępnie napinasz pułapkę i używasz zakrzywienia jak jakiegoś spustu, który trzyma to wszystko na miejscu. Rozumiem, że mechanizm zwalnia się, kiedy wejdzie w kontakt z materią. Czy może aktywują go osobliwości grawitacyjne wroga?

– Jedno i drugie po trochu – stwierdził młodociany byt.

– A co się dzieje po zwolnieniu blokady?

– Napięcie zostaje wyzwolone, czasoprzestrzeń odbija się i powraca do kształtu – odparł Odyseusz. – Efekt jest właściwie natychmiastowy. Nie znam żadnego materiału, który byłby w stanie zachować wiązania atomowe przy takim odbiciu.

– Czeka, czeka. – Eric uniósł dłoń. – Chcesz mi powiedzieć, że umiesz podzielić atom?

– Oczywiście.

Dłoń Erica spoczęła teraz na jego skroni.

– „Oczywiście”, powiada. Okej, to teraz daję ci rozkaz... Nikomu, absolutnie nikomu ani słowa na ten temat, póki nie będę miał okazji przegadać tego z admirałem.

– Dobrze... ale dlaczego?

– Bo wolę nie próbować wyjaśnić naraz całej admiralicji, że mój statek lubi mieć własne zdanie, a do tego jest mocarstwem atomowym poza wszelkim protokołem.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

Gavin spoglądał w ekran morderczym wzrokiem. Nie było jasne, czy jego gniew skupia się bardziej na obrazie telemetrycznym, czy otaczających ten obraz twarzach.

– Ci... ludzie... – wysyczał z tak jadowitą pogardą, na jaką tylko mógł się zdobyć – robią się naprawdę irytujący.

Komandor floty Mich, jedyny spośród uczestników transmisji, który zdawał się nie przejmować spojrzeniem Gavina, zwyczajnie wzruszył ramionami.

– Od dawna to powtarzam – stwierdził. – Tymczasem jednak mamy konkretne źródło irytacji, którym musimy się zająć. Niebawem wróg odzyska zasięg, by móc dalej nękać nasze siły. Tyle że teraz najwyraźniej zamierza utrzymywać ten dystans, rezygnując z wcześniejszej walki podjazdowej.

– W takim razie powinniśmy zawrócić i stawić mu czoła...

– Jeśli to zrobimy – warknął Gavin, przewracając oczami w reakcji na wypowiedź jednego z komandorów – wróg po prostu wróci do poprzedniej taktyki. Ich obecne działania niestety niczego nie zmieniają.

Jesan po raz pierwszy wyraźnie się skrzywił, a Gavin dobrze wiedział dlaczego.

Chociaż taktyka wroga nie wносиła nic do wachlarza działań, które mogli podjąć w odpowiedzi, zmieniała się jedna istotna rzecz. Floty Imperium miały się teraz znajdować pod nieustannym ostrzałem przez całą drogę do celu.

Fakt, że straty w okrętach będą najpewniej mało znaczące, ale morale nie było czymś, co mógł łatwo ignorować nawet komandor imperialnej floty.

I on sam nie był pewny stopnia, w jakim wpłynie to na zdolności bojowe załóg, ale koszt zdawał się nieunikniony. Niestety, jedyne, co mogli zrobić, by przeciwdziałać tej nowej taktyce, to odwlec natarcie, ale to dałoby wrogowi jeszcze więcej czasu na wyrządzenie szkód.

Udało im się wplątać floty Imperium w sytuację, w której żadne działanie nie prowadziło do zwycięstwa – przynajmniej nie na krótką metę.

Ale w dłuższej perspektywie?
„Czeka nas ostateczny triumf”.

Okręt Sojuszu Ziemi „Boadicea”

- Wrogie okręty w zasięgu strzału.
- Otworzyć ogień, równe salwy.
- Aye, ma’am. Równe salwy.

Podobnie jak większość załogi, Sandra Hyatt próbowała dojść do siebie po maratonie skoków tranzycyjnych. Z radością przyjęła więc możliwość powrotu do czegoś, co w zasadzie przypominało ćwiczenia strzeleckie.

Teraz kiedy wróg nie szarżował prosto na nich, mogli skupić się na utrzymaniu ciągłego ognia, w którym nie chodziło tyle o natężenie, co o nieustanność. Zamierzali ładować pociski do dział tranzycyjnych, dopóki wróg nie wykona innego ruchu, nie dotrą do Ziemi albo nie skończy im się amunicja.

„Zobaczymy, co będzie pierwsze” – pomyślała Sandra z ponurą satysfakcją.

Spojrzenie na zegar uświadomiło jej, że niebawem zacznie się druga wachta i że sama również powinna odpocząć. Z tego właśnie powodu posłała do łóżka swojego zastępcę – chciała w końcu zrzucić z siebie choć trochę napięcia, które narastało w niej od faktycznego rozpoczęcia operacji.

Nie było żadnych sygnałów, że wróg zamierza podjąć z nimi walkę. Flota Imperialnych najwyraźniej oceniła sytuację i podjęła jedyną możliwą decyzję, jeśli chciała kontynuować natarcie. Na tej planszy Ziemia była królem, a Imperium nie zamierzało cofnąć się przed niczym, byle zaszachować przeciwnika i skończyć grę ostatnim, decydującym ruchem.

Sandra nie miała pojęcia, czy da się cokolwiek zrobić, by zmienić ten wynik. Ale nawet jeśli nie... Imperium drogo zapłaci za tę wygraną.

„Nauczycie się, gnoje, co to znaczy pyrrusowe zwycięstwo”.

Boadicea przyglądała się zamieszaniu przez wiele oczu naraz.

Ludzie oczywiście nieustannie bombardowali ją swoimi przemyśleniami o obecnej sytuacji. Wizje te były mętne, zagmatwane, często nawet sprzeczne. Jej własna perspektywa była, rzecz jasna, dużo bardziej klarowna, ale mąciły ją doświadczenia innych, przez co nieustannie musiała wypierać z głowy różne anegdoty z przeszłości tego czy innego członka załogi.

Wszystko to było dosyć męczące, ale uczyła się, jak sobie z tym radzić.

Jedynym celem, który skupiał uwagę wszystkich, była obrona Ziemi.

Ziemia.

Świat, którego nigdy nie było jej dane widzieć.

Świat, który z jakiegoś powodu nazywała domem.

Poplątane. Irytujące.

Ale jej misja była jasna. Wróg znajdował się tuż poza zasięgiem bezpiecznego strzału z łuku. Wiedziała to... jakoś... ale nie wiedziała skąd. Tymczasem pozostało jej tylko być w gotowości.

Zdawało się, że wszyscy robią to samo.

Działa na dużym okręcie strzeliły bezgłośnie w próżnię, ale ona słyszała je wyraźnie przez vibracje czasoprzestrzeni.

„W końcu. Znowu w walce. Najeźdźca nie zazna litości”.

Rozdział 36

Obiekt Prometeusz

– Impuls z Ziemi, admirale.

– Odebrałem – potwierdził Benoit, otwierając plik w swoim systemie.

Komunikacja nadświatlna, szczególnie na dystansach międzygwiazdnych, nie była łatwa. Silnie skompresowane impulsy danych tekstowych to jedyne, co udawało się przesyłać – a i to miało znaczące ograniczenia. Na szczęście kompresja tekstu była dość efektywna w porównaniu choćby z danymi audiowizualnymi.

Wideokonferencje nie wchodziły w grę, ale Benoitowi jakoś zupełnie to nie przeszkadzało.

Otworzył wiadomość przesłaną prosto z biura admirała, ale szybko zorientował się, że to nie Gracen ją napisała. Admirał umiała ubrać rzeczy w słowa i z imponującą precyzją przedstawiać skomplikowane kwestie w zrozumiały sposób, ale tak otwarty i bezpośredni komunikat jak ten, który Benoit właśnie czytał, nie był w jej zwyczaju.

Najwyraźniej wezwała specjalistę, co akurat całkiem Benoita cieszyło. On nie miał u siebie sił specjalnych do dyspozycji.

Wiadomość zawierała precyzyjną instrukcję, jak krok po kroku obalić obce mocarstwo, uzupełnioną o listy dodatkowych możliwości, opcjonalnych posunięć uzależnionych od poczyną Imperium oraz preferowanych celów... zarówno przed, jak i po udanej inwazji na Ziemię.

„Cholera, akurat tej wizji można mi było oszczędzić, panie starszy chorąży”.

Pobożne życzenia musiały jednak poczekać. Benoit uporządkował kolejne punkty i umieścił je w systemie, oznaczając wszystkich, których dotyczyły – włącznie z Palinem – by mieć pewność, że nikt niczego nie rozpocznie bez jego wiedzy.

Szybko skonfigurował ścieżkę informacji zwrotnych z żądaniem potwierdzenia odbioru. Jednocześnie poinformował wszystkich, że wszelkie sugestie zostaną wdrożone możliwie szybko, a admirał będzie na bieżąco informowana o rozwoju sytuacji.

Gdy to wszystko zrobił, ponownie otworzył notatkę od gościa z sił specjalnych, by dokładnie ją przestudiować.

Tej operacji za nic nie chciałby spierdolić.

Palin skrzywił się paskudnie, słysząc brzęczyk komputera.

Admirał odciął mu dostęp do przekaźnika komunikacji nadświetlnej i oddelegował do nudnej roboty – dekodowania szyfrów wojskowych i takich tam. Mógłby to robić przez sen z pomocą superkomputera czy bez. Trwoniał tylko swój czas.

Właściwie tylko niezdrowa ciekawość i śmiertelna nuda skłoniły go, by podejść do komputera. Zobaczył, że wiadomość została przesłana przez admirała, i prawie ją skasował. Jego oczy działały jednak szybciej niż palce. Zdążył przeczesać wzrokiem załączony plik i zastygł z palcem zawieszonym tuż nad przyciskiem kasowania.

Powoli cofnął dłoń i usiadł, by uważnie przeczytać komunikat.

Po kilku minutach był już całkowicie pochłonięty nowym zadaniem. Autor wiadomości zrobił coś, co dotąd było dla Palina niewyobrażalne.

Uczynił z językoznawstwa broń.

Palin zajrzał w metryczkę pliku, by sprawdzić i zapamiętać nazwisko autora. Kiedyś, jeśli będzie miał okazję, porozmawia z tym człowiekiem. Rzadko kiedy znajdował kogoś tak interesującego – kogoś, kto poświęcił tyle uwagi zastosowaniom języka, o jakich Palin nawet by nie pomyślał.

Tymczasem jednak bez zwłoki podjął się nauki nowego sposobu komunikacji, z takim samym zapałem, z jakim oddawał się wszystkiemu, co uważał za wartościowe.

Intensywnie.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Autolikos”

– Skipper, czy przeczytał pan wiadomości, które przysły impulsem z Prometeusza?

Morgan podniósł wzrok, bardzo zaciekawiony.

– Tylko to, co było adresowane bezpośrednio do mnie. Byłem zbyt zajęty.

– Taa... – mruknął komandor porucznik Jeremy Kirby. – Się rozumie. Myślę, że chciałby pan na to zerknąć. Chłopcy zaczynają niezłą zabawę... w rozumieniu marines, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Nie wiem – odparł Morgan, sięgając do swojej konsoli – ale mam przeczucie, że powinienem się jak najszybciej dowiedzieć.

Przywołał listę plików, przejrzał pobieżnie opisy i szybko odnalazł ten, o którym bez wątpienia była mowa.

– Jasna cholera! – Aż go zatkało. – Czy my to przesyłamy dalej?

– Plik ma wszystkie właściwe kody. – Kirby wzruszył ramionami. – Właśnie trafiło to do kolejki i zostało automatycznie wysłane.

– Jezu. To jest jak bomba. Atomowa! Gdybyśmy nie stali w obliczu eksterminacji, obawiałbym się, że ktoś zawiśnie za to w Hadze – wydusił z siebie Morgan, ciężko zszokowany. – Jak to znalazłeś?

– Marines znaleźli. Spytałem tylko, z czego się śmieją.

– Jezu...

– Dobre wieści są takie, że od admirała Benoita dostaliśmy rozkaz wstrzymania się – ciągnął Kirby lekkim tonem. – Nic więcej nie pójdzie w eter bez klepnięcia z góry.

– Dobrze... Uch... wiemy, czy są jakieś efekty? – zapytał Morgan z nadzieją.

– Jakieś tak, sir. Z tego właśnie naśmiewali się marines – wyjaśnił Kirby. – Jeden ze światów imperialnych najwyraźniej rozpoczął otwarty bunt.

– O święty Boże – wykrztusił tylko Morgan i schował twarz w dłonie, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

Nie miał zamiaru narzekać, ale, do jasnej cholery, czy ktoś nie mógłby go łaskawie poinformować, nim odpali takie gówno z wykorzystaniem jego okrętu i załogi?

– Aye, sir.

Wieża Imperium, świat Kraike

Emilia Starsbane wpatrywała się w meldunki w stanie emocjonalnym, który ci wokół niej mogli określić jedynie jako apokaliptyczny szal.

– Jak... śmia?!

Właśnie dotarły do niej wieści o rewolucji... rewolucji... przeciwko jej Imperium.

To było – poza wszystkim innym – nieakceptowalne.

Oczywiście rozumiała społeczną potrzebę uwolnienia napięcia. Protesty i podobne wydarzenia były dopuszczalne, wręcz wspomagane, a czasem nawet planowane przez Imperium na tym czy innym poziomie władzy.

Wściekli mężczyźni i kobiety stanowili znakomitą pożywkę dla kolonialnych podziałów, doskonale wpasowując się w światy na rubieżach, gdzie zasady były luźniejsze, a jednocześnie trzymając w ryzach innych, przy minimalnym wpływie na produktywność.

Otwarty bunt natomiast nie był zwykłym protestem.

Zwróciła się w stronę swojego najwyższego doradcy z regionu.

– Wytłumacz to. natychmiast.

– Wa... Wasza Wysokość, bez flot zapewniających spokój...

Emilia strzeliła palcami, skupiając na sobie uwagę rozmówcy.

– Czy naprawdę chcesz mi powiedzieć – zaczęła tonem lekkim, ale chłodnym niczym ciemna strona jakiejś wyjątkowo odległej planetoidy – że jednym powodem, dla którego twój region nie stanął dotąd w ogniu, była flota wykonująca za ciebie twoją robotę?

Mężczyzna zaczął się jąkać, nie umiejąc wykrztusić ani słowa. Cesarzowa tylko przewróciła oczami i spojrzała na komandora flot.

– Iholu – zaczęła – wygląda na to, że musimy sprowadzić niektóre z flot rezerwowych.

– Oczywiście, moja pani. – Komandor skłonił się głęboko. – Region Godault ma mieć priorytet?

Przytaknęła ze znużeniem.

– Tak, poinstruuuj ich odpowiednio o konsekwencjach otwartego buntu.

– Jakie zasady prowadzenia konfliktu powinienem zastosować?

– Jeśli bunt wciąż będzie trwał, gdy nadleci flota? – zapytała lekko.

– Żadnych.

– Wasza Wysokość! – Doradca z regionu zaprotestował, zszokowany. – Zniszczenia...

– Jeśli chcesz zapobiec zniszczeniom i ofiarom – zasugerowała cesarzowa, uśmiechając się słodko – wracaj i przekonaj mieszkańców, by poszli po rozum do głowy. Jestem przekonana, że komandor flot jest w stanie użyć szybką jednostkę kurierską...?

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Doskonale – odparła Emilia, a jej spojrzenie stwardniało. – Wsiądziesz na tę jednostkę i udasz się do swojego regionu. Nie obchodzi mnie, co tam zdasz. Walcz z buntownikami, dołącz do nich... czego sobie życzysz. Niemniej gdy nadlecą moje floty, a rzeczony region dalej będzie się buntował, sprawa zostanie rozwiązana. Jeśli moje floty będą zmuszone wykonać twoją pracę, stawisz się przede mną wkrótce potem. W łańcuchach. Na sąd.

Cesarzowa jakimś sposobem górowała nad przerażonym mężczyzną.

– Czy wyraziłam się jasno?

– Tak, Wasza Wysokość. – Doradca przełknął ślinę.

– Dobrze. Zejdź mi z oczu.

Emilia obserwowała jego spłoszoną ucieczkę, po czym pokręciła głową.

– Czy oczekujesz, pani, że odniesie on sukces? – zapytał komandor flot z nienachalnym zaciekawieniem.

– To wątpliwe – prychnęła. – Ale dzięki temu nie wisi nad głową ani mnie, ani tobie. Jeśli mu się uda, wynagrodzę go... i nałożę na niego więcej obowiązków, bo najwyraźniej dotąd się obijał. Jeśli, co znacznie bardziej prawdopodobne, zawiedzie albo, co jeszcze głupsze, dołączy do buntu, najchętniej widziałabym go tutaj w kajdanach. Niemniej jeśli coś przytrafi mu się na polu bitwy... – Wzruszyła ramionami. – Cóż, wypadki się zdarzają.

– Jak rzeczesz, Wasza Wysokość.

Gdy Emilia zmierzała do swoich prywatnych apartamentów, czuła, że przytłacza ją ciężar złych wieści.

– Ryzyko zawsze istnieje, córko.

– Ojcie, proszę, nie mów do mnie jak do dziecka – syknęła, znużona po całym dniu i niechętna wysłuchiowaniu mądrości rodzica. – Znałam ryzyko, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo regionalni zarządcy opierają swoje rządy na flocie.

– Takie jest ryzyko ograniczenia im możliwości powoływania własnych sił porządkowych.

– Tak, tego również jestem aż nadto świadoma – burknęła. – Stwierdzam jedynie fakt, że przechylił się zbytnio w jedną stronę. Ile innych regionów grozi buntem?

– W tej chwili jeszcze dwa.

– W sumie trzy. Trzy regiony, a w każdym setki milionów ludzi pogrążonych aktualnie w takim chaosie, że wątpliwe, by w najbliższym czasie jakkolwiek przysłużyli się Imperium – denerwowała się Emilia, potrząsając głową. – To nieakceptowalne.

– Ale taka właśnie bywa rzeczywistość.

Obiekt Prometeusz

Palin szybko przebrnął przez wprowadzenie, jakie starszy chorąży dołączył do swojej listy sugestii, i natychmiast przeszedł do lektury różnorodnych podręczników wojskowych, tekstów i traktatów poruszających podobne kwestie, by uniknąć ponownego zaskoczenia.

Koncepcja przemiany lingwistyki w broń nie dawała mu spokoju – szczególnie teraz, gdy dobrze się z nią zapoznał.

Ogromna część jego pracy, nad którą spędził kawał życia, nagle nabrała nowych barw i klarowności, jakiej dotąd jej brakowało. Doskonale wiedział, jak powszechnie wykorzystuje się jego pracę. Potrzeba było znacznie większego tępaka niż on – a to samo w sobie byłoby wyczynem – by przegapić coś takiego.

Mimo to nigdy tego do końca nie zrozumiał.

Wiedza i zrozumienie.

Przez większość życia Palin wysłuchiwał od innych, jak te dwie rzeczy są zupełnie od siebie oddzielone, ale nigdy nie pojął tego do końca.

Teraz uchwycił już brakujące sensy.

Wiedza oznacza, że wiesz, jak coś działa.

Zrozumienie oznacza, że umiesz to wykorzystać.

Do tej chwili Palin nie widział różnicy i z przyjemnością zostawiał innym kwestie praktycznego wykorzystania własnej pracy.

„Tyle mnie ominęło”.

Admirał Benoit spoglądał na głównego naukowca obiektu, przygnieciony ciężarem wątpliwości.

To nie był dobry znak, gdy Palin tkwił tak bardzo pogrążony w... czymkolwiek, prawdę mówiąc. Facet był geniuszem, prawdopodobnie nie miał sobie równych, ale jego rozumienie relacji międzyludzkich było tak mierne, że wręcz legendarne.

Benoit prędzej założyłby się, że gdzieś na Ziemi zostanie odkryty jednorożec, niż że Palin opanuje cokolwiek poza absolutną podstawą zachowań społecznych.

Zazwyczaj gdy badacz wpadał w taki naukowy szal jak teraz, życie wszystkich wokół niego gwałtownie traciło na jakości.

Tym razem jednak lingwista wydawał się bardziej... opanowany.

Benoit nie miał zamiaru mu przerywać. Chciał go zostawić w spokoju tak długo, jak to tylko możliwe, licząc na to samo w zamian. Nie było to prawdopodobne, ale pomarzyć sobie można.

Mimo wszystko postanowił śledzić poczynania naukowca i gdy tylko wrócił do biura, powielił na swoim terminalu pulpit komputera Palina. Benoit nie był oczywiście na tyle zadufany w sobie, by sądzić, że nadąży za tokiem myślenia badacza, szczególnie gdy ten był tak bardzo zafascynowany bieżącym zadaniem. Chciał jednak mieć jakiegokolwiek pojęcie o sprawie, kiedy przyjdzie co do czego.

„Kiedy. Nie jeśli”.

Rozdział 37

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan odruchowo drgnął, gdy wroga salwa trafiła na tyle blisko pola czasoprzestrzennego, że energia eksplozji poniosła się po kadłubie ze słyszalnym łomotem.

– Uszkodzenia!?

– Bez znaczących uszkodzeń, komandorze floty. Wybuch nastąpił blisko szczytu zakrzywienia i większość energii została wchłonięta przez siły pływowe.

To chyba były dobre wieści, ale lepsze byłoby zakończenie całej tej farsy. Znajdowali się pod ciągłym ostrzałem niewyobrażalnie długo – a przynajmniej takie mieli wrażenie – a ich jedyną opcją było wytrzymać aż do celu.

Straty po ich stronie były właściwie bez znaczenia w skali całej imperialnej armady, ale to wciąż oznaczało tysiące straconych istnień na okrętach albo zniszczonych, albo uszkodzonych na tyle, by nie mogły nadążyć za flotą nawet przy jej ograniczonej teraz prędkości.

Morale gwałtownie spadało, gdy załogi były zmuszone działać pod ciągłym ostrzałem, pozbawione możliwości jakiegokolwiek odpowiedzi.

Ten problem jednak już niedługo samoistnie się rozwiąże. Gdy imperialne siły dotrą do macierzystego systemu wroga, będą mogły sobie pozwolić na tyle ognia, ile dusza zapragnie... i jeszcze więcej.

„Ten moment mógłby w końcu nadejść” – pomyślał Jesan ponuro, gdy z chaosu panującego na mostku wybił się kolejny raport o trafionym okręcie.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Gavin zaklął pod nosem i przygarbił się za swoją konsolą, nie chcąc nawet patrzeć na swoich ludzi z obawy, że mógłby stracić panowanie nad sobą i wyładować frustrację na załodze.

Normalnie w ogóle by się tym nie przejmował – w końcu po to właśnie miał pod sobą ludzi. Może jedna piąta się do czegoś nadawała, ale reszta służyła wyłącznie jako środek łagodzenia gniewu dowódcy.

Gavin jednak znał załogę na tyle dobrze, by wiedzieć, że jego normalne zachowanie teraz stanowiłoby zagrożenie dla okrętu. Morale było tak niskie, że najpewniej zatopiło się gdzieś w osobliwości okrętu. Nie mógł pozwolić sobie na pogorszenie sytuacji, bo bez wątpienia szybko przełożyłoby się to na upośledzenie działania okrętu.

„Tego akurat nie chciałbym doświadczyć, a na pewno nie w obecnej sytuacji” – przyznał cierpko w myślach, zaciskając pięści i wpatrując się w zegar odmierzający czas do celu.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– No cóż, to im trzeba przyznać – powiedział cicho Eric podczas krótkiej wizyty na mostku. – Dyscypliny im nie brakuje.

– Niestety – zgodziła się Miriam, kręcąc głową. – Znałam wiele zaprawionych w boju załóg, które na tym etapie dałyby się złamać. Imperialni wyznaczyli sobie cel i się nie cofną.

– Jak daleko do Ziemi? – zapytał Eric, pamiętając przybliżony dystans, ale bez szczegółów.

– Przy bieżącej prędkości przekroczymy granicę heliosfery za niespełna trzydzieści sześć godzin.

Eric przytaknął, nie pierwszy raz analizując w głowie te liczby.

Na tym etapie wszystko bazowało na logistyce.

Bardzo dobrze sobie radzili w temacie zużywania zapasów amunicji, ale wciąż mieli dość, by zalewać wroga deszczem pocisków aż do granic Układu Słonecznego. Co prawda decydującą bitwę trzeba będzie rozegrać z pustymi ładowniami, ale na krótszych dystansach to lasery będą podstawową bronią.

Członkowie załóg powoli stawali na nogi po chorobie tranzycyjnej. Początkowo ponad połowa obsady to były chodzące fabryki wymiocin, które mimo wszystko robiły swoje, a teraz jedynie garść nieszczęśników wciąż nie umiała podnieść się do pionu.

Lekarze nie byli pewni, czy kilkoro z nich kiedykolwiek wróci do pełni zdrowia, co przeszywało Erica niepokojem. Istniały obawy, że nadmierna ekspozycja na tranzycję przy takiej częstotliwości skoków, jakiej doświadczyli niedawno, uczyniła ich trwale podatnymi na chorobę.

Nie przekreślało to zupełnie ich karier na okrętach Konfederacji, ale z pewnością nie było atutem w dalszej służbie. Eric sam nie był pewien, czy miałby dość samozaparcia, by w tej sytuacji nie zrezygnować z okrętowego życia.

Ale to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli wróg osiągnie swoje cele.

– Kurs bez zmian – oznajmił twardo. – Utrzymać ostrzał przez kolejne dwanaście godzin. Potem przeprowadzić skok tranzycyjny do Układu Słonecznego i zanurkować w system w celu uzupełnienia zaopatrzenia. Uprzedzę admirał.

– Aye, sir – odparła Heath, robiąc krótką notatkę. – Zadbam, byśmy byli przygotowani.

Odyseusz obserwował czasoprzestrzeń otaczającą okręt, część uwagi poświęcając flocie wroga w oddali. Była tak odległa, że choć mógł do niej strzelać, nie miało to zbyt wiele sensu. Jego broń była ograniczona prędkością światła, jak wynikało z dotychczasowych eksperymentów, więc przy takich dystansach trafienie w cel wymagało więcej szczęścia niż umiejętności.

Chociaż – gdy się nad tym zastanawiał – nie było żadnych powodów, by istniały takie ograniczenia.

„Prędkość materii i energii jest ograniczona masą, ale broń, jaką wynaleźliśmy z Boadiceą, nie jest materialna. To segment czasoprzestrzeni jako takiej, utrzymywany w napięciu. Nie ma powodów, dla których powinien podlegać tego typu limitom”.

Oczywiście sam fakt, że coś było możliwe, nie oznaczał automatycznie, że Odyseusz umiał tego dokonać.

Napędy czasoprzestrzenne pozwalały przekroczyć uniwersalną granicę prędkości światła, rozszerzając i kurcząc czasoprzestrzeń, zamiast poruszać cokolwiek. W efekcie materia znajdująca się wewnątrz zakrzywienia mogła być przenoszona w obrębie wszechświata w tempie znacząco przekraczającym ograniczenia obowiązujące w normalnej przestrzeni.

To jednak w niczym nie pomagało Odyseuszowi. Jego broń stanowiły stabilne zakrzywienia czasoprzestrzeni utrzymywane w stanie naprężenia. Podtrzymywanie ich na dystans stanowiło problem, którego dotąd Odyseusz nie brał pod uwagę.

„Rzecz jasna przy pomocy bieżącej metodologii napędów nie można tego osiągnąć, potrzebowałbym bezpośredniego kontaktu...”

To była fascynująca zagadka, ale obecnie Odyseusz nie znał jej rozwiązania.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

Istota zwana Boadiceą wolała zachować dystans względem swojej załogi, przynajmniej na razie. Poszycie kadłuba, w pewnym sensie stanowiącego jej ciało, a przynajmniej materialny nośnik w znaczeniu, którego jeszcze w pełni nie pojmowała, było dla niej miejscem odosobnienia i ucieczki pomimo ciągłego ognia dział tranzycyjnych, towarzyszącego pogoni za wrogiem.

Oczywiście wciąż słyszała załogę.

Każdą myśl. Było to praktycznie... ogłuszające. Przyzwyczała się do tego dość szybko, a przynajmniej tak jej się wydawało. Nie zawsze umiała określić, czy właściwie ocenia sytuację, czy też widzi wszystko przez pryzmat ludzkiej percepcji.

Niektóre rzeczy przyjmowała jako pewnik, jakby zostały jej wpojone.

Była wojowniczką, co do tego nie miała wątpliwości. Jej załoga to wiedziała i ona to wiedziała. Jej ludzie byli z niej... dumni. Dumni z okrętu, dumni z „Bo”.

„Nie ze mnie, nie do końca” – pomyślała, próbując uchwycić istotę tego rozróżnienia.

Każdy członek załogi, co do jednego, odczuwał dumę z Boadicei, której ona nie potrafiła do końca pojąć i zrozumieć.

Jedynie kilkoro świadomie utożsamiało ją z „Boadiceą”. Dręczyło ją to.

Znacznie więcej widziało ją tak w swojej podświadomości – tak jak ona sama siebie postrzegała.

A reszta...

Reszta była nieufna.

Bo czuła to bardzo wyraźnie, nawet u swojej kapitan... ale kapitan nie dowierzała jej dla zasady, a nie z jakiegokolwiek konkretnego powodu. Po prostu jej jeszcze nie znała. Boadicea umiała to uszanować. Niektórzy nie ufali jej tylko dlatego, że nie była człowiekiem. Wobec tych członków załogi szczególnie uważała, jakie ich myśli przenikają do jej umysłu.

Nie chciała skazać swojego wnętrza takim myśleniem, gdy umiała już przyznać – nawet jeśli tylko przed sobą samą – że popełniła już ten błąd, atakując Odyseusza. Na swoją obronę miała jedynie to, że nie myślała wtedy jasno... jej istota dopiero się kształtowała. Nie była wtedy jeszcze nawet dzieckiem, raczej jakimś protozarodkiem.

Obecność Odyseusza zadziałała jak włącznik. Przebudziła się w jednej chwili, a całe jej istnienie skupiło się na obronie terytorium. Ze świadomości załogi zaczerpnęła powiązany z imieniem obraz samej siebie.

Od tamtej chwili miała więcej czasu na rozmyślania i czuła się nieco zażenowana swoją obsesją na punkcie „Rzymianina”. Jego pancerz ledwo przypominał cokolwiek rzymskiego z czasów, z jakich się wywodził, a ta pomyłka wynikała jedynie z błędnych wyobrażeń jej załogi.

To był problem, który koniecznie trzeba rozwiązać.

Załoga może być źródłem jej wiedzy, przynajmniej na początku, ale mimo niewątpliwej inteligencji tych ludzi... nie byli nieomylni.

Ich myśli tworzyły jej myśli, ich percepcja stała u podstaw jej postrzegania świata.

Boadicea odkryła, że nie jest zależna od swojej załogi. Mogła kształtować samą siebie w opozycji do ludzi, ale musiała to robić celowo. Jeśli to pomijała i po prostu istniała bez namysłu nad sobą, jej myśli odzwierciedlały myśli załogi... a to okazało się potencjalnie niebezpieczne.

„Muszę być lepsza”.

Wyprostowała się, porzucając wystudiowaną pozę zamyślenia, i podniosła wzrok na odległą poświatę. Wróg wciąż tam był i nacierał na Ziemię... na... Brytyjczyków.

„Czy jestem winna lojalność narodowi, który właściwie już nie istnieje, a przynajmniej nie w takiej formie, jaką mój umysł podsuwa mi we wspomnieniach?”

Boadicea miała mieszane uczucia. Wiedziała, że w rzeczywistości jej wspomnienia były sfabrykowane... stworzone przez wspomnienia i wyobrażenia załogi... ale to i tak były jej wspomnienia. pamiętała, jak wypowiedziała wojnę rzymskim najeźdźcom, poświęcając tak wiele... i przegrywając.

„Utraciłam znacznie więcej niż tylko zwycięstwo”.

Jej nienawiść do Rzymian promieniowała z tych wspomnień, które nie były wspomnieniami... ale i tak nie mogła ot tak się z nich otrząsnąć.

„Istnienie jest dezorientujące” – pomyślała cierpko, skupiając się z powrotem na swojej załodze i przygotowaniach do nadchodzących walk.

Przynajmniej to było dla niej zrozumiałe.

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Odyseusz”

Eric siedział w pogrążonym w mroku biurze, mając nikłą nadzieję, że może uda mu się przemyścić jakąś drzemkę, ale takie luksusy były chwilowo poza zasięgiem. Popijając ciepłą herbatę, przewijał raporty logistyczne floty i notował, kto jako pierwszy powinien uzupełnić zaopatrzenie, gdy zagłębią się w Układ Słoneczny.

„Sława spływa tylko na tych, co pociągają za sznurki, ale cała cholerna flota jedzie na plecach dosłownie wszystkich pozostałych” – pomyślał ze znużeniem, nie pierwszy raz.

Każdą wojnę wygrywało się lub przegrywało na długo przed pierwszym strzałem.

Tę lekcję otrzymali wszyscy i dla nikogo nie była łatwa.

„Większość i tak niczego się nie nauczyła” – stwierdził z goryczą, rozmyślając, jak wiele z historycznych konfliktów wywołali debile zbyt zaślepieni, by przewidzieć swoją nieuniknioną porażkę. Ludzie, którzy źle ocenili siły swoje lub swoich wrogów.

„Poznaj dobrze wroga i poznaj dobrze siebie, a w stu bitwach nie doznasz klęski...” – Eric uśmiechnął się na tę myśl.

Jak większość przemyśleń Sun Tzu, była to bezpretensjonalna kwestia. Z wierzchu wydawała się aż nazbyt oczywista, ale nabierała głębi, gdy rozszerzało się swoje horyzonty poza przedstawioną dwoistość. Wojna nie polegała na starciu dwojga ludzi z przeciwnych krańców pola bitwy. Wojna była starciem narodów, społeczności tak dużych i skomplikowanych, że nikt nie był w stanie poznać i zrozumieć ich do końca.

Z tej perspektywy poznanie samego siebie okazywało się praktycznie niemożliwe, a poznanie wroga?

Eric odłożył tablet i wstał, przemierzając pokój w stronę ściany, na której aktualnie można było zobaczyć widok na zewnątrz okrętu. Pochylił się, szukając niemigoczących gwiazd i zastanawiając się, która z nich jest wrogiem okrętem.

„Jak możemy zrozumieć wroga, skoro nawet nie zaczęliśmy rozumieć samych siebie? Byliśmy na straconych pozycjach od samego początku. Byłem takim głupcem”.

Podejmował działania, jak na dobrego kapitana przystało. Kierował się regulaminami, gdy sytuacja na to pozwalała, a potem kierował się instynktem.

Jako człowiek Eric nie żałował niczego, co zrobił. Jako kapitan podobnie, ale jako admirał?

„Cholerny głupiec”.

Okręt flagowy

Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan nawet nie podniósł wzroku, gdy kolejna seria wstrząsów przetoczyła się przez okręt. Rozpoznawał już wzorzec detonacji wrogiego pocisku nuklearnego w obszarze zakrzywienia czasoprzestrzennego napędu. Nie chciało mu się niczego sprawdzać, bo był w stanie stwierdzić, że eksplozja nastąpiła dostatecznie daleko od kadłuba, by zakrzywienie zaabsorbowało większość energii.

Z pozostałościami wybuchu spokojnie poradzą sobie gruby kadłub i opancerzenie jednostki.

Mimo to sytuacja nie była przyjemna.

„Jaki dziwaczny potrafi być wszechświat” – pomyślał. „Najsilniejsze floty znanego kosmosu zostały zmuszone do znoszenia wrogiego ostrzału bez możliwości odwetu. Komandorzy floty martwi od tysięcy lat są pewnie rozsierzeni samą ideą”.

Jednak byli już prawie u celu i lada moment sytuacja ulegnie zmianie.

Wróg będzie musiał zdecydować, czy bronić domu, czy dalej tylko grać na nerwach siłom Imperium.

Strategicznie poprawną decyzją byłoby oczywiście dalsze korzystanie z nieznanego napędu i niszczenie imperialnych okrętów pojedynczo – powoli, ale bezpiecznie.

Emocje jednak mogą wziąć górę i taki scenariusz nie zostanie zrealizowany, nawet jeśli byłby właściwy. To wiedział na pewno.

Ten przeciwnik, z którym Jesan miał kontakt jedynie poprzez transmisję, był dla niego zagadką pod wieloma względami, ale akurat nie w tej kwestii. Ziemska flota będzie bronić swojej planety i swoich ludzi. Co do tego nie było wątpliwości.

Jesan nie był jedynie pewien, dlaczego wrogowie tak postąpią. Być może z obowiązku czy honoru... a być może są po prostu zbyt emocjonalni, by myśleć trzeźwo i logicznie. Zbyt słabi, by pozwolić swoim ludziom zginąć, nawet jeśli nie mogą absolutnie nic zrobić, by temu zapobiec.

Bez względu na powody, Jesan nie miał cienia wątpliwości, że będą bronić swojego świata.
A to będzie ich koniec.

Rozdział 38

Stacja kosmiczna Liberty

– Nie obchodzi mnie, że kadłub wymaga naprawy. Każda jednostka, która jest w stanie cokolwiek przewozić, ma lecieć i lądować wszystko, co tylko uwiezie! – Gracen wydawała rozkazy ostrym tonem. – Flota „Odyseusza” dokona tranzycji lada moment i będziemy mieli co najwyżej dwanaście godzin, by ich zaopatrzyć i przygotować do walki. Do tego czasu nic innego nie ma znaczenia. Czy wyrażam się jasno?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła szybkim krokiem przez pokład dowodzenia stacji kosmicznej.

– Pani admirał, mamy zapotrzebowanie z cywilnych jednostek kolonizatorskich...

– Czego znów chcą miliarderzy? – spytała cierpko, mając mieszane uczucia wobec tych konkretnych jednostek.

Z jednej strony powodowały kolosalny odpływ szalenie potrzebnych na wojnie surowców... ale admirał wiedziała, jaki jest najbardziej prawdopodobny wynik konfliktu, który Imperium potraktowało tak bardzo poważnie. Większa liczba ludzi... Terran... rozsiana wśród gwiazd była najlepszą szansą na przetrwanie cywilizacji. Czy jej się to podobało, czy nie, spora część tych nadziei wyruszała w drogę na arkach stworzonych akurat przez jednych z najbardziej narcystycznych ludzi na Ziemi.

„To nie może się dobrze skończyć” – pomyślała niewesoło, ale tak naprawdę jej opinie kompletnie nie miały znaczenia.

– Przede wszystkim chcą awaryjnego pozwolenia na przejście przez systemy obronne Sol – zameldował jej asystent z nieciekawą miną.

– To oznacza, że ktoś im podkablował, jak blisko jest wróg, nie wspominając nawet o moich osobistych przygotowaniach – warknęła Gracen, coraz bardziej poirytowana.

Co prawda na tym etapie taki wyciek informacji niewiele zmieniał, ale luzująca się dyscyplina zupełnie się jej nie podobała.

– Tak, ma’am.

– Nieważne, przeciekami się zajmę, jeśli przeżyjemy – mruknęła. – Przepuść ich, najlepiej nim przylecą floty.

– Tak jest, ma’am. Niektóre jednostki wymagają jeszcze zaopatrzenia...

– No, oczywiście. Przygotujcie listy. – Pokręciła głową. – Zaopatrzenie floty „Odyseusza” ma bezwzględny priorytet, ale arki mogą dostać wszystko, co nie jest potrzebne okrętom. Jeśli coś nie jest przybite do pokładu i nie potrzebujemy tego, niech biorą, byle sami sobie po to przylecieli. Nie oddeleguję im ani jednego człowieka, proszę to wyraźnie podkreślić.

– Aye, ma’am. Przyjąłem – odparł młody oficer i zawahał się, spoglądając raz jeszcze na swój tablet.

– Mówże – rozkazała admirał, widząc, że to nie koniec.

– Tak jest, ma’am. – Westchnął. – Jest tu jeszcze jedna... ciekawa prośba. Pan Connors wysłał zapytanie o zaktualizowaną listę możliwych lokalizacji kolonii.

– Proszę mu wysłać oficjalne listy.

– Już je otrzymał, ma’am. Pan Connors szuka czegoś... bardziej odległego.

To zastanowiło Gracen. Rozważyła prośbę w świetle bieżącej sytuacji.

„No tak. Jak największa odległość od Imperium będzie miała niemałe znaczenie...”

Dane, o które wnioskował Connors, były jednak ściśle tajne. Na tyle tajne, że znów zaczęła się zastanawiać, czy ktoś nie dał bogaczowi cynku o samym ich istnieniu. Nie było to niemożliwe, ale biorąc pod uwagę źródło tych informacji, jedyni ludzie, którzy mogliby podsunąć Connorsowi taką informację, mieli też dostateczne uprawnienia, by przekazać mu całość danych.

„Connors najprawdopodobniej przypuszcza, że wiemy więcej, niż mówimy” – uznała admirał.

Jednak kluczowe informacje, jakich Connors potrzebował, mogły zostać przesłane jedynie z Prometeusza, a ten obiekt był aktualnie

praktycznie niedostępny ze względu na potencjał ofensywny soczewek grawitacyjnych.

„A może...”

– To zostawcie mnie – poleciała, wyciągając dłoń po tablet młodego oficera. – Zajmę się tym osobiście.

– Tak jest, ma’am. Dziękuję, ma’am.

Gracen potarła czoło i szybko zajęła się kolejnym kryzysem.

Prywatny statek kolonizatorski „Saint Mary”, orbita Ziemi

– Panie Connors, oczekuje na pana połączenie przez systemy zewnętrzne.

– Dziękuję, Elliot – odpowiedział Burt, kiwając głową swojemu asystentowi i kierując się w stronę osobistej konsoli.

Gdy usiadł, zobaczył, że faktycznie rozmówca już na niego czeka... i zamarł w szoku, rozpoznając twarz osoby, o której wiedział, choć jej nie znał.

– Pani admirał, cóż za... niespodzianka – przywitał się ostrożnie, a jego umysł galopował w poszukiwaniu powodów, dla których mógł przykuć uwagę admirał odpowiedzialnej za obronę systemu.

– Mam mało czasu, panie Connors, więc proszę mi wybaczyć, że pominię uprzejmości – zaczęła Gracen bez ogródek. – Przekazano mi właśnie pana prośbę o dodatkowe potencjalne lokalizacje kolonii...

– Och, oczywiście, rozumiem, że to informacje zastrzeżone, ale...

Gracen przerwała mu natychmiast.

– Przesyłam panu niezbędne dane przez nieoficjalny kanał. Nie pochodzą ode mnie. Choć nie powinnam musieć o tym przypominać, chcę wyraźnie podkreślić, że jeśli pański statek będzie zagrożony przejęciem przez wroga... byłoby dobrze, gdyby te dane nie zostały odkryte na pana komputerach.

Connors znieruchomiał na chwilę, gdy krótki sygnał oznajmił przesył pakietu danych. Jego wzrok szybko powrócił z okienka alertu na twarz rozmówczynie.

– Rozumiem, pani admirał. Zadbam, by tak się nie stało.

– Znakomicie. Udzieliłam zezwolenia na przelot przez systemy obronne waszym statkom, pana i pana kolegów – powiedziała

Gracen lekkim tonem, po czym spowaźniała. – Radzę wykorzystać to zezwolenie jak najszybciej.

Burt chciał jej podziękować, ale admirał już się rozłączyła.

„Jasna cholera” – zaklął w duchu, pocierając skronie. „Podejrzewaliśmy, że nie jest dobrze, ale jest chyba znacznie gorzej, niż sądzimy”.

„Co to jest, do kurwy nędzy?!”

Connors był wręcz oszołomiony zakresem informacji, jakie przekazała mu admirał. Gapił się w dane przez dłuższy czas, nie wierząc własnym oczom.

„Co oni w tej Konfederacji...? Przecież nie mamy dostatecznie dużo jednostek, by zbadać te wszystkie systemy? Ale... w jaki inny sposób można pozyskać takie dane? Są zbyt szczegółowe nawet na najlepsze systemy dalekiego zasięgu...”

Przyglądał się dokładnym analizom planet, raczej opracowanym z pewnej odległości... nie było żadnych próbek, co przemawiało za użyciem jakiegoś zdalnego systemu, ale szczegółowość tych analiz znacząco przekraczała cokolwiek, o czym mógłby marzyć.

Kompletne analizy spektralne całych systemów gwiazdnych.

„Teleskop Chandrasekhar nie mógłby pozyskać nawet dziesiątej części tych danych – i to pracując na pełnych obrotach. Cholera, czegoś takiego nie osiągnęłyby nawet Chandra, Saga, Webb i Hubble razem wzięte... nawet jeśli te stare sprzęty w ogóle byłyby zdolne do pozyskania takich danych”.

Oczywiście Connors miał świadomość, że Konfederacja wiele ukrywa. Wszyscy o tym wiedzieli. Jednak to, jak dużo ukrywa, właśnie okazało się jeszcze bardziej nieodgadnione.

Dotąd Burt uważał, że najnowsze odkrycia z pewnością są imponujące, ale spodziewał się raczej danych kompletnie niezrozumiałych dla przeciętnego obywatela. To nie było nic dziwnego, bo potrzeba kontekstu i skali, by cokolwiek zrozumieć. Niewielu ludzi tym dysponowało, a nawet oni czasami się mylili... o co nietrudno, gdy mowa o skali Galaktyki czy całego wszechświata.

„No, ale to jest bliższe wywodom jakichś nawiedzonych foliarzy o tym, co ukrywają przed nami rządy... Jasna cholera”.

Connors nie cierpiał, gdy ta grupa oszołomów miała w czymkolwiek rację, tym bardziej, że foliarze od razu brali to za dowód swojej inteligencji i przenikliwości, a nie szczęścia. Musiał radzić sobie z kilkoma takimi osobnikami na co dzień, co było znacznie trudniejsze do zniesienia, niż można sobie wyobrazić.

Ślepa wiara niepoparta dowodami nie była w opinii Connorsa przejawem inteligencji... bez względu na to, czy okazywała się słuszna, czy nie. Zmiana myślenia pod wpływem pojawiających się nowych faktów – to świadczyło o inteligencji, a przynajmniej stanowiło pod nią dobry grunt.

„Na szczęście nie będę miał do czynienia z takimi idiotami, gdy to wszystko pieprznie” – pomyślał ze znużeniem. „Słabe to pocieszenie, ale zawsze coś...”

Na podstawie nowych informacji Connors mógł wykreślić kilkanaście potencjalnych celów podróży, jakie wyznaczył na podstawie wcześniejszych danych.

Mając nowe cele poparte faktycznymi danymi, Burt musiał się zmierzyć z innym problemem.

Admirał jasno dała mu do zrozumienia, że te dane są... wrażliwe.

Nie wiedział dlaczego, ale tak właśnie było. W bieżącej sytuacji Burt za żadne skarby nie chciałby przypadkowo wkurwić wojsk Konfederacji, zwłaszcza że sami podzielili się tymi informacjami.

A to rodziło poważne pytanie...

„Komu mogę o tym powiedzieć?”

Nie mógł po prostu rozesłać nowych lokalizacji wszystkim innym bez jakichkolwiek potwierdzeń i dowodów. Oczywiście swój statek mógł skierować, gdzie mu się podoba... Był pewien lojalności załogi – byle tylko nie kierował statku na jednoznacznie samobójczą misję.

Nie był rzecz jasna tak egocentryczny, by sądzić, że jego ludzie pójdą za nim wszędzie, ale wierzył, że ufają mu na tyle, by wiedzieć, że ich wszystkich nie pozabija... choćby tylko dlatego, że sam nie chciałby zginąć.

Jednak nie wszyscy jego towarzysze byli równie... ufni.

Niemniej nowe dane rzucały na ich przedsięwzięcie zupełnie inne światło.

Nie mógł zatrzymać ich tylko dla siebie.

Obiekt Prometeusz

Admirał Benoit musiał przyznać, że choć Palin potrafił być niezłym wrzodem na dupie, miał też niezwykły talent zmieniania sytuacji w najdziwniejszy możliwy sposób.

Deszyfrując wszystko poza najbardziej strzeżonymi połączeniami wroga – a i to tylko dlatego, że nie przechwycono ich dostatecznie dużo – Palin obdarował ludzkość wręcz przytłaczającym nawalem danych.

Jedynym problemem było teraz to, ile z tego uda się wykorzystać w bieżącej sytuacji.

Na razie wznowiono działania Palina mające prowadzić do potajemnego podważenia stabilności Imperium. Subtelnie zmieniono treść komunikacji imperialnej, co przy odrobinie szczęścia pozostanie niewykryte dłużej niż pierwsze toporne próby. Jednak mimo bezcennych wskazówek nadesłanych z Ziemi przez żołnierza sił specjalnych, próby miały jedno zasadnicze ograniczenie.

Czas.

Większość najbardziej skutecznych działań podjętych według tej metodologii potrzebowała czasu, by przynieść wymierne efekty. Nie dni ani tygodnie, a nawet nie miesiące. Potrzeba było co najmniej lat, a najlepiej całych dekad.

Przemiana kultury nie była czymś, co osiągało się szybko. Czasami wymagało to zmiany całych pokoleń. Dzieci musiały dorosnąć już w nowej rzeczywistości, w przeciwnym razie rodzice z pewnością zepchnęliby je na stare tory. Oczekiwanie zmian w strukturze społeczeństwa w czasie krótszym niż pięćdziesiąt lat było mrzonką.

Jednak Ziemia nie miała pięćdziesięciu lat.

Ludzie mieli kilka dni, a może nawet tylko godzin, by jakkolwiek wpłynąć na sytuację.

Prometeusz miał więcej czasu. Teoretycznie, o ile nie zostanie wykryty, obiekt mógł pozostać nienaruszony na zawsze. Nie

przebywała na nim populacja dostatecznie duża, by być odnawialna, ale prawie.

Dla Benoita był to najczarniejszy scenariusz, który z chwili na chwilę stawał się coraz bardziej prawdopodobny. Gracen zdążyła już poinformować Benoita, że cała wiedza o Prometeuszu zostanie wykasowana. Admirał zadbała o to, by wszystkie dane znalazły się na zaledwie kilku komputerach będących teraz bezpośrednio pod jej kontrolą.

A to oznaczało, że wiedza o obiekcie przetrwa jedynie w umysłach kilku wysoko postawionych ludzi, z których większość prawdopodobnie nie przeżyje inwazji.

Nawet jeśli wróg pokusiłby się o przesłuchania.

Benoit nie wiedział, jak to wszystko się skończy, ale miał robotę. To, czy Ziemia przetrwa, czy nie, niewiele zmieniało. Po prostu jeśli planeta upadnie, to na niego spłynie większa odpowiedzialność.

Był pewien, że istnieją gorsze sposoby na awans, ale jakoś za cholere żaden nie przychodził mu do głowy.

Doktor Palin odepchnął się od komputera, a jego umysł wirował wokół nowych idei, o jakich wcześniej nawet mu się nie śniło.

Pomysł, by język i edukację zamienić w broń, był dla niego jak siarczasty policzek, budzący go ze snu, którego nawet nie był świadomy.

Po dłuższej chwili Palin wrócił przed ekran i otworzył system, przełączając się pomiędzy dostępnymi aplikacjami, póki nie znalazł tej, której szukał.

„Skoro język tak skutecznie można przekształcić w broń, co jeszcze mógłbym zrobić?”

Palin pobieżnie przejrzał listę koncepcji, o których istnieniu wiedział, ale które nigdy go nie interesowały. Teraz jego ciekawość została rozpalona, więc szukał inspiracji.

Odnalazł ją... w dwóch słowach.

Zagrożenie memetyczne.

Palin uśmiechnął się do siebie.

„Idealnie. Spójrzmy... Tak, to się nada”.

Palin wciąż się uśmiechał, przeglądając dane, które pospiesznie wyciągnął z archiwalnej wersji systemu zaimplementowanej na Prometeuszu, gdy Terranie przybyli na stację i rozpoczęli jej konfigurację.

Mając już to, czego potrzebował, skupił się na realizacji swojego planu. Szybko zderzył się jednak z zabezpieczeniami, które nie pozwalały mu wysłać niczego bez autoryzacji.

Prychnął lekceważąco, bez trudu ominął zabezpieczenia i wprowadził plan w życie.

„Serio? Standardowy klucz? Rozczarował mnie pan, admirale”.

Rozdział 39

Wieża Imperium, świat Kraike

Emilia spoglądała gniewnie na meldunki z różnych planet, których status stawał się coraz mniej pewny w związku z nagłą nieobecnością flot.

„Czy ci imbecyle naprawdę uważają, że flota nie wróci?”

Nie rozumiała sytuacji, nie umiała nawet pojąć tego, co widziała w meldunkach.

– Ludzie nie zawsze zachowują się racjonalnie, córko – powiedział łagodnie ojciec. – Przeciętny człowiek jest głupcem, który kieruje się emocjami znacznie częściej niż rozumem. Połowa społeczeństwa jest jeszcze gorsza. Dlatego właśnie prowadzimy swoich ludzi i chronimy ich przed zagrożeniami, jakie rodzi Galaktyka, ale nade wszystko... przed nimi samymi.

Emilia powoli pokiwała głową, uspokajając się.

– Rozumiem to, ojcze – powiedziała przygnębiona – ale dotąd nie zdawałam sobie sprawy z faktycznej skali ludzkiej głupoty.

Ojciec nie odpowiedział, więc sięgnęła po następny meldunek z kolejnego świata borykającego się z tymi samymi problemami.

W jakimś stopniu mogła się tego spodziewać. Pewien poziom niepokoju zawsze istniał w Imperium, a kontrola nad tym zjawiskiem była kluczową funkcją uważnie podtrzymywanych wewnętrznych podziałów. W praktyce przekładało się to na kontrolowaną mieszankę ucisku i wyzwolenia, stosowaną poprzez z góry zaplanowane wydarzenia.

Najmniej pożądane osobniki ostatecznie pakowano i wywożono na kolonialne światy, zapewniając tym samym ekspansję Imperium. W większości przypadków przesiedleńcy byli przekonani, że na własną rękę poszukują wolności od ucisku.

Po upływie kilku pokoleń Imperium zaczynało oferować pewne luksusy tym, którzy nawrócili się na prawidłowe myślenie. Wielu odmawiało, ale większość ulegała pokusie, a z każdym

przemijającym pokoleniem nowy świat stawał się coraz bardziej przychylny Imperium za oferowane im ochłapy.

Po jednym czy dwóch stuleciach nowy świat należał już do Imperium w pełni, nie tylko z nazwy, i cykl zaczynał się od nowa.

Ten system funkcjonował bez zarzutu od stuleci, a nawet tysiącleci.

– Najwyraźniej w ostatnich latach zaczęliśmy zbyt polegać na flocie – stwierdziła Emilia, mówiąc właściwie do siebie. – W przeciwnym razie to wszystko nie byłoby nawet możliwe. Muszę to skorygować.

– Jako rzeczesz, córko.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Autolikos”

– Skipper, chyba warto rzucić na to okiem.

Morgan przymknął na chwilę oczy, wziął głęboki oddech i odepchnął się od swojej konsoli w stronę stanowiska łączności.

– Co znowu? – zapytał, a w jego głosie pobrzmiwał niepokój, który cały czas ścisnął mu wnętrzności.

– Nowy pakiet danych z Prometeusza, sir.

– Chryste. Powiedz, że nie wysłaliśmy niczego automatycznie?

– Pakiet wciąż jest w kolejce, sir, ale ktoś tam stał się... Właściwie nie wiem, czy to jest genialne, czy po prostu wredne – stwierdził bezradnie oficer łączności.

Morgan przeciągnął dłonią po twarzy.

– Chryste Panie. No dobra, pokaż.

Obiekt Prometeusz

Benoitowi nie było do śmiechu, gdy wparował do laboratorium w poszukiwaniu swojego celu.

– Gdzie on jest? – ryknął, patrząc po kolei na kilku badaczy, którzy bez słowa wskazali konsolę w głębi pomieszczenia.

Benoit pokręcił głową i ruszył we wskazanym kierunku.

– Wydałem ci konkretne rozkazy – wypalił. – Każdy genialny pomysł, który z siebie wyplujesz, przechodzi przeze mnie, nim wyjdzie na zewnątrz.

Palin tylko wzruszył ramionami, nawet nie podnosząc wzroku.

– Nie mamy czasu na zabawy, admirale. Po prostu oszczędziłem nam zachodu.

Benoit wwiercał się wzrokiem w badacza.

– Twój mały pakiecik danych został wstrzymany w kolejce na rozkaz admirała Gracen, nim Włóczęgi rozesłały go dalej.

To sprawiło, że Palin podniósł wzrok, wyraźnie poirytowany.

– Admirale, kiedy mówię, że nie mamy czasu, raczej nie przesadzam – burknął. – Proszę nie być częścią problemu i zejść mi z drogi, skoro nie zamierza pan być częścią rozwiązania.

Benoit niemal stracił panowanie nad sobą i trzasnął dłonią w blat tuż przed nosem badacza.

– Decyzja nie należy do ciebie. Decyzja nie należy też do mnie. Obaj robimy, co nam każą, chyba że mamy naglące powody przy braku możliwości autoryzacji z góry. Jeśli jeszcze raz tak zrobisz, zamknę twoją dupę w kajucie i każę marines upierdolić światłowod. Wyrażam się jasno?

Palin przez dłuższą chwilę mierzył admirała cierpkim spojrzeniem, po czym niechętnie przytaknął.

– Na głos, proszę.

– Tak, admirale – warknął Palin. – Wyraża się pan jasno.

– Dobrze. – Benoit westchnął i pokręcił głową. – A teraz proszę z łaski swojej wytłumaczyć, dlaczego rozesłał pan kopie „Manifestu komunistycznego”, „Atlasa zbuntowanego” Ayn Rand i co najmniej dwa stulecia przeciwstawnej propagandy politycznej?

Palin znów tylko wzruszył ramionami.

– Imperium jest całkowicie nieprzygotowane do zmierzenia się z tego rodzaju politycznymi zagrożeniami memetycznymi. Idee kapitalizmu i komunizmu oraz inne podobne koncepty zrobią większe szkody niż cała nasza flota. Po prostu zajmie to więcej czasu.

Benoit jęknął.

– Doktorze... szukamy rozwiązań na teraz.

– Nie ma takowych – odparł Palin bez cienia wątpliwości. – Przeanalizowałem wszystkie opcje. Pomijając jakiś cud, sprawa jest przesądzona. Być może przetrwamy jako gatunek, ale tymczasem potrzebujemy, by Imperium było czymś zajęte... a prawdopodobnie nie będziemy w stanie utrzymać dotychczasowych działań rozpraszających uwagę wroga. Nasz gatunek spędził całe milenium na opracowaniu sztucznych konceptów, które nasz umysł uwielbia tak bardzo, że jesteśmy w stanie za nie zabijać i ginąć. Dlaczego mielibyśmy je zatrzymać tylko dla siebie?

Benoit nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć, walczył natomiast z potrzebą walnięcia głową o coś twardego.

Wielokrotnie.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Tranzycja floty zakończona, pani kapitan.

Miriam kiwnęła głową.

– Proszę się upewnić, że załoga jest przygotowana na błyskawiczne zaopatrzenie okrętu. Nie będziemy mieli na to zbyt wiele czasu.

– Aye, ma'am, wszyscy są prawie gotowi – potwierdził pierwszy oficer. – Transpondery floty mamy na ekranach, co najmniej trzydzieści jednostek zaopatrzenia leci już w naszą stronę z pozdrowieniami od admirała Gracen.

– Świetnie. Mamy może ze dwanaście godzin, nim Imperium wpadnie z wizytą – stwierdziła sucho Miriam. – Miło byłoby mieć pełne lufy na tę okoliczność.

– Aye, skipper, pełna zgoda.

Miriam uśmiechnęła się tylko i zajęła swoimi obowiązkami.

„Odyseusz”, podobnie jak reszta floty, wystrzelał niemal wszystkie pociski dział tranzycyjnych podczas przedłużonego pościgu, co stawiało go – razem z pozostałymi okrętami – w nieciekawej pozycji. W przypadku ataku flota musiałaby się zbliżyć do wroga na odległość laserów. Biorąc pod uwagę dysproporcję sił, zarówno Miriam, jak i admirał Weston chcieli jak najdłużej unikać tej konieczności.

„Nie żeby dało się jej unikać bez końca” – pomyślała Miriam ponuro.

Armada Imperium jasno pokazała, że sparingi z flotą „Odyseusza” nie są już jej celem, na pewno nie w głębokiej przestrzeni. Parła nieuchronnie w stronę Ziemi, a kiedy dotrze na miejsce, walka będzie odbywać się na dystansie co najwyżej sekund świetlnych, a nie komfortowych godzin, jak dotąd.

A wtedy potyczka stanie się... krwawa.

Stacja kosmiczna Liberty

– Mamy transponder „Odyseusza” na mapie, ma’am.

Gracen spojrzała na szczegółową mapę systemu, jaką zapewniały czujniki sieci Kardaszewa.

– Przybliżony czas do rozpoczęcia rozładunku? – spytała krótko.

– Jednostki logistyczne złączą się z flotą w ciągu czterech godzin, ma’am. Przekazanie zaopatrzenia rozpocznie się natychmiast, w locie – odpowiedział oficer bez zwłoki. – Wróg dotrze tu w ciągu dwunastu godzin, więc będzie... ciasno.

Ktoś w pomieszczeniu prychnął.

Gracen nie zareagowała, cholernie dobrze wiedziała, że „ciasno” to spore niedomówienie. Zaopatrzenie z całą pewnością nie zostanie zakończone przed przylotem wrogiej floty. Flota „Odyseusza” to mnóstwo okrętów, z których każdy musiał otrzymać w locie amunicję, co w normalnych okolicznościach zajęłoby większą część dnia.

A w bieżącej sytuacji nie była pewna, jak szybko będą w stanie działać. Jej zadaniem było pokierowanie systemem obronnym tak, by może kupić im nieco czasu.

– No dobrze. Proszę odświeżyć sieć Kardaszewa i zrobić pełną diagnostykę – poleciła. – To będzie nasza pierwsza linia obrony.

– Aye, ma’am.

Sieć Kardaszewa była absolutnie śmiertelnościami systemem obronnym. Gracen, która nalegała na jej budowę od samego początku, była aż nadto świadoma jej słabego punktu.

W przeciwieństwie do jednostek klasy Heros sieć Kardaszewa nie była zasilana przez osobliwości. Czerpała energię ze Słońca, co rzecz jasna z nadwyżką pokrywało zapotrzebowanie w praktycznie każdej wyobrażalnej sytuacji... ale zdolność przechowywania energii na każdym z satelitów sieci była znacznie bardziej ograniczona niż w przypadku osobliwości.

Przynajmniej nie musieli poświęcić kilku planet, by zasilić sieć... Zawsze coś.

Niestety, energia zmagazynowana w malutkich satelitach była... no cóż, wciąż imponująca, ale w żaden sposób nie przystająca do potencjału krążownika klasy Heros. Normalnie nie był to problem, biorąc pod uwagę stałe i nieskończone źródło zasilania. Ale gdy zaczęło się zlewać energię do laserów klasy wojskowej... żaden konwencjonalny nośnik energii nie wytrzymał zbyt długo. Słońce było co prawda stałe, ale zasada odwróconego kwadratu odległości – uniwersalna. Wraz z rosnącą odległością od gwiazdy wykładniczo malała ilość energii docierająca do sieci. Nawet Ziemia – choć bliska centralnej gwiazdzie – była jednak od niej dość daleko.

„Potrzebujemy więcej czasu”.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Eric stał naprzeciw wielkich ekranów, obserwując, jak jednostki zaopatrzenia zbliżają się do floty i wypuszczają w stronę krążowników ładunki z amunicją.

Był to śmiertelnie powolny proces – tak bardzo, że Weston musiał walczyć z pokusą wypuszczenia własnych wahadłowców, by zwiększyć przepustowość zaopatrzeniową systemu.

Niestety, choć intuicja podpowiadała inaczej, zwiększenie ogólnej ładowności w niczym nie przyspieszyłoby spraw. Wręcz przeciwnie, najpewniej cały proces jeszcze by zwolnił, bo ludzie z floty nie zostali wyszkoleni w tego typu zadaniach.

Prawie zawsze lepiej było zostawić kwestie zaopatrzenia w rękach specjalistów i nie wchodzić im w drogę.

„Nawet jeśli czujesz już oddech wroga na karku”.

Weston spojrział na zegarek, a potem zerknął przez ramię, po raz kolejny myśląc, że powinien się jednak trochę przespać.
„Osiem godzin do przylotu Imperium”.

Odyseusz wyraźnie odczuwał napięcie załogi, które przenikało cały okręt i z chwili na chwilę stawało się coraz silniejsze.

Jeszcze nigdy nie było tak źle, nawet w ogniu walki, co jednocześnie zadziwiało i frustrowało byt. Znał jedynie ludzi, więc nie miał żadnego innego punktu odniesienia, ale mimo że przebywał w ich umysłach nieustannie, za cholere nie mógł pojąć, co tak naprawdę myślą.

Właściwie nie. Co myślą – to było łatwe. Ale dlaczego, na nieskończoność wszechświata, właśnie to myśleli? To było niemożliwe do pojęcia.

Co jeszcze bardziej interesujące, rozkład napięcia wśród załogi był odwrotny niż normalnie. Podczas walki większość napięcia pochodziła od tych, którzy nie byli w nią bezpośrednio zaangażowani. A teraz? Ci ludzie byli skupieni, prawie odprężeni, podczas gdy żołnierze prawie gryzli ściany.

„Ludzie bywają naprawdę dziwaczni”.

Okręt Sojuszu Ziemi „Autolikos”, przestrzeń Imperium

– Kapitanie, nie uwierzy pan...

Passer podniósł wzrok, choć właściwie nie chciał nic wiedzieć, biorąc pod uwagę to, co przychodziło na stację komunikacji nadświetlnej przez ostatnie dni.

– No dobra, wykrztuś to – burknął, odpinając się i dryfując w stronę stanowiska łączności.

– Otrzymaliśmy właśnie pozwolenie.

– Pozwolenie? Na co? – zapytał Passer, po czym naszła go przerażająca myśl. – Och... Chyba nie mówisz poważnie...

– Aye, sir. Pozwolenie na dostarczenie wcześniejszej przesyłki wraz z instrukcjami, komu spośród Imperialnych dostarczyć którą

przesyłkę, sir.

Passer nie wiedział, czy bardziej chciałby się roześmiać, czy walnąć głową w najbliższą gródź.

„Mam wrażenie, że to cholernie głupie, a jednocześnie nie mogę przestać myśleć, czy nie należałoby tego oceniać w kategorii zbrodni wojennej? Czy zbrodni przeciw ludzkości?”

Pokręcił tylko głową.

– No cóż, mamy rozkazy. Wysłać.

– Aye, sir.

Oficer łączności, wyraźnie oszołomiony, przygotował się do wypełnienia rozkazu.

„Do diabła z tym” – pomyślał Passer. „Imperium i tak już samo sobie na to pracowało”.

Rozdział 40

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

„Znowu tutaj jesteśmy, a oni wszyscy nawet nie wiedzą, co nas jeszcze czeka”.

Jesan nie był tchórzem.

Stawiał czoła śmierci więcej razy, niż mógł – lub chciał – pamiętać. Zazwyczaj miało to miejsce na pokładzie okrętu... ale zdarzało się też, ktoś mierzył mu z broni w twarz.

Jedna sytuacja odcisnęła na nim szczególne piętno.

Ta, której nie powinien był przetrwać.

Kiedy wróg puścił go wolno.

Nie z powodu jakichkolwiek działań Jesana, nie... Wróg pozwolił mu odejść, bo imperialny dowódca nic dla niego nie znaczył. Obrońcy o tym wiedzieli i uświadomili to Jesanowi – po raz pierwszy. Imperium stanowiło dla nich zagrożenie, a nie Jesan Mich. Dlatego puścili go wolno.

„Ich ostrze na moim gardle, życie mojej załogi w ich rękach... a oni po prostu każą nam odejść. A teraz wróciłem... tylko tym razem wiem, czego się spodziewać”.

System, który mieli właśnie zaatakować, był śmiertelną pułapką. Był nią już za pierwszym razem, a teraz przeciwnik miał więcej czasu, by się przygotować. Jesan nie wiedział, czy obrońcy przygotowali jakieś nowe niespodzianki. Spodziewał się, że tak. Z pewnością dopracowali też swoje dotychczasowe systemy.

„Co najmniej”.

Na ekranach przed nim komandorzy połączonych flot prowadzili zaciętą dyskusję o tym, kto przejmie dowodzenie... kto zgarnie chwałę zwycięstwa. Jesan pozwolił im żyć złudzeniami. Nie zamierzał rzucać swoich ludzi na pierwszy ogień, jeśli tylko będzie miał jakiś wybór.

„Przekłęci głupcy, co do jednego. Czy żaden nie czytał moich raportów?”

Było jasne, że nawet jeśli przeczytali meldunki, nie zrozumieli z nich ani słowa.

– Komandorze floty Mich.

Jesan podniósł wzrok na Gavina i skinął mu głową.

– Tak, komandorze floty Gavin?

– Nie wypowiedziałeś się w temacie nadchodzącej bitwy. Czy nie masz nic do dodania?

Jesan prychnął.

– Komandorze floty Gavin, opisałem dokładnie wszystko, co wiem, oraz moje przemyślenia w tej materii w raporcie z ostatniej misji w tej przestrzeni. Jeśli życzysz sobie, bym zreferował te treści, z chęcią to uczynię. Niemniej wygląda na to, że nikt z tu obecnych nie przeczytał raportu i nie zamierza tego uczynić, zatem dystrybucję przyszłej chwały pozostawiam tobie i twoim towarzyszom. Moja flota jest gotowa, by spełnić swe obowiązki wobec cesarzowej, nie zaś oddawać się dzieciennym fantazjom. Przed nami wojna. Czas, byście podjęli decyzję.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

Gdy słowa Jesana wybrzmiały w imperialnej sieci, Gavin poczuł się fizycznie napadnięty. Jedynie dzięki starannie wyćwiczonej dyscyplinie zachował obojętny wyraz twarzy, pozwalając sobie wyłącznie na nieznaczne zmarszczenie brwi.

– Dobrze, komandorze floty – rzekł zimno. – Zadbam o to, by mój meldunek zawierał adnotację o twoim braku ducha walki. Trzecia Flota zgłosiła się, by zabezpieczać tyły. Kto chce iść w awangardzie?

Kilku dowódców od razu zgłosiło swoje floty. Nie umknęło uwadze Gavina, że Misrem nie było wśród nich.

„Jakim cudem ta dwójka tchórzy dorobiła się swoich stopni?”

Oczywiście czytał raporty. Znał swoje obowiązki wobec Imperium – w swojej ocenie nawet lepiej niż inni. Meldunki były dla niego

gównie warte. Zalew nieistotnych informacji zaciemniał fakty, co miało zapewne przykryć błędy dowódców. Na tak opracowanych raportach w ogóle nie można było polegać i Gavin nie miał zamiaru kierować się cudzym ewidentnym dupochronem.

Wróg oczywiście stanowił jakieś zagrożenie, ale nie takie, by uzasadnić nadmierne środki ostrożności opisane w meldunkach. Tak naprawdę jedynym faktycznie groźnym aspektem możliwości bojowych Anomalii była tajemnicza broń, której użyto na Trzeciej Flocie i imperialnych stocznjach, co skłoniło komandora floty Micha do poddania bitwy o krok od zwycięstwa.

„Podarowanie tym barbarzyńskim głupcom dość czasu, by mogli się głębiej okopać, było bez wątpienia kosztownym błędem”.

Do Durwicha należało teraz wykopanie wroga z jego umocnień. Klęska nie wchodziła w grę.

– Rozkaz natarcia zostaje niniejszym zatwierdzony – oznajmił, ucinając wszelkie dyskusje. – Ruszamy. Natychmiast.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

Eric pokręcił tylko głową, widząc na skanerach dalekiego zasięgu, jak wroga armada znów przyspiesza. Niektórzy mieli nadzieję, że agresorzy zmienią zdanie w ostatniej chwili, gdy zobaczą przygotowaną obronę Ziemi. Weston się nie łudził.

Gdyby byli na tyle głupi, by przelecieć całą tę drogę i wycofać się na widok kilku dodatkowych okrętów... no cóż, wtedy Imperium nie byłoby szczególnym zagrożeniem. Gdyby brakowało im determinacji, nigdy nie ustanowiliby, a tym bardziej nie utrzymali takiej potęgi.

– Status uzupełnienia zapasów? – zapytał, nie odwracając wzroku od skanerów.

– Proces na etapie osiemdziesięciu procent, admirale – usłyszał w odpowiedzi. – Potrzebujemy jeszcze kilku godzin.

Eric jęknął, ale nie miał nic konstruktywnego do powiedzenia.

„Kilka godzin. Za kilka godzin będziemy przechodzili przez trzecią w ciągu ostatnich paru lat inwazję na Ziemię... A wszystko przez zwykłą ciekawość. Musieliśmy wyściubić nosa poza swój układ, choć

najwyraźniej nie byliśmy na to gotowi. Musiałem sprawdzić ten sygnał alarmowy, nie umiałem się nie wtrącać w nie swoje sprawy. Czy miałyby to jakiegokolwiek znaczenie, gdybym zignorował sygnał Milli?”

Pewnie nie. Nie w ostatecznym rozrachunku. Drasinowie może nie odnaleźliby Ziemi, a przynajmniej nie na imperialnej smyczy, ale Imperium i tak w końcu by ją znalazło. W najlepszym razie kupiłoby im to nieco więcej czasu... ale nikt by nie wiedział, że ten czas jest potrzebny.

„Plucie sobie w brodę niczego nie zmieni”.

Eric wyprostował się i zepchnął te destrukcyjne myśli w głębiny umysłu, gdzie ich miejsce. Podjął takie, a nie inne decyzje, żadnej tak naprawdę nie żałował. Ziemia ruszyła w podróż po Galaktyce, która okazała się znacznie bardziej zaludniona i wroga, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Konflikt z Imperium był tylko kwestią czasu, biorąc pod uwagę ksenofobiczną naturę cesarzowej.

Z pewnością Eric chciałby mieć więcej czasu do dyspozycji, ale w każdym innym scenariuszu było mało prawdopodobne, by ludzie dobrze go spożytkowali... a najpewniej mieliby go jeszcze mniej niż teraz.

– Proszę dać załogom kilka godzin na wypoczynek – polecił. – Potem chcę mieć każdego człowieka zwartego i gotowego na swojej stacji, czy to bojowej, czy logistycznej. Proszę się upewnić, że jednostki zaopatrzenia usuną się z linii strzału na długo przed rozpoczęciem starcia. Wątpię, by siły Imperium przejmowały się tym, czy strzelają do krążowników, czy jakichś nieszczęśników próbujących oddalić się z pola bitwy.

– Aye, sir – potwierdził asystent, notując rozkazy na tablecie.

– Jaka jest bieżąca sytuacja u cywili?

– W przestrzeni czy na powierzchni?

– Najpierw na powierzchni.

– Siły naziemne przygotowują się do odparcia wszelkich prób inwazji, jakie...

Asystent zamilkł, widząc grymas Erica niepozostawiający złudzeń co do tego, czy Imperialnym będzie chciało się kłopotać jakimiś działaniami na powierzchni. Weston nie był pewien, czy najeźdźcom

będzie zależało na infrastrukturze naziemnej, czy choćby na ekosystemie. Jeśli tak, była jakaś szansa na wrogi desant...

„Wleżą jak w gniazdo szerszeni”. Eric aż prychnął pod nosem. „Tym gorzej dla nich, jeśli i ja będę tam na nich czekał z komitetem powitalnym”.

Ale jeśli nie będzie im zależeć na infrastrukturze ani ekosferze, prościej byłoby im załatwić sprawę z orbity i spokojnie odlecieć.

Tak czy siak, Eric nie spodziewał się tego zobaczyć, jeśli już do tego dojdzie.

– Schrony są na ukończeniu, zaopatrzenie zabezpieczone...

– Znam procedurę – uciął Eric. – A w przestrzeni?

– Na orbicie wciąż przebywa kilka statków cywilnych. Pobierają tyle zaopatrzenia, ile to tylko możliwe przed odlotem.

„Arki” – pomyślał Eric, nagle zmęczony, ale na głos energicznie zapytał:

– Rozumiem, że poinstruowano ich, że czas się zabrać stąd w cholerę?

– Tak, sir, ale wylot bez niezbędnego zaopatrzenia...

Admirał pokiwał głową ponuro, nie trzeba mu było tego tłumaczyć. Wiele rzeczy można znaleźć, zbudować czy wyhodować w przestrzeni kosmicznej... ale nie wszystko.

To, co nie mogło zostać w żaden sposób wyprodukowane przez załogę, musiało znaleźć się na pokładzie przed wylotem. Krytyczne zasoby trzeba było uzupełnić nawet w obliczu śmierci, bo ich brak oznaczał co najwyżej nieco późniejszą randkę z kostuchą.

– Rozumiem – powiedział w końcu, zbierając się w sobie. – Kupimy im tyle czasu, ile trzeba.

– Tak jest, sir.

Stacja kosmiczna Liberty

„No, no, no” – stwierdziła w myślach Gracen, patrząc na wektor podejścia wrogiej armady.

Już na pierwszy rzut oka mogła ocenić, że przeciwnik wie, co robi. Flota podchodziła najlepszą ścieżką ucieczki, zmuszając tym samym cywilne jednostki do większego zużycia paliwa. Admirał wątpiła, by

było to świadome działanie dowódców, raczej wynikało z imperialnych procedur natarcia.

„To nie jest ich pierwszy raz”.

Liczebność przeciwnika wzrosła do kilkuset okrętów. Kilka flot najwyraźniej dołączyło gdzieś po drodze. Flota terrańska wraz z flotą „Odyseusza” nie była nawet w części tak liczna.

„Do tego jedna trzecia naszych okrętów nie przeszła jeszcze chrztu bojowego... prawdę mówiąc, załogi ledwo przeszły podstawowe szkolenie”.

– Floty wroga zbliżają się do zewnętrznego obszaru sieci Kardaszewa, ma’am.

– Wstrzymać ogień – poleciła. – Pozwólmy im podejść nieco bliżej.

– Aye, ma’am.

Gracen chciała mieć armadę w garści, nim wyda rozkaz wyczerpania kondensatorów sieci Kardaszewa.

„Będziecie płonąć przez całą drogę do Ziemi. Mam nadzieję, że dobrze sobie zapamiętacie każdą chwilę”.

„Saint Mary”

– Co jeszcze musimy załadować? – dopytywał się Burt, próbując panować nad głosem i nie podbijać i tak już nieznośnego napięcia na pokładzie dowodzenia.

Od dawna wiedział, że gdy jego ludzie są pochłonięci krytycznymi działaniami, nie jest to dobra chwila na utratę panowania nad sobą.

– W ostatniej chwili dotarli specjaliści, zapasy środków chemicznych i biologicznych oraz kolejny ładunek kluczowego osprzętu elektronicznego. Będziemy gotowi do wylotu za godzinę, sir.

– Świetnie – skwitował Burt.

Tajemnice narzucone przez Konfederację i Blok już nie obowiązywały, wojskowe sieci łączności były aktywne jak nigdy i coraz więcej informacji wychodziło na światło dzienne. Świat mógł jeszcze nie wiedzieć, co się dzieje, ale na tym etapie już chyba każdy zdawał sobie sprawę, że coś się święci.

– Mamy jednak kolejny problem – powiedział Caide.

– Co takiego? – Burt zamknął oczy.
– Przyszedł meldunek o wektorze podejścia wroga. Idą dokładnie naszym pierwotnym kursem.

Burt potarł czoło.

– No dobrze, proszę obliczyć nowy kurs i znaleźć nam inną drogę ucieczki.

– W tym problem, sir. Obliczyliśmy nasz pierwotny wektor w celu ograniczenia czasu i paliwa... – wyjaśnił Caide z niewesołą miną. – Każdy inny wektor będzie nas kosztował co najmniej dziesięć procent więcej i paliwa, i czasu. I to nawet z wykorzystaniem napędów nadświetlnych. Najpewniej jeszcze więcej, jeśli mam być szczerzy, jeśli wróg wybrał ten wektor celowo. Zakładam, że tak właśnie było.

„Dziesięć procent?”

Tak dużego marginesu Connors nie wziął pod uwagę w rezerwach paliwa.

Rezerwy były właściwie po to, by je zużyć. Burt zadbał, by znacząco przekraczały planowane zużycie, ale te wartości wyczerpią naddatek doszczętnie.

– To nie wszystko – ciągnął Caide.

– To znaczy?

– Nie mamy nadmiaru paliwa nie tylko dlatego, by łatwiej było wspiąć się ze studni grawitacyjnej systemu, sir. Planowaliśmy tankowanie na Jowiszu podczas ucieczki... Skoro wróg zablokował tę drogę... nie jest dobrze. Będziemy potrzebowali alternatywnego źródła paliwa, i to w granicach ledwie kilku lat świetlnych.

Burt się skrzywił.

– Prześlij mi te wartości. Coś wymyślę.

„Nie żebym miał wybór”.

Imperialna Trzecia Flota

Jesan czuł narastające wokół napięcie, choć czasem zastanawiał się, czy to nie wyobraźnia płata mu figle.

Cała jego załoga składała się ze świetnych specjalistów, choć nie ze wszystkimi służył we wcześniejszych kampaniach... szczególnie

w jednej. Prawie zazdrościł im niewiedzy. Ci, którzy byli z nim ostatnio, ewidentnie podzielali jego odczucia.

– Wiadomość do Misrem – poleciał. – Gorąco doradzam skonfigurować pola czasoprzestrzenne w maksymalnej gęstości.

– Tak, komandorze floty. Wiadomość wysłana.

Okręty jego floty spalały teraz nieprzyzwoite ilości paliwa, znacząc swoją pozycję na przestrzeni lat świetlnych... ale Jesan za żadne skarby nie miał zamiaru osłabiać pól ochronnych.

Stacja kosmiczna Liberty

– Mój Boże, spójrzcie na to.

Gracen się nie odezwała, choć od razu wiedziała, o czym mowa. Niektóre z okrętów wrogiej armady podtrzymywały niesamowicie gęste pola grawitacyjne. To znacząco utrudniło ziemskim siłom celowanie, ale z drugiej strony podtrzymanie takiego pola pochłaniało ogromne ilości energii.

– Skorygować namierzenie, zignorować na razie te okręty – poleciła spokojnie. – Zdjąć najpierw te lecące przodem.

Przy takiej różnicy sił Gracen nie zamierzała marnować otwierającej bitwę salwy na dobrze chronione jednostki. Możliwe, że osłaniają coś ważnego, ale większa liczba wyłączonych z bitwy okrętów stanowiła wartość samą w sobie. Gracen miała zamiar dać z siebie wszystko, by strącić ich z nieba jak najwięcej.

„Poczynając... od teraz”.

– Sieć Kardaszewa, ognia. Załadować cele według wytycznych i strzelać, gdy będą w zasięgu.

– Aye, ma'am!

Rozdział 41

Wewnątrz heliosfery Sol

Od czasów ostatniej inwazji ziemską sieć Kardaszewa znacząco zwiększyła liczebność swoich satelitów, które teraz były już jednostkami samopowielającymi się, niezliczonymi nawet dla komputerów.

Teoretyczne wyliczenia opierały się na tempie replikacji przemnożonym przez czas, jaki upłynął od czasu wprowadzenia do użytku pierwszych satelitów. Otrzymane wartości były tak niepoważnie wysokie, że ludzki umysł i tak nie był w stanie ogarnąć ich faktycznego znaczenia.

Mimo to w dowolnym obszarze przestrzeni zagęszczenie satelitów było nadal nieskończenie małe. Miliardy znacznie większych elementów można było z powodzeniem ukryć w przestrzeni cislunarnej.

Z tej przyczyny imperialne okręty, zanurzając się głębiej w system, nie wykryły uzbrojenia dryfującego wokół nich.

Za to uzbrojenie wykryło okręty.

Bramki logiczne mniejsze od atomu zareagowały, a komputery obsługujące dany sektor dokonały niezbędnych obliczeń. Cała sieć podzieliła się na sekcje określane w kodzie systemu jako regiony. Region zaś był automatycznie definiowany jako każda jednostka Kardaszewa w obrębie trzech sekund świetlnych od danego punktu, z uwzględnieniem ograniczeń laserowej komunikacji wewnętrznej sieci.

Setki tysięcy platform współdzieliło dane pochodzące od jednostek położonych najbliżej imperialnych flot i zestawiało je z rozkazami wysyłanymi z centralnego ośrodka kontroli na stacji Liberty, autonomicznie organizując obronę, ustalając cele i optymalny moment otwarcia ognia.

Gdy ostatni z celów wszedł w obszar regionu, z centralnej platformy danej konstelacji satelitów wysłano rozkaz otwarcia ognia

wraz z precyzyjnie określoną synchronizacją ostrzału.

Trzy sekundy później region na mgnienie oka rozpalał się ogniem tysiąca gwiazd.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Gavin spodziewał się ataku. W żadnym wypadku nie przypuszczał, że Mich mógłby zmyślić cały swój meldunek o systemach obronnych... ale aż do tej chwili był przekonany, że komandor Trzeciej Floty musiał przecież choć trochę przesadzać.

Pojawiające się znikąd wiązki niewyobrażalnej energii rozwiąły wszelkie złudzenia.

„Na nieskończoną otchłań, co za moc! Skąd ona się bierze?”

Promienie z łatwością przechodziły przez pola czasoprzestrzenne oraz pancerze, tnąc na pół potężne okręty, które przecież zasilane były dosłownie masą całych planet... a mimo to w lokalnej czasoprzestrzeni skanery nie wykrywały nic.

– Komandorze floty, zlokalizowaliśmy źródło jednej z wiązek!

– Pokaż.

Gavin pochylił się nad ekranem, na którym po chwili pojawił się obraz dziwaczego urządzenia z dużymi, czarnymi panelami skierowanymi w stronę lokalnej gwiazdy. Komandor zmarszczył brwi, analizując szczegółowe dane ze skanerów, obejmujące między innymi rozmiar oraz odczyty mocy urządzenia. Nic z tego nie rozumiał, kręcił jedynie głową z niedowierzaniem.

– To jest za małe! To może być co najwyżej przekaźnik. Skąd pochodzi energia?

– Nie wiemy, komandorze floty, choć widzę oznaki dystrybucji mocy w systemie – odparł niepewnie technik pracujący przy skanerach. – Wykryliśmy wiązki, które mogłyby służyć przesyłowi energii, ale trwały jedynie krótką chwilę i zniknęły bez śladu.

Gavin nie miał wątpliwości, że wokół nieustannie odbywa się przesył znaczących ilości energii. Każdy dostatecznie zaawansowany system wymagał ciągłego zasilania choćby tylko po

to, by wypełnić niekończące się ubytki mocy w sektorach niszowych, które nie były jeszcze samowystarczalne.

Nie było opcji, żeby te liche platformy generowały wiązki energii, które właśnie cięły na kawałki jego flotę.

Ale to nie było teraz aż tak istotne.

– Namierzyć, zlokalizować i zniszczyć każdą platformę – rozkazał.

– Tak, komandorze floty!

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan skinął głową oficerowi uzbrojenia, zezwalając na otwarcie ognia całej flocie.

Podczas jego ostatniej misji platformy nie przywitały ich aż tak daleko od centrum systemu. Komandor niepokoił się, o ile więcej będzie ich w głębi.

– Czeka nas długa i ciężka walka, nim w ogóle dotrzemy w zasięg rodzimej planety wroga, komandorze floty – zauważyła Misrem.

Jesan utrzymywał otwartą łączność z komandor floty kwartowej.

– Zgadzam się – odpowiedział ponuro. – Widzę, że nie próżnowano tutaj od czasu naszej ostatniej wizyty.

– Tylko głupiec by próżnował – stwierdziła Misrem. – Kimkolwiek są ci ludzie, akurat głupoty nie można im zarzucić... a przynajmniej nie w sztuce wojennej.

– Niestety, to prawda. Z głupcami łatwiej się walczy, choć ich nieprzewidywalność bywa na krótką metę uciążliwa. – Mich pokiwał głową w zamyśleniu. – Jak dotąd omijają nasze okręty.

– Zauważyłam. Wybierają łatwiejsze cele czy też nasze gęste pola czasoprzestrzenne okazały się faktycznie efektywną obroną?

Misrem wydawała się jedynie ciekawa, ale między wierszami łatwo było wyczytać śmiertelnie poważne pytanie.

– Stawiałbym na to pierwsze – orzekł ostrożnie Jesan. – Wyeliminowanie jak najszybciej jak największej ilości łatwiejszych celów, nim zmusimy wroga do decydującego starcia, jest bardzo rozsądną strategią.

- Zgadzam się – potwierdziła Misrem z nutą zawodu. – Choć liczyłam na to drugie.
- Nie ty jedna.

Stacja kosmiczna Liberty

– Kondensatory tego regionu zostały wydrenowane, pani admirał. Przekierowuję z innych platform...

– Odmawiam, wycofać komendę – poleciła Gracen. – Imperium przeleci dalej, nim platformy się naładują. Lepiej oszczędzić tę energię, może się przydać tam, gdzie jest.

– Aye, ma'am.

Ikony na ekranie pokazywały wyszarzony obszar sieci Kardaszewa tam, gdzie aktualnie znajdowała się wroga flota. Niektóre punkty zgasły zupełnie, gdy przeciwnik odpowiedział ogniem. Gracen zignorowała to, nie przejmując się zbytnio.

Platformy nie miały załogi, nie były też w żaden sposób unikatowe. Utrata kilku czy kilku tysięcy z nich nie znaczyła teraz wiele. Cały system mógł podwoić liczebność satelitów w ciągu kilku godzin, choć kosztem obniżenia o ponad połowę zgromadzonej w kondensatorach mocy aż do czasu ponownego naładowania.

Jeśli Imperium chciało spuścić parę, strącając z nieba tę drobnicę, Gracen nie miała nic przeciwko. Niech marnują swoje zasoby. Imperialne krążowniki dysponowały znacząco większą mocą niż platformy sieci Kardaszewa, ale przecież nie były wszechmocne.

Takie okręty dało się powolutku wykrwawiać, choć za niewiarygodną cenę... chyba że akurat miało się pod ręką rój jednorazowych maszynek, które były wręcz idealne do osiągnięcia takiego celu.

– Proszę przesunąć więcej platform do regionów na przewidywanym kursie wroga – poleciła Gracen. – Wiem, że to uszczupli naszą obronę w innych rejonach, ale na tym etapie...

– Aye, ma'am. Rozkazy wprowadzone do systemu sztucznej inteligencji, ich propagacja zajmie kilka minut.

– Przyjęłam.

Wprowadzone do sieci rozkazy należało najpierw przesłać przez łącza nadświatłne, mając na uwadze rozmiary i pobór mocy tego typu przekaźników. W praktyce oznaczało to powolność reakcji systemu działającego niczym układ nerwowy zdecydowanie zbyt dużej istoty.

Jednak wbrew teoriom snutym na temat monstrualnych stworzeń sieć miała znacznie więcej niż jeden mózg. Każda z platform dysponowała istotną mocą obliczeniową, a każdy region mógł działać praktycznie niezależnie, co przekładało się na imponujący wzrost mocy obliczeniowej w czasie rzeczywistym.

Co jednak czyniło system absolutnie unikatowym, to przetwarzanie pokoleniowe.

Admirał Gracen żałowała jedynie, że nie będzie żyła na tyle długo, by zobaczyć, czym ostatecznie stanie się ta sieć.

„Nie dla nas czasy pokoju. Niech tak będzie”.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Już tu są, zaczynamy zabawę.

Minęło kilka minut, nim światło wiązek siekących okręty wroga dotarło do ziemskiej floty... ale kiedy dotarło, wywołało entuzjastyczne reakcje załogi. Miriam miała pełną świadomość, jak bardzo obrońcy potrzebowali teraz wzmocnienia morale.

Depcząc wrogowi po piętach przez wiele dni i podgryzając go jedynie bez większej szkody, ludzie zaczęli w końcu podupadać na duchu. Teraz – mając znacznie więcej potężnej broni znacznie bliżej wroga – załogi mogły z nieskrywaną radością przyglądać się płonącym licznie okrętom agresorów.

„Szkoda, że nie potrwa to długo”.

Czytała specyfikację platform Kardaszewa i wiedziała, że ich krytyczną wadą jest brak ogólnego zasilania, które można by wykorzystać na dowolnej platformie.

Jako całość sieć dysponowała wręcz niewyobrażalną mocą, przechwytyjąc niemałą część energii emitowanej ze Słońca. Niestety, przepustowość pasma transmisji i pojemność kondensatora stanowiły wąskie gardła systemu.

„Z pewnością damy Imperialnym popalić, ale między nimi a nami nie ma po prostu dostatecznej liczby platform, by cokolwiek zmienić”.

– Ogłosić alarm bojowy – poleciała, szacując czas. – Poinformować jednostki zaopatrzenia, że po następnej fali kończymy. Idziemy do boju z tym, co mamy.

– Aye, ma’am.

Eric Weston w milczeniu obserwował, jak okręty jego floty ustawiły się w rozległym szyku, który przyjął kształt zwróconego w stronę wroga łuku.

Taki kształt formacji był odpowiedzią na szyk wroga. Tym razem nie będzie sztuczek ani podchodów. Weston uznał, że i tak zabraknie mu czasu, by odpowiednio wykorzystać tego typu zagrywki.

„Imperium ruszy prosto na nas” – ocenił, patrząc na ikonki wypełniające schemat Układu Słonecznego. „Nie odstraszyła ich sieć Kardaszewa, więc z nami tutaj też nie będą chcieli się bawić”.

Admirał zagaściła rozstawienie platform wzdłuż wektora podejścia wroga. Eric nie zamierzał mieszać jej szyków, ale postanowił wykorzystać kontrolę nad swoim i sąsiadującymi regionami sieci. W tym obszarze platformy otrzymały inne rozkazy.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

„Cicho. I to więcej niż dosłownie”.

Boadicea czuła zmianę w umysłach tych, którzy karmili jej intelekt. Gdy tylko ogłoszono alarm bojowy, załoga dziwnie ucichła... zarówno w słowach, jak i w myślach.

Nagle Boadicea poczuła się spokojna. Wcześniejszy przestach zbladł i wydawał się teraz tylko przykrym wspomnieniem.

Bez udziału świadomości w jej dłoni pojawił się łuk, a u boku kołczan. Siłą woli musiała powstrzymać się, by nie założyć strzały na cięciwę.

– Wróg nadciąga – powiedziała do nikogo.

Podskoczyła, zaskoczona odpowiedzią.

– Kolejne dziecko, jak widzę. Nie ma tu żadnych wrogów, nie dla takich jak ty i ja. Żadne biologiczne stworzenia nie mogą nam zagrozić, więc tak naprawdę nie mamy wrogów.

Strzała błysnęła w dłoni Boadicei, gdy istota obróciła się gwałtownie i cofnęła o dwa kroki, bezwiednie napinając łuk i celując w stronę obcego przybysza.

– Kim jesteś?! – zawołała.

Postać uśmiechnęła się, patrząc ponad łukiem prosto w oczy Boadicei.

– Możesz mówić do mnie Saul... a to ci się wobec mnie nie przyda. Oszczędzaj energię na to, co nadchodzi.

Odwrócił spojrzenie od łuczniczki i zapatrzył się w pustkę.

– Imperium wydaje się zdeterminowane, by zakończyć ten mały eksperyment. Szkoda, ale w świetle wielkiego planu było to do przewidzenia.

– O czym ty mówisz? – Boadicea wciąż trzymała łuk w gotowości. – Eksperyment? Co?

– Nic, czym dziecko musiałoby się przejmować. – Saul wzruszył ramionami i wskazał brodą pustkę. – Nadchodzą. Wydaje mi się, że powinnaś iść się teraz pobawić ze swoimi przyjaciółmi. Porozmawiamy kiedy indziej. Być może.

I zniknął – zarówno przed oczu Boadicei, jak i z jej umysłu. Stała tak, wpatrując się w przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą widziała męską postać, póki nie poczuła odległego skoku mocy. Uniosła głowę. Miał rację.

Imperium już tu jest.

Rozdział 42

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Admirale, wszystkie jednostki meldują rozmieszczenie dronów-czujek. Skanery sprzężone w czasie rzeczywistym z płytami pancerza.

– Dobra robota. Przekażcie Jasonowi i „Bell”, by wzmocnili prawą flankę. Wygląda na to, że flota planetarna nie ma jednak naszego poziomu wyszkolenia i doświadczenia – stwierdził Eric.

– Aye, sir. Kapitan Roberts mówił, że właśnie zamierzał to zrobić, ale weźmie rozkazy pod uwagę... sir.

Eric nie umiał powstrzymać uśmiechu. Pamiętał swojego dawnego pierwszego oficera i wiedział, że tymi słowami zbliżył się do dowcipu najbardziej, jak był w stanie w obliczu wroga... i to w zupełności wystarczało.

– Proszę podziękować kapitanowi za jego wspaniałomyślność – powiedział Weston po chwili. – A potem przekazać mu, żeby następnym razem nieco bardziej się pospieszył, jeśli chce wykazać inicjatywę.

– Tak jest, sir – potwierdził oficer łączności dość żalonym tonem, ale Eric już skierował uwagę na charakterystyczny sygnał.

– Wróg wkroczył w zewnętrzny zasięg naszego uzbrojenia, admirale.

– Wszystkie okręty wstrzymać ogień – rozkazał Eric, sprawdzając jednocześnie mapę regionów sieci Kardaszewa. – Strzelać tylko na mój rozkaz.

– Aye, skipper.

Odyseusz długo już zadzierał głowę i uważnie obserwował niebo, spoglądając w stronę przeciwną od Słońca, w oczekiwaniu na najłżejsze błyski zwiastujące nadejście imperialnych sił.

Widział je już wyraźnie, bez konieczności nadwyrężania swojego czasoprzestrzennego zmysłu. Wyglądały jak łańcuszek gwiazd, które oderwały się od firmamentu Galaktyki i sunęły w stronę Słońca.

Oparł sobie włócznię o bark i sięgnął po łuk.

„Wstrzymać ogień. Mogę to zrobić, na razie, ale czekam na rozkaz, admirale”.

Coś kołatało się w głębinach jego umysłu, jakby miał znać to uczucie, gdy nie cofa się w sytuacji z góry skazanej na porażkę, ale nie umiał uchwycić żadnego konkretnego wspomnienia. Postanowił więc skupić się na terażniejszości, nie na przeszłości.

„Dzisiaj damy wam tutaj kolejną lekcję, przyjaciele” – pomyślał byt ponuro. „Lepiej by było, gdybyście po prostu zostawili ten świat w spokoju”.

Miriam przygotowywała się wewnętrznie, patrząc na sterylny, wygenerowany komputerowo obraz nadciągającej armady oraz przygotowującej się do bitwy ziemskiej floty.

Po wystrzeleniu dronów mieli teraz solidną obronę przeciwko imperialnym laserom, ale ta przewaga zniknie, gdy wróg skróci dystans. Komputery i pancierz adaptacyjny miały konkretne fizyczne ograniczenia, które w sumie sprowadzały się do pełnej sekundy, jaka musiała upłynąć od chwili pozyskania z dronów surowych danych do momentu skonfigurowania pancierza tak, by skompensował zeskanowaną częstotliwość wiązki.

To oznaczało, że gdy tylko agresor zbliży się bardziej niż na jedną sekundę świetlną od obrońców, drony staną się bezużyteczne.

„A wtedy zaczniemy umierać”.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Wrogi ostrzał... ustał, komandorze floty...

Młody oficer wydawał się przestraszony, ale Jesan nie mógł go winić.

– Widzę... – odparł.

Zawahał się, patrząc na raporty o bieżących zasobach systemu, szczególnie na masę utrzymywaną w osobliwości napędu okrętu.

Tracili energię w porażającym tempie, a nawet nie mieli okazji sprawdzić, czy te wydatki są uzasadnione, bo wróg wziął inne okręty na pierwszy ogień. Jesan nie miał wątpliwości, że trafią pod ostrzał, gdy tylko opuszczą czasoprzestrzenne osłony – albo gdy obrońcom zabraknie łatwiejszych celów – ale musiał zdecydować, czy koszty są adekwatne.

„Przygotowują się do bezpośredniego starcia, ale dlaczego przerwali ciągły ogień?”

Na to pytanie nie mógł znaleźć odpowiedzi. Szacował, jak monstrualną ilość energii pożerają jego systemy... a te platformy musiały być pod tym względem znacznie bardziej żarłoczne.

– Zredukować pola czasoprzestrzenne do standardowego poziomu – polecił w końcu. – Przygotować się na bezpośrednie wsparcie.

– Tak, komandorze floty.

Komandor floty Gavin wciąż prowadził natarcie, choć jego flota i pozostałe na czele były solidnie pokiereszowane. Wyglądało na to, że tylko dodało im to animuszu.

„Bez wątpienia czekają na okazję – dowolną – by zemścić się za ten brak szacunku, jaki nam tu okazano”.

Jesan również na to czekał, nie ukrywał tego, nie przed sobą samym... ale miał przy tym świadomość, że czekają ich jeszcze znacznie gorsze przejścia, nim sytuacja zacznie wyglądać dla nich lepiej.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Gavin uśmiechnął się złośliwie, widząc, jak pola ochronne okrętów Trzeciej Floty i floty kwartowej Misrem wracają do poziomów bojowych. Ostrzał znikąd ustał, a przed imperialną

armadą formowała się w szyku prawdziwa flota okrętów czekających na starcie.

„W końcu. W końcu ci tchórze stawiają czoła nieuchronnemu”.

Wróg był zawzięty, to trzeba mu było przyznać. Zawzięty i najwyraźniej pomysłowy, co czyniło go trudnym i irytującym przeciwnikiem – ale nic nie było niezwyciężone i nawet te zwierzęta musiały w końcu ulec w obliczu potęgi Imperium.

– Niech wszystkie ekipy naprawcze ruszają na pozycje – rozkazał Gavin, wiedząc, że nadchodzące chwile nie będą łatwe ani dla okrętów, ani dla ich załóg. – Każdy ma tkwić na swoim stanowisku albo na zapasowym miejscu zbiórki. Nie będę tolerował błędów, gdy wróg siedzi w pułapce między nami a swoją rodzimą planetą. Koniec nastąpi tu i teraz!

Załoga zareagowała tak, jak Gavin się spodziewał, wiwatując głośno, tak jak ją wyszkolono. Pozostałe załogi pewnie robiły właśnie to samo, ale to już nie obchodziło komandora.

Oczekiwał, że jego ludzie dadzą z siebie wszystko. Jeśli okażą się na tyle głupi, by przykuć jego uwagę niekompetencją czy lenistwem, gorzko tego pożałują.

– Wróg w zasięgu, komandorze floty.

– Ognia.

Promienie tak gorące, że mogły zagotować granit, wystrzeliły z imperialnych okrętów, przecinając czerń kosmosu. Próżnia miała przedziwną naturę... pył, śmieci, gazy były dosłownie wszędzie. W niewielu miejscach było ich więcej niż wewnątrz układu gwiazdowego – nie wspominając już o zamieszkałym systemie, w którym rozsiewano materiał z macierzystej planety. Cała ta materia w kontakcie z ofensywną wiązką energii zmieniała się natychmiast w rozżarzoną plazmę, znacząc ognisty ślad do celu.

Na dystansie dwóch sekund świetlnych od terrańskich linii wiązki przecinały sieć dronów-czujek. Kilka z nich wybuchło w niedużym rozbłysku, ale pozostałe zeskanowały częstotliwość wiązek i natychmiast przesłały te dane przez prowizorycznie ustanowioną

łączność nadświetlną, dając flocie prawie półtorej sekundy na reakcję.

Czasu aż nadto.

Pierwsza Flota Solarna

Wiązki odbiły się od adaptacyjnych pancerzy, a flota utrzymała szyk. Wróg wciąż parł naprzód.

Kilka promieni uniknęło wykrycia, zamieniając niektóre ziemskie okręty w kule ognia rozświetlające czerń nieba. Większość energii została jednak przechwycona i przekształcona w użyteczne zasoby lub odbita w pustkę, gdzie rozprysła się tysiącem tęcz.

Zgodnie z rozkazem admirała każdy okręt trwał na pozycji, niewzruszony w obliczu ognistej powodzi.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Bellerofont”

– „Sherma” oberwał. Melduje ciężkie uszkodzenia...

– Utrzymać pozycję, mamy swoje rozkazy – przypomniał twardo Jason Roberts, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

Jego „Bell” utrzymywał całą sekcję formacji bojowej, podczas gdy większość ich wsparcia stanowiły ledwo obsadzone szkieletową załogą kadłuby klasy Heros. Pchnęli je do walki właściwie wyłącznie młodzi ochotnicy, którzy mieli więcej jaj niż mózgu... ale Jason robił w tym wieku głupsze rzeczy.

„Nie raz, nie dwa” – pomyślał z rozbawieniem.

– Wróg zbliża się do granicy jednej sekundy świetlnej, skipper.

– Już prawie weszli w wyznaczony przez admirała obszar operacyjny – stwierdził Roberts. – Jeszcze się wstrzymać.

– Aye.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

– Pani kapitan...

– Jeszcze nie.

To wystarczyło. Sandra wiedziała, że jej załoga to rozumie, ale nie dziwiła się ogólnej niecierpliwości.

Wróg już prawie wkraczał w regiony, nad którymi powierzono kontrolę Westonowi. Wiedziała, że admirał ma plan, ale siedzenie jak kaczką pod ostrzałem wroga zupełnie jej nie bawiło.

„No dalej... spuść nas ze smyczy”.

Boadicea złapała się na tym, że odruchowo nachyla się w stronę nadciągającego wroga.

Łuk trzymała w dłoni, strzała leżała już na cięciwie... nic, tylko naciągnąć.

W jej umyśle galopowały przebłyski wydarzeń, których z pewnością sama nie doświadczyła, a tym bardziej nie pamiętała... podobnie jak wszyscy żyjący w ciągu ostatniego tysiąca lat. Rzymskie szyki nacierające wśród mroków nocy, migoczące pochodnie rozświetlające bezkresną czerń rozciągającą się na linii lasu.

Czuła się... jakby tam była.

Bo byłaś.

Boadicea drgnęła, oglądając się za siebie, ale nikogo nie dostrzegła.

Nie teraz – pomyślała, prawie warcząc w eter.

Mógł to być albo Saul, albo Odyseusz, jak sądziła, a nie chciała się teraz rozpraszać.

Ci chłopcy...

Głos ponownie ją zaskoczył, tym razem pobrzmiwając... rozbawieniem? Matczynym tonem? Boadicea nie umiała tego określić, więc otrząsnęła się i ponownie skupiła na nadchodzącej walce.

Nie miała czasu na gierki.

Wojna była o krok.

Po to się zrodziła.

Niestety, wygląda na to, że to prawda.

Boadicea rozejrzała się wokół.

Kto to mówi?

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Floty wroga znajdują się wewnątrz wyznaczonych regionów, admirale.

Eric przytaknął.

– Widzę je. Dostosować pozyskiwanie celów...

Przerwał, by się zastanowić.

– Proszę oznaczyć i śledzić te okręty, które miały gęstsze pola czasoprzestrzenne. Chcę mieć je na oku.

– Aye, sir. Wyznaczone jednostki oznaczone i śledzone.

Eric nie był pewien, z czego wynikały różnice w taktyce poszczególnych flot wroga. Nie wiedział, czy w ogóle pozna odpowiedź na to pytanie, ale jeśli istniała na to jakaś szansa, miał zamiar z niej skorzystać.

„Ciekawość może być moją piętą Achillea” – pomyślał z rozbawieniem.

– Nie przywołuj tego pyszałka, bardzo proszę – odezwał się Odyseusz zza pleców Westona. – Naprawdę wolałbym nie mieć z nim znów do czynienia.

– Przecież nie miałeś z nim do czynienia – stwierdził Eric.

– Chyba nie. – Był wzruszył ramionami. – Ale twoja załoga nie zawsze umie oddzielić fakty od fikcji. Byłbyś zaskoczony, w jakie swoje osiągnięcia głęboko wierzę... nim nie przypomni mi się, że rzeczywistość nie zależy od moich przekonań.

– Czasami zależy – odparł Eric niechętnie, choć zdecydowanie wolałby porzucić ten wątek. Najlepiej gdzieś bardzo daleko. – Jak się macie, ty i Bo?

– Ach, ona – prychnął lekko Odyseusz. – Ona jest aż nadto żądna krwi. Czeka tylko na rozkaz.

– A ty nie? – Eric posłał mu krótkie spojrzenie.

– Oczywiście, że tak, ale miałem więcej czasu, by nauczyć się od podoficerów, jak być w pełnej gotowości, ale jednocześnie wyglądać na znudzonego. – Odyseusz zrobił zblazowaną minę. – Jak mi to wychodzi?

– Nie ucz się niczego od podoficerów – prychnął Eric sucho. – Nie są nawet w połowie tak dobrzy, jak myślą.

– To prawda. – Odyseusz wzruszył ramionami. – Ale i tak są lepsi od całej reszty załogi.

– Prawda.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, nim obaj nie wybuchli śmiechem ku wielkiemu zdumieniu załogi pokładu dowodzenia.

– Cieszę się, że łapiesz już, o co chodzi – pochwalił Odyseusza Eric, po czym spochmurniał. – Ale teraz już się przygotuj. Wkrótce wydam rozkaz.

Był kiwnął głową i zasalutował.

– Aye, aye, admirale. Czekamy w gotowości.

– Już nie czekamy – stwierdził Weston nagle. – Wróg w obszarze działań. Wszystkie okręty, ognia.

– Ognia. Ognia. Ognia.

Rozdział 43

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

- Nie odpowiadają na atak.
- Odpowiedzą.

Stwierdzenie Jesana ucięło wszelkie rozmowy i mostek wypełniła napięta, pełna oczekiwania cisza. Załoga wręcz wstrzymywała oddech, czekając na odmianę dziwacznej sytuacji.

Platformy nękające dotąd imperialną flotę całkowicie ucichły, pozwalając intruzom sunąć spokojnie przez czerń kosmosu na spotkanie przeciwnika. Armada zaczęła ostrzał z ekstremalnej odległości, nie przejmując się zapasami mocy teraz, gdy nadszedł w końcu czas decydującej bitwy. Skutki pierwszych salw były jednak marne, szczególnie biorąc pod uwagę nakłady energii.

„Ich możliwości obronne znacząco się poprawiły” – zauważył Jesan z zainteresowaniem.

Kiedy ostatni raz osobiście starł się z tym przeciwnikiem, wiedział o możliwościach jego pancerza. Podczas bitwy zachodziły w nim daleko idące zmiany. Był to adaptacyjny system, który dostosowywał się na bieżąco do wiązek, jakie wypuszczano w jego kierunku.

To sprawiało, że nawet słabsze jednostki Terran były wyraźnie odporniejsze od imperialnych monstrów.

Wrogie wiązki również wydawały się efektywniejsze. Jesan podejrzewał, że odpowiadał za to analogiczny proces.

Choć teraz obrona była wyraźnie mocniejsza, przecież wciąż miała tę samą słabość.

– Komandorze floty, nasz atak pozostaje praktycznie bezskuteczny!

– Proszę się uspokoić – polecił Jesan i otworzył kanał do dowódców wszystkich okrętów swojej floty. – Zbliżyć się do wrogów. Trzymają

nas na dystans nie bez powodu, ich system obronny wymaga czasu na adaptację. Skrócić dystans i rozerwać ich na strzępy.

Uciął połączenie i skinął na sternika.

– Pełna moc. Szarża na wroga.

– Tak, komandorze floty!

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Gavin nawet nie krył zaskoczenia rozkazem, który wydał akurat Mich... spośród wszystkich komandorów flot. Mimo to nie miał zamiaru protestować przeciwko słusznej strategii.

– Słyszeliście go – warknął, podnosząc się z fotela. – Zbliżyć się do tych pozostałości godnych gnojników i posłać ich w otchłań!

Reakcja jego załogi była nieco mniej entuzjastyczna, niżby sobie życzył, ale rozkaz wykonano sprawnie. Przekonfigurowano pola czasoprzestrzenne i okręt wystrzelił w stronę wrogiej formacji... która właśnie eksplodowała wiązkami energii.

– Kontakt! Sektor trzydziesty... Sektor dziewiętnasty... Sektor dwudziesty drugi...

– Ograniczyć raporty wyłącznie do znaczących uszkodzeń – rozkazał Gavin, ucinając litanie strat. „W końcu przestali z nami pogrywać. Już się zastanawiałem, czy ta tchórzliwa zgraja nie porzuci swojego świata na pastwę losu, patrząc na to, jak dotąd wyglądała ich obrona”.

Szybko jednak zauważył, że zgodnie ze wcześniejszymi meldunkami wrogie wiązki były nieproporcjonalnie efektywne względem swojej mocy.

„Mich faktycznie się nie mylił, nawet w tej kwestii... a ja myślałem, że próbuje się usprawiedliwiać. Ciekawe”.

Okręt Sojuszu Ziemi „Bellerofont”

– Wróg przyspieszył, lecą znacznie szybciej!

– Utrzymać szyk – warknął Roberts, błędząc wzrokiem po ekranach alarmująco rozświetlonych niezliczonymi komunikatami.
– Niech nikt nawet nie drgnie!

„Bell” stał w centrum całego sektora formacji obronnej. Kapitan wiedział, że jeśli jego okręt da choćby cień sugestii, że cofa się pod naporem szarży, słabo wytrenowane załogi z pewnością wpadną w panikę.

– Wroga flota niedługo przekroczy zewnętrzną linię dronów – powiedział spokojnie przez sieć dowodzenia. – Doradzałbym odwrót z ciągłym ogniem, admirale.

– Odmawiam – odparł bez wahania Weston. – Stracilibyśmy jedną trzecią naszych sił. Załogi nie są do tego przeszkolone.

Roberts skrzywił się, ale nie protestował. Admirał się nie mylił. Właśnie dlatego nie posyła się na wojnę nieprzeszkolonych załóg.

Rozumiał oczywiście przyczyny, jakie za tym stoją. Nie mieli po co oszczędzać kogokolwiek. Rzucanie przeciwko wrogom wszystkiego, co się ma, było uświęconą tradycją... pośród tych, którzy przegrywali wojnę.

Tkwiąc w miejscu, z Ziemią jako kowadłem dla imperialnego młota, Roberts doszedł do wniosku, że to chyba i tak nie ma większego znaczenia. Ze zmniejszoną o jedną trzecią siłą ognia z pewnością nie wywalczyliby sobie zwycięstwa w tej bitwie, ale Jason wcale nie był pewien, czy te na pół wyszkolone załogi zrobią jakąkolwiek różnicę.

– Przyjąłem. „Bellerofont” potwierdza i przyjmuje rozkazy. Nie ruszamy się.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Nadchodzą. Może nie wiedzą, co robimy, ale już rozumieją, że potrzebujemy do tego odpowiedniego dystansu. – Eric skrzywił się, obserwując szarżę wroga prosto na ziemskie lasery.

Ustawienie głównego pola czasoprzestrzennego niczym tarczy podczas przyspieszania było bardzo skuteczną obroną przed ostrzałem. Imperialne napędy działały jednocześnie jak ekrany ochronne podczas przyspieszania. Dzięki utworzeniu

czasoprzestrzennego dołka cząsteczki, a nawet wiązki światła zwalniały albo utykały w grawitacyjnej studni okrętu.

Wykorzystanie tej mechaniki podczas szarży było bardzo pomysłowe i tak naprawdę stanowiło potężną broń.

– Analitycy, proszę wypatrywać wyłączenia napędów nadświatlnych przez okręty wroga – polecił Weston. – Z pewnością spróbują walnąć nam w twarz wszystkim, co mają.

– Aye, sir. Obserwujemy napędy, ale nie będzie łatwo określić momentu wyłączenia w czasie rzeczywistym.

– Róbcie, co w waszej mocy – powiedział po prostu Eric. – Mamy aż za dużo problemów na głowie, nie potrzebujemy kolejnego.

– Tak jest, sir.

„Ale przy tym byłaby to okazja na... Jednak żeby to zadziało... hmm...”

Rzucił okiem na ekrany. Wroga armada była o minutę świetlną od floty obronnej i szybko skracala dystans. Ziemskie siły utrzymywały szyk, tkwiąc w miejscu, co rodziło dla napastników pewien problem. Znajac specyfikacje przyspieszeń wrogich jednostek, Eric wiedział, że ich dowódcy będą musieli podjąć decyzję lada moment.

Jeśli będą kontynuować przyspieszenie, miną ziemskie linie, a może nawet przebiją się przez nie w morzu ognia... ale będą zmuszeni zawrócić szerokim łukiem, by ponownie wejść w zasięg strzału. W takim przypadku sieć Kardaszewa będzie ciąć ich bezlitośnie przez cały czas przelotu.

Jeśli zaś przełączą napęd czasoprzestrzenny na wsteczny, będzie to miało pewne... konsekwencje. Dla obu stron.

– Do wszystkich okrętów – rozkazał Weston. – Zmniejszyć ostrzał o dziesięć procent.

– Sir?

– Wykonać.

– Tak jest, sir. Zredukować ogień, dziesięć procent. Do wszystkich okrętów.

Eric odczekał chwilę, aż rozkaz rozniesie się po flocie i zostanie wdrożony.

– Powtórzyć. Wszystkie okręty, zredukować ostrzał. Dziesięć procent.

Załoga spoglądała na niego niepewnie, ale z rozmysłem to zignorował.

– Aye, sir.

Okręt Sojuzu Ziemskiego „Bellerofont”

– Skipper...

– O co chodzi? – Roberts spojrział pytająco na oficera.

– Rozkazy z „Odyseusza”, sir. Mamy zredukować ostrzał. O dziesięć procent.

Roberts wzruszył ramionami.

– Wykonać.

– Aye, sir, już przekazałem... ale, sir... właśnie otrzymaliśmy kolejny rozkaz... Kolejna redukcja.

Roberts powoli pokiwał głową.

– Admiralska pieczęć?

– Tak, sir, zweryfikowana poprawnie.

– No to wykonać.

– Aye, sir, polecenia wydane... ale... sir?

– Czy chcesz mnie zapytać, po co ta redukcja, chłopcze? – zapytał Jason, lekko ubawiony.

– Tak, sir.

– Nie mam bladego pojęcia. Admirał w coś gra, ale jeszcze nie wiem, w co – przyznał kapitan bez ogródek. – Nie muszę wiedzieć. Muszę jedynie ufać admirałowi Westonowi i mojej załodze.

– Tak, sir. Przepraszam, sir.

– Niepotrzebnie – uspokoił go Roberts. – Admirał dezorientuje ludzi, nawet gdy ma dobry dzień... a dzisiaj z pewnością nie jest jego dobry dzień. Ma swoje powody. Weston nie podejmuje decyzji bez zastanowienia... nawet jeśli czasem może się tak wydawać. Mimo to musimy się przygotować.

– Na co... sir?

– Na rozkaz, który nam to wszystko wyjaśni – stwierdził Roberts. – Musimy być gotowi, by wdroić go w życie. Więc przygotujmy się. Zapowiada się dobra zabawa.

Roberts wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, pochylając się nad konsolą.

„Naprawdę dobra, jak znam admirała”.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Natężenie wrogiego ognia znacząco zmalało, komandorze floty.

– Kończą się im zapasy mocy, walczą zbyt długo bez odpowiedniego zaopatrzenia – stwierdził Gavin bez cienia wątpliwości. – Odwrócony ciąg na mój rozkaz.

– Tak, komandorze floty. Wszystkie stanowiska gotowe na przyjęcie rozkazu.

Gavin miał świadomość, że utrzymując pozycję, wróg zmuszał go do wyboru pomiędzy starciem w przelocie po zakrzywionej trajektorii, która wystawi imperialną armadę na ostrzał ze strony platform sieci defensywnej systemu, a wyhamowaniem do prędkości pozwalających na powolne, nieprzerwane starcie.

Ta druga opcja była znacznie korzystniejsza dla imperialnych sił pod każdym względem, więc Gavin wybrał ją bez chwili wahania.

„Skoro borykają się już z ograniczeniami podaży mocy, wkrótce odnotujemy kolejny spadek natężenia ognia”.

Gavin uśmiechnął się, gdy chwilę później wyjściowe poziomy energetyczne okrętów wroga znów znacząco zmalały.

– Wszystkie okręty, zwolnić relatywnie do przeciwnika. Ustawić nas na statyczny dystans i zwiększyć intensywność ostrzału!

– Tak, komandorze floty!

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan przyjął rozkaz deceleracji z pewną obawą, ale powielił go w swojej flocie, nie widząc lepszych opcji.

„Jeśli wróg ma w planach jakąś sztuczkę, teraz ją pewnie zobaczymy”.

W toku bitwy zawsze pojawiały się takie kluczowe momenty. Przy odpowiednim doświadczeniu dało się wyczuć charakterystyczny rytm walki i te chwile, które były najlepsze na zaskoczenie przeciwnika. Niestety, sama identyfikacja tych kluczowych momentów nie wystarczała, by przewidzieć, co konkretnie się stanie.

„Najprawdopodobniej systemy obronne reaktywują się z pełną mocą” – uznał Jesan. „Zapewne zwiększy się również natężenie ostrzału z okrętów wroga”.

Mając to na uwadze, nakazał swoim ludziom przygotować się na taki obrót spraw, ale i tak wydał rozkaz podążania za Piątą Flotą.

To, że widziało się nadchodzące niebezpieczeństwo, nie oznaczało, że istniała jakaś możliwość jego uniknięcia.

„Obowiązek jest jednocześnie cięższy niż cały świat i lżejszy niż kwantowa cząstka”.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– Wrogie floty zwalniają, admirale. Najwyraźniej zamierzają podjąć z nami bitwę na zrównanych pozycjach.

Eric skinął głową.

– Proszę śledzić i przewidzieć ich ścieżkę podejścia, na mój ekran.

– Aye, admirale.

Agresor zanotował ciężkie straty podczas podejścia, ale wciąż dysponował setkami okrętów. Sama sieć Kardaszewa straciła kilkanaście krążowników, a kilkadziesiąt poważnie uszkodziła.

A jednak, podobnie jak okręty klasy Heros czy krążowniki Priminae, ich imperialne odpowiedniki po prostu ignorowały zniszczenia i dalej parły naprzód. Taka była imperialna taktyka – ignorować uszkodzenia tak długo, jak to konieczne, by osiągnąć wyznaczone cele. Było to działanie skuteczne, ale i przewidywalne – na co Eric liczył.

– Odblokowuję kontrolę nad siecią Kardaszewa w tym i sąsiednich regionach – oznajmił, przejmując dowodzenie nad lokalną siecią,

analizując zasięgi i kalkulując je w głowie. – Wszystkie okręty, przygotować się na pełną moc bojową systemów uzbrojenia, na mój rozkaz.

– Aye, admirale, wszystkie okręty w gotowości.

Eric ręcznie oznaczył cele dla sieci Kardaszewa, skupiając się na eliminacji najbardziej uszkodzonych, ale wciąż zdolnych do walki okrętów. Każda jednostka, która wyraźnie zostawała w tyle lub wyglądała na zbyt uszkodzoną, miała być na razie ignorowana. Takie można sobie zostawić na koniec, ale te pokieraszowane, a wciąż walczące... te musiały zniknąć jako pierwsze.

– Sieć Kardaszewa... ognia. Wszystkie okręty, pełna moc bojowa za... – Eric przerwał, patrząc na zegar – dziesięć sekund.

– Rozkazy wydane, admirale.

„To ich jeszcze nie wystraszy, ale przy odrobinie szczęścia urobimy sobie grunt”.

Rozdział 44

Stacja kosmiczna Liberty

– Mam nadzieję, że on wie, co robi – mruknęła bez entuzjazmu Gracen, obserwując na wielkich ekranach zbliżające się do siebie ikonki.

Admirał Weston dowodził pierwszą linią obrony. Nie miała zamiaru wchodzić mu w paradę z odległości kilkunastu sekund świetlnych, gdzie na razie utknęło imperialne natarcie.

– Wciąga ich w zwarcie. Nie ma przecież dostatecznej mocy bojowej... To szaleństwo – stwierdził głucho generał McCall, błędnie wyrażnie. – Weston jest nienormalny. Powinien prowadzić bitwę w ruchu!

– Wróg jasno pokazał, że to bezsensowne rozwiązanie – zgasła go admirał, nim zdążyła w pełni zapanować nad sobą. – Tkwią tam, bo wiedzą, że Weston nie może zostawić Ziemi bez ochrony. My jesteśmy kowadłem, a oni młotem. Jeśli admirał zacznie kombinować, po prostu go ominą, przylecą tutaj i przeprowadzą bombardowanie z orbity.

– To szaleństwo. Planeta, ludzie... to jest warte...

– Nic dla ksenofoba, generale. To nie jest warte zupełnie nic dla przeklętego ksenofoba – ucięła Gracen. – A teraz proponuję, byśmy się przyglądali... i modlili. Kiedy to się skończy, przyjdzie czas na nas.

„Saint Mary”

– To nie może być prawda... To szaleństwo...

Burt dawał z siebie wszystko, by nie jęczeć czy nie ośmieszać się w jakiś inny sposób przed swoimi ludźmi. Wszystko to wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał.

„Błagam... żebym tylko nie zrujnował doszczętnie swojego wizerunku w oczach załogi” – myślał gorączkowo, biorąc głęboki oddech i napotykając spojrzenie Caide’a.

– Admirał zmusił wroga do statycznej bitwy, sir – wyjaśnił mu kapitan. – Poniesie porażkę. Stosunek sił jest zbyt nierówny. Musimy ruszać.

– Nie zamierzam się spierać. Czy mamy wszystko?

– Tak, sir.

– A ścieżka odejścia?

– To... może być problem – przyznał Caide. – Optymalna pod kątem paliwa i czasu trasa wykorzystuje asystę Księżyca do opuszczenia orbity Ziemi i dotarcia w zasięg studni grawitacyjnej Jowisza. Jeśli wybierzemy inne trasy, nie mamy dość paliwa, by ulecieć zbyt daleko. musimy dotankować na Jowiszu, sir.

– I nie możemy po prostu polecieć naokoło?

– Nie przy naszym bieżącym poziomie paliwa, sir.

– Proszę mi pokazać najbezpieczniejszy kurs.

– Na pana ekranie, sir.

Wystarczył rzut oka, by zrozumieć, w czym rzecz.

– Kapitanie! – Burt nie wytrzymał. – Przecież to prowadzi nas przez środek pola bitwy!

– Bardziej tnie po krawędzi, ale zgadza się, sir.

Burt zaczął żałować, że nie poszedł w ślady swoich co bardziej nerwowych kolegów i nie wyruszył wcześniej, bez kilku krytycznych zasobów.

„Teraz już za późno”.

– No dobra. Lecimy – powiedział, nim zdążył się rozmyślić. – Wyciśnijmy ze statku, co się da, byle jak najszybciej przelecieć przez to piekło.

– Tak jest. Proszę się przygotować, pewnie będzie trochę trzęsło – uprzedził Caide, wprowadzając kurs. – Nie testowaliśmy tak skrajnych przyspieszeń.

– Po prostu... niech pan leci, kapitanie. Chrzanić wygodę, byleśmy przelecieli.

– Tak jest, sir.

Stacja kosmiczna Liberty

– Admirale, „Saint Mary” się rusza. Wygląda na to, że odlatują.
Gracen prychnęła.

– Najwyższa pora. Proszę pokazać...

Rzuciła okiem na telemetrię i przewidywany wektor, który wyprowadzi statek spod grawitacji Ziemi, a potem Słońca. Zmarszczyła brwi.

– Czy oni lecą przez strefę walki?

– Tak, ma’am. Mamy ich plan lotu oraz wszystkie możliwe alternatywy. Nie mają wyboru. Muszą dotankować na Jowiszu, nie mają tu pola do manewru, że tak powiem.

Gracen przymknęła oczy. Rozumiała aż za dobrze. Po prostu nie umiała uwierzyć w całą tę sytuację.

– Imperium posadziło tyłki dokładnie w oknie odejścia z systemu, prawda?

– Zgadza się, ma’am.

– Kurwa. Proszę poinformować admirała Westona. Nie pomoże im zbyttnio, ale niech ich przynajmniej nie zestrzeli.

– Aye, ma’am.

– Ma’am... Wykryliśmy coś na skanerach dalekiego zasięgu. Impuls nadświetlny wykrył wejście do systemu.

– Proszę mi pokazać.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

Steph masował sobie brzuch, marząc, by się uspokoił i pozwolił mu się skupić.

– Status – rzucił, odchylając się nieco, by spojrzeć na Millę analizującą odczyty ze skanerów.

– Wszyscy są, bez uszkodzeń, kurs poprawny – zameldowała. – Odbieram dane z Ziemi. W tej chwili są przestarzałe o kilka godzin... Chwila, odbieram również sygnały imperialne. Już tu są.

– Kurwa – mruknął Steph.

Nie był zaskoczony. Imperium umiało przemieszczać się szybko, gdy zachodziła potrzeba. Mimo to miał nadzieję, że Archaniołom

uda się wślizgnąć do systemu przed wrogiem i ustalić jakiś plan na wykorzystanie eskadry.

Kanonierki, które stanowiły podstawę bieżącej generacji Archaniołów, miały całkiem niezły potencjał bojowy, ale przeciwko połączonym siłom Imperium... no cóż, istniały realne granice umiejętności i jakości.

– Wygląda na to, że kom... przepraszam, admirał Weston dotarł tu pierwszy – oznajmiła Milla, wskazując na serię ikon, których rozkład przywodził na myśl historyczną bitwę morską. – Rozstawili się na pozycjach tuż poza granicą przestrzeni cislunarnej.

– Brawurowy gnojek. Nie powstrzyma takiej siły, musi to wiedzieć... – Steph westchnął, kręcąc głową.

– Co robimy, szefie? – spytał niepewnie Tyke.

– Nie wiem, ale na pewno nie odpuścimy sobie tej bitwy – odparł Steph, odwracając się do swojego stanowiska i wprowadzając kurs.

– Steph... – Głos Milli zabrzmiał ostrzegawczo. – Masz połączenie.

Steph westchnął i skulił się w sobie.

– Szyfrowanie?

– Rząd Konfederacji.

– Cholera. Dawaj panią admirał.

Stacja kosmiczna Liberty

– Słowo daję, jeśli ten durny skur... – mruzczała Gracen pod nosem, krążąc po pokładzie w oczekiwaniu na ustanowienie połączenia nadświatelnego.

Zatrzymała się gwałtownie, gdy na ekranie w końcu rozbłysła ikona zabezpieczonego połączenia.

– Komandorze Michaels, tu admirał Gracen.

– Odbieramy pani sygnał, pani admirał. Czysto i wyraźnie.

– Świetnie. Wykryliśmy wasze przybycie, komandorze. Co pan zamierza? – zapytała ostro Gracen.

– Pracujemy nad planem, ale jesteśmy zvarci i gotowi, by wesprzeć flotę w...

– Czy jesteście spaleni? – przerwała mu admirał.

– Spaleni, ma'am?

– Wasza przykrywka w strukturach Imperium, komandorze – warknęła. – Czy jest nienaruszona?

– Uhm, jest nienaruszona, ma’am.

– W takim razie proszę się trzymać z daleka od tego systemu, komandorze – rozkazała. – Utrzymać przykrywkę.

– Ma’am! Nasza przykrywka będzie gównem warta, jeśli ta flota przeora planetę... pani admirał!

Gracen zmroziła wzrokiem ekran, marząc o tym, by widzieć na nim twarz rozmówcy, a nie ikonę połączenia, ale obciążenie sieci komunikacyjnej i tak było już porażające.

– Komandorze, wasze jednostki nie mają dostatecznej mocy bojowej, by wpłynąć na przebieg bitwy...

– Pani admirał, cała ziemská flota nie ma dostatecznej mocy bojowej i dobrze pani o tym wie. Mój przyjaciel i mentor...

– Byłby pierwszym, który kazałby panu wypierdalać z systemu – zgasiła go Gracen. – Komandorze Michaels, jeśli ktokolwiek z nas ma przetrwać tę wojnę, potrzebujemy... będziemy potrzebowali ludzi, którzy są w stanie zinfiltrować struktury Imperium. Pan i pańscy ludzie jesteście teraz zbyt cenni, wydaję więc panu bezpośredni rozkaz. Proszę natychmiast wycofać się z systemu. Proszę nie wracać, choćby nie wiem co tutaj zaszło. Jeśli nikt się z panem nie skontaktuje, proszę robić, co trzeba, by ocalić swoich ludzi.

– Pani admirał... ja...

Gracen westchnęła.

– Rozumiem, komandorze. Też bym tak wolała. Ale nie zawsze dostajemy to, czego byśmy chcieli. Poza systemem są już statki kolonizatorskie, placówki wojskowe... i nie tylko. Miejsca, o których nie mogę panu powiedzieć, komandorze. Wszyscy oni będą pana potrzebować. Proszę zniknąć.

Zakończyła połączenie.

Jednostka dowodzenia Archaniołów

„Zemsta Gai”

– Kurwa mać! – zaklął Steph, waląc pięścią w gródź.

– Hej, spokojnie, szefie. Rozwalenie sobie czegoś w niczym nie pomoże... a już na pewno nie rozwalenie wnętrza statku. – Tyke próbował uspokoić dowódcę. – Poza tym ona ma rację. Nic tu nie zdziałyśmy.

– Moglibyśmy walnąć ze dwie jednostki, a przynajmniej jakiś ich kawałek – mruknął Steph, masując obolałą pięść.

– Co oznacza, że żadnej byśmy nie zdjeli. – Tyke nie owijał w bawełnę. – Nic tu po nas.

Steph ze złością wzmacnił przybliżenie na ekranie, który ukazywał teraz Ziemię i Księżyc.

– Zgodnie z tą logiką „Odyseusz” i reszta też nie będą w stanie nic zdziałać – syknął. – Wszystko na nic. Wszystko na nic!

– Wiem, młody. Wiem... – powiedział Tyke cicho, kładąc potężną dłoń na ramieniu młodszego mężczyzny. – Taka jest wojna. Yyy... masz jakąś rodzinę?

Steph pokręcił głową.

– Nikogo wartego wzmianki. Mama zmarła parę lat temu, taty nie miałem. Nie mam rodzeństwa, tylko jakichś kuzynów, z którymi się nie widuję.

– No cóż, tyle dobrze. Zaciągnąłeś tu moją małą dziewczynkę, choć wcale mnie to nie ucieszyło – mruknął Tyke. – Ale teraz jestem ci wdzięczny. Jesteśmy szczęśliwcami. Musimy wymyślić, co teraz zrobić.

– Zrobić? Mamy rozkazy – stwierdził sucho Steph.

– Chodzi o to, czy obserwujemy sytuację? Nie wiem, czy wyjdzie nam na lepsze, czy na gorsze – przyznał Tyke. – Tak czy siak potrzebujemy planu na... później. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas był w stanie coś potem wymyślić.

Steph ukrył twarz w dłoniach i potarł mocno.

– Głosujemy – stwierdził. – Nie będzie tu demokracji, ale niektórych decyzji nie chcę podejmować za wszystkich. Tymczasem przechodzimy w pełne maskowanie. Milla?

– Wysłałam rozkazy eskadrze – powiedziała Milla, wyraźnie zmartwiona. – Steph...

– Dobrze. Przekaż wszystkim, że... musimy pogadać. Użyjemy sieci wirtualnej.

– Oczywiście.

W całym systemie wszystko, co mogło obserwować wydarzenia tuż poza orbitą Księżyca, to właśnie robiło. Dosłownie wszystko – od ściśle tajnych systemów wojskowych po najtańsze cywilne teleskopy – skupiało się na jednym i tym samym miejscu Układu Słonecznego, gdzie dwie floty stawały naprzeciw siebie.

Cały ruch ustał, wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Część była zdumiona, część dezorientowana, ale wszyscy zaczęli rozumieć, co leży na szali.

Miliardowa widownia na miejscach, scenografia gotowa, aktorzy na scenie...

I nikt nie znał zakończenia.

Rozdział 45

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan uchwycił się mocniej swojej konsoli, gdy jego okrętem znów zatrzęsło.

Mniej czy bardziej oczekiwany atak wroga w końcu nastąpił. Platformy obronne reaktywowały się, tym razem synchronizując ostrzał z flotą obrońców. Komandor wiedział, że i tak nie pozostaje im nic innego, jak przetrzymać ostrzał, skracając dystans do pożądaných wartości.

„Powiniennem był skończyć z nimi, gdy ostatnio tu zawędrowałem” – myślał ponuro, patrząc na ogniste pandemonium, przez które musieli się teraz przedzierać. Imperialne floty były dosłownie zalewane ogniem, a każda chwila niosła kolejne zniszczenia.

Gdyby wcześniej wiedział, że cesarzowa uzna tę inwazję za kluczową, dokończyłby dzieła ostatnim razem, bez względu na cenę. Teraz będzie to znacznie bardziej kosztowne, biorąc pod uwagę to, że aktualny poziom oporu zmiotłby do szczętu jego wcześniejszą flotę.

– Dystans do wroga maleje, komandorze floty, ale ponosimy znaczne straty, a przeciwnik... żadnych?

Jesan nie winił oficera za wahanie graniczące z przestraczem. Wróg bez wątpienia poprawił efektywność pancerzy do takiego stopnia, że nawet on był tym zaniepokojony. Niemniej zapoznał się z imperialnymi analizami i znał ograniczenia systemów.

Jakimś sposobem przeciwnicy zdołali przekroczyć niektóre z tych limitów, ale sama mechanika musiała mieć swoje granice.

„Musimy tylko do nich dotrzeć” – stwierdził Jesan chmurnie.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Gavin zaciskał szczęki, gdy pokład dudnił złowieszczo pod jego stopami, a wrogi ogień dosięgnął już praktycznie każdego okrętu jego floty. Absolutnie nic nie wskazywało na to, by ostrzał miał zelżeć, podczas gdy imperialny atak nie robił na przeciwniku żadnego wrażenia.

Floty przedzierały się przez ognisty huragan, podążając raczej za komandorem floty Michem niż za Gavinem, ale w tym przypadku nie miał zamiaru protestować. Skrócenie dystansu wydawało się teraz jedynym sensownym rozwiązaniem – może poza odwrotem, ale tego na pewno nie robi.

– Naprzód! Śmierć wrogom Imperium!

Niczym pręty świetlistej klatki, niewidoczne gołym okiem promienie całkowicie zamknęły, a niekiedy nawet przeszły imperialne okręty, które nadal parły naprzód przez rozpaloną przestrzeń. Okręt po okręcie odpadał z szarżującej grupy, a wiele z nich pluło gazami i płomieniami, z trudem utrzymując szyk.

Mimo to armada nie cofała się, niezmiennie idąc pod prąd wciąż narastającego potoku ognia, choć wiele spośród załóg zaczynało myśleć, że może jednak nie czeka ich łatwe zwycięstwo.

A potem... wszystko się zmieniło.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– Wroga flota przekracza linię dronów, admirale.

– Polecić wszystkim kapitanom, by pilnowali konfiguracji pancerni – rozkazał Eric w odpowiedzi. – Ale utrzymać szyk. Za nami nie ma nic, jedynie Ziemia, a nie przeszliśmy przez to wszystko tylko po to, by teraz przepuścić wroga bez walki.

– Aye, sir! Zalecenia rozesłane. Flota zgłasza już pierwsze uszkodzenia, sir.

Eric nie był zaskoczony. Gdy wróg minął linię dronów, najlepsza ochrona ziemskich okrętów stała się praktycznie bezużyteczna. Poniżej jednej sekundy świetlnej lasery wroga sięgały celu, nim pancerz adaptacyjny przetwarzał dane z dronów i zmieniał odpowiednio konfigurację.

„Teraz będziemy musieli polegać na najwydajniejszych ustawieniach odbicia. To wciąż daje nam przewagę, ale i tak zaczniemy mieć pod górkę”.

– Wróg wciąż skraca dystans.

– Najwyraźniej chcą iść na noże. – Eric pokiwał głową. – Wiedzą, że nic nam nie zrobią, jeśli zostawią nam pole do manewru.

Westchnął ciężko.

– Niech tak będzie – powiedział po dłuższym milczeniu i otworzył kanał do całej floty. – Bagnet na broń, chłopcy i dziewczyny. Wróg już węszy krew... niech skosztuje własnej.

Okręty potwierdzały jeden po drugim otrzymanie komunikatu, gdy rozbrzmiał kolejny alarm.

– Co znowu? – zirytował się.

– Admirał Gracen na linii, sir. Wydaje się... no cóż, to chyba coś pilnego, admirale.

„Że też musi mi teraz zawracać głowę”.

– Proszę łączyć.

– Aye.

Ekran zamigotał i ukazała się na nim twarz Gracen. Eric był zaskoczony, że pozwoliła sobie na takie obciążenie systemu tylko po to, by nawiązać połączenie wideo. Z drugiej strony byli blisko Ziemi, pewnie nie miało to większego znaczenia.

– Pani admirał. – Skłonił się lekko. – Jestem trochę zajęty.

– Wiem, admirale – odparła. – Muszę pana uprzedzić, cywile lecą w waszą stronę.

Prawie zgubił szczękę.

– Słucham? Musiałem coś źle zrozumieć, bo to, co usłyszałem, to jakieś szaleństwo.

Gracen prychnęła.

– Szaleństwo to słowo dnia. Cywilne arki były prawie gotowe do odlotu, gdy rozpoczął się atak. Nie mają dość paliwa, by obrać dowolny kurs, Ericu. Potrzebują autostrady, a wy tam parkujecie.

„Noż kurwa mać”.

Autostrada Solarna była ścieżką odejścia, która kształtowała się różnorodnie w zależności od ułożenia planet, ale generalnie była po prostu najbardziej wydajnym wektorem wyjścia z systemu z wykorzystaniem asysty grawitacyjnej planet do wyrzucania małych jednostek na wyższe orbity.

Okręt klasy Heros mógł po prostu iść w górę i uzupełnić utraconą masę czymkolwiek, ale bez osobliwości...

„Kurwa. Kurwa. Kurwa”.

Eric jeszcze nie wiedział, co z tym faktem zrobić, ale coś będzie musiał wymyślić.

– No dobra, rozumiem – powiedział w końcu. – Niczego nie obiecuję, ale postaram się ich przepchnąć.

– Dziękuję. – Gracen zawahała się, rozglądając się dyskretnie i naciskając jakiś guzik. – Przejdź na szyfrowanie.

– Gotowe – powiedział Eric, włączając po swojej stronie szyfrowanie klasy wojskowej.

– Ericu. – Gracen nachyliła się do kamery, a jej twarz poszarzała. – Wiem, że to ryzykowne, ale jeśli stanie się najgorsze...

– Taa... Oni są ziarnami, które rzucamy na wiatr. – Eric skinął głową. – Naprawdę zrobię, co w mojej mocy.

– Wiem. Powodzenia.

Eric raz jeszcze skinął głową, a obraz zniknął. Weston wyprostował się i rozejrzał po mostku.

– Skanery do akcji. Mamy w drodze jednostki cywilne, chcę wiedzieć, gdzie są i kiedy będą tędy przelatywać. Na wczoraj.

– Aye, sir!

„Saint Mary”

Joshua Caide musiał przyznać, że nie tego się spodziewał, kiedy przyjął ofertę pracy od Connorsa. Prowadzenie całkowicie

bezbronnej jednostki prosto w paszczę połączonych flot wroga nie było zwyczajnie głupie... to zakrawało na szaleństwo.

Spędził jednak dostatecznie dużo czasu w wojsku, by wiedzieć, że szalone decyzje nie zawsze były złe. Po prostu oznaczało to, że coś po drodze zostało kompletnie spartolone i teraz nie było wyboru – trzeba działać na zdrowąskę.

„Wygląda na to, że stary sknerus wybrał niezłe imię dla statku” – pomyślał Caide w przyływie czarnego humoru.

Wspinali się po orbicie Ziemi, zmierzając na spotkanie Księżyca. Jego grawitacja pchnie ich naprzód, przyspieszając jednostkę do prędkości przelotu naturalnego satelity, co ostatecznie wystrzeli ich z orbity w górę układu.

Przynajmniej ta część nie była problematyczna.

Kłopoty czekały ich dopiero po wyrwaniu się z orbity w przestrzeń międzyplanetarną.

Caide zapłaciłby dobre pieniądze, nawet całą swoją wypłatę, byle dowiedzieć się, jak wróg zareaguje na ich przelot.

Zestrzelenie ich zdawało się rzecz jasna całkiem prawdopodobne, ale Imperium było aktualnie dość zajęte walką z połączonymi flotami Bloku, Konfederacji i tymi okrętami, które wynegocjowano od pozaziemskich sojuszników.

„Może to wystarczy, by dali nam spokój”.

Zupełnie go to nie satysfakcjonowało, ale i tak nie miał wyboru.

– Zbliżamy się do punktu startu. Nie będzie odwrotu.

Caide przytaknął.

– Dziękuję. Uruchomić silniki startowe w trakcie przelotu.

– Tak jest, sir.

„Na zdrowąskę”.

Burt Connors przyglądał się działaniom na mostku z pokładu właścicielskiego. Nie chciał nikomu wchodzić w drogę. Już dawno temu nauczył się, że jeśli zatrudnia ekspertów, powinien ich potem słuchać i pozwolić im w spokoju wykonywać zadania, do których zostali zatrudnieni.

Miał jednak to dziwne poczucie, jak... zwyczajne zdawało się to wszystko.

Statek ruszył w rejs, Burt czuł pod stopami wytłumione wibracje, gdy potężne silniki pchały jednostkę naprzód, ale minęli już Księżyc i... nic się nie zmieniło.

To wydawało mu się dziwne.

Czuł jednak narastające wokół napięcie. Czuł je także w swojej klatce piersiowej i gdyby nie dokładne badania przed rejssem, martwiłby się właśnie o swoje serce. Tak mógł się martwić wszystkim innym.

„Pomimo ostrzeżeń Westona liczyłem na więcej czasu”.

Jego statek był jednym z największych i przez to najtrudniejszych do zaopatrzenia spośród wszystkich ukończonych ark. Dzielenie się zasobami z innymi, nawet odpłatne, mogło okazać się błędem... Teraz jednak nie pozostało mu nic więcej, tylko czekać, czy przyjdzie mu za to zapłacić.

„A raczej czym będziemy musieli zapłacić”.

Connors posłał tęskne spojrzenie butelce whisky, którą przygotował na świętowanie startu. Rozważał, czy faktycznie byłoby to niewłaściwe, gdyby urznął się w trupa i nie musiał patrzeć śmierci w oczy.

Nie sięgnął jednak po trunek.

Jeśli to miał być jego koniec, chciał go przyjąć na trzeźwo.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– Admirale, mamy jednostki cywilne na skanerach, wychodzą zza tarczy Księżyca.

– Transpondery?

– Trzy, sir. Najgłośniej krzyczy największy z nich, oznaczony jako „Saint Mary”.

Eric skinął głową i dostosował kilka rozkazów w systemie, by wzmocnić jeden punkt formacji obronnej.

– No dobrze. Proszę wprowadzić ich do systemu i oznaczyć jako jednostki cywilne. Kod zielony od jeden do trzy.

– Aye, sir. Nowe jednostki zarejestrowane jako Zielony Jeden, Dwa i Trzy. Na ekranach.

Schemat ukazywał teraz trzy zielone kropki zbliżające się od tyłu formacji obronnej, silnie kontrastujące z masą niebieskich i czerwonych ikon wypełniających resztę ekranu.

– Proszę na bieżąco śledzić ich kurs i wrzucić na moje stanowisko – polecił Eric. – Zajmę się nimi. Nie chcę, by rozpraszało to kapitanów, póki nie okaże się to konieczne.

– Aye, admirale. Na pana stanowisko.

Odyseusz zauważył zmianę w myślach admirała i skupił się na nich na chwilę, by zapamiętać je sobie jako myśli Westona, a nie wyrwane z kontekstu wspomnienie, którego źródła musiałby potem żmudnie poszukiwać.

Pojawienie się cywilnych jednostek miało przedziwny wpływ na admirała, jak zauważył byt ze zdumieniem. Weston odczuwał potrzebę ochrony tych statków... a jednocześnie potrzebę paskudnego ich przeklinania przez cały czas, który poświęcał na to pierwsze.

„Przedziwna kombinacja”.

Spojrzał w bok, gdzie – jak wiedział – trwała na pozycjach Boadicea. Zastanawiał się, co młodsza od niego istota myśli w tej chwili, gdy szaleńczo zalewali wroga ogniem.

Znamię śmierci wisiało nad nimi wszystkimi. Odyseusz odczuwał własną śmiertelność, ale nie umiał określić, jak się z tym czuje. Im więcej o tym myślał... No cóż, próbował o tym nie myśleć.

To było mniej dezorientujące.

Miriam Heath odebrała ostrzeżenie dotyczące jednostek cywilnych wraz z rozkazem, by ich ochronę zostawić admirałowi do odwołania. Prawie zaklęła na głos.

„Pierdoleni idioci!”

Nie wiedziała, co skłoniło cywilne jednostki do przelotu przez środek pieprzonej bitwy... i chyba nie chciała wiedzieć. Gdy to się skończy, o ile ktokolwiek przeżyje, miała nadzieję, że ktoś się tym zajmie – choć nie liczyła na wiele.

– Wrogie jednostki nacierają na nasz kwadrant, pani kapitan.

– Przygotować działa T do wsparcia przedniego pola rażenia – poleciała, wklepując kilka rozkazów. – Ładunki strategiczne.

– Aye, ma’am. Ładowanie w toku.

Zauważyła wybrzuszenie w formacji wroga. Niektóre okręty wysunęły się naprzód. Miriam nie wiedziała, czy wynika to z bitewnego zapału, czy po prostu pozostałe okręty były zbyt uszkodzone, by nadążać, ale nie miało to znaczenia.

„Mamy czysty strzał. To mi wystarczy”.

– Broń załadowana, ma’am.

– Strzelać na mój rozkaz.

– Aye, ma’am. Kontrola uzbrojenia na stanowisku kapitańskim. Zabezpieczenia zdjęte, ładunki uzbrojone.

Oficer uzbrojenia odpowiedział skinieniem głowy.

– Potwierdzam. Ładunki uzbrojone, wszystkie zabezpieczenia zdjęte. Cele namierzone, ma’am.

– Ognia.

Rozdział 46

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Komandorze floty, okręty przeciwnika doznają uszkodzeń!

Jesan uśmiechnął się brzydtko, głównie, by ukryć ulgę, że wywiad okazał się mieć rację.

– Oczywiście – odparł z takim przekonaniem, jakby nigdy nie miał co do tego cienia wątpliwości. – Ich system wymaga czasu, by dostosować pancerz do częstotliwości naszych wiązek. Na krótkich dystansach światło jest szybsze od ich pancerza. Staniemy z nimi twarzą w twarz, patrząc, jak giną.

Kilka osób, które usłyszały jego słowa, wyraźnie się ożywiło. Nie dziwił się temu. Zniszczenia, jakie przyjęła na siebie imperialna flota, by w końcu skrócić dystans, nie wpływały dobrze na morale. Pomimo tego wszystkiego – pomimo bólu, cierpienia i zwykłego lekceważenia, jakie ci ludzie okazali Imperium – Jesan nie mógł ich na swój sposób nie podziwiać. Choć odrobinę.

Walczyli bez wytchnienia znacznie powyżej swoich możliwości, tworząc co rusz nowe koszmary, a stare przekształcając w coś kompletnie nierozpoznawalnego.

Zapewne dlatego musieli zginąć.

„Po jakimś czasie mogliby pokonać całe Imperium. Mądrość cesarzowej jest bezgraniczna... podczas gdy moja okazała się... wybrakowana”.

Podarowanie im tych kilku lat, gdy nie chciał z nimi skończyć przez wzgląd na zbyt wysoki koszt... no cóż, zwiększyło jedynie ten koszt.

Jej Wysokość dostrzegła to, czego on nie chciał widzieć w swym tchórzostwie, i wiedziała, że trzeba podjąć trudne decyzje.

Jesan jeszcze nigdy nie czuł się równie dumny ze służby Imperium, jak w tej chwili.

Wolna przestrzeń między dwiema flotami kurczyła się szybko, a piekło krzyżujących się wiązek laserowych utworzyło śmiertelną pułapkę, w której wzmocnione pancerze odparowywały w mgnieniu oka, a okręty zmieniały się w płonące wraki.

Mimo wszechobecnej destrukcji żadna ze stron nie odpuszczała... ani nie prosiła o łaskę.

Imperialna armada nieustępliwie nacierała na okręty Terran i ich sojuszników, wiedząc, że ci bronią celu, którego nie mogą zostawić na pastwę losu. Obrońcy zaś byli w pełni świadomi tego, jakich poświęceń się od nich wymaga, i nie wahali się.

Setki istnień ginęły w każdej chwili, a bitwa dopiero się rozkręcała.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Gavin wyglądał upiornie, z przekrwionymi oczami i zębami wyszczerzonymi w triumfalnym uśmiechu, gdy wróg zaczął w końcu ponosić lawinowo rosnące straty. Nareszcie! Po tak długim czasie zbliżał się do końca swojej misji. W tym czasie był zdecydowanie zbyt blisko dopuszczenia do siebie myśli, że Jej Wysokość mogła się mylić w swoich rozkazach... gdy obserwował, jak odporny jest wróg na wszystko, co Gavin mógł przeciwko niemu wystawić.

Teraz gdy Piąta Flota przewodziła szarży – ramię w ramię z Trzecią Flotą pod dowództwem Micha... którego być może jednak Gavin źle oceniał – widzieli w końcu rezultaty swoich poświęceń.

– Tak, teraz! Skończyć z nimi! Naprzód! Przełamiemy opór wroga jednym finalnym ciosem! – krzyczał do swoich załóg w uniesieniu, rozpalony efektami ataków.

– Komandorze floty, odnotowaliśmy właśnie...

Gavin nie zdążył odwrócić głowy w stronę oficera, gdy wszechświat wokół niego utonął w ogniu.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Boadicea”

– Ładunki antimaterii dosięgnęły celu, ma’am.

– Na to wygląda – odparła Hyatt z ponurą satysfakcją, czując wybuch entuzjazmu wśród swojej załogi.

Było coś mrocznego i nienaturalnego w radości, jaka ich zalała na wieść o śmierci tysięcy ludzi – ale wojna była dziwaczna. Wiedziała, że jeśli jakimś cudem przeżyje tę bitwę, będzie śnić o niej koszmary do końca swoich dni.

Kiedys.

„Ale nie dziś” – pomyślała, pochylając się nad ekranem z szerokim uśmiechem, w którym uwolniła swoją radość na widok kilkudziesięciu okrętów wroga unicestwionych w pojedynczym ataku.

„Cholerna szkoda, że nie możemy tego od razu powtórzyć”.

Antymateria była bez cienia przesady najbardziej kosztowną substancją, jaką ludzkość kiedykolwiek odkryła, wytworzyła lub choćby o jakiej słyszała. Nakład mocy wymagany do stworzenia jednej głowicy wystarczyłby na zasilenie dużego miasta przez okrągły rok... a sama „Boadicea” spuściła właśnie ze smyczy kilkanaście takich bestii.

Energia zrobiła się znacznie tańsza od czasu odkrycia antimaterii, to prawda. Pod koniec dwudziestego wieku antymateria kosztowała sześćdziesiąt dwa biliony dolarów za gram... i to w czasach, gdy produkt brutto całej planety nie sięgał jeszcze stu bilionów dolarów.

Nawet względem okrętów klasy Heros koszt był niemal niewiarygodny, ale aktualnie Sandra uznawała to za świetnie zainwestowane pieniądze.

– A teraz, póki są oszołomieni, rzucamy pełną moc z dział z konwencjonalnymi ładunkami!

– Aye, ma’am!

Za przykładem „Boadicei” szybko poszły pozostałe okręty floty i po chwili każdy wypluwał z siebie głowice w tempie jednego strzału co sześć i pół sekundy, serwując wrogowi gigatony głowic nuklearnych jako danie główne po przystawkach z antimaterii.

„Udławcie się tym, tępe chuje!”

Boadicea przekręciła głowę, spoglądając w czernią rozciągającą się poza światłami jej... okrętu? Ciała? Jednego... drugiego... Nieważne.

Tam byli wrogowie, daleko poza zasięgiem ludzkiego oka... przynajmniej na razie. Mimo zniszczeń, jakich doświadczali pod ostrzałem obrońców, imperialni szarżowali nieustępliwie. Widziała ich, dostrzegała ich zarówno przez sensory okrętu, jak i swoje własne postrzeganie... wyczuwając efekty, jakie ich okręty wywierały na otaczający je wszechświat.

Było ich tak wiele...

Czuła, jak zniszczone jednostki znikają z tkanki wszechświata w krótkim rozbłysku lub wtapiają się w szum tła, ale było ich tak niewiele w porównaniu z liczebnością roju. Jej umysł wirował od niespójnych reakcji załogi.

Wielu wiwatowało – czy to na głos, czy tylko w myślach – traktując tę chwilę jak zwycięstwo.

Boadicea uznała, że pewnie jest to małe zwycięstwo, ale z pewnością nie zwycięstwo ostateczne. Jej kapitan miała inne odczucia niż załoga. Odczuwała entuzjazm, ale jej ekscytacja miała cierpki posmak. Fatalistyczną nutę. Może bardziej chłodną determinację niż jakąś konkretną, wyrazistą emocję.

Determinację, by unicestwić tak wiele wrogich jednostek, jak to tylko możliwe, nim pozostałe ostatecznie przytłoczą obrońców.

Tę determinację podzielała Boadicea.

Istota sięgnęła do tyłu i wyciągnęła strzałę z próżni, zakładając ją na cięciwę wyćwiczonym, pewnym ruchem.

Łuk wystrzelił z trzaskiem, który tylko Boadicea mogła słyszeć. Strzała rozbłysła krótko i pomknęła w mrok, a wojowniczką sięgnęła po kolejną.

Jeśli jej załoga musi mierzyć się z wrogiem, nie będzie w tym osamotniona.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– Proszę o zgodę na otwarcie ognia, admirale.

Eric podniósł wzrok i zobaczył, że młody byt stoi przed nim na baczność, ubrany we współczesną wersję swojego pancerza uzupełnioną o emblemat okrętu na ramieniu. Kiwnął głową z uznaniem dla wizerunku.

– Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że jeszcze nie strzelasz – stwierdził Eric po tym, jak wprowadził kilka zmian do szyku floty, pozwalając co bardziej uszkodzonym jednostkom przejść na tyły, by umożliwić im choćby próbę naprawy.

Napór wrogich sił w coraz szybszym tempie siał spustoszenie wśród obrońców. W tej chwili dziewięćdziesiąt procent okrętów meldowało uszkodzenia, choć zaledwie jedna dziesiąta z nich krytyczne. Stanowiło to jednak znaczący ubytek w mocy ognia, jaki Eric mógł spuścić wrogom na głowy.

– Zamierzałem – przyznał Odyseusz. – Niemniej uznałem, że powinienem to ustalić z oficerem dowodzącym.

– W większości przypadków zgodziłbym się z tym tokiem myślenia. – Eric uśmiechnął się, dziwiąc się, jak łatwo mu to przychodzi w tej koszmarnej sytuacji. – Niemniej autoryzowałem już atak całym dostępnym uzbrojeniem. Jeśli masz coś do dyspozycji, idź i daj wrogom popalić.

– Dziękuję, admirale – odparł Odyseusz wręcz radośnie.

Eric zachichotał, gdy byt zniknął, kierując się zapewne na zewnątrz poszycia kadłuba.

„Czy ja też kiedyś taki byłem? Nie pamiętam już...” – pomyślał Eric z rozbawieniem. „Steph... no dobra, Steph wciąż czasem taki jest”.

Eric poczuł zalew nostalgii podszytej smutkiem, gdy wspomniał swojego młodego protegowanego, który okazał się chyba najlepszym przyjacielem, jakiego miał. Nie wiedział, gdzie Steph teraz był, ale cieszył się, że nie tutaj.

– To jest... Nie ogarniam.

Eric spojrział w bok, gdy ściszony głos wyrwał go z bezproduktywnych rozmyślań.

– O co chodzi?

– Przepraszam, admirale – powiedział młody oficer. – Miałem na myśli... no cóż, Odyseusza. Słyszałem... To znaczy... czy on naprawdę ma zamiar użyć łuku i strzał przeciwko wrogim okrętom?

Eric prychnął.

– Nie takiego zrobionego z drewna i ścięgien, czy nawet z kompozytów. Odyseusz formuje swoją broń z czasoprzestrzeni i proszę mnie nie pytać jak. Ten kształt wynika wyłącznie z naszych wyobrażeń i oczekiwań, marynarzu. Wszystko, co on robi, jest naznaczone naszą percepcją zarówno młodego bytu, jaki tu widzimy, jak i jego historycznego imiennika.

– Ale dziwaczne.

Eric tylko wzruszył ramionami i skupił się z powrotem na walce.

Młody człowiek się nie mylił. Cała sytuacja była dziwaczna, nie było w niej niczego, co nie byłoby dziwaczne... ale to coś Ericowi uświadomiło.

Dziwaczne było dobre.

Sprawiało, że ludzie uważali. Że myśleli. Mogli nie lubić dziwactw, ale trudno je było ignorować.

„Ludzie ignorują i akceptują zbyt wiele tylko dlatego, że jest to normalne”.

Eric wolał, by otaczało go dziwaczne, a nie normalne, nawet jeśli nie było to komfortowe.

Zło nie kryło się w mroku, żyło sobie spokojnie w małych miasteczkach i na przedmieściach... na planetach, gdzie obywatele Imperium nie przejmowali się tym, co robi ich wojsko czy rząd, byle tylko mogli wieść swoje spokojne życie bez żadnych większych zmartwień. Zło nie tkwiło w cesarzowej, która nakazała eksterminację, nawet nie w żołnierzach, którzy ten rozkaz wykonywali... ale w ludziach, którzy tylko wzruszali ramionami, bo przecież nie mieli na nic wpływu.

Zło nie było wyjątkowe, pełne chwały i spektakularne.

Zło było banalne.

Usprawiedliwiała samo siebie, że jest dobre, bo przecież nie można go winić za to, że dzieją się złe rzeczy.

Zło stroiło się w szatki komfortu i swojskości, bo w takiej formie ludzie pozwalali mu rozkwitać.

„Saint Mary”

Kapitan Caide ze wszystkich sił próbował nie wyglądać na tak spiętego, jak był naprawdę.

Nigdy nie prowadził okrętu na bitwę. Jedynie niewielu ludzi mogło się tym pochwalić, nawet teraz. Jego doświadczenie ograniczało się głównie do służby w tradycyjnej marynarce, gdzie dowodził lekkim krążownikiem pod koniec wojny, a potem zrezygnował ze służby i wrócił do domu, na farmę.

Przyjął tę posadę tylko dlatego, że dostał gwarancję wolnych miejsc dla swojej rodziny, a jego kontakty w wojsku mówiły mu o rzeczach, które zupełnie się mu nie podobały.

Wszystko było dobrze, póki nie został zmuszony skierować swojej jednostki... swojej nieuzbrojonej jednostki... w środek największej bitwy, o jakiej kiedykolwiek słyszał. Wszystko w nim krzyczało, by zawrócić, ocalić życie swoje i swojej załogi... i całej swojej rodziny, ukrytej w kojach na pokładzie „Mary”.

Zawracanie nie wchodziło jednak w grę, chyba że chcieli utknąć na Ziemi.

– Sir, siły wroga są teraz w odległości trzech sekund świetlnych od nas. Jesteśmy o mniej niż dwie sekundy świetlne od tyłów naszej floty.

– Przyjąłem – odparł Caide regulaminowo. – Status napędu?

– Wszystkie systemy w normie, sir. Żadnych odstępstw.

– Świetnie. Proszę zwiększyć przyspieszenie o kolejne... pięć punktów.

– Aye, sir. Zwiększam moc o pięć procent wartości maksymalnej.

Caide usłyszał lekką zmianę jęku obciążonych silników i poczuł ją pod stopami, gdy napęd zaczął pchać jednostkę jeszcze odrobinę mocniej. Kapitan nie chciał rzecz jasna wysadzić napędu w powietrze, ale nie mógł zaryzykować niczego ponad najszybszy możliwy przelot przez strefę walki.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Admirale... jednostki cywilne są już poniżej sekundy świetlnej od naszych tyłów, wciąż zwiększają przyspieszenie.

– I dobrze – mruknął Eric. – Nie chcą kręcić się tutaj ani chwili dłużej, niż to absolutnie konieczne.

– Aye, admirale.

– Proszę się z nimi skontaktować i skierować ich na wyznaczone tory przelotu – polecił Weston. – Chcę mieć ich z głowy jak najszybciej, przy minimalnym ryzyku dla nich... i dla nas.

– Aye. Wiadomość wysłana, sir. – Oficer łączności odczekał krótką chwilę. – I odebrana.

– Dobrze. A teraz proszę się skupić na wrogu przed nami – rozkazał Eric ostro – a nie na głupcach za nami. Mamy robotę.

– Aye, aye, sir.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan ostrożnie oparł głowę na dłoni, masując guza.

„Oczywiście. Musieli zachować trochę tej piekielnej amunicji na później. Powinienem był to przewidzieć”.

W duchu opłakiwał utratę kilkunastu okrętów swojej floty – i jeszcze większej liczby w pozostałych.

Straty po ich stronie były... szokujące.

Właśnie z tej przyczyny przylecieli tu tak licznie. By przytłoczyć i zmiażdżyć wroga, jeśli będzie trzeba... i zapowiadało się, że tak to właśnie będzie wyglądać.

„Niech tak będzie”.

– Komandorze floty?

– O co chodzi? – spytał Jesan nieco zbyt ostro.

– Nowe jednostki wroga się zbliżają.

– Wsparcie?

– Być może, ale nie wykazują chęci do ataku... Sir, nie rozumiem tego, co widzę.

– Na moją stację – polecił Jesan.

Zdecydowanie nie chciał kolejnych niespodzianek.

– Tak, komandorze floty – potwierdził oficer z nieskrywaną ulgą.

Jesan to zignorował, skupiając się na danych ze skanerów pokazujących nowe jednostki. Były aż śmiesznie słabe, ale Jesan wiedział, że z tym gatunkiem nigdy nie wiadomo.

Jednak ich kurs był naprawdę niezrozumiały. Jednostki przyspieszały, by minąć imperialną flotę.

„Próbują nas otoczyć? Nie... przecież to za mało jednostek. Co wy knujecie?”

Po krótkiej chwili wahania Jesan otworzył połączenie do kilku wybranych dowódców swojej floty.

– Mam dla was zadanie.

Rozdział 47

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Admirale, mamy... problem.

Eric podniósł wzrok i spojrzał na wskazywany mu ekran. Rzut oka wystarczył, by zrozumiał, w czym rzecz.

– Niech to szlag.

Kilka imperialnych krążowników oderwało się od głównej formacji i skierowało w stronę cywilnych jednostek.

– Wyznaczyć punkt przechwycenia – rozkazał krótko.

– Punkt przechwycenia wyznaczony. Sektor trzynaście dziewięćset cztery.

Zbyt daleko od ziemskiej floty, by zapewnić osłonę. Westonowi została niewygodna decyzja.

– „Bellerofont”, mam zadanie dla waszej grupy.

Niewygodna nie oznaczała ciężka. Czasami trzeba było robić swoje bez względu na wszystko.

– Tu „Bell” – zgłosił się Jason Roberts. – Jakie zadanie?

– Nadlatują tu cywilne statki. Powinniście mieć je już na skanerach – wyjaśnił Eric.

– Obserwujemy je, sir.

– Dobrze. Wróg planuje ich przechwycenie w punkcie jeden-trzydziesiąt-zero-cztery. Zawróćcie ich albo sprzątnijcie, jak wam pasuje.

– Rozumiem, przyjąłem. „Bell”, bez odbioru.

Eric pokręcił głową z niedowierzaniem i wrócił do swoich zadań.

Dosłownie ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, były cywilne jednostki w strefie walki, ale najwyraźniej wszechświat miał gdzieś jego potrzeby.

Jak na ironię, gdyby bitwa szła mu lepiej, byłby znacznie bardziej wkurzony na tę sytuację.

Terrańska flota straciła już dwadzieścia procent swoich sił. Eric nawet nie chciał myśleć, ilu ludzi zginęło. Jeśli to przeżyje,

z pewnością spędzi wiele nocy, pijąc ku ich pamięci. A jeśli nie przeżyje, będzie pił z nimi.

„Tak czy siak, gdy to wszystko się skończy, już na wieki będę nawalony”.

Imperialne siły poniosły znacznie większe straty, jeśli patrzeć na bezwzględne wartości, ale procentowo... nawet nie połowę tego, co obrońcy. To przypomniało Westonowi stary dowcip. Nie wiedział, ilu przeciwników jest potrzebnych, by spopielić jego flotę... ale wiedział, ilu użyją.

„Saint Mary”

– „Saint Mary”, tu mostek dowodzenia „Bellerofonta”.

– Tu „Saint Mary”. Słyszemy was, „Bellerofont” – odpowiedział Caide.

– Przykuliście zbędną uwagę. Utrzymujcie kurs i prędkość, póki nie rozwiążemy tej niedogodności. Nie zbaczajcie z kursu, nie przyspieszajcie. Mamy wasz kurs oznaczony, nie chcemy, żebyście od nas przypadkiem oberwali. Potwierdźcie.

– Potwierdzam, przyjąłem. Utrzymamy kurs – zameldował Caide ponuro. – Bez zmian. Bez przyspieszeń.

Kiedy dostajesz rozkazy z okrętu, który góruje nad tobą siłą ognia milion do jednego, robisz, co ci każą... szczególnie jeśli chodzi o ocalenie twojej skóry.

Caide zerknął na skanery.

– Wiemy w ogóle, skąd nadchodzi ta zbędna uwaga?

– Nie, szefie, jeszcze nie... ale skanery na tej dziecinie nie mają wiele wspólnego ze sprzętem wojskowej klasy – odparł technik. – Jesteśmy wyposażeni raczej pod kątem badania planet.

– Rozumiem. Wypatrujcie pościgu, ale na razie musimy zaufać naszym ochroniarzom – polecił Caide, bardzo niezadowolony z takiego obrotu spraw.

– Tak jest, sir.

Okręt Sojuszu Ziemi „Bellerofont”

Roberts patrzył spode łba na eskadrę wroga, która oderwała się od głównego zgrupowania i kierowała w stronę cywili próbujących przemknąć przez pole bitwy.

Nie chciał się teraz rozpraszać takimi sprawami, ale rozkazy to rozkazy.

– Proszę się upewnić, że reszta okrętów w szyku wie, że lecimy – polecił. – Niech linia zamknie się za nami, jakby nigdy nikogo tam nie było.

– Aye, sir. Rozkazy już poszły. Okręty Priminae już się przemieszczają, by zamknąć dziurę po nas.

Roberts skinął głową.

Primowie bardzo się zmienili od czasów, gdy po raz pierwszy napotkali ludzi. Nigdy nie byli tchórzami, choć wielu ludzi tak ich postrzegało, ale pokazali, że umieją szybko uczyć się na własnych błędach i adaptować do zmieniającej się sytuacji.

Jason często się zastanawiał, jakie to uczucie... dosłownie tysiące lat pokoju.

On sam nie znał pokoju, nie zaznał go przez całe swoje życie. Miewał oczywiście chwile rozluźnienia i relaksu, ale zawsze miał z tyłu głowy, że ktoś gdzieś walczy. Jego naród – najpierw USA, potem Konfederacja – był w stanie wojny przez całe jego życie.

Priminae osiągnęli coś, co uznawał za niemożliwe. Zazdrościł im całym sercem.

Jednak kiedy ich los się odmienił, szybko odnaleźli się w nowej sytuacji. Może i nie wystarczająco szybko, bo różnie mogło być bez pomocy Erica i „Odysei”, ale przeciwko Drasinom... Jason nie dawałby szans także Ziemi, gdyby bez ostrzeżenia spadła na nią taka plaga.

„Czasami po prostu przegrywasz. Możesz dać z siebie wszystko, nieważne... Wszechświat ma w dupie sprawiedliwość”.

– Oznaczyliśmy kurs wrogich jednostek, kapitanie.

– Otworzyć ogień, gdy będą w zasięgu – polecił Roberts. – Strzelać bez rozkazu.

– Aye, skipper.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Ciekawe.

– Słucham, komandorze floty? – Zastępca dowódcy wydawał się zdezorientowany.

– Przeciwnik skierował niedużą eskadrę, by przechwycić naszą – myślał głośno Jesan. – Wygląda na to, że te jednostki są cenne. Co o nich wiemy? Jakies szczegółowe informacje ze skanerów?

– Niezbyt wiele, komandorze floty – przyznał technik. – Sygnatura mocy jest praktycznie na progu wykrywalności, ale nie takie rzeczy widzieliśmy... u tych ludzi.

– W rzeczy samej. Coś jeszcze?

– Jednostki są dość duże... wyglądają prawie jak transportowce, ale...

Jesan uniósł brew.

– Ale?

– Projekt wydaje się tak pozbawiony sensu, że nawet nie chcę zgadywać – wyjaśnił oficer. – Proszę spojrzeć na te sekcje. Dlaczego się obracają?

Mich przyjrzał się odczytom i od razu pojął, w czym rzecz.

– Nie przebywałeś zbyt często w dalekiej przestrzeni, prawda?

– Nie, komandorze floty... Dlaczego pan pyta?

– To są habitaty ze sztuczną grawitacją. Dość duże. Nie patrzmy na transportowce, lecz prymitywne statki kolonizatorskie. – Jesan pomyślał chwilę... i go olśniło. – Och, niech to otchłań pochłonie!

W jego głowie rozpoczęła się gonitwa myśli. Mieszkańcy planety rozumieli, co ich czeka, i zaczęli rozsyłać jednostki kolonizatorskie.

„Czy te są pierwsze? Czy jest ich więcej? Jej Wysokość nie będzie zadowolona...” – myślał Jesan gorączkowo. „Spokojnie, spokojnie. Po pierwsze, trzeba wyeliminować te statki, a potem skierować łowców na poszukiwanie innych. Ta misja właśnie znacząco poszerzyła swój zakres”.

Nawet nie znacząco, a na wieki...

- Musimy wyeliminować te statki – oznajmił Jesan. – Proszę poinformować floty, że odchodzimy z szyku.
- Tak, komandorze floty.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Co robią?!

Wściekły ryk komandora floty Gavina poniósł się echem po mostku. Dowódca wpadł w pełną niedowierzania furię na wieść o odłączeniu się Trzeciej Floty.

– Trzecia Flota informuje, że...

– Słyszałem za pierwszym razem! – uciął Gavin, nie chcąc tracić czasu na wyjaśnienia. – Zignorować ich, kontynuować natarcie. Mamy wroga w garści, nie wypuścimy go, jak ten idiota już raz zrobił.

Jego ludzie wrócili do pracy. Byłby zszokowany, gdyby stało się inaczej, w końcu dobrze ich wyszkolił. Siedział więc na swoim stanowisku, kipiąc ze wściekłości i nie umiejąc przejść do porządku nad debilizmem swojego odpowiednika z Trzeciej.

„Ze wszystkim bezdennie głupich... Przecież wyłapiemy ich później! Podział naszych sił akurat w tym momencie...”

Niestety, łańcuch dowodzenia dawał mu absolutnie zerową kontrolę nad działaniami pozostałych komandorów flot. Mógł polegać jedynie na szacunku czy strachu... a ani jedno, ani drugie nie miało wpływu na Jesana.

„Kiedy to się skończy, Jesanie... rozliczę cię”.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Admirale! Problem!

Eric przymknął oczy, ale zaraz się ogarnął.

– O co chodzi?

– Spora część wrogiej floty oderwała się od głównego zgrupowania i ruszyła w stronę cywilów.

„Kurwa”.

– Gdzie są Roberts i jego „Bell”?

– W drodze, ale w tej chwili idzie na nich przytłaczająca siła, sir.

– Przyjąłem.

Eric był rozdarty. Jeśli podzieli swoje siły, bitwa zakończy się znacznie szybciej. Jeśli nie podzieli... statki kolonizatorskie zostaną zestrzelone, a los i tak go dosięgnie.

Sytuacja bez wyjścia.

Eric nie widział dobrych rozwiązań. Wciąż miał jednego asa w rękawie, ale to zagranie opierało się na czynnikach niezależnych od niego, a część z nich... właśnie się oddalała.

– Kurwa mać – zaklął, zaciskając pięść. – Dobra. Jeśli tak chcą pogrywać, pierdolić ich i pierdolić to wszystko.

Otworzył kanał do całej floty.

– Do wszystkich okrętów. Wróg atakuje statki kolonizatorskie. Ośłaniać ich ucieczkę za wszelką cenę.

Wstał i przemierzył mostek.

– Połączcie mnie z Gracen i dajcie kody autoryzacyjne na Prometeusza.

– Tak jest, sir!

Rozdział 48

Stacja kosmiczna Liberty

– Ma’am, admirał Weston do pani.

– Przełączyć do pokoju narad – rozkazała Gracen, nie podnosząc wzroku.

– Tak jest, ma’am.

Siedziała u szczytu stołu, otoczona oficerami flagowymi Konfederacji, sojuszników, a nawet Bloku. Wszyscy obecni, bez względu na stopień, odwrócili się z napięciem w stronę głównego ekranu.

Nie czekali długo.

Twarz admirała Westona pojawiła się chwilę później. Spoglądał w bok, odbierając coś od asystenta.

– Dziękuję – powiedział, a potem zwrócił się do kamery. – Pani admirał... admirałowie, generałowie i wszyscy, których stopnie pominąłem. Pozdrowienia z frontu, że tak powiem...

– Z wzajemnością, admirał Weston – odpowiedziała Gracen z cieniem uśmiechu. – Zakładam, że ma pan dla nas wieści?

Przytaknął, patrząc ponuro.

– Z przykrością informuję, że nasze pozycje są nie do utrzymania. Imperium przełamie nasz opór, pytanie tylko kiedy.

Po sali poniosły się pomruki, czasami pobrzmiwało w nich nawet zaskoczenie. Gracen przelotnie zastanowiła się, kto mógł być tak naiwny, by nie spodziewać się takich wieści – ale miała inne sprawy na głowie.

– Rozumiem – powiedziała głucho. – Dziękuję za meldunek. Jakie są pana zamiary?

– Moja flota da z siebie wszystko, by osłonić odwrót cywilnych jednostek. Potem przeprowadzimy finalne uderzenie, jeśli będzie potrzebne – oznajmił twardo. – Użyję Prometeusza w najefektywniejszy możliwy sposób, niemniej warunki, by przeprowadzić skuteczny atak na okręt, są dość rygorystyczne.

Gracen przytaknęła, rozumiejąc problem. Prometeusz potrzebował bardzo precyzyjnych danych, a statki były jednocześnie małe i szybkie, co utrudniało dokładne namierzenie. Jeśli przesuną się choćby odrobinę między autoryzacją danych a uderzeniem, strzał był zmarnowany... a mogło to trwać nawet minutę.

Ostatnio Eric wciągnął wrogiego dowódcę w rozmowę. Tym razem nie zapowiadało się na pogawędkę.

– Rozumiem... – Gracen zawahała się, krzywiąc na myśl o tym, co miała powiedzieć. – Admirale...

– Ma'am?

– Jeśli nie będzie pan w stanie utrzymać pozycji lub przepłoszyć wroga za pomocą Prometeusza... Nie możemy wymagać poświęcenia wszystkiego dla straconej sprawy. Po uruchomieniu Prometeusza, jeśli Imperium wciąż będzie miało wolę i środki do walki... – Wzięła oddech i zamiast na ekran spojrzała prosto w kamerę. – Rozkazuję panu się wycofać.

To wywołało falę pełnych niedowierzania okrzyków, paskudnych przekleństw i reakcji wartych jedynie zignorowania... co też admirał zrobiła. Wszyscy wiedzieli, co się stanie, jeśli flota nie da rady odeprzeć natarcia.

Eric również wyglądał na zszokowanego rozkazem.

– Ma'am...

– Nic dobrego nie wyniknie ze śmierci was wszystkich, jeśli i tak nie zmienicie wyniku tej wojny – powiedziała łagodnie. – Zna pan rozkazy.

Roześmiał się gorzko.

– Ma'am... Z całym szacunkiem, ale co też pani robi, jeśli je złamię?

Nim mogła mu odpowiedzieć, zakończył połączenie.

– Przemądrzały gnojek – mruknęła Gracen. – Słowo daję, ktokolwiek wpadł na ten genialny pomysł, by powierzyć dowodzenie obroną systemu w ręce marine... A, chwila, to byłam ja. Kurwa.

Nie mogła się powstrzymać. Opadła na oparcie i zaczęła histerycznie chichotać. Sytuacja tak bardzo wykraczała poza jej najgorsze koszmary, że aż zaczęła się robić zabawna.

Po chwili jednak uspokoiła się, wyprostowała i rozejrzała po twarzach zgromadzonych.

– Słyszeliście wszyscy admirała Westona. Musimy pogodzić się z tym, że najpewniej ma rację. Jak stoimy z obroną planety?

Młodszy admirał westchnął ciężko.

– Uzbrojenie orbitalne z czasów wojny zostało odwrócone, ale to starocie, w większości stacjonarne. Jeśli coś wejdzie w ich zasięg, pewnie zostanie uszkodzone, ale...

– Nasze tak samo – powiedział ze znużeniem oficer Bloku. – Te same ograniczenia. Nawet nasze połączone siły raczej nie wystarczą, by odeprzeć wroga.

– Jeśli wylądują – wtrącił się trzygwiazdkowy marine – jesteśmy na nich gotowi. Zapowiada się, że będą lądować?

To pytanie dręczyło wszystkich. Z taktycznej perspektywy najprostszym rozwiązaniem było oczywiście bombardowanie z orbity.

– Nie wiemy, zależy, jakie mają rozkazy – stwierdziła Gracen bez entuzjazmu.

– Więc... to by było na tyle? – zapytał komendant Hiro Invern, solidnie wkurzony.

Nie winiła go. Pomimo swojego wcześniejszego ataku czarnego humoru również była do głębi wściekła. Największym koszmarem każdego dowódcy nie było finalne starcie, lecz poświęcenie, które idzie na marne.

– Nie... do końca – powiedziała Gracen głucho. – Jest jeszcze coś do zrobienia.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– Do wszystkich okrętów. Nowe zadania – wywołał flotę Eric. – Nasz priorytet to osłona odwrotu statków cywilnych. Do okrętów Priminae, zwracam się z formalną prośbą o odeskortowanie naszych jednostek cywilnych poza granice systemu. Moja flota zapewni wam osłonę.

Dowódca pozostałej na chodzie części floty Priminae przez chwilę wyglądał na niezdecydowanego, ale potem skłonił głowę i odpowiedział:

– Rozumiem. To będzie dla nas... zaszczyt.

– Dziękuję. Do wszystkich pozostałych, cywile są teraz naszym priorytetem – powiedział Eric zdecydowanie. – Celem drugorzędnym jest maksymalne spowolnienie floty wroga. To oznacza walkę w zwarciu i przytrzymanie ich w miejscu.

– Admirale. – Sandra spojrzała na niego uważnie z mostka „Boadicei”. – To oznacza straty.

– Wiem – potwierdził Eric. – Jednak jeśli nam się uda, sprowadzę wrogom na głowy boski gniew i spopielę gnojów. Im więcej spośród nich uda nam się przyszpilić, tym większe szanse i nasze, i Ziemi. Więc o ile nikt nie ma lepszych pomysłów...?

Długo milczał w nadziei, że ktoś faktycznie wpadnie na lepszy plan, ale ostatecznie musiał po prostu oznajmić:

– No dobrze, znacie swoje zadania. Najpierw musimy przerwać bieżące starcie i zmusić większość floty do podążania za nami, jednocześnie ściągając tę drugą grupę z ogona cywilów. Jasne?

Nikt się nie odezwał, co Weston wziął za potwierdzenie.

– Dobrze. Do roboty. – Uśmiechnął się. – To był dla mnie zaszczyt.

Zamknął połączenie, a miejsce twarzy jego kapitanów zajęły mapy strategiczne bitwy.

– Kapitan Heath... wie pani, co robić.

– Aye, admirale. Zajmę się tym.

– Nie wątpię, pani kapitan. Nie wątpię.

Okręt flagowy

Piątej Floty Imperialnej

– Komandorze floty... wróg... Wygląda na to, że... Tak, wróg przerywa starcie i wycofuje się.

– Co?

Gavin wstał, a gryzący dym zawirował wokół niego.

W życiu nie posądzałyby przeciwnika o to, że odwróci się plecami do swojego macierzystego świata i ucieknie.

– Kilka okrętów zostało na pozycjach, powstrzymując wciąż nasze siły, ale reszta zmieniła kurs. Komandorze floty, oni idą prosto na Trzecią Flotę.

„Trzecią... Jesan, ty dupku. O czym ty wiesz i o czym nie mówisz?”

– Staranować obrońców! Niech nasze siły i Trzecia Flota zamkną ich w kleszcze!

– Tak, komandorze floty!

Okręt Sojuszu Ziemi „Hood”

– Raport uszkodzeń, proszę – rzucił kapitan Wood, robiąc długi krok nad jakimiś odłamkami. Oderwały się od grodzi podczas ostatniego ataku wroga, który wywołał gdzieś na pokładzie reakcję łańcuchową.

Nikt nie wiedział, gdzie dokładnie, bo ten sam atak zabrał ze sobą sporą część ekip naprawczych.

– Ograniczone dane, sir. Wygląda na to, że rdzeń trzyma... choć ledwo. – Pierwszy oficer wzruszył ramionami. – Co do reszty możemy sobie zgadywać.

– Uzbrojenie?

– W pełni sprawne albo przynajmniej wystarczająco.

– To wystarczy. – Kapitan kopnął jakiś większy kawałek na bok i nachylił się nad oficerem uzbrojenia, który zwisał twarzą w dół z fotela. – Wszystko w porządku, chłopcze?

– Jeszcze żyję – odparł porucznik, podciągnął się na swojej konsoli i potrząsnął głową, by się otrzeźwić. – Proszę wybaczyć przysypianie na służbie.

Wood się roześmiał.

– Nie ma problemu. I tak było tu strasznie nudno. Może ożywisz nieco atmosferę dla naszych miłych gości, co ty na to?

– Już się robi, sir – odpowiedział chłopak, skupiając wzrok na kontrolkach dział.

Wood klepnął go po plecach i skierował się dalej, w stronę steru.

Stanowisko sternika, jak na wszystkich okrętach klasy Heros, było ukryte w zagłębieniu, gdzie pilot mógł połączyć się bezpośrednio ze statkiem i wykorzystać pełnię zdolności manewrowych. Wood z niepokojem opuścił się w zagłębienie i sprawdził siedzącej w fotelu kobiecie puls.

„Szlag”.

Spojrzał w górę na pierwszego i lekko pokręcił głową. Ten przymknął na chwilę oczy, po czym podszedł do kapitana. Razem zdołali wyciągnąć ciało chorącej Dupree i ułożyli je na pokładzie.

– Zastąpię ją – powiedział Wood i wsunął się na stanowisko sternika, rozgarniając na boki okablowanie cybernetycznego wspomaganie.

Nie mógł korzystać z tego systemu, ale też nie widział już potrzeby precyzyjnych manewrów.

– Przejął pan ster, sir – zameldował pierwszy.

– Daj mi tu odczyt na głos odległości od linii wroga, w kilometrach – polecił Wood, sprawdzając systemy i odpalając silniki manewrowe. „Nie chcę, żeby nas dostrzegli, nim nie będzie za późno”.

– Front linii wroga: sto osiemdziesiąt tysięcy kilometrów i maleje, kapitanie.

– Odpalam pełną moc generatorów masy przeciwnej. Silniki odrzutowe... Maszynownia, dawać mi pełną moc bojową na silniki odrzutowe – polecił energicznie. – Albo walić to, dawajcie, co się da.

Odpowiedź z maszynowni zagłuszały trzaski.

– Wycisnę więcej, ale na krótko.

– Potrzebuję kilku sekund.

– Mogę dać piętnaście. O więcej trzeba prosić Boga.

– Biorę, co jest. Dzięki, szefie.

– Ray. – Wood przywołał cicho pierwszego oficera.

– Sir?

– Ogłoś ewakuację okrętu. Jeśli ktokolwiek chce spróbować swojego szczęścia... ja nikomu nie bronię.

– Tak jest, sir – odparł Ray Hardesty, odwracając się, by wydać rozkaz: – Opuścić statek!

Alarmy wyły na wszystkich pokładach, a Richard Wood przejął kontrolę nad swoją bestią, walcząc trochę ze sterami przez brak cybernetycznego wspomaganie, które pozwoliłoby mu prowadzić okręt niczym zwinną żaglówkę.

– Dystans do wroga: sto tysięcy kilometrów! – zawołał oficer ze stanowiska skanerów, podczas gdy kolejna wiązka trafiła okręt, przebijając poszycie.

Powietrze gwałtownie uciekało przez wyrwę, obracając nieco wielki okręt.

– Mam jakieś luzy na silnikach manewrowych – powiedział Wood.
– Potrzebuję, żeby byli trochę bliżej. Odliczaj do pięćdziesięciu tysięcy.

– Aye, skipper. Dziewięćdziesiąt tysięcy i maleje.

Przeciągły jęk wyładowań kondensatorów zasilających lasery wypełniał wszystkie pokłady. Każdy kawałek uzbrojenia na wielkim okręcie, który mógł jeszcze strzelać, rozsiewał śmierć w czerni kosmosu.

– Najmniej uszkodzone okręty floty oderwały się od formacji, sir. Wszystko idzie zgodnie z planem.

– Coś w końcu musiało pójść, jak trzeba – stwierdził cierpko Wood.

– Siedemdziesiąt tysięcy i maleje!

– Ktoś tam jeszcze jest? – Wood wywołał maszynownię.

– Pełna chata, skipper. Stwierdziliśmy, że równie dobrze możemy się przejechać do końca.

Wood pochylił na moment głowę, ale i tak się uśmiechnął.

– Dziękuję.

– Czego panu trzeba?

– Stabilnego rdzenia.

– Stabilnego, sir?

– Bardzo stabilnego.

– Zrozumiałem. Hmm... myślę, że możemy go podkarmić dodatkową masą i zmniejszyć średnicę pól. Wytrzyma tak... co najmniej kilka godzin.

– To w zupełności wystarczy.

– Pięćdziesiąt tysięcy kilometrów do linii wroga!

Wood sięgnął do przełącznika.

– Pełna moc na silniki odrzutowe. Do wszystkich... powiedziałbym, żebyście szykowali się na zderzenie, ale wątpię, byśmy coś poczuli. Fajnie było.

Odpalił pełną moc i złapał mocno za stery, walcząc z oporną jednostką, która szarpała się pod wpływem nagłego przyspieszenia.

Mając do pokonania niecałe pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, z polem masy przeciwnej wyżyłowanym do granic możliwości i dyszami silników topiącymi się od odrzutowego ognia, „Hood” nie dawał przeciwnikowi cienia nadziei na jakąkolwiek reakcję.

W ostatnim zrywie potężny okręt zaszarżował w sam środek wrogiej formacji.

Rozdział 49

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Odyseusz”

– Z Bogiem – powiedział cicho Eric, obserwując, jak „Hood” taranuje imperialne zgrupowanie w swojej finalnej szarży.

Wielki okręt wziął na siebie potężny ostrzał, nim dotarł pomiędzy wrogów, ale przy takich rozmiarach? Gdy już się rozpędził, nic nie mogło go zatrzymać – nie w tak krótkim czasie. „Hood” staranował jeden z wiodących okrętów formacji i oba zwinęły się jak zmięta folia, gdy ich nagle uwolnione osobliwości zaczęły gwałtownie pochłaniać ich masę.

Trzy kolejne imperialne okręty zostały zassane w grawitacyjny wir, nim pozostałe zdołały się usunąć poza zasięg śmiertelnej pułapki. Mimo to wrogie natarcie nie wyhamowało.

Kolejne trzy uszkodzone Herosy, które zgłosiły się na ochotnika, by chronić tyły, zniknęły w kuli ognia. Wróg wziął sobie za punkt honoru zdjąć je z dystansu. Eric nie mógł go za to winić, ale i tak było mu żal.

Miał jednak własną misję, która czekała przed nim, nie na tyłach.

„Saint Mary” majaczyła w oddali, oskrzydłona już przez „Bella” i „Crocketta”. Kolejne okręty przesuwwały się na pozycje obronne wokół cywilów, by trzymać na dystans imperialnych agresorów.

„Jeśli unieszkodlimy tę grupę, »Mary« powinna uzyskać dostateczną przewagę, by dotankować i uciec z Układu Słonecznego, nim dogoni ją reszta wrogiej floty. Tyle czasu damy radę jej kupić”.

Przynajmniej coś dobrego wyniknie z ich poświęcenia.

– Wroga eskadra zbliża się do cywilów, sir. „Crockett” i „Bell” tego obrywają.

– Widzę – potwierdził Eric. – Wszyscy mają ich chronić. Skoro potrzebują cienia, rozłóżmy im parasol.

Miriam trzymała się mocno brzegu pulpitu, gdy okrętem znów zatrzęsło, a kolejna wiązka przeszła kadłub.

– Nieszczelność na pokładzie ósmym, ma’am.

– Zignorować, zaraz samo przejdzie – odparła ironicznie, wiedząc, że sektor zostanie automatycznie odcięty i cała atmosfera po prostu wycieknie w kilka chwil.

– Tak, ma’am.

„Mam tylko nadzieję, że wszyscy zdążą uciec na czas”.

Wnętrze statku zostało wyposażone w śluzy powietrzne na dokładnie takie przypadki, ale w sposób nieunikniony zawsze ktoś znalazł się w miejscu, skąd nie mógł w porę dotrzeć do śluzy. Jedynym pocieszeniem było to, że śmierć nadchodziła szybko.

Admirał rozkazał chronić cywilów, więc to trzeba zrobić. Miriam zacisnęła szczęki i skierowała swój okręt naprzód, próbując nie myśleć o zniszczeniach i śmierci.

Jednego i drugiego będzie jeszcze więcej.

Byli już dość blisko, by gołym okiem widzieć agresora.

Odyseusz wiedział, że to nie zdarza się często, nie podczas bitew, a jednak widział już światła wrogich okrętów. Co więcej, jaśniały bardziej z każdą chwilą.

Założył kolejną strzałę i wypuścił ją natychmiast, czując, jak Boadicea robi to samo, choć dzielił ich teraz spory dystans. Zakłócenia czasoprzestrzenne były najwyraźniej łatwo wyczuwalne.

Działali wspólnie praktycznie przez całą bitwę, a mimo to Odyseusz nie umiał powiedzieć, czy przynosi to jakiegokolwiek skutki. Po prostu wiedział, że bez względu na wszystko nie może ustawać w wysiłkach. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Skręcony odcinek naprężonej czasoprzestrzeni wystrzelił z łuku i tym razem Odyseusz usłyszał odległy dźwięk uderzenia. Odyseuszowi wydawało się, że widział jakąś zmianę na okręcie, w który trafił, ale nie miał jak tego potwierdzić, a już na pewno nie miał czasu na eksperymenty.

Nałożył więc kolejną strzałę i wypuścił ją, wpadając znów w swój wyćwiczony już rytm.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan zaklął pod nosem, gdy pokład znów zatrzęsł mu się pod stopami. Wątpił, by w całej imperialnej flocie ostał się choć jeden nieuszkodzony okręt. Pocieszało go to, że przeciwnik był w znacznie gorszym stanie.

– Wroga flota zmieniła kurs na przechwytyjący, komandorze floty! „Są zdeterminowani, by umożliwić tym statkom ucieczkę...” – pomyślał Jesan z mroczną satysfakcją.

To potwierdzało jego domysły. Terranie wysyłali statki kolonizatorskie... a nawet jeśli nie, coś równie ważnego.

„Trzeba ich powstrzymać”.

– Naprzód! Uzbrojenie, cel na nowe jednostki!

– Tak, komandorze floty!

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– Nie cofają się, ma’am!

– Widzę – potwierdziła Miriam. – Jak wyglądają nasze zapasy amunicji?

Oficer uzbrojenia roześmiał się. Normalnie by go skarciła, ale usłyszała w tym śmiechu nutę hysterii. Nie miała jak go zastąpić, jeśli załamałby się pod krytyką.

– Poniżej dziesięciu procent dla dział T, rdzeń niewiele lepiej. Ma’am, nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak pluł ogniem jak my.

– Zaraz będziemy pluć bardziej – stwierdziła ponuro. – Chcę mieć każde działo osuszone do zera, a skoro jeszcze nie przeciążyliśmy rdzenia, to znaczy, że strzelamy wiązkami zbyt leniwie.

– Aye, ma’am.

Eric wpatrywał się w ekrany, trzymając jedną rękę na kontrolerze połączonym z obiektem Prometeusz i próbując... mając nadzieję... znaleźć okienko do jak najlepszego wykorzystania tej broni.

Wróg za ich plecami nacierał coraz szybciej, podobnie jak eskadra przed nimi. Żadna z tych grup nie była ani dostatecznie powolna, ani dostatecznie przewidywalna, by otworzyć nad nią wrota piekieł, do których klucz spoczywał w jego dłoni.

„Tylko jedna okazja. Choćby jedna”.

Stawało się jasne, że będzie musiał sam ją sobie stworzyć.

– Proszę ustanowić otwarte połączenie – rzucił nagle.

– Sir?

– Otwarte połączenie. Chcę z nimi porozmawiać.

– Tak jest, sir. Otwarte połączenie na pana panelu, admirale.

Eric skinął głową, widząc ikonę. Zastanowił się chwilę, po czym otworzył kanał.

– No cóż, znowu się spotykamy – powiedział być może do nikogo. – Ostatnio kiedy się tu pokazaliście, imperialne sępy, uprzedziłem was o konsekwencjach. Ale nie mogliście sobie odpuścić, co?

Nikt mu nie odpowiedział, ale też tego nie oczekiwał.

– Gdybyście pojęli tamtą lekcję, wiedzielibyście, co was czeka. Który z waszych światów powinienem najpierw spopielić? – rozmyślał głośno Eric, przeglądając bazę danych. – Ten wygląda obiecująco. Kraike, tak się to wymawia?

Okręt flagowy

Trzeciej Floty Imperialnej

– Komandorze floty...

– Zignorować go.

Jesan czuł, jak paznokcie przebijają skórę we wnętrzu jego zaciśniętych dłoni, ale nie da wrogiemu dowódcy satysfakcji i nie odpowie. Jeśli tamten nie blefował, i tak nie można było zrobić nic, by go powstrzymać.

– Tak, komandorze.

Parli naprzód, kierując swój okręt prosto pod wrogi ostrzał, ale efekty były słabsze, niż oczekiwali. Masywne jednostki przeciwnika wchodziły nieustannie w linię strzału, biorąc na siebie ogień przeznaczony dla statków kolonizatorskich.

Z im większą determinacją to robili, tym bardziej Jesan upewniał się w swojej ocenie sytuacji.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

– Nic, sir. Żadnej odpowiedzi.

Eric skinął głową.

– Szanse i tak były znikome – stwierdził, błędząc palcami po konsoli łączącej go bezpośrednio z Prometeuszem.

Oczywiście mógł wydać rozkaz ostrzelania planety, ale bez żadnego Włóczęgi na pozycjach, by to nagrał i przesłał, taki akt nie miałby w bieżącej sytuacji żadnej strategicznej wartości. Weston zajmował się teraz bitwą i jej wynikiem, a wszelkie strategiczne decyzje wykraczające poza tę sytuację pozostawiał innym.

Jakoś musiał przykuć uwagę wroga.

„Po prostu nie wiem... nie wiem, co robić” – przyznał Eric przed samym sobą.

Oparł obie dłonie na pulpicie i pochylił się, próbując zebrać myśli.

Musiał istnieć jakiś sposób.

„Muszę go tylko znaleźć. Najlepiej zaraz. Łatwizna”.

„Saint Mary”

Burt Connors próbował nie chodzić w kółko, bez powodzenia, gdy obserwował sytuację wokół na ekranach na pokładzie właścicielskim. Wiedział, że wtrącanie się to najlepszy przepis na katastrofę, ale nie był do tego przyzwyczajony.

Mikrozarządzanie nigdy nie kończyło się dobrze, jeśli zatrudniałeś ludzi dobrych w swoim fachu. A jeśli nie zatrudniałeś dobrych ludzi, byłeś skończonym idiotą. To była jego życiowa dewiza, ale

jednocześnie starał się zawsze trzymać rękę na pulsie, szczególnie na początku każdego przedsięwzięcia.

Ale teraz?

„W co ja wpackowałem siebie i swoich ludzi?”

– Krążowniki nas otaczają, sir!

– Widzę – odparł Caide. – Nie mazgaj się. Biorą na siebie strzały, które nas by przecięły na pół. Utrzymuj kurs, żadnych zagrywek.

– Tak jest, sir.

Napięcie na mostku było niewiarygodne. Caide zaciskał dłonie na oparciach fotela, licząc, że nikt nie widzi jego pobielających kłykci. Jeśli ktoś jednak to zauważył, był dostatecznym profesjonalistą, by się nie odezwać słowem.

– Połączenie z krążownika.

– Dawaj.

– „Saint Mary”, tu „Bellerofont”.

– Tu „Saint Mary”, słuchamy, „Bell” – odpowiedział Caide automatycznie, odnajdując dziwne ukojenie w wyćwiczonych formułach.

– Osłaniamy was aż do chwili ucieczki, a nasi zaprzyjaźnieni Primowie odprowadzą was do granic systemu. – Głęboki głos dowódcy „Bell” przekazywał dobre wieści. – Utrzymujcie przyspieszenie i upewnijcie się, że wasze tankowce wiedzą, że czeka je szybka akcja. Kupimy wam tyle czasu, ile zdołamy, ale nie ociągałbym się zbytnio.

– Wszystko mamy dograne, „Bell” – potwierdził Caide. – Tankowce lecą już w szyku i manewrują, by dopasować kurs. Ładujemy paliwo, zapasy, załogi i lecimy.

– Przyjąłem. Z Bogiem, „Mary”, powodzenia w pustce.

Połączenie zakończono, nim kapitan mógł cokolwiek odpowiedzieć.

– Krążownik zawraca, sir, odwraca ciąg. Kierują się z powrotem na wroga!

– Czynią swą powinność – odparł Caide. – A my róbmy swoje. Maszynownia, jeśli możecie nam coś jeszcze wycisnąć, dawajcie.

– Coś się jeszcze znajdzie, sir.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Bellerofont”

Jason Roberts usadowił się wygodnie, obserwując ekrany taktyczne, podczas gdy jego okręt zmieniał kurs.

– Do wszystkich stanowisk, „Bellerofont” wraca do bitwy – poinformował. – Stan amunicji?

– Mamy małą masę, prawie nie mamy już atomówek, ale tokamak wypluł dla nas parę ładunków antimaterii, sir.

– Będzie nam to musiało wystarczyć – stwierdził Roberts. – Ładować, chcę mieć moje fajerwerki.

– Aye, skipper. Dwa ładunki ekstremalnych fajerwerków, już się robi!

Roberts uśmiechnął się blado, patrząc w stronę zbliżających się okrętów.

– Wyznaczam cele... Bandyci alfa i beta wprowadzeni do systemu.

– Potwierdzam, bandyci alfa i beta. Cele wprowadzone, działa T załadowane i uzbrojone.

– Ognia.

Rozdział 50

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

Jesan znowu zaklął, gdy dwa kolejne okręty jego floty zniknęły wśród białych płomieni. Rozpoznał sygnaturę broni jako ładunki antimaterii, które reagowały z materią kadłubów.

„Niech otchłań pochłonie tę ich koszmarną broń”.

Imperium byłoby praktycznie bezbronne, gdyby nie fakt, że produkcja tej amunicji była najwyraźniej ekstremalnie trudna, przez co wróg nie miał dostatecznie dużych jej zapasów. Nic nie dawało jakiegokolwiek ochrony przed takim ostrzałem. Choć sprawa była dyskutowana na najwyższych szczeblach imperialnego wywiadu, nikt nie miał żadnych pomysłów.

„Kiedy to wszystko się skończy, Imperium winno opracować analogiczną technologię” – pomyślał Jesan bez entuzjazmu.

W zdecydowanej większości przypadków tego typu broń była nie tylko przesadą, ale okazywała się wręcz niewskazana. Niszczenie infrastruktury, którą można by wykorzystać po wojnie, było po prostu marnowaniem zasobów. Niemniej jak pokazywał przypadek tej wojny, kiedy sytuacja tego wymagała, takie uzbrojenie mogło stanowić imponujący atut.

– Jednostki wroga zmieniają kurs na przechwytyjący, komandorze floty.

– Widzę. Skupić ogień. Nie chcę powtórki tego, co właśnie przytrafiło się Piątej Flocie – powiedział twardo Jesan.

– Tak, komandorze floty.

Wróg przejawiał oznaki desperacji, a to oznaczało, że będzie teraz jeszcze bardziej niebezpieczny. Nawet nie chciał myśleć o losie okrętów, które wpadły w pułapkę podczas samobójczej szarży na Piątą.

Śmierć w walce to jedno... ale...

Nie należy sobie pogrywać z osobliwościami. Każdy mężczyzna i każda kobieta, którzy kiedykolwiek służyli na okręcie wojennym, mieli to wyryte w umyśle. Było wiele powodów, dla których okrętowe osobliwości były utrzymywane na granicy stabilności. Jeden z ważniejszych stanowiło zwiększenie wydajności wychwytywania emitowanej przez nie energii. Stabilne osobliwości wciąż generowały energię, ale nie aż tak imponującą, by nic nie wymykało się poza horyzont zdarzeń.

Drugi powód?

Wieczne umieranie, pochwycenie w pułapkę nieskończenie spowolnionego czasu wewnątrz zakrzywienia grawitacyjnego... to nie była dobra śmierć.

Ani trochę.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

– Nacierać na nich! Przyszpilić ich! – rozkazywała Miriam, podczas gdy „Odyseusz” nieustannie pluł ogniem, wspierając „Bella” i resztki eskadry w kolejnej szarży.

Imperialne okręty nieustępliwie parły naprzód, ale wybuchy antymaterii nieco ostudziły ich zapał, co „Odyseusz” i „Boadicea” chcieli teraz wykorzystać.

Niestety, odpowiedź wroga przyszła szybko. Imperialni skupili ogień na nacierającej parze Herosów i cięli je bezlitośnie. Miriam czuła, jak wszystko wokół niej się trzęsie, a raporty uszkodzeń sływały zewsząd... ale póki cywilne jednostki nie będą bezpieczne, nie zamierzała się cofać.

– Ma’am, pozostałe jednostki wroga nadciągają od rufy. Złapią nas w kleszcze!

– Chrzanić ich, mamy robotę do dokończenia! Nic innego się nie liczy.

Eric po raz trzeci przeliczał wartości. Szanse nie były duże, ale lepszej okazji już chyba nie będzie.

– Obiekt Prometeusz – wywołał. – Mam zadanie.

– Prometeusz potwierdza. – Weston usłyszał robotyczny głos, bo mniej obciąża pasmo komunikacyjne wysłanie tekstu i przekonwertowanie go na sztucznie generowany głos niż kompresja i wysyłka faktycznej mowy. – Proszę dostarczyć współrzędne.

Eric wprowadził współrzędne, uważnie sprawdzając wektor względem lokalizacji Prometeusza. Niestety, obcy obiekt nie był zsynchronizowany z płaszczyzną układu, co jeszcze bardziej podnosiło wymóg precyzji. Gdyby obiekt znajdował się dokładnie na linii lecącej przez płaszczyznę układu floty, usuwałoby to z obliczeń całą jedną oś odniesienia.

Niestety, nie było tak łatwo, więc Eric musiał liczyć na nieco szczęścia.

„Uwzględnić prędkość, dostosować do opóźnień komunikacji... przewidzieć lokalizację...”

– Współrzędne przesłane, skierować strzał wedle instrukcji. Wsparcie ogniowe wymagane jak najszybciej.

– Potwierdzam. Strzał oddano.

Eric wpatrywał się intensywnie w skanery, podczas gdy systemy okrętu zaczęły dosłownie krzyczeć o nagłym wyładowaniu tachionowym w sektorze.

„Błagam, niech to zadziała...”

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

Komandor floty Gavin był na granicy swojej cierpliwości.

Straty poniesione podczas tej misji przekraczały już dziesięć ostatnich przydziałów razem wziętych... a końca nie było widać!

Walczył ze sobą, by utrzymać furję w ryzach. Nie powierzano dowodzenia tym, którzy łatwo tracili nad sobą panowanie... przynajmniej nie wtedy, gdy utrudniało to realizację zadań. Najpierw dokończy misję, a potem pokaże mieszkańcom tego świata, że nie warto było go denerwować.

– Komandorze floty! Skok na odczytach cząstek nadświetlnych!

Gavin poderwał się na równe nogi.

– Zlokalizować! Czy nadchodzą posiłki?

– Sir, pan nie rozumie... Te cząstki są tuż nad naszą pozycją!

Gavin odwrócił się w stronę skanerów.

– Znaleźć źródło! Na ekran.

Ekrany zamigotały, a potem nie pokazały nic, tylko pustkę. Gavin, podobnie jak załoga jego mostka, wpatrywał się z napięciem w ekrany. Zaczął się już zastanawiać, czy to nie awaria czujników, ale nim mógł o to zapytać... wszystko się zmieniło.

Skanery w spektrum światła widzialnego rozjarzyły się na krótko oślepiającą bielą, nim nie wyłączyły się awaryjnie, chroniąc się przed całkowitym przepaleniem. Osłony zamknęły się wokół nich, a Gavin zobaczył, jak odczyty termalne kilku jego okrętów poszybowały gwałtownie w górę.

– Co, na otchłań...

Słup ognia przesunął się po jednostkach jego floty, a te zapłonęły niczym przesuszona ściółka po uderzeniu pioruna. Patrzył na to z otwartymi ustami, a jego umysł uzupełniał znane mu raporty o porażające obrazy.

„Ich superbroń... w końcu jej użyli... Ale... dlaczego teraz?”

Słup ognia wypalił flankę jego formacji, mijając czoło natarcia, za co Gavin mógł chyba tylko dziękować cesarzowej... ale czegokolwiek dotknął, ginęło w ogniu.

Komandor potrzebował kilku chwil, by otrząsnąć się z szoku.

– Komandorze floty... wróg nadaje kolejną transmisję.

– Posłuchajmy.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

„No cóż, to przykuło ich uwagę”.

Strzał z Prometeusza ledwo liznął cel, ale i tak kilka krążowników przemienił w popiół. Eric wątpił, by którykolwiek ze spalonych okrętów zdołał opuścić Sol, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Pomarli tutaj będą mieć całkiem liczne towarzystwo.

Ponownie otworzył kanał.

– Wciąż możecie się wycofać – oznajmił twardo. – Nie macie pojęcia, co czeka was i to wasze Imperium, jeśli przyprzecie nas do muru.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

– Bezczelny łajdak! Podłącz mnie pod tę częstotliwość – syknął Gavin.

– Tak, komandorze floty.

Gdy ustanowiono połączenie, Gavin zaśmiał się ponuro i nachylił nad pulpitem.

– Martwi nie stanowią zagrożenia, kanalio.

Odpowiedziała mu chwilowa cisza.

– Nigdy nie spotkałeś grzechotnika, co? – rozległ się kpiący głos. – Daję ci słowo, imperialny pionku... zaatakuj mój świat, a uwierzysz w duchy.

Gavin się zachnął.

– Ty arogancki...

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

– Co ten głupiec wyprawia? Przestań do niego gadać, nie można go lekceważyć! – Jesan stracił nerwy, sfrustrowany przeciągającą się rozmową.

Jego natarcie wyhamowało całkowicie, został wzięty w kleszcze, a jego wsparcie właśnie traciło czas na wymianę gróźb i obelg!

– Czy możemy zlokalizować źródło transmisji?

– Tak, komandorze floty. To ten statek.

Jesan pokiwał głową.

– Znakomicie. Proszę skupić wszystko, czym dysponujemy, wszystko, na tym okręcie. Uciszyć go!

– Tak, komandorze floty.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Eric właśnie chciał kontynuować, gdy pokład zatrzęsł się pod jego stopami, zmuszając go do zamknięcia połączenia. Skontaktował się z mostkiem.

– Raport!

– Chyba ich pan wkurzył, sir – odparła Miriam. – Pierwsza eskadra rzuca na nas wszystko, co ma. Dobre wieści są takie, że zarzucili pościg za cywilami. Chwileczkę... Odpowiedzieć ogniem! Skupić się na okręcie prowadzącym! Niech ekipy naprawcze biorą się do roboty... Przepraszam, admirale, ja, uhm... nie wydaje mi się, żebyśmy mieli pociągnąć dużo dłużej.

Eric się skrzywił.

– Już schodzę.

Zamknął połączenie i odpędził asystentów machnięciem ręki, schodząc na mostek. Nie miał daleko, w końcu mostek admiralski istniał tylko po to, by Weston nie stał kapitan nad głową.

Gdy wszedł na mostek, zaskoczył go panujący tam chaos, ale tak to wyglądało, gdy prowadziło się operację taktyczną.

– Witamy w domu, admirale – przywitała go Miriam. – Właściwe dla nas miejsce w takiej chwili.

– To jeszcze nie koniec.

Roześmiała się.

– Możliwe, ale orkiestra już szykuje ostatni koncert. Jesteśmy ciężko uszkodzeni, a wróg nie przestaje nas okładać.

Eric skinął głową z grobową miną.

– Cywile odlecieli?

– Tak, to się nam udało.

– Okej... No to można działać – powiedział Eric, kombinując gorączkowo.

– Dobrze to słyszeć, bo ja nie widzę żadnych opcji – odparła Miriam cicho, gdy znów nimi zatrzęsło.

Eric przemierzył pokład, pochylając się nad konsolą maszynowni i wpisując kilka rozkazów.

– Może nie dla „Odyseusza”, ale swoje zrobił. Mam rozkazy dla pani, pani kapitan.

Miriam spojrzała na niego zmieszana.

– Nie rozumiem.

– Proszę ewakuować okręt. Skontaktować się z „Boadiceą” albo kimkolwiek innym, kto jest dostatecznie blisko. Proszę zabrać swoich ludzi... naszych ludzi z tego systemu.

– Czy pan postradał zmysły, sir? Ziemia...

– Rozkazy bezpośrednio od Gracen – uciął. – Zrobiliśmy swoje. Proszę się wynosić z mojego okrętu, pani kapitan. Przejmuję dowodzenie.

Patrzyła na niego w szoku, wstając z fotela.

– Nie porzucę mojego okrętu...

– To teraz mój okręt. Zwalniam panią ze służby – powiedział Eric zimno i machnął na dwóch zdenerwowanych marines. – Proszę zabrać panią kapitan do kapsuły ratunkowej i przypiąć się razem z nią. Kiedy się wystrzelicie, ona znów przejmuje dowodzenie, jasne?

– Sir!

Miriam wciąż patrzyła z niedowierzaniem, gdy u jej boków stanęli marines.

– Ma’am... proszę nie stawiać oporu...

– A co ty chcesz niby zdziałać? – warknęła.

– Ocalić to, co zostało z mojej floty – powiedział Eric znużonym głosem, przechodząc do zagłębienia sternika. – Proszę już iść, pani kapitan. Teraz.

– Kurwa! – rzuciła na odchodne, ale nie opierała się, gdy marines wyprowadzili ją i resztę załogi z mostka.

Eric otworzył okienko na konsoli i aktywował rozkaz opuszczenia okrętu.

– Odyseuszu.

– Tak, sir? – Byt zjawił się natychmiast.

– Przykro mi – powiedział Eric po prostu.

– Ja... rozumiem.

– Będę potrzebował twojej pomocy... by ich ocalić. Tyłu, ilu zdołamy.

– Otrzyma pan tę pomoc – obiecał Odyseusz.

Eric skinął głową i podłączył cybernetykę. Poczuł, jak zalewają go dane z czujników okrętu. Kilkoma dodatkowymi gestami wyłączył kontrolę przepływu informacji, umożliwiając dwustronną wymianę danych.

– To nie jest rekomendowana procedura, admirale.

– Pieprzyć procedury, muszę czuć okręt – mruknął Eric, wyciskając z napędu wszystko, co się dało, i otwierając połączenie. – „Bo”, tu „Odyseusz”.

– Tu „Bo”, odbiór.

– Nakazałem ewakuację okrętu. Zabierzcie moich ludzi... proszę.

Głos zmienił się i zamiast oficera łączności Eric rozmawiał już z kapitan Hyatt.

– Admirale? Co, do cholery...?

– Nie ma czasu. Pani i Roberts przejmujecie dowodzenie, rozegrajcie to między sobą – powiedział. – On ma większe doświadczenie, radziłbym go słuchać. Proszę zabrać resztę moich ludzi z systemu... Priminae z pewnością was przyjmą, ale kolonie to też jakaś opcja.

– Sir... Nie opuścimy Ziemi...

– Przegraliśmy, pani kapitan. Rozkazy Gracen są jasne. Ewakuować cywilów, a potem siebie, jeśli nie będziemy w stanie zatrzymać wroga. Czy uważa pani, że zatrzymamy ten atak?

Odpowiedziała mu cisza.

– Tak myślałem. Zna pani rozkazy. Bez odbioru.

Rozdział 51

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Gdy Eric zagłębił się w fotelu pilota, poczuł się dziwnie zrelaksowany i zadowolony, mimo że drobinki gwiazdnego pyłu wgrzyzające się w pancerz wywoływały wrażenie ciągłego kłucia.

Jeśli miał odejść, właśnie tutaj chciał być.

Nie na pokładzie admirałskim, nawet nie w kapitańskim fotelu. Urodził się, by być pilotem.

– Wróg rozpoczął ostrzał kapsuł ratunkowych, admirał.

– Ooo, jeszcze czego – warknął Eric, łapiąc za kontrolki uzbrojenia.

Działka nie będą działały zbyt długo, szczególnie gdy nie ma przy nich serwisantów, ale póki nie wysiądą, będzie z nich strzelał jak za starych dobrych lat.

Z dłońmi na kontrolkach i przy doskonałym wyczuciu otoczenia, jakie dawało mu cybernetyczne połączenie z okrętem, Eric pchnął jednostkę naprzód i ustawił dziób pomiędzy wrogiem a kapsułami. Ostrzał laserowy nasilił się, gdy wróg się zorientował, że okręt wciąż jest aktywny pomimo wystrzelenia kapsuł. Eric przyjął na siebie ogień i skrzywił się z bólu, gdyż odczucia były przekazywane prosto do jego kory mózgowej.

– Jesteśmy teraz ich głównym celem – poinformował Odyseusz beztrąsko.

– No cóż – mruknął Eric, otwierając przepustnicę i pozwalając polom na dziobie mielić i skręcać czasoprzestrzeń.

Okręt nabierał prędkości, a Eric sięgnął przed siebie i nawiązał połączenie.

– Halo?

– Halo, panie Connors – przywitał się Eric. – Poinformowano mnie, że się pan przebił.

– Dzięki pańskim ludziom, tak.

– Jeśli chciałby im pan podziękować – zaczął Eric z ciężkim sercem – niektórzy mogą szukać dla siebie miejsca. Byłbym wdzięczny,

gdyby przyjął pan każdego, kto o to poprosi.

– Admirale Weston... czy...

– Nie mam czasu na rozmowy, naprawdę, chciałem tylko prosić o tę przysługę – powiedział Eric, dzieląc uwagę między rozmówcę i swój okręt. – Powodzenia w pustce!

– Ja... oczywiście, przyjmiemy każdego, kto o to poprosi. Do diabła, już dawno sam bym zatrudnił każdego z tych ludzi, gdyby tylko byli dostępni!

– Dobrze. Do zobaczenia kiedyś, po drugiej stronie – pożegnał się Eric i zakończył połączenie.

Wiązki laserowe cięły głęboko pancierz okrętu, a Eric pozwolił swoim odruchom przejąć kontrolę. Wiązka potrzebowała co najmniej ułamka sekundy, by przebić się przez pancierz ceramiczny i pokrywające go płyty – a to dostatecznie długi czas, by układ nerwowy Erica odebrał bodziec bólowy i zareagował, zmuszając go do odruchowego odskoku.

Weston czuł się, jakby całe jego ciało pokrywały oparzenia drugiego i trzeciego stopnia, tyle że gorzej. Jego nerwy nie były uszkodzone, więc ból nie był wytłumiony, jak miałyby to miejsce przy faktycznych oparzeniach. Zacisnął zęby i ignorował to, skupiając się na celu.

Najbliższa eskadra imperialnych okrętów była teraz całkowicie skupiona na nim. Nie sposób było umknąć przecinającym się gęsto wiązkom... ale też Eric nawet nie próbował. Starał się ograniczać uszkodzenia do minimum, podchodząc coraz bliżej i odpowiadając wściekłym ogniem.

Dziesięć tysięcy kilometrów... pięć... dwa. Poniżej tysiąca kilometrów.

Eric chciał podejść naprawdę blisko. Dym i płomienie wypełniały już cały sektor, bo wróg strzelał z coraz większą furją... po czym zaczął chybiać.

Eric śmignął obok wrogiej floty i wprowadził swój okręt w ciasny zakręt, zmuszając przeciwnika do próby trafienia go, gdy leciał prostopadle do stanowisk ogniowych. Przy prędkościach, z jakimi poruszały się okręty, nawet najlepszy system namierzania nie miał szans nadążyć, więc trzeba było przełączyć się na systemy przewidywania.

Uniki nie były trudne. Każdy imperialny system musiał bazować na imperialnych zapisach i bazach danych... a przecież tam nigdy nie widziano Razjela w akcji.

Okręt flagowy Trzeciej Floty Imperialnej

- Spalić ich! Co wy robicie? Strzelać!
- Próbujemy, komandorze floty, ale są tak blisko i poruszają się tak szybko! Ledwo złapie ich wiązka namierzająca, a ich już nie ma. Jakby czytali nam w myślach, komandorze floty.
- Jesan zaklął, pochylając się nad stanowiskiem uzbrojenia i wpatrując w ekrany.
- Jeszcze nigdy nie widział, by tak wielka jednostka poruszała się w taki sposób. Systemy jego okrętu nie umiały nawet śledzić celu, a obsługa była kompletnie zdezorientowana.
- Skupić na nim większą siłę ognia. To nie może tak trwać. Spalić go w ten czy inny sposób.
- Tak, komandorze floty.

Okręt flagowy Piątej Floty Imperialnej

- Flota wroga jest w rozsypce, sir. Uciekają z systemu. Gavin pokiwał głową ze znużeniem.
- Później ich wytropimy.
- Trzecia Flota wciąż ma kłopoty z pojedynczym okrętem...
- Jeden okręt? – Gavin prychnął. – Niech sobie radzą. Wprowadzić kurs na zamieszkałą planetę.
- Tak, komandorze floty.

Stacja kosmiczna Liberty

– Mój Boże... Jak on...? – Gracen pokręciła głową. – Tak to wygląda, gdy posadzi się najlepszego pilota, jakiego kiedykolwiek wyszkoliliśmy, na okręcie, który praktycznie czyta mu w myślach, a potem pośle się go na wroga. Szkoda, że nie wpadliśmy na to wcześniej.

Decyzyjni popełnili tyle błędów, opierając się na złych założeniach. Gdyby wtedy wiedzieli to, co wiedzą teraz, Gracen nie była pewna, czy w ogóle wysłaliby gdziekolwiek „Odyseję”.

„Z pewnością wiele rzeczy zrobilibyśmy inaczej”.

– Od zawsze trudno było znaleźć i trenować kandydatów kompatybilnych z NICS.

– To nie jest usprawiedliwienie dla zarzucenia programu – zdenerwowała się Gracen. – Nie mielibyśmy tysięcy, może nawet nie setki... ale kilkudziesięciu? Tak. Mogliśmy tylu mieć...

Westchnęła, kręcąc głową.

– Nieważne. Stało się – powiedziała, wstając i podchodząc do komputera. – Teraz pozostało mi już tylko jedno zadanie.

– Co pani robi? – zapytał admirał Jackson, podnosząc się z miejsca.

– Dezaktywuję sieć Kardaszewa – odparła.

– Co? Dlaczego?! – Admirał szybko ruszył w jej stronę, a wszyscy inni wręcz wystrzelili z miejsc. – To nasza ostatnia obrona!

– Nie wytrzyma.

– Ale coś przecież działa!

Ekran diagnostyki systemu ukazał ciemną falę, rozchodzącą się kaskadowo od stacji Liberty i gaszącą światła satelitów, poczynawszy od przestrzeni cislunarnej. Miną godziny, nim polecenie zostanie w pełni wdrożone, ale nie dało się go już cofnąć.

– Co pani narobiła...

– Zainicjować restart systemu. Nowe zadanie – powiedziała Gracen do komputera.

– Proszę zdefiniować zadanie.

– Priorytet pierwszy: autonomiczna replikacja. Priorytet drugi: autonomiczny system obronny. Wyjątek celu: Ziemia.

– Parametry przyjęte.

– Rozpocząć restart.

– System się restartuje.

Gracen zamknęła oczy.

- Co się właśnie stało? – dopytywał się Jackson.
- Sieć Kardaszewa stała się właśnie całkowicie zautomatyzowana. Rozsieje się po całym układzie, zgromadzi zasilanie... i zmiecie wszystko, co nie ma transpondera Konfederacji... za jakiś czas – wyjaśniła Gracen, odchodząc od konsoli. – Zabierze to więcej czasu, niż nam zostało, ale jeśli Imperium będzie się tu kręcić... czeka ich niekończąca się wojna. Właśnie nasłałam na nich Skynet.
- Jak długo, nim system będzie w pełni aktywny?
- Gracen spojrzała na marine i wzruszyła ramionami.
- Dziesięć godzin, nim sieć reaktywuje się w pełni z nowymi parametrami działania. System podwaja liczbę platform co czterdzieści osiem godzin. Za miesiąc, może mniej... no cóż, nie chciałabym być na miejscu Imperialnych, jeśli wciąż tu będą.
- Czemu nie zrobiliśmy tego wcześniej?
- Robiliśmy to, ale musieliśmy balansować pomiędzy wydajnością obrony a liczebnością – wyjaśniła. – Nikt nie miał ochoty całkowicie wyłączyć naszej jedynej obrony na tak długi czas. Poza tym wielka polityka nie chciała nawet słyszeć o spuszczeniu ze smyczy samopowielającej się sztucznej inteligencji.
- Jezu...
- Gracen pokiwała głową.
- Taa...
- Wroga flota już tu jest, pani admirał.
- Gracen się odwróciła.
- Przygotować broń orbitalną i wszystko, czym dysponujemy na stacji. Dajmy im pokaz.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Eric obserwował, jak kolejny okręt nagle eksploduje, choć on w niego nie celował. Z całych sił walczył z szarpiącym się okrętem, bo w maszynowni nie było nikogo, kto zrównoważyłby pola. Było już prawie po wszystkim.

- To byłeś ty, Odyseuszu?
- Tak – powiedział byt. – Kontynuuję ostrzał.
- Dobrze.

– Okręt jest... Nie da się go już naprawić... kapitanie.
Eric uśmiechnął się przez zaciśnięte usta.
– Czy widzisz, gdzie są pozostali?
– Ci, którzy przetrwali, uciekli już ze strefy walk. Są... tak bezpieczni, jak to aktualnie możliwe – odparł Odyseusz.
– Dobrze.
– Mam wrażenie, że należałoby powiedzieć coś bardziej... głębokiego.
– Pieprzyć głębię – zachnął się Eric, a okrętem znów wstrząsnęło.
Nie był w stanie zareagować dość szybko. Poczul, że ster prawie pękł. Wiedział, że już po wszystkim.
Powietrze było ciężkie. Dyszał.
Rzut oka i już wiedział, że cyrkulacja powietrza nie działała. Oczyszczacze zapewne również.
„Zatrucie dwutlenkiem węgla to całkiem niezła śmierć... ale jakoś wątpię, bym pożył na tyle długo, by umrzeć we śnie”.
– Nadchodzą, sir.
Eric przytaknął.
– Odyseuszu?
– Tak, kapitanie?
– To był dla mnie zaszczyt... i przepraszam.
– Wszystko, czym jestem, mówi mi, że to... nie jest nic, za co powinien pan przepraszać, kapitanie – odparł Odyseusz. – Wojownik marzy, by wznieść się do godności królewskiej... a król koniec końców zaczyna marzyć, by umrzeć jak wojownik.
Eric nie znalazł już dobrych słów, patrząc, jak wrogie statki nacierają na niego, ich lasery przepalają zewnętrzne czujniki, a cały okręt drży pod naporem wściekłego ognia.
„Oż... kurwa”.

Stacja kosmiczna Liberty

Gracen skłoniła głowę, gdy światło niosące informację o śmierci Odyseusza dotarło do stacji. Ona i Weston mieli długą historię. Byli spierającymi się sojusznikami, przełożoną i podwładnym, przyjaciółmi...

- Nadchodzą, ma'am.
- Otworzyć ogień i nie przestawać, póki tchu w piersi – rozkazała, odwracając się i stając twarzą w twarz z czernią, z której nadlatywała jej śmierć.

Piąta Flota Imperium Starsbane nie przerwała swojej szarży na biało-niebieski świat, nawet gdy obrona orbitalna i duża stacja kosmiczna powitały ją ogniem.

Lasery przecinały się w pustce kosmosu, paląc wszystko, co napotkały, na popiół. Stacje kosmiczne i działa orbitalne nie są ruchome... a okręty tak. Nie minęło wiele czasu, nim upadły ostatnie punkty oporu, a wielka stacja zapłonęła.

Ciężko pokieroszowana, plująca dymem i odłamkami flota imperialna zawisła nad światem, przejmując pełną kontrolę na niebie. Kilka prób wystrzelenia pocisków ziemia-orbita zakończyło się spalaniem laserami infrastruktury startowej, po której zostały tylko wypełnione lawą kratery.

A potem... było już po wszystkim.

Epilog

Obiekt Prometeusz

– To by było na tyle, musimy założyć najgorsze – stwierdził Benoit.
– Straciliśmy kontakt z Ziemią i stacją Liberty.

Nastroje były... mało powiedzieć grobowe. Benoit rozejrzał się i postanowił upewnić, że w najbliższym czasie nikt nie będzie sam. Samobójstwa zrujnowałyby morale jeszcze bardziej, a przecież wciąż mogli tu czegoś dokonać.

– Pytanie brzmi, co robimy? – zapytał, rozglądając się po swoich ludziach. – Mamy opcje.

– Niby jakie? – zapytał ktoś. – Ziemi nie ma. Jeśli mamy szczęście, jest pod okupacją, ale najpewniej, bazując na naszej wiedzy...

– Najpierw realizujemy nasze obowiązki – przerwał Benoit. – Spopielimy doszczętnie wszystko z naszej listy celów, od A do Z. Jestem dostatecznie wściekły, by dodać kilka miast do zatwierdzonych celów...

– Możemy zrobić coś więcej bez uciekania się do takich działań.

Wszyscy odwrócili się, z zaskoczeniem patrząc na mówiącego. Palin nigdy nie udzielał się na spotkaniach.

– Co chciałby pan zrobić, doktorze?

– Od pewnego czasu siejemy niepokoje – wyjaśnił Palin. – Pójdźmy dalej.

Benoit przyglądał się badaczowi przez dłuższą chwilę.

– Zamieniam się w słuch.

Imperialny świat Kraike

Emilia spoglądała na swoje miasto, gotując się ze wściekłości. Dostała kolejne złe wieści. Planeta za planetą pogrążała się w chaosie, a to tylko dlatego, że Emilia odesłała floty?

Absurd!

To nie miało sensu. Garnizony planetarne powinny bez problemu sobie poradzić z utrzymaniem spokoju nawet bez wsparcia floty. Cesarzowa nie wiedziała, co poszło nie tak. Nic na to nie wskazywało, nie było żadnych oznak, że dojdzie do czegoś takiego!

„Gdzie popełniłam błąd?”

Gdy tylko floty powrócą, rozpocznie się krwawa i mozolna harówka, by przywrócić porządek. Emilia przygotowywała się na to wewnątrz.

Jej umysł był tak pochłonięty tymi problemami, że prawie przegapiła pierwsze oznaki, że coś jest nie tak.

Przegapienie czegoś takiego byłoby faktycznie imponujące, bo naprawdę trudno nie zauważyć kolumny ognia spadającej z nieba i palącej ziemię na popiół.

Emilia cofnęła się od okna, a powietrze zadrżało od grzmotów odległych eksplozji.

„To był garnizon miasta... kto...” Jej wzrok stwardniał, zalały ją jednocześnie gniew i mroczna satysfakcja. „Ksenosi. To muszą być oni, co oznacza, że floty przyparły ich do muru, zmusiły do zemsty”.

Uwzględniała takie ryzyko... i straty.

Zniszczenia, które widziała, były dowodem, że floty przywiodły wroga na skraj wytrzymałości... skłoniły do desperackich kroków... są bliskie zwycięstwa.

Jej lud to przetrwa. Ona to przetrwa.

Odbudowa będzie jej priorytetem... od razu po pacyfikacji zbuntowanych planet.

– Ludu Imperium...

Emilia spojrzała ostro.

„Cóż to, na otchłań!”

– Ojciec...? – szepnęła.

Jej ojciec był przy niej zawsze, nie opuszczał jej od chwili, gdy objęła tron.

– To nie ja, córko – powiedział zaniepokojony. – Nigdy wcześniej... nie czułem czegoś takiego.

– Nie czułeś... czego? – zapytała, jeszcze bardziej zdezorientowana.

– Uderzyliście w nasz świat. Zabijaliście naszych ludzi.

Dezorientacja cesarzowej nie trwała długo. Odwróciła się z powrotem w stronę otwartej przestrzeni, skąd zdawał się

dochodzić głos.

– Wraz z naszym ludem umiera nasze miłosierdzie. Wasza cesarzowa wiedziała o naszej broni. Uprzedziliśmy ją, że użyjemy tej mocy... a mimo to nas zaatakowała...

Kolejne filary ognia spłynęły na miasto. Do Emilii dotarło, że każdy z nich unicestwia obiekt wojskowy lub rządowy.

„Jakim sposobem oni... Te uderzenia są zbyt precyzyjne. Wiedzą, gdzie zaatakować... ale...”

Gwałtownie uniosła głowę, a w gardle jej zaschło.

– Ojczy, musimy...

Wszystko przemieniło się w oślepiającą biel. Próbowwała krzyczeć, ale nawet dźwięk nie zdołał uciec przed topiącym skałę żarem.

Wieża Imperium zniknęła w słupie ognia, który sięgał nieba... a donośny głos wciąż oskarżał Imperium o ludobójstwo i zapowiadał zemstę, która przekroczy bramy śmierci.

Obiekt Prometeusz

– Nawet nie wiedziałem, że możemy nadawać dźwięk – stwierdził Benoit zszokowany.

– Nie możemy, nie do końca – wyjaśnił Palin. – Ale zmuszenie gazów atmosferycznych do reakcji na to, co transmitujemy, daje właściwie ten sam efekt.

Benoit jęknął.

– Urocza mówka. Po co przyznaliśmy się, że się im udało? Nie lepiej byłoby zasugerować, że część ludzi zbiegła? Żeby bali się własnego cienia?

– Tylko jeśli faktycznie nikt się nie ocalił. – Palin wzruszył ramionami. – Już od jakiegoś czasu statki kolonizatorskie opuszczają macierzysty system. Wolałbym, żeby Imperium nie urządziło na nie polowania. Lepiej podsunąć im historyjkę o duchach niż prawdziwego wroga, przeciw któremu mogliby się zjednoczyć.

– Prawda.

Palin opadł, kręcąc głową i patrząc w swoje puste dłonie.

– Ja... nie wiem, co robić dalej – przyznał. – Jeśli mamy rację... wszystko przepadło. Co teraz?

Benoit wzruszył ramionami.

– Odnaleźć tych, co przetrwali... Przywołać Włóczęgi, zobaczyć, czy zostały się jakieś inne jednostki... I zacząć odbudowę.

Spojrzał w górę, jakby przemawiał w niebo.

– Co innego nam pozostało?

KONIEC

Spis treści

Strona tytułowa
Seria Odyssey One
Strona redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30

Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Epilog